

NINA MAJEWSKA
BROWN



grzech

Gdy tajemnica staje się przedśmionkiem piekła



NINA MAJEWSKA
BROWN

grzech



DOM WYDAWNICZY REBIS

Facetom mojego życia:

Piotrowi, Filipowi i Kubie

Większość ludzi prowadzi życie w cichej rozpacz.

Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*

Jak każdego popołudnia szła powoli przez rzadki las dobrze znaną piaszczystą ścieżką, która prowadziła wprost na niewielką plażę nad migotliwym jeziorem. Ostrożnie stawiała nabrzmiałe stopy wepchnięte w stare trampki, usiłując ominąć rosnące co rusz kępy pokrzyw, których w tym miejscu nie powinno być. Zawsze się zastanawiała, co sprawia, że w tej części lasu czują się tak znakomicie i ochoczo porastają piaszczystą płaszczyznę. Wiedziała, że po kilku metrach ustąpią miejsca igliwiu, które od lat zalegało dalszy odcinek rzadko uczęszczanej drogi. Nikt tędy nie jeździł, sporadycznie ktoś przechodził, a zupełny brak śladów zwierząt świadczył o tym, że nawet one nie były zainteresowane tą częścią młodziaka.

Jak zwykle czuła się zmęczona, wykorzystywana i mało, że nikomu niepotrzebna, to wręcz porzucona przez los. Mimo to rozkoszowała się zapachem wilgoci, mchu porastającego stare drzewa i żywicy, której aromat eksplodował, gdy mijala dopiero co ścięte, poukładane w równe stosy pnie. Choć panował nieznośny upał, cień w lesie dawał lekkie wytchnienie. Zaintrygowana widoczną wśród krzaków żółtą plamą, która – miała nadzieję – okaże się skupiskiem kurek, skrzyła się w tamtą stronę. Drobne gałązki pękały z cichym, drażniącym odgłosem pod jej stopami. Instynktownie rozejrzała się wokół siebie. Przystanęła na chwilę i zrozumiała, że dziś las oddycha innym, powolniejszym rytmem, któremu towarzyszy absolutna cisza. Ze zdziwieniem zauważyła, że zazwyczaj krzykliwe ptaki, których świergot budził ją, nim słońce zdążyło wzejść, ucichły, a nieporuszone najstabszym powiewem liście zamarły na drzewach.

Upał buchnął ze zdwojoną mocą, zapowiadając nadchodzącą burzę. Nigdy nie bała się przyrody, kpila z jej praw i mocy. Tym razem było inaczej. Nie chronił jej dach domu, w dodatku, choć nikt jej nie towarzyszył, miała niewytłumaczalną pewność, że nie jest sama. Owładnęło ją irracjonalne wrażenie czyjejś obecności.

Zganiała się w myślach. A jednak, w miarę jak z minuty na minutę robiło się coraz ciemniej, a wiatr wreszcie przedarł się przez konary drzew i nerwowo potrząsał krzakami, ogarniał ją strach. Paniczny lęk, niemający racjonalnego wytłumaczenia, który obezwładnia umysł i popycha ciało w fałszywym kierunku.

Zawróciła. I właśnie w momencie, gdy miała zrobić pierwszy krok w stronę domu, ich oczy się spotkały. W pierwszej chwili poczuła ulgę, ale już po sekundzie wiedziała, że coś jest nie tak, że nienazwane zło czai się w powietrzu i wciska ją w ziemię. Paraliżuje, nie pozwala zrobić kroku, a jednocześnie umysł nie potrafi dokonać analizy sytuacji. Patrzyła w wykrzywioną nienawiścią twarz, na której malowały się determinacja i zdecydowanie, jakich by się nie spodziewała.

Otworzyła usta, by wyrazić zdziwienie, że ktoś jej szuka, ale nie zdążyła wykrztusić słowa.

Usłyszała cichy syk i poczuła na twarzy mżawkę drobnych, zimnych kropli, które jednak zaraz ogniem rozlały się po oczach. Kciuk ponownie przycisnął spust aerozolu i piekący gaz znów zaatakował jej twarz, wypalając błony śluzowe w ustach i nosie. Chciała krzyczeć, lecz nie potrafiła wydobyć żadnego dźwięku. Odruchowo przymknęła oczy i ten błysk ciemności, który wdarł się w jej umysł, wystarczył, by zupełnie straciła kontrolę nad tym, co się dzieje.

Choć każda część ciała krzyczała, choć tak bardzo chciała zapytać dlaczego, milczała, skupiona na walce o oddech.

I wtedy, w tej ciszy i mroku poczuła, jak coś twardego zaciska się jej na krtani. Coś owinęło ciasno szyję i niczym nóż wbiło się w ciało. Znowu chciała krzyczeć, ale nie mogła nabrać powietrza. Odruchowo starała się chwycić to coś, jednak nie dała rady wsunąć palców między skórę a drut, który wymacała. Czula, jak jej ciało się napina, a ból staje coraz bardziej nieznośny. Nagle otworzyła oczy i spojrzała na wykrzywioną twarz tuż obok swojej. Szare plamy wirowały coraz migotliwiej i szybciej pod powiekami, krtani natomiast stawiała coraz mniejszy opór. Niemal usłyszała, jak coś pęka i zapada się, miażdżąc tchawicę. Za wszelką cenę chciała protestować, ale walka toczyła się już poza nią.

Znajdowała się teraz z boku. Nieco wyżej i trochę po lewej stronie. Patrzyła, jak jej bezwładne ciało się osuwa. Spoglądała na siebie, której już nie było. Siebie, która właśnie przestawała istnieć. Przyglądała się dwóm postaciom, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego jedna robi to drugiej. Czym zawiniła? Co się stało? Dlaczego?

Była zdziwiona. Myślała, że śmierć jest straszniejsza. Przed oczami nie przewinęły się jej też obrazy z całego życia, o czym wszyscy z takim znanstwem opowiadali. Być może umierała zbyt szybko, zbyt chaotycznie, zbyt bezsensownie.

Po pierwszym odległym grzmocie wokół niej znowu panowała cisza.

12 CZERWCA

„GAZETA ZACHODNIA”

Wczoraj w późnych godzinach wieczornych w Koniuszkach pod Wsiowem znaleziono trzy martwe koty. Zwierzęta zostały w bestialski sposób pozbawione życia, skępowane i powieszono na płocie sołtysa. Nieznany sprawca ich krwią na płytach chodnika napisał „patrz”.

Jak twierdzą mieszkańcy, to nie pierwszy chuligański wybryk we wsi. Nie dalej jak miesiąc temu spłonął stóg siana w pobliżu lokalnej oczyszczalni ścieków, pod sklepem wielobranżowym znaleziono koguta bez głowy, a na miejscowym cmentarzu od jakiegoś czasu giną znicze.

Policja z komisariatu we Wsiowie oświadcza, że na tym etapie trudno łączyć ze sobą powyższe zdarzenia.

Zaniepokojeni mieszkańcy postanowili powołać straż obywatelską.

Obiad!

Stoję w zawałonej brudnymi naczyniami kuchni i od kilku minut usiłuję zmusić moje dziecko do przyjścia na posiłek. Sterty umazanych sosem talerzy piętrzą się w zlewie, szklanki z resztkami na dnie porozstawiane są wszędzie, nawet na wąskim okiennym parapecie, wciśnięte między doniczkę z paprotką a konewkę, i półce z przyprawami.

Czuję, jak podłoga przykleja się do granatowych bawełnianych espadryli, które przy każdym podniesieniu stopy wydają nieprzyjemny dźwięk, przypominający cmoknięcie starca. Wszystko jest nie tak, jak miało być.

– Obiad! Monika! Ostatni raz wołam!

Kolejny raz odpowiada mi cisza.

Moja nastoletnia córka, której od kilku miesięcy wydaje się, że jest dorosła i wszystko wie najlepiej, jak zwykle zadekowała się w swoim pokoju i albo udaje, że nie słyszy, albo siedzi ze słuchawkami na uszach przed komputerem, zagubiona w wirtualnym świecie.

Zsuwam buty, żeby klejącymi się podeszwami nie roznosić po całym domu mazi zgarniętej z białych kafli, i idę do pokoju córki. Ciepła beżowa wykładzina przyjemnie łaskocze stopy i skrupulatnie ukrywa kłęby kurzu, które zapewne zalegają w każdym kącie, przytulone do białych przypodłogowych listew.

Tak jak podejrzewałam, drzwi do pokoju Moni są zamknięte, a cień na szybie pociętej białym szprosem w niewielkie prostokąty jednoznacznie wskazuje, że okienna roleta jest spuszczone. Chwytam za klamkę, która z cichym skrzypnięciem się poddaje, i otwieram drzwi. Jeszcze nim przekroczę próg, uderza mnie ciężkie powietrze i zaduch, który krzyczy, że przez ostatnie dni nikt nie kiwnął palcem, by przewietrzyć pokój.

– Monika?

Znowu odpowiada cisza, a moje serce zaczyna coraz gwałtowniejszy galop. Pierwsza myśl jest taka, że młoda źle się czuje i śpi, ale gdy wzrok przyzwyczajają się do ciemności, konstatuje, że łóżko jest puste, podobnie jak pokój.

Ten zresztą wygląda tak, jakby przeszło przez niego tsunami, zawróciło i wdarło się ponownie. Wszystkie szafy, szafki i szafeczki są pootwierane, smutno prezentując sterty zmiętej odzieży, która w różnym stopniu skłębienia, ze śladami wielokrotnego noszenia, wysypuje się na podłogę. Wykładzina upstrzona jest okruchami, które boleśnie wbijają się w bosc stopy, a łóżko wygląda tak, jakby stado kloszardów dopiero co je opuściło, pozostawiając na pamiątkę brudne skarpety, zużyte chusteczki, papierki po słodyczach i wymięte czasopisma.

Przeciskam się między wezgłowiem łóżka a ścianą oklejoną plakatami

z wizerunkami ludzi, których nie znam, nie kojarzę, a patrząc na ich stylizacje, z pewnością nie podziwiam, i wreszcie docieram do okna. Pozbawiony osłony firanki parapet stał się jeszcze jedną płaszczyzną, gdzie można coś postawić, i teraz wypełniają go książki, płyty i talerz z kanapką, która – porośnięta zieloną pleśnią – podbija nowe terytoria, wrastając w podstawkę doniczki z uschniętym miniaturowym fikusem.

Śmierdzi tak, że żołądek usiłuje wepchnąć mi się do gardła. Ciągnę za nigdyś białą taśmę rolety i pokój zalewa rażące światło słoneczne, które obnaża poziom zdewastowania nigdyś cukierkowego pokoju mojego dziecka. Wygląda to tak, jakby szafki i szuflady zachorowały na rotawirusa i zwymiotowały na podłogę całą zawartość, mieszając kosmetyki z odzieżą, lakiery do paznokci z książkami i buty ze sztywnymi paprociami noszonych rajstop, na których wyraźnie odznaczają się kształty pięt i palców.

Jeszcze kilka tygodni temu myślałam o sobie, że jestem dobrą matką, która przez lata podszyte cierpliwością i czasem poświęconym latorośli wypracowała sobie pełen empatii, akceptacji i obustronnego zrozumienia kontakt z dzieckiem.

Tymczasem okazało się, że mieszkam z młodą kobietą będącą zbuntowanym zaprzeczeniem wszelkich wpajanych jej z taką pieczołowitością wartości, której zupełnie nie rozumiem i która z pewnością nie chce zrozumieć mnie. To tak jakbym zamieszkała z kosmitą nadającym zaszyfrowanym kodem i mającym zupełnie inne życiowe potrzeby.

Jestem zde gustowana, zła i siłą woli powstrzymuję się od chwycenia za odkurzacz. Zamiast czarnej rury zakończoną szczotką w mojej ręce ląduje telefon. Wciskam guzik, sprawdzam ostatnie połączenia i po raz szósty wybieram pierwszy numer z listy. Po chwili ciszy i miarowego pikania o dziwo słyszę głos córki. Sprawia wrażenie, jakby właśnie się obudziła.

– Halo?

Brzmi to raczej agresywnie niż miło i załącza mi w głowie opcję wkurzonego rodzica.

– Monika, do cholery ciężkiej, gdzie jesteś?

– Jezu, nie lataj.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszły na ty. Gdzie jesteś?

– A bo co?

– Bo miałaś być w domu.

– Znowu się czepiasz?

– Umówiliśmy się, że zjemy obiad i pojedziemy do centrum handlowego.

Pamiętasz?

– No.

– Co: no? Masz natychmiast wracać.

– Bo co?

- Bo cię o to proszę. Gdzie jesteś?
- Z Julką w galerii. Nie wiem, po co chcesz tu przyjeżdżać, obeszliśmy sklepy i nie ma nic ciekawego, no, może poza kilkoma rzeczami.
- Wracaj, proszę. Za godzinę masz być w domu.
- Spoko, co się tak wkurzasz?

Klik. Jestem osłabiona. Odechciało mi się jedzenia, zakupów, wypoczynku na kanapie i oglądania telewizji. Odechciało mi się być w domu, mieć dzieci i chodzić do pracy. Czuję się bezradna, pozbawiona jakiegokolwiek motywacji i chęci do działania. Nie wiem, co zrobiłam nie tak, ale gdzieś z pewnością popełniłam błąd – i to wielki.

Wracam do pobjowiska w kuchni i spod sterty naczyń wygrzebuję ulubioną filiżankę w drobne kwiatki. Włączam czajnik elektryczny i staram się głęboko oddychać, licząc do dziesięciu. Nigdzie nie mogę znaleźć koszyczka, do którego mogłabym wsypać listki ulubionej czarnej earl grey. Wystarczyło, że wyjechałam na trzydniową wycieczkę, a dom zmienił się w spelunę. Otwieram kolejne szafki i przerzucam łyżki, sitka, tarki w poszukiwaniu niewielkiego okrągłego przedmiotu, który wydaje się zbyt mały, by można go dostrzec w stosach, jak się okazuje, nie do końca potrzebnych i używanych akcesoriów kuchennych. Już dawno powinnam części z nich się pozbyć, zawsze jednak coś okazywało się pilniejsze i ważniejsze niż drewniane chochle i metalowe łyżki.

Wreszcie dostrzegam znajomy kształt w czarnej zaschniętej plamie na zlewie, tuż za baterią, wypchany do granic możliwości starą, zaparzoną Bóg wie kiedy herbatą...

Wyrzucam zawartość zaparzarki do kosza i manewrując między przykrywką garnka a talerzem, usiłuję domyc ją pod bieżącą wodą. Jednocześnie czuję, jak krew gwałtowniej pokonuje kolejne tętnice i rozbija się w mózgu, wiodąc mnie prostą ścieżką ku eksplozji.

Zalewam herbatę wrzątkiem i ostrożnie zanoszę filiżankę ze spodeczkiem do naszego niewielkiego salonu. Szklana ława jest zavalona czasopismami pootwieranymi na różnych stronach, prezentujących modę nie wiadomo dla kogo, bo na ulicę w tych kreacjach nie da się wyjść, kosmetyki zdecydowanie nie na moją kieszeń i zakreślone testy psychologiczne.

Zrzucam je jednym ruchem na wykładzinę, stawiam na blacie parujący napój i gdy już mam wygodnie opaść na miękkie poduszki, mój wzrok pada na szczególnie mocno pozaginany egzemplarz jakiegoś babskiego pisemka, który grubą czcionką publikuje test psychologiczny pod tytułem *Czy jesteś damą*.

Z zaciekawieniem przyglądam się zakreślonym odpowiedziom córki i ocenie mojego dziecka wyrażającej się liczbą uzyskanych punktów.

Okazuje się, że Monika nie tylko ma zadatki na damę, ale już nią jest. Ze zdumieniem czytam pod zakreślonym podsumowaniem na poziomie 55–60

punktów o niewymuszonej subtelności i wrodzonej empatii, elegancji i umiejętności zachowania się w każdych okolicznościach, o tym, że czeka ją niezwykła przyszłość i życie pełne luksusów, niekoniecznie tych związanych z materialnym aspektem, a wynikających raczej z umiejętności doceniania chwili i cieszenia się nią. O byciu mistrzynią dialogu i zaufaniu, które budzi.

Nie powiem, żebym nie była zdziwiona. Nie wiem czym bardziej: tym, że nie dostrzegam tej elegancji we własnym dziecku, czy raczej tym, że Monika tak siebie ocenia.

Z zaciekawieniem wpatruję się w pytania i pięć odpowiedzi, z których powinnam wybrać tę najlepiej opisującą moją osobowość.

5. Na ważnym spotkaniu biznesowym nielubianej koleżance rozpiął się rozporek:

- a) nie zwracasz na to uwagi 1
- b) głośno zwracasz uwagę koleżance 2
- c) w duchu cieszysz się, że to nie ciebie spotkało 3
- d) na migi pokazujesz, w czym problem 4
- e) dyskretnie podchodzisz i cicho zwracasz jej uwagę 5

Co za bezsens.

8. Sprzedawczyni w sklepie jest niemiła i ostentacyjnie nie ma ochoty cię obsłużyć:

- a) głośno domagasz się swoich praw i robisz awanturę 1
- b) głośno życzysz sobie rozmowy z przełożonym 2
- c) głośno komentujesz zachowanie sprzedawczyni i wciągasz innych w dyskusję 3
- d) zachowujesz się równie niemiło jak ona 4
- e) wychodzisz, zakupy zrobisz w innym sklepie 5

Chryste, kto układa te psychotesty? I jak można wierzyć w uzyskany wynik? Podciągam nogi, siadam po turecku i właśnie gdy mam chwycić filiżankę, dostrzegam grube czasopismo otwarte na artykule, którego autor każe mi zastanowić się nad tym, czy jestem szczęśliwa. Sięgam po nie, ale nim zacznę czytać, przemykam oczy i zastanawiam się, czy *jestem*.

W tej chwili zdecydowanie szczęście mnie nie rozpiesza, jestem zła, wkurzona i z pewnością nie mam dobrego nastroju.

Nim się orientuję, mój wzrok prześlizguje się po kolejnych zdaniach mówiących o tym, że szczęście mamy w głowie, że tylko od nas zależy, czy potrafimy je dostrzec, że każdy może być szczęśliwy, i takie tam. Teoretycznie to

wszystko prawda, tylko nie bardzo wiem, jak mam odnaleźć ukojenie w miejscu, w którym się znalazłam. Brudnym, zapuszczonym mieszkaniu, córce, dla której przestałam być ważna, no, może poza coraz częstszymi momentami, gdy prosi o pieniądze.

Mam czterdzieści dwa lata, jedno dziecko, jednego męża, który odszedł pięć lat temu, zapomniawszy się ze mną rozwieść, do rudej Klaudii mieszkającej dwie klatki dalej i teraz jestem zmuszona ich widywać pochyłonych nad czerwonym wózkiem. Jedno niewielkie mieszkanie, za to dwa etaty, żeby je utrzymać. Jedno zdrowie, które ostatnio nie chce ze mną współpracować, i jeden samochód, który niemal pamięta rok narodzin mojej córki. I jeszcze jedną tajemnicę, której nie mogę nikomu wyjawiać, a która coraz częściej spędza mi sen z powiek i zajmuje myśli.

Mam też w sobie niekończące się pokłady niepewności, co wydarzy się jutro, czy nie stracę pracy, czy wystarczy nam do pierwszego i czy dam sobie z tym wszystkim radę. Upijam łyk letniego już naparu i przebiegam wzrokiem kolejny akapit o tym, że powinnam mieć plan, określić, co sprawia, że jestem szczęśliwa, gdzie chciałabym znaleźć się za rok albo pięć lat, zając się sobą i nie pozwolić, by inni mnie tłamsili. Że ja też jestem ważna i mam swoje prawa.

Zanim ustosunkuję się do tych śmiałych teorii, dzwoni domofon i muszę podejść do drzwi. Przy okazji miesięcznik zsuwa się z kanapy i z głośnym plaśnięciem spada na podłogę, zamykając się i ukrywając treść artykułu.

Wciskam srebrny prostokącik i mówię:

– Słucham?

– To ja.

Ja okazuje się moją córką, która jak zwykle zapomniała klucza albo zwyczajnie nie miała ochoty grzebać w torebce. Słyszę głośne kroki na schodach i jeszcze głośniejszy śmiech – pewnie gada przez telefon. Jak na damę przystało... Monika zachowuje się zdecydowanie zbyt swobodnie, nie licząc się z obecnością za ścianą starszych państwa Baranowskich, schorowanej pani Daszyńskiej zajmującej kawalerkę po drugiej stronie korytarza i półrocznych bliźniaków piętro niżej, które drą się niemal bez przerwy. Przez wizjer widzę, jak zbliża się do drzwi. Nim je otworzy, na palcach w pośpiechu biegnę w stronę kanapy, sięgam po zimną herbatę i udaję zrelaksowaną... choć sama nie wiem po co.

Monika z łoskotem zamyka drzwi, rzuca w przestrzeń „cześć” i nie zdejmując butów, usiłuje zniknąć w swoim pokoju.

– Monika!

Zamiast miłego „słucham?”, jak przystało na damę, słyszę wymamrotane pod nosem „kurwa”.

– No? – Nadasana pojawia się w drzwiach i opiera o sosnową białą futrynę.

Spoglądam na nią i w lekkim oszołomieniu nie mogę oderwać wzroku.

Gdzieś zniknęły blond loki, a na ich miejscu pojawiły się różowe strąki natapirowane we wszystkie możliwe strony świata, sprawiając, że moje dziecko wygląda jak gigantyczna wata cukrowa nadziana na czarny patyk wąskiej, długiej do ziemi sukienki.

– Jezu, coś ty zrobiła?

– A co, nie podoba się? Jak zwykle. Nigdy nie możesz powiedzieć nic pozytywnego, tylko stale masz jakieś pretensje.

– Wolalabym wiedzieć o twoich planach związanych z wizerunkiem i móc je omówić.

– I tak byś się nie zgodziła.

– No właśnie.

– Widzisz? Sama sobie odpowiedziałas. Ojcu się podoba.

– Pokazałaś mu się w takim stanie?

– To nie żaden stan! Nie rozumiesz? Spytałam go, a on powiedział, że moje ciało to moja sprawa!

Co się z nami stało, że rozmawiamy jak obcy, niekoniecznie życzliwie do siebie nastawieni ludzie? Chciałabym ją przytulić, pogłaskać, ale jakaś nieznana siła powstrzymuje mnie od wykonania jakiegokolwiek gestu. Obłąd. Podejrzewam, w zasadzie mam nadzieję, że Monika odczuwa podobną potrzebę, i tylko, podobnie jak mnie, coś nie pozwala jej przekroczyć granicy.

Nie potrafię dotrzeć do sedna problemu, nie dostrzegam momentu, od którego zaczęły się psuć nasze relacje. Monia nie zmieniła szkoły ani towarzystwa, w naszym życiu też nie zaszły żadne większe zmiany, no, może poza odejściem Pawła, a jednak coś się stało. Coś, czego nie potrafię nazwać i z czym nie umiem podjąć walki.

– Usiądź, proszę.

– Po co?

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– O czym?

Monika nawet najmniejszym gestem nie zdradza jakichkolwiek emocji. Stoi wklejona w futrynę i patrzy na mnie jak na głupią. Z jej oczu wyczytuję lekceważenie i niechęć, by wykonać krok w moją stronę.

– Usiądź, to się przekonasz.

– Nie możesz mnie zmusić.

– Przecież cię nie zmuszam! Zwyczajnie proszę. Kurczę, co się z nami porobiło?

– Nic, a co się miało porobić? – Wzrusza ramionami, wpatrzona w pejzaż obśrupanego bloku za oknem.

Nie znoszę, gdy na moje pytania, obawy, sugestie nie odpowiada, tylko powtarza moje kwestie, zmuszając mnie do monologu, który zapewne wpływa jej

jednym uchem, ociera się bez zrozumienia o zwój w mózgu i wypływa drugim.

– Czy ty naprawdę nie widzisz, że jakoś nie możemy się porozumieć?

– Bo ty nie chcesz, tylko mnie krytykujesz i nic więcej!

– To nieprawda!

– Oczywiście, że prawda!

– Monika, nie podnoś głosu!

– Bo co? Nie podoba ci się moja fryzura, znajomi, oceny, nie podoba ci się, jak wychodzę z domu, a jak zostaję, też się czepiasz. Nawet ojciec nie mógł z tobą wytrzymać.

Bolesny cios poniżej pasa sprawia, że zupełnie się załamuję. Sięganie po argument w postaci zdrady Pawła jest zdecydowanie nie w porządku i nie mam już siły na kontynuowanie dyskusji. Wstaję z kanapy, przy okazji strącając na jasną wykładzinę filizankę, która bezgłośnie pęka. Resztką ciemnego płynu rozlewa się burą plamą obok nogi ławy, mocząc jedno z czasopism.

Nic mnie to nie obchodzi. Zamykam się w sobie, w milczeniu mijam córkę, nadal wciśniętą między drzwi a komodę, i powoli człapię do maleńkiej sypialni, która coraz częściej staje się całym moim światem. Zamykam drzwi na klucz i opadam na łóżko. Wsuwam się pod białą, wydzierganą na grubych drutach kapę i pozwalam, by gorycz i żal zawładnęły moim ciałem. Jest mi tak źle, tak przykro i czuję się tak skrzywdzona, że mam ochotę umrzeć. Od dawna przestałam dostrzegać jakikolwiek sens w tym, co robię. Praca nie przynosi dochodu, który pozwoliłby mi spokojnie funkcjonować, dom – ukojenia, a dziecko – motywacji, by dalej się starać. Czuję się nikomu niepotrzebna. Niepotrzebna samej sobie. Czuję się nikim.

Pozwalam, by łzy rozmazały makijaż, a plamy czarnego tuszu wsiąkły w błękitną pościel. Jest mi to obojętne. Dlaczego to zawsze ja muszę się starać, dbać, przewidywać, planować. Mam dosyć. Wycieram głośno nos w kolejne chusteczki higieniczne o wstrętnym aromacie mięty, który tylko podrażnia nos i oczy i sprawia, że czuję się jeszcze gorzej. Po chwili na podłodze piętrzy się stos ligniny, a ja jestem coraz bardziej zmęczona. Jak przez mgłę słyszę, że Monika początkowo cicho i delikatnie, a w końcu głośno i natarczywie dobija się do drzwi.

– Mamo? Mamo! Wszystko OK?

I znowu coraz głośniejsze pukanie.

– Mamo, przepraszam. Nie chciałam. Mamo, otwórz! Mamo, dobrze się czujesz?

Nie chcę jej widzieć, nie mam ani ochoty, ani siły na dyskusje.

– Nie, nie czuję się dobrze. Zostaw mnie.

– Mamo, nie wygłupiaj się.

Moje emocje to głupota, zły nastrój to złośliwość, a złe samopoczucie to próba zwrócenia na siebie uwagi! Słyszę spanikowany głos Moniki, ale nie mam

ochoty na patrzenie w jej landrynkową buzię otoczoną różowymi włosami i z ustami wymalowanymi niemal fluorescencyjną różową szminką pod tytułem „bierz mnie”.

Jestem zmęczona, zrozpaczona i pozbawiona motywacji, zasypiam snem skazańca i pozwalam, by kolejne senne koszmary wylewały się z podświadomości, odbierając resztki spokoju i przepędzając ukojenie i wypoczynek, które powinien dać sen.

Jak należy się córce sołtysa, szanują ją tu wszyscy – przynajmniej w jej przekonaniu. Jest wzorem dla sąsiadów i inspiracją dla młodych. Zawsze zadbana, wystylizowana i wiecznie znudzona. Łazi między chałupami, a w zasadzie aeruje pobocza niebotycznie wysokimi obcasami w poszukiwaniu sensacji, plotki i tego, co najcenniejsze, czyli obserwacji własnej, z której zgrabnie wyciąga rzadko kiedy logiczne, jednak zawsze opiniotwórcze wnioski. Chętnie się nimi dzieli z każdą napotkaną osobą, tak więc część mieszkańców unika Joanny jak zarazy, natomiast pozostali, wrośnięci w parapety okien niczym pelargonie w doniczki, spragnieni nowinek wyglądają jej z daleka.

Jak na celebrytkę przystało, prowadzi dwa życia, a w zasadzie jedno stanowi pożywkę dla drugiego. Kilka miesięcy temu za sprawą przypadkowej wizyty u wróżki podczas promocji w centrum handlowym uzależniła się od znaków i przepowiedni. Zgłębiła tajniki właściwego ustawienia mebli w pokoju, tak by dobra energia, nie rozbijając się o ostre krawędzie blatów i nie odbijając się od przypadkowo powieszonych luster, swobodnie krążyła. Mimo niechęci, jaką żywiła do wszelkich niepuszystych stworzeń, ochoczo zdecydowała się na zakup pomarańczowego welona i ku utrapieniu matki ustawiła słój na zapchanej przyprawami półce w kuchni.

Od czasu, gdy na kursie wróżenia z kart tarota kilka tygodni temu poznała znaną z telewizji i kolorowych pism wróżkę Samilinę, vel Marzenę, związała swoje życie z jej sugestiami i przepowiedniami, obejmującymi wszelkie obszary – od pracy poczynając, na rozrywkach kończąc.

Jadąc rozklekotanym autobusem do miasta, Asia nie może się doczekać spotkania z jedyną w jej życiu przyjaciółką, której co prawda za spotkania i przyjaźń musi płacić, ale w zamian Samilina cierpliwie wysłuchuje jej zwierzeń. Trwonienie gotówki w taki sposób oczywiście nie ma dla niej najmniejszego znaczenia, bo skoro nigdy nie zarobiła nawet złotówki, nie ma też poczucia straconych pieniędzy. Nie zna również pojęcia prawdziwej przyjaźni, bo nikt z jej otoczenia nie jest na odpowiednim poziomie.

Dziś mieszkanie wróżki przesycone jest aromatem jaśminu z niepokojącą nutą papierosowego dymu, który mimo otwartych okien – lub za sprawą niemożliwego do wytrzymania upału – nie chce wypłynąć z pomieszczenia. Samilina zamiast kuli i czarnego kota jest właścicielką dwóch rozszczekanych i nerwowych yorków, które podszczypując i ciągnąc za ubrania, usiłują zwrócić na siebie uwagę.

– No nareszcie. Chodź, kochana, już zaparzyłam herbatkę. A co ty taka zmęczona?

- Nie, nic, tylko taki gorąc, że nie ma czym oddychać.
- Zaraz poczujesz się lepiej. Dziś na nowo ustawiłam piramidy, naładujesz się, kochana, energią. Co tam dobrego?
- A wiesz, w zasadzie nic, stara bieda.
- No widzisz, to znaczy, że dobrze. Jak stara bieda, to przynajmniej nie nowe nieszczęścia.

Siadają na twardych krzesłach pokrytych zielonym skajem udającym skórę i popijają mocną czarną herbatę. W miarę jak gorący płyn sączy się do żołądka, gołe nogi Aśki coraz ściślej przylegają do siedziska i pocą się jak dziwka na przesłuchaniu.

- Podaj mi prawą dłoń. Zobaczymy, co też los dla ciebie przygotował.

Joanna posłusznie wyciąga rękę, która sprawia wrażenie, jakby była połączona niewidzialnym sznurkiem z głową, bo ta automatycznie wyskakuje do przodu i nieruchomieje tuż nad splecionymi dłońmi.

- Widzę smutek, martwisz się czymś.
- Może trochę.
- Dłonie nie kłamią. Coś cię trapi i nie jest to choroba.
- Czuję się świetnie.

Aśka zaczyna się wiercić. Kurczę, gdyby jednak się rozchorowała, najlepiej ciężko, to w zgrabny sposób skupiłaby na sobie uwagę wszystkich. Hmm...

– Ale coś odbiera ci energię. – Wróżka przymyka podkreślone czarną kredką oczy i delikatnie wodzi kciukiem po dłoni dziewczyny.

- Powiedz, co to jest. O co chodzi?

– Tak, widzę w twojej głowie dużo czarnych myśli, niepokoju, strachu... Niepotrzebnie, bo los szykuje dla ciebie niespodziankę.

- Naprawdę? Jaką?

– A tego ci nie powiem, to zależy od ciebie. Ale pamiętaj, nie wykorzystujesz swojego potencjału.

- Tak, wiem, marnuję się na wsi, ale...

– Jeśli tylko uwierzysz w siebie, możesz dużo osiągnąć. Pamiętaj, bierz los w swoje ręce, bo on na ciebie czeka. Cholera. – Na podłogę spadła potracona pusta filiżanka, jakimś cudem się nie zbiła, za to wzbudziła ogromne zainteresowanie psów. – A, niech leży. To na czym skończyłyśmy? Ach tak. Gwiazdy są po twojej stronie. O, patrz na te karty. Rycerz kielichów. Ktoś cię uwiedzie, będzie adorować, poznasz miłość swojego życia.

– Naprawdę? – Aśka znowu wierci się niecierpliwie na krześle, przekłada nogę na nogę, a jej co rusz odklejające się od skaju uda jakby cmokając na nią z niezadowoleniem, wydają nieprzyjemne dźwięki. – Blondyn?

- Tego, dziecko, nie wiem.

- Kurde, szkoda. Wiesz, wolę blondynów, choć Darek też był niezły. Tylko

te jego czarne włosy, no mówię ci, miał je wszędzie. Obrzydlistwo.

– Teraz ja mówię, nie przerywaj! Urodzisz mu dzieci. To, co robisz teraz, nie pozwala ci rozwinąć skrzydeł, przy nim pofruniesz.

– Ło! ale super!

– Tak, wszechświat, energia ci sprzyjają. Wykorzystaj to.

– A co mam teraz zrobić?

– Nic. Płyn z prądem i chwytaj szczęście.

O stówę lżejsza, za to ze zdecydowanie ubogaconym ego Aśka czuje, że jest gotowa na nową miłość. Aby godnie przygotować się do roli narzeczonej, ba, może nawet matki, ochoczo obiera azymut na pobliską galerię.

Laura wyszła na podwórko i z niechęcią spojrzała na stadko kur nerwowo grzebiących pod resztkami drewnianego płotu, który niegdyś był eleganckim białym parkanem otaczającym gospodarstwo. Kury cicho pogdakiwały, a zarozumiały biały kogut z niewiarygodnie dużym, oklapniętym grzebieniem przechadzał się wśród nich niczym strażnik na spacerunku.

Na widok Laury stado podniosło głowy i przekrzywiając je, obserwowało każdy jej ruch, w oczekiwaniu na śniadaniową porcję ziaren. Kiedyś sprawiało jej przyjemność karmienie mieszkańców kurnika i chlewików, lubiła uczucie towarzyszące jej za każdym razem, gdy napełniała miski i koryta. Dawało poczucie władzy, własnej dobroci i zależności współmieszkańców zagrody od niej, drobnej, kruchej dziewczyny, która dla tych stworzeń była kwintesencją świata.

Dziś jednak czuła zniechęcenie i monotonię obowiązków, które spadły na nią jeszcze większym ciężarem, gdy ojciec zachorował. Dotychczas żyła w przekonaniu o jego niezniszczalności, a żyłaste ręce, które potrafiły uporać się z każdą pracą, zdawały się tak samo silne jak przed laty. Tymczasem wystarczył jeden niefortunny skłon o poranku podczas banalnego wkładania gumowców, by w kręgosłupie starszego człowieka w niekontrolowany sposób coś się przesunęło i wyłączyło go na wiele miesięcy, wykluczając dźwiganie jakichkolwiek ciężarów.

Matkę przygnębiło to bardziej, niż wskazywałby na to sam wypadek, tworząc w jej głowie wizję męża kaleki, którym będzie musiała się zajmować do końca swych dni. Nie pomagały coraz bardziej optymistyczne opinie lekarzy i coraz lepszy stan zdrowia Leona. Teresa zapadała się w sobie, żyjąc z dnia na dzień, karmiąc duszę mniejszymi i większymi nieszczęściami. Chwil wyciszenia i ukojenia poszukiwała podczas codziennych mszy w parafialnym kościele, żyjąc w coraz głębszym przekonaniu, że jedynie Jezus rozumie jej rozliczne troski. Nigdy zaś nie dostrzegała siły własnej pracy i słów pociechy córki.

Sączyła w dom truciznę smutku i ciężaru życia, nie dając domownikom w zamian żadnej nadziei, że za sprawą jakiejś niespodzianki losu ich życie może się odmienić.

Tak było i tego ranka. Leon, w nieodzownym wytartym kaszkiecie pamiętającym raczej późnego Gomułkę niż wczesnego Gierka, siedział na zielonej drewnianej ławce pod oknem sypialni i wystawiając twarz do pierwszych promieni słońca, palił samodzielnie wykonanego skręta, z rozkoszą się zaciągając i wypuszczając w niebo jasne obłoczki dymu. Przyglądał się obejściu, a wolną ręką gładził czarnego kota łaszącego się do nóg. Dla odmiany Teresa spędzała pierwsze godziny dnia na wędrówce do i z kościoła, gdzie z wdzięcznością dziękowała Bogu za spokojną noc i błagała, by to nie był ten dzień, w którym odbierze zaproszenie

od kostuchy na podróż w jedną stronę. Podczas chwil uniesienia zapomniała o wszystkim, ze szczególnym uwzględnieniem śniadania, które jeszcze do niedawna przygotowywała dla całej rodziny.

Laura weszła do kurnika, z którego po chwili wróciła z trzema umazanymi i oklejonymi słomą jajkami w plastikowej żółtej misce. Ostrożnie położyła ją na trawie przy wystającym z ceglanego muru kranie, schyliła się po metalową miskę i odkręciwszy kurek, bezmyślnie patrzyła, jak naczynie napelnia się wodą. Wreszcie zakręciła kran i powoli, uważając, by się nie pochłapać, i omijając kępę pokrzyw, wróciła do kur, które z głośnym gdakaniem przybiegły spod kurnika. Przegoniła je ręką, weszła do środka, lecz nim zdążyła odstawić miskę z wodą, usłyszała niepokojące odgłosy...

Zaciekawiona wyjrzała przez uchylone drzwi i niemal zderzyła się z nadbiegającą matką.

Teresa dyszała jak koń po wyścigu, a jej bujne piersi wciśnięte w zbyt mały stanik zdawały się wyskakiwać z wielkiego trójkątnego dekoltu jeszcze większej bluzki. Matka, tyjąca wprost proporcjonalnie do nieszczęść, które, jak uważała, regularnie spadają na ich rodzinę, zajadała smutek kolejnymi paczkami ciasteczek, a w dni dietetyczne niezliczoną ilością orzeszków i suszonych śliwek. Tuszę usiłowała maskować coraz większymi ubraniami, co sprowadzało się do smutnych spódnic w kolorze agresywnego beżu, od czasu do czasu przeplatającego się z ponurym brązem. Spuchnięte nogi zdawały się współpracować tylko z ponoć wygodnymi ortopedycznymi paskudztwami, co przydawało matce Laury lat, odbierało elegancji i sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej zaniedbana i mniej kobieca niż w rzeczywistości.

– Leon, Laura!

Wbiegając na podwórko, nieprzytomnym wzrokiem omiatała postać męża, choć zarazem sprawiała wrażenie, jakby wcale go nie dostrzegała.

– Kobieto! Uspokój się, co tak krzyczysz?

– Co krzyczysz? Co krzyczysz?! Siedzisz na przyzbie jak jaki dziad i nie wiesz, co się dzieje we wsi.

– A co się u nas może dziać?

– A widzisz? Dzieje się! Na płocie sołtysowej znaleźli trzy zdechłe koty.

– Wielka mi rzecz. Zdechły kot.

– Nie kot, a koty. A żeby one tam tylko zdechłe były. Normalnie zabili je.

– A kto by koty zabijał?

– No właśnie tego nie wiadomo. Ludzie pod kościołem to różne rzeczy mówili, ponoć ktoś widział Stacha od Drożdżewskich, jak wieczorem koło sołtysówki chodził.

– Mamo, daj spokój, nie można tak nikogo oskarżać. To, że podoba mu się Aśka, jeszcze nie oznacza, że zabija zwierzęta.

- A ja swoje wiem. W pace siedział, to może i zaczął zabijać.
- Za alimenty siedział, a nie jakieś wielkie przestępstwa.
- Ja tam nie wiem. A może to Zdzichu Recydywa? Żonę zabił, to i kota mógł.
- Kobieto, wyszedł z paki dziesięć lat temu, po co koty miałby zabijać? Gospodarkę prowadzi jak trza, to i do pudła nie będzie chciał wracać.
- A ja swoje wiem. Sam wielebny mówił, że teraz to trzeba uważać, domy zamykać, nie chodzić po ciemnicy.
- Tak jakbyś ty, kobieto, po nocy chodziła. O siódmej w łóżku pacierze klepiesz...
- Oj tam, oj tam. Ale Laura czasem wieczorem z pracy wraca, to może jej się co stać.
- Mamo, samochodem wracam!
- A czy my bogate jesteśmy, żeby miał nas kto napadać? Co by nam mieli ukraść?
- Ty już tak nie gadaj! Jak ci kto konia ze stajni wyprowadzi, to zobaczysz, jaka bieda będzie.
- Przestań, babo, krakać, bo jakie nieszczęście wykraczesz.
- Mama ma rację, chyba powinniśmy bardziej uważać. A coś jeszcze wiadomo o tych kotach? Czyje były?
- Sołtysowa mówi, że jeden to ich Mruczek, a tamte dwa to nie wiadomo, bo policja przyjechała i je zabrała. Jakieś śledztwo mają prowadzić czy co. A jeszcze na chodniku pod tymi kotami ktoś napisał „patrz” czy „zobacz”, nie pamiętam. To ludzie się teraz zastanawiają, że może sołtys co złego komu zrobił.
- A przestańże ty wygadywać. Nasz Maciek miałby co złego zrobić? Niby komu? Przecież on to raczej każdemu pomoże, a nie w szkodę wejdzie. Głupie te ludzie we wsi.
- Głupie, nie głupie, ale coś na rzeczy musi być.
- A wygłupy jakieś, nic więcej. Zawsze młodych głupoty się trzymały, to i teraz pewnikiem coś wymyślili.
- A stóg u Wolskich to niby sam się podpalił?
- Ee, pewnie kto z ćmikiem i piwem poszedł, peta nie zgasił i wielkie mi śledztwo...
- No, nie wiem. Coś w tym musi być.
- Mamo, nie ma co panikować. Pójdę do pracy, to pewnie się czegoś więcej dowiem.
- A idź, dziecko, idź, tylko uważaj na siebie. Co to się porobiło... Takie Koniuszki ciche i spokojne były. A może to ci uchodźcy?
- Mamo, daj spokój, jacy uchodźcy? Widziałaś tu jakiegoś?
- No, niby nie, ale bo to człowiek wie, gdzie toto się ukrywa...

A widzieliście tego letnika, co to rano wkoło wsi biega? W kolorowych gatkach jak jaka dziewczucha i koszulkę z kieszeniami na plecach ma. Dziwadło jakieś. Czarniawy taki... To może on.

– Opalony, a nie czarniawy. To Włoch.

– A skąd ty możesz to wiedzieć?

– Ze sklepu. Wyobraź sobie, że bułki i masło kupuje, tak jak my.

– A tam, gadać z wami. Sami zobaczycie, jak się co więcej stanie.

Teresa, gderając, weszła do domu, a za nią woń tanich waniliowych perfum z konwaliową nutą, czyniącą zapach nieznośnym. Żadną miarą, mimo prób podejmowanych przez Laurę, nie dała się przekonać do zmiany okropnego zapachu, żyjąc w głęboko zakorzenionym przekonaniu, że wanilia jest czymś niezwykle ekskluzywnym i światowym. Jedynym pozytywnym aspektem spryskiwania się ciężką, duszącą wodą toaletową było odstraszenie namolnych muszek i meszek, które za to ze wzmożoną żarłocznością wgryzały się w ciała pozostałych domowników.

– No powiedz sama, co ta matka gada?! Odbiło jej na starość.

– Wiesz, swoją drogą to jednak niefajnie, że coś takiego się dzieje.

– Ot, zwykle wygłupy.

– Miejmy nadzieję. Ale ostrożni jednak powinniśmy być i drzwi zamykać.

– A jak tam sobie chcecie.

Leon uznał rozmowę za zakończoną, ciężko dźwignął się z ławki i mimo poranka zapowiadającego upalny dzień poczłapał w gumowcach do stajni. Z trudem otworzył prawą część drewnianych, pomalowanych czarnym olejem silnikowym wrót i zniknął we wnętrzu. Podszedł do siwka, który na jego widok radośnie parsknął i podsunął łeb w nadziei na codzienną porcję pieszczot i przemyconą z kuchni marchewkę.

Laura spoglądała za ojcem i coraz wyraźniej czuła, że to nie jej miejsce na ziemi i nie powinna tu być. Została wychowana w przekonaniu o wyjątkowej wartości rodziny i poświęcenia, jakiego wymaga ta najmniejsza komórka społeczna, w której jeden troszczy się o drugiego. Matka poświęciła dla niej karierę, więc to naturalne, że teraz ona powinna się odwdzińczyć i zaopiekować nimi, rezygnując z nie tak znowu ambitnych życiowych planów zamieszkania choćby w pobliskim miasteczku. Wielokrotnie się zastanawiała, jaki rodzaj kariery ominął matkę, bo spoglądając na skądinąd poczciwą Teresę, trudno było znaleźć jakiś punkt zaczepienia w jej osobowości czy wykształceniu, by móc spodziewać się kompetencji, które pozwoliłyby jej podjąć pracę w miejscowym sklepie, o korporacyjnej drabinie nie wspominając.

Kochała matkę i ojca, ale z dnia na dzień czuła się coraz bardziej przytłoczona ich postrzeganiem życia, brakiem ciekawości świata i wegetacją na zielonej ławeczce zbitej z czterech surowych, ledwo oheblowanych desek, pod

sypialnianym oknem zastawionym niezliczonymi kolorowymi, plastikowymi doniczkami z kaktusami. Wielokrotnie się zastanawiała, czy są ze sobą szczęśliwi i czy dostrzegają swój życiowy marazm w centrum kilkuhektarowego gospodarstwa. Jednak kwestia ta pozostawała nieodgadniona.

Sama Laura nie była szczęśliwa. Miała dwadzieścia sześć lat, przez rok była w związku z Krzysiem, związek ów miał mieć swój punkt kulminacyjny w weselnej uroczystości, z tym że Laura miała wtedy zaledwie osiem lat, a przyjaźń z Krzysiem zakończyła się równie gwałtownie, jak się rozpoczęła, podczas wakacji między pierwszą a drugą klasą, kiedy to Krzyś zrozumiał, że dziewczyny są głupie. Potem co prawda był ktoś jeszcze, ale z różnych względów wołała o tym nie myśleć. O studiach nie miała co marzyć, bo jakikolwiek kierunek by wybrała, i tak nie wniósłby nic nowego do gospodarstwa w Koniuszkach, a poza tym nie stać ich było na taki wydatek. Jej dzieciństwo kręciło się wokół gospodarstwa, liceum oglądała przez pryzmat prac w polu, w których z braku męskiego potomka w rodzinie musiała aktywnie uczestniczyć. Nim zrobiła prawo jazdy na samochód, już jeździła traktorem, i to z dwiema przyczepami.

Od sześciu lat pracowała w pobliskim sklepie wielobranżowym, ponurym, zimnym blaszaku, w którym, jak to na wsi, można było zaopatrzyć się niemal we wszystko: od chleba i masła począwszy, na łopacie i środkach ochrony roślin skończywszy. Początkowo lubiła to zajęcie. Bawiło ją poznawanie nowych ludzi, rozmowy z nimi, od czasu do czasu nawet czuła się potrzebna, gdy mogła to i owo podpowiedzieć kupującym. Jednak po latach niespodziewanie odkryła, że każdy z jej klientów wygłasza te same stare, nudne historie i dowcipy, mimo upływu lat ma te same nierozwiązywalne problemy i taki sam brak ciekawości czegokolwiek.

Z rozpaczą obserwowała w niewielkim łazienkowym lustrze, oprawionym w wyblakłą żółtą plastikową ramkę, pierwsze zmarszczki wokół oczu i uświadamiała sobie, że jeszcze trochę, a stanie się tak samo bezbarwna jak oni. Szczęśliwie w domu nie posiadali lustra tak dużego, by mogła przejrzeć się w całości, a oglądane z wysokości różnych stołków i taboretów partie ciała nie wyglądały aż tak dołująco jak twarz, co nie zmieniało faktu, że w oczach Laury jej organizm podążał prostą ścieżką ku dostojnej trzydziestce wbijanej od wielkiego święta w garsonkę, bez perspektyw na jeszcze młodzieńczą radość w wytartych, podartych dżinsach, które zdaniem okolicznych mieszkańców były kwintesencją zaniedbania i złego prowadzenia się, z korzystaniem z używek i brataniem się z niewłaściwym towarzystwem włącznie.

W tajemnicy przed rodzicami zaczęła się uczyć angielskiego, marząc o tym, że w przyszłości stanie się on przepustką do nowego, innego, zapewne lepszego świata, którego wszak nie potrafiła sobie do końca wyobrazić. Jej dotychczasowe podróże ograniczały się do szkolnych wycieczek do stolicy i dwukrotnie w góry, choć tych kilka pagórków trudno nazwać szczytami, które można by z ekscytacją

zdobywać. Morza nie widziała nigdy, ale słyszała o nim niesamowite opowieści od zarozumiałej Aśki sołtysówny, która co roku jeździła na tygodniowe wakacje do ciotki w Kołobrzegu. Obiecała sobie, że w tym roku, choćby nie wiem co, ona również obejrzy ten cud natury. Od kilku miesięcy odkładała każdą złotówkę na ten cel i z dnia na dzień była coraz bliższa jego realizacji.

Nakarmiła kury, koty, przyniosła ciężkie wiadro wody dla konia i szczęśliwa, że w ubiegłym roku zrezygnowali z hodowli świń, a wiekowa Mućka po latach produkcji cielaków i mleka przekroczyła pewnej zimowej nocy granicę życia, weszła do domu.

– Chcesz kawy?

Teresa w nowej, czerwonej zapasce stała w jasnej kuchni, bardziej pozorując poranną krzątanię, niż rzeczywiście coś gotując. Robiła wokół siebie tyle zamieszania, że postronni mogli uznać ją za wyjątkowo zabieganą i zapracowaną gospodynię.

– Tak, proszę. Idę się umyć i przebrać, zaraz wracam.

Gdy tylko Laura zniknęła w obszernej sieni, Teresa z głośnym westchnieniem opadła na taboret i w bezruchu, z głową opartą na ręce czekała. Nagle usłyszała zbliżające się kroki, więc gwałtownie zerwała się ze stołka, dopadła lodówki, którą bezszelestnie otworzyła i wsuwając do niej głowę, głośno zawołała:

– Z mlekiem?

Laura, która właśnie weszła do kuchni, jak co rano odpowiedziała, że nie, że przecież pije czarną, i podeszła do niewielkiego srebrnego ekspresu, prezentu od rodziców na dwudzieste piąte urodziny. Wcisnęła srebrny okrągły guzik i z lubością obserwowała, jak czarny płyn napełnia filiżankę. Aromat świeżo parzonej kawy przyjemnie drażnił powonienie i powodował, że poranek wydawał się bardziej słoneczny i pogodny.

– Chcesz też?

– A jak już robisz, to może też się napiję.

Teresa postawiła na stole biało-zielony kartonik z dwuprocentowym mlekiem i schylając się nisko, wyciągnęła ze starego, pękatego kredensu puszkę z ciastkami. Z puszkki tu i ówdzie odpadł błyszczący lakier, miała też widoczne wgniecenie na boku, po tym jak któregoś dnia wysunęła się Laurze z rąk i z łoskotem upadła na kuchenne kafle. Mimo prób pozbycia się jej i zastąpienia nową, ładniejszą, królowała w szafce, przywołując wspomnienie jakiejś ciotki, której Laura nie kojarzyła, a która pojawiła się niespodziewanie na podwórku lata temu w strugach wiosennego deszczu, z puszką ciastek w jednej ręce i bukietem róż w drugiej, by odbyć cichą, sekretną rozmowę z matką w zamkniętym pokoju stołowym.

Zasiadły w milczeniu i wpatrzone w pola za kuchennym oknem sączyły

kawę, objadając się herbatnikami.

– O której wrócisz?

– Jak zwykle, koło siódmej, a dlaczego pytasz?

– Nic, nic, tylko tak. Wiesz, naprawdę zaczęłam się bać.

– Daj spokój, przecież zawsze coś się dzieje, nie ma co przesadzać.

– No, niby tak, ale uważaj na siebie.

– Jasne. Przynieść coś ze sklepu? Wczoraj kupiłam kawę, warzywa są jeszcze w lodówce...

– Nie, wszystko mamy. A powiedz, ten Włoch, co się tak kręci koło sklepu, to normalny jakiś czy raczej nie?

– Mamo! Normalny, a jaki ma być?! I nie kręci się koło sklepu, tylko zakupy robi. Ma bardzo miłą dziewczynę.

– A!

Teresa mimo woli głośno westchnęła, a Laura uświadomiła sobie, że była to z jej strony kolejna bezowocna próba podsunęcia jej kawalera, którym mogłaby się zainteresować. Zdawała sobie sprawę, że coraz starszym rodzicom jeszcze bardziej niż jej zależy na tym, by miała partnera. Ona by miała kogoś do kochania i przytulania, a im by pomógł w gospodarstwie. Tak czy siak, spoglądając po nielicznych, częściowo już zajętych, częściowo uzależnionych od alkoholu kawalerów z Koniuszek i okolic, raczej nie miała co liczyć na spełnienie marzenia o założeniu rodziny. Za to doskonale wiedziała, że zaawansowany wiek rodziców i ich coraz większe niedołęstwo będą stanowić dla niej coraz większą przeszkodę w wyrwaniu się z tej dziury.

Zła na matkę pożegnała się krótko, wzięła płócienną torbę na zakupy, niewielką zieloną torebkę, z której wygrzebała kluczyk do czerwonej, niemal pełnoletniej pandy, i wyszła z domu. Słońce świecące coraz mocniej piekło odsłonięty kark i sprawiało, że miała jeszcze gorszy nastrój. Otworzyła okna w pozbawionym klimatyzacji samochodzie i powoli wykulała się na powiatową drogę prowadzącą na obrzeża Wsiowa, gdzie znajdował się sklep, który miała otworzyć za piętnaście minut.

Zaparkowała jak zwykle na tyłach składziku z napojami, obesła budynek i pochyliła się nad oblesną kratą powleczoną tyłoma warstwami różnokolorowej farby, że jeszcze ze dwa malowania, a zmieni się w gładką płaszczyznę pseudodrzwi, i bezwiednie się rozglądając, wsunęła klucz w kłódkę. Odsunęła z piskiem metalową konstrukcję, której zawiasy już przed laty zaczęły się wysuwać z popękanego muru, sforsowała kolejne drzwi i wreszcie weszła do mrocznego, dusznego pomieszczenia pachnącego kurzem, środkami chemicznymi i czymś jeszcze, co w pierwszej chwili trudno było zidentyfikować, a co po intensywnych poszukiwaniach okazało się wepchniętym za makarony otwartym opakowaniem psujących się parówek.

Nim zaczął się dzień pracy, już miała go dość.

Pierwszy klient pojawił się zaraz po otwarciu. Nieznajomy starszy, siwy mężczyzna, najprawdopodobniej jeden z mieszczuchów wynajmujących domki letniskowe w lesie nad jeziorem. Kupił dwanaście bułek, masło, wędlinę, zgrzewkę piwa i dwie paczki papierosów. Był miły i uprzejmy, jednak o nic jej nie zagadnął ani nie zapytał. W zasadzie sama nie wiedziała, na co liczyła, ale zdecydowanie pożałowała nowinek ze świata, nawet jeśli miały wymiar nieistotnych plotek.

Zabrała się do metkowania makaronów z wczorajszej dostawy, potem poukładała konserwy na regale w najciemniejszym kącie sklepu i gdy już miała zacząć spisywać kolejne zamówienie, do środka wpadła Kaśka od Szymańskich.

– Słyszałaś, co się wczoraj we wsi wyrabiało? Ten chleb to dzisiejszy?

– Nie, wczorajszy. Mama coś tam mówiła, ale wiesz, jak to ona, więcej panikuje, niż to wszystko warte.

– Trudno, daj jeden. Panikuje czy nie, ale od rana policja przyjechała i wszystkich przesłuchiwała. Daj mi jeszcze kilo pomidorów i trzy kilo ziemniaków, tylko tych większych.

Laura odwróciła się od klientki i nieśpiesznie wybierała ze stojących pod ścianą zielonych plastikowych skrzynek najładniejsze warzywa, ciekawa, co też sąsiadka ma do powiedzenia, a ta trajkotała jak najęta:

– Sołtysa przesłuchiwali, sołtysową, Kazika od Gazdy...

– Ciebie też?

– Nie. Ja nic nie widziałam. Jak coś się dzieje, to mnie zawsze, cholera, musi ominąć. Na cmentarzu rano byłam kwiaty u babci zmienić, a jak wracałam, to już ludziska koło kościoła stali i gadali. Kotów nie było, bo podobno zdjęli z płotu i zabrali do laboratorium czy gdzie. A dowieźli te dzemy, co to ojciec tak je lubi?

– Tak, truskawkowy, brzoskwiniowy i figowy. Jaki chcesz? I coś ustalili?

– To daj truskawkowy, bo figowy to musi być jakieś świństwo, ojciec by go nie ruszył. Policji nie znasz? Niby pooglądali, powypytywali, coś tam zapisali i głupi jak przedtem pojechali na komendę. Nawet syreny nie włączyli. A daj mi ten brzoskwiniowy też. Matka chciała coś na chwasty i jakiś oprysk na mszyce, wiesz, gdzie tego szukać?

– Zaraz coś znajdziemy.

Laura zamknęła kasetkę na kluczyk, zupełnie jakby znajdowała się na zatłoczonym suku w Marrakeszu, a nie w zabitej dechami wiosce, i powoli skierowała kroki w lewo, do działu ze środkami czystości płynnie przechodzącego w dział nawozów, podpałek do grilla i narzędzi.

– Chcesz coś gotowego czy do samodzielnego zmieszania?

– Raczej gotowego. Ostatnio, jak matka przygotowała oprysk na dwuliścienne i potraktowała nim trawnik, to po tygodniu się okazało, że przetrwały w zasadzie tylko mlecze i największe osty, bo się pomyliła i zlała go Roundupem.

– To dam ci ten w areozolu.

Laura podała Kaśce sporych rozmiarów metalowy pojemnik z wizerunkiem gigantycznej mszycy, dziewczyna nawet nie rzuciła na niego okiem, tylko kazała od razu pakować.

– Zwariowałaś? Przecież ja nic nie wiem o ogrodzie. Brzydzą mnie te wszystkie rośliny, a w zasadzie robaki, co po nich łążą. W ziemi też pełno tego dziadostwa siedzi. Daj, co uważasz, że będzie dobre, i tyle. A wiesz, że tego napisu to jeszcze nie zmyli? Sołtysowa od rana próbowała, ale za cholerę zmyć nie mogła. Ciekawe, kto mógł to zrobić i dlaczego...

– Ojciec mówi, że to takie wygłupy dzieciaków.

– Ładne mi wygłupy, koty mordować. Zaszlachtowali je jak kurczaki.

Laura nie do końca widziała różnicę między szlachtowaniem kurczaków a kotów czy jakiegokolwiek innego zwierzęcia, ale postanowiła nie wychylać się z własnymi opiniami, skupiona na tym, co największa w okolicy plotkara ma do przekazania.

– A ty, co o tym myślisz? Trzydzieści osiem pięćdziesiąt trzy. Karta czy gotówka?

– Karta. Patrz, po sok przyszłam i majonez, a nakupiłam innych rzeczy i o tym prawie zapomniałam. Masz Pegaza?

– Nie, Winiary.

– Niech będzie. I dwa soki.

– Jakie?

– Pomarańczowe, ale nie te tam, tylko jakieś dobre. Wiesz, ja to sobie myślę, że komuś odbiło albo coś ten Maciek jednak zrobił...

– Sołtys? Nie wierzę.

– Widzisz, człowiek nie wygląda, ale może ma coś za uszami.

– Oszalałaś? Czterdzieści dziewięć osiemnaście. To już chyba prędzej ktoś z letników.

– A mój to mówi, że to Zdzisiu Recydywka.

– Po co miałby to robić? Odsiedział swoje, to chyba wie, jak tam jest.

– A właśnie! I w tym szkopał.

– Chcesz torbę czy masz swoją?

– Daj. Zawsze mam siatkę, tylko że w samochodzie, a nie chce mi się lecieć.

– Kaśka roześmiała się perliście i przyglądając się, jak Laura pakuje zakupy do białej foliówki z idiotycznym nadrukiem wielkiego czerwonego muchomora i napisem *dbamy o środowisko*, przechyliła się nad blatem, tak że niemal wpadła za ladę, i konspiracyjnie ściszyła głos: – I tu jest pies pogrzebany. Podobno gospodarka mu nie idzie, problemy jakieś ma, to i do więzienia chętnie by wrócił. Miałby wikt i opierunek, a do tego dach nad głową.

– Dzięki za takie życie. W środę będą świeże ryby, odłożyć ci?

- A łososia będziesz miała?
- Pewnie tak. To płat cały czy na kilogramy?
- Płat na nas sześciu chyba wystarczy?
- Spokojnie, głodni od stołu nie wstaniecie. Myślę, że ojciec ma rację, że to jakaś gówniarzeria.
- Kto ci tam wie. Może letnicy... Ale wiesz, jak tak na nich patrzę, to żaden mi się nie widzi.
- Też mi się tak wydaje. Zresztą w tym roku przyjechało tylko z dziesięć osób, po drugiej stronie jeziora wszystkie domy puste stoją, a i tu pewnie połowa.
- No właśnie, człowiek by przyuważył, jakby się ktoś po wsi kręcił nie tam, gdzie trzeba. A widziałaś tego Włocha?
- Tak, sympatyczny.
- Sympatyczny? Ciacho, a nie sympatyczny! I ta jego Bella też niezła. W sumie fajne imię, pewnie od Izabella.
- Izabella to raczej nie włoskie imię. A bella to chyba... podpaska, może to znaczy, że miękka, delikatna.
- Albo chłonna.
- Cha, cha, cha. Obie głośno się roześmiały i tak jak eksplodowały z powodu własnego dowcipu, tak gwałtownie umilkły, bo w drzwiach stanął Włoch z wiklinowym koszykiem w ręce i uśmiechem na twarzy.
- *Buongiorno!*

Policja przyszła do niego w południe. Nie był zaskoczony. Wszedł na piaszczyste podwórze, gęsto porośnięte chwastami, spod których tu i ówdzie wyzierał bruk. W brudnych spodniach, które przed laty były modnymi lewisami 501, i jeszcze brudniejszej koszuli w kratę, w której ostał się zaledwie jeden guzik, za to dokładnie na wysokości pępka. Wystarczyła poranna wizyta w pobliskim sklepie spożywczym i uważne spojrzenia sprzedawczyni, by wyczuł, że coś się stało.

– Czego?

– Młodszy aspirant Tomasz Paprocki. Pan Zdzisław Potocki?

– A bo co?

– Tak czy nie? Dowód proszę.

– Zara.

Zdzisław splunął, przycisnął palcem wskazującym lewą, zarośniętą gęstym krzakiem czarnych włosów dziurkę od nosa, nabrał powietrza i z głośnym świstem wysmarkał się przed brudną, wydeptaną resztką deski, która kiedyś była progiem jego rodzinnego domu.

Policjanci krzywo spojrzeli po sobie, zastanawiając się, który powinien sięgnąć po dokument. Ponieważ żaden nie miał ochoty dotykać kawałka plastiku stanowiącego dowód tożsamości gospodarza, ustalili między sobą, że tylko go obejrzą z daleka, a jeśli pojawi się konieczność przesłuchania Potockiego na komendzie, ktoś inny pobrudzi sobie rękę.

– O co chodzi?

– Co pan robił wczoraj wieczorem?

– A co żem miał robić? Normalnie. W chałupie siedziałem.

– Ktoś może to potwierdzić?

– No.

– Kto?

– O, te tu kury, pies... A i świnia też mnie wieczorem widziała, jakżem jej wodę nosił.

– Bez takich tu. Ma pan świadka?

– A bo co?

– Bo pytam grzecznie.

– Nie mam. Sam mieszkam. Na sklepie jest kamera, co to widać moje podwórze, to sobie sprawdźcie, żem nigdzie nie łąził, tylko w chałupie siedział.

– Sprawdźmy to.

– No i Bóg z wami – powiedział głośno, a pod nosem dodał „psie macie”, i drapiąc się po zadku, wszedł do ciemnej sieni, głośno trzaskając drzwiami.

Policjanci najwyraźniej odetchnęli z ulgą, że chwilowo nie mają powodu, by dokładniej zapoznawać się z filozofią życiową pana Zdzisława, i w nadziei, że nigdy więcej się nie spotkają, odjechali.

Obudziłam się. Wyraźnie czuję ostre igielki bólu, które delikatnie, lecz systematycznie uderzają w skronie, wróżąc silną migrenę. Marzę o tym, by było jeszcze ciemno, lecz jasne promienie nadzwyczaj ostrego słońca przenikają przez zamknięte powieki, dając do zrozumienia, że poranek mam już dawno za sobą. Otwieram oczy i pierwsze, co widzę, to sterta czekających na przeczytanie książek opartych o nogę stoliczka nocnego. Uchylona szuflada niewielkiego mebla wypłuwa kłęby zużytych chusteczek higienicznych, opakowanie po gorzkiej czekoladzie i tubkę kremu do stóp. Lampa na blacie żarzy się nikłym żółtym światłem, stanowiąc dowód na to, że zasnęłam w sposób niekontrolowany. Powoli, jak na zwolnionych obrotach dociera do mnie rzeczywistość wczorajszego dnia i słoneczny poranek spowija ciężki, gęsty cień.

Chowam głowę z powrotem pod kołdrę. Zamykam oczy, usiłując pozbierać myśli. Do niedawna dzieliłam mieszkanie z uroczym małym bobasem w różowych śpioszkach, z zabawną kitusią na czubku głowy, a dziś za ścianą czai się nadąsana nastolatka, nadal różowa, ze szczególnym uwzględnieniem głowy, i w czarnych ciuchach, które nie mają nic wspólnego z elegancją, a coraz mniej z przyzwoitością. Na myśl o tym, że za chwilę stanę z nią i jej problemami oko w oko... nie mam ochoty się ruszyć.

Niestety podły pęcherz dopomina się o swoje prawa. Z nadzieją, że uda mi się niepostrzeżenie dotrzeć do toalety, naciągam na stopy grube, rzucone koło łóżka skarpety i powoli wstaję. Cholerne wysłużone sprężyny materaca, pamiętające naszą noc poślubną, jęczą tak głośno, że przyczajam się przy łóżku i nasłuchuję. Oddycham z ulgą. W mieszkaniu panuje cisza świadcząca o tym, że potwór jeszcze śpi.

Na palcach przechodzę do łazienki, a chwilę później zza zamkniętych drzwi dobiega:

– Mamo, nie śpisz już?

Zamieram. Rozważam, czy się odezwać, czy może – tak jak ona na moje wołanie – zareagować milczeniem. W końcu wybieram jej sposób komunikowania się, a w zasadzie jego brak, i udaję, że nic do mnie nie dociera.

Monika podchodzi bliżej i teraz jeszcze wyraźniej i dobitniej słyszę jej wołanie:

– Mamo, wszystko OK?

Mam ochotę wywrzeszczyć, że tak, a właściwie to nie, ale zaciskam szczęki i nadal milczę.

– Mamo, no, proszę!

Wyciskam na szczoteczkę do zębów odrobinę biało-niebieskiej pasty

i intensywnie szorując zęby, usiłuję zagłuszyć wyrzuty sumienia. Gdy nabieram wody do ust, zaczyna się początkowo delikatne, a po kilku sekundach nieznośnie uporczywe łomotanie do drzwi.

– Mamo, proszę, no, powiedz coś! Przepraszam za wszystko! Tylko już wyjdź!

Walenie ustaje, a w zamian słyszę głośne sapanie zapowiadające płacz.

– Mamo, no... mamo...

Wypluwam pastę, przepłukuję usta i bezmyślnie patrzę, jak niewzruszony strumień wody z niewielkim wirem splukuje kolorową pianę. Staram się zmusić trybiki mózgu do intensywnej pracy, odwołując chwilę, gdy będę musiała zebrać się w sobie i jak na dojrzałą matkę przystało, podjąć odpowiedzialną decyzję i rozwiązać problem wychowawczy. Tylko że zupełnie nie wiem jak! Zastanawiam się, czy moje dziecko odgrywa jedno ze swoich przedstawień, czy rzeczywiście zdobyło się na nikły cień refleksji, który przeprowadzi nas bezpiecznie przez trudny okres dojrzewania. Niestety, gdy myślę o ostatnich tygodniach, coraz trudniej mi być optymistką.

Wszystko się we mnie kruszy, łamie, wreszcie odwieszam ręcznik, otwieram drzwi i... staję oko w oko z zapuchniętą i zapłakaną, a może zwyczajnie zaspaną Moniką. Patrzymy sobie w oczy jak bokserzy przed walką. Żadna nie ma ochoty odezwać się pierwsza. Nie wiem, czy to dlatego, że jestem starsza, bardziej doświadczona i w założeniu powinnam być mądrzejsza, mówię cicho:

– Cześć.

– Cześć, nareszcie wyszłaś.

– No.

– Nie chciałam powiedzieć tego, no, wiesz, o ojcu.

– Nie wiem.

– Sorry.

– Monika, tak dalej nie może być. Przecież tak się nie da funkcjonować. Jestem wykończona nieustannym zwracaniem ci uwagi.

Monika sztywnieje i po raz kolejny zaskakuje mnie elastycznością i zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni wykonanym w pół sekundy. Z wystraszonego dzieciaka w okamgnieniu zmienia się w roszczeniową nastolatkę.

– Znowu się czepiasz! Nigdy nie odpuszczasz.

– Monika, daj spokój... Jakoś musimy ogarnąć naszą relację. Jesteśmy tylko we dwójkę...

– Ty jesteś! Ja mam jeszcze ojca i wiesz co? Ogarniaj sobie sama, co tylko chcesz, mnie w to nie mieszaj.

– Nie przeginaj. Poza przyjemnościami twoim obowiązkiem jest chodzenie do szkoły...

– Nauka, porządek, słuchanie dorosłych... bla, bla, bla... Weź wyluzuj!

Bezczelna gówniara.

– Właśnie nauka! A skoro tu mieszkasz, to masz też zaangażować się w funkcjonowanie domu. – Próbuję z innej flanki. – Nie jest ci głupio, że ja muszę cię obsługiwać? Wiesz, też bywam zmęczona.

– Jesteś moją matką.

– No właśnie matką, a nie służącą. Mieszkamy tu wspólnie!

– Wcale nie chcę tu mieszkać!

– A niby gdzie chcesz?

– Zamieszkać z ojcem, więc się ode mnie odczep.

– Świetnie. Możesz się od razu spakować.

– A żebyś wiedziała.

Odwraca się do mnie plecami, trzaska drzwiami pokoju i najwyraźniej wykonuje jakieś gwałtowne ruchy, bo zza drzwi dobiegają łomot i szuranie. Oszolomiona tym, co powiedziałam i jaki to wywołało skutek, nasłuchuję. Rumor w pokoju to się nasila, to zamiera, od czasu do czasu wybucha fajerwerk przekleństwa, najprawdopodobniej w chwili, gdy okazuje się, że znalezienie rzeczy w tym bałaganie nie jest jednak takie proste.

Po dobrych dwudziestu minutach na korytarzu pojawia się Monika ostentacyjnie wciśnięta w różowy golf, wysokie czarne kozaki z czubami, których nie powstydzilby się Don Kichot, i bawełnianej opasce na włosy udającej spódniczkę, która ledwie zakrywa majtki. Tuż za nią z pokoju wytacza się wielka granatowa walizka z jeszcze większym emblematem flagi brytyjskiej, kupiona dwa lata temu na naszą pierwszą zagraniczną, samolotową wyprawę do Grecji.

Młoda potyka się o nieproporcjonalnie wielki w zestawieniu z jej drobnym ciałem bagaż, który mimo wmontowanej rączki nie jest skory do współpracy i co rusz się przewraca. Najwyraźniej spakowany byle jak dobytek przytłacza Monikę, która w stroju taniej dziwki, uwieszona na ciężkiej walizce, z dwiema małymi, wyszywanymi cekinami torebkami wizytowymi na ramieniu, wkracza w dorosłe życie.

– Cześć.

– Dokąd się wybierasz?

– Do ojca.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie.

– To powodzenia.

– Nie trzeba.

Szarpiąc się z bagażem i potykając na progu, trzaska drzwiami i tylko przytłumione odgłosy nierównej walki na schodach świadczą o tym, że właśnie odbyliśmy jedną z najważniejszych rozmów w naszym życiu.

Paweł mieszka dwie klatki dalej, więc z balkonu dyskretnie obserwuję

przeprowadzkę Moni do ojca. Tak jak się spodziewałam, najwyraźniej nikogo nie ma w mieszkaniu, bo Monika po kilkukrotnym naciśnięciu guzika domofonu opada na najwyższy stopień schodów. Opiera się plecami o chropowaty mur, nakłada wielkie różowe słuchawki na uszy i oddaje się muzyce. Obawiam się, że liczni przechodnie mogą, chcąc nie chcąc, podziwiać kolor jej majtek. No cóż.

Stoję ukryta za pergolą z groszkiem i czekam na rozwój wydarzeń. Po dobrej godzinie zza bloku numer trzy wyłania się budka wózka, a tuż za nią na ścieżce obok kępy sosen materializuje się Klaudusia. Ledwie pełnoletnie stworzenie, które dwa lata temu dało się zapłodnić mojemu mężowi i obdarzyło Monikę przyrodnim rodzeństwem.

Nie można odmówić jej profesjonalnego dbania o wygląd, a właściwie codziennego profesjonalnego tuningu tego, czym obdarzyła ją natura. Ruda fryzura przeszła metamorfozę. Zastąpiły ją doczepione blond włosy, z rozświetlającymi twarz pasemkami, spięte w gruby koński ogon na czubku głowy, wypełnione kwasem hialuronowym usta podkolorowała szminką w kolorze ogni piekielnych, a bezczelnie zgrabne i chude ciało upchnęła w proste dzinsy i biały podkoszulek podkreślający bujne piersi. Niechętnie muszę przyznać, że Monika wygląda przy niej tandetnie i niestety nieskromnie. W moim dziecku wszystko krzyczy, w Klaudii wszystko intryguje.

Nawet z wysokości balkonu dostrzegam nienaturalne tempo trzepotania długich doklejanych rzęs Klaudii na widok siedzącej pod wejściem do klatki Moniki i jej walizki. Monika niezgrabnie wstaje i rozmasowuje ścierpięte ciało, a to, jak przebiera nogami, świadczy o tym, że już dawno powinna skorzystać z toalety.

Zaskoczona Klaudia przystaje, mała w wózku się budzi i zaczyna wrzeszczeć, Monika gestykułuje, pokazując w moim kierunku, co sprawia, że odruchowo cofam się do salonu, a po chwili, gdy mam odwagę ponownie wyrzucić... przed blokiem nie ma nikogo.

Psie macie.

Zdzisław, burcząc pod nosem, udał się do zarośniętej brudem kuchni, w której odpadające kafle, pofalowane niczym błoto na słońcu stare zielone linoleum i odpryskująca olejna farba na ścianie pełnej zacieków tworzyły niezwykle obraz 3D.

W aluminiowym, powyginanym, okopconym garnku na zbyt dużej fajerce kuchenki węglowej zagotował wodę zaczerpniętą ze studni. Zalał czubatą łyżkę granulowanej herbaty i podczas gdy woda nabierała karmazynowego koloru, zabrał się do wygrzebywania ze starego, dawno nieczynnego pieca kaflowego ukrytej głęboko dwururki.

Z namaszczeniem odwinął z niegdyś białej tetrowej szmaty broń odziedziczoną po ojcu i zaczął pieczołowicie czyścić czarną lufę... W miarę regularnych, coraz szybszych ruchów w górę i w dół, przywołujących na myśl dynamikę kopulujących kundli, trybiki w jego głowie obracały się coraz szybciej i coraz płynniej, pracując nad zagadką porannej wizyty policji. Po kolejnych minutach umysłowego wysiłku nie był bogatszy o żadne wnioski, ale i tak uznał za słuszne sprawdzenie stanu tego, co pozostawił w lesie.

Swoją tajemnicę skrupulatnie przykrył warstwą mchu, gałęzi i liści, dzięki czemu niebezpieczne metalowe elementy idealnie wtopiły się w poszycie.

– Psie macie. Kurwa jego mać. Do porządnego człowieka się dopieprzają...

Miał niezachwianą pewność, że nigdy go nikt nie śledził, las od najmłodszych lat, najpierw u boku ojca, później w towarzystwie Franka i Romka, sąsiadów ze wsi, a wreszcie w pojedynkę, poznawał jak zakamarki własnej stajni, w której co prawda od lat nikt nie trzymał koni, ale która stała się za to wielopoziomowym magazynem wszystkiego, co inni uznali za zbędne, wyrzucili lub co zwyczajnie udało mu się ukraść.

Sięgnął po czarny herbaciany napar, który wyglądał raczej jak mocna sypana kawa. Kilka razy głośno siorbnął i odstawił pusty kubek z ciemną falbanką osadu do plastikowej niegdyś białej miski zastępującej zlew. Poklepał się po wykrzywionych reumatyzmem nogach i z trudem dźwignął wychudzone, kościste ciało. Wyszedł przed chałupę, rozejrzał się czujnie małymi, bystrymi oczkami po okolicznych krzakach i podjął wysiłek kolejnej wyprawy w znajomym kierunku.

Spojrzał na południe, gdzie płatanina jeżyn, paproci i leszczyny w ciemnej linii lasu nie zachęcała do zanurzenia się między drzewa, zaciekle broniąc dostępu do swoich tajemnic.

Potocki zamknął drzwi wygiętym ze starości kluczem z groteskowo wielkim pojedynczym zębem, wpasowującym się niechętnie w równie wielką dziurkę

zamka. Starannie go ukrył pod porośniętą mchem dachówką niskiego daszku i ponownie omiółtł spojrzeniem okolicę. Z flintą pod wyświechtaną kurtką ruszył ledwie widoczną ścieżką na tyłach domu, która brała początek koło dawno nieużywanej ziemianki, zahaczała o brzoźowy zagajnik i ginęła w lesie Bóg jeden wie gdzie.

Stąpił po niej pewnie, a cichy, miarowy krok ujmował mu lat. Zagłębił się w las i zaczął się przedzierać przez gęsto porośnięty świerkami kwartał. Po chwili się przygarbił, pochylił i jak wężący na niskim wietrze posokowiec w napięciu przepatrywał nierówne poszycie. Wreszcie wypatrzył to, czego szukał, i zaczął mamrotać pod nosem, niczym czarodziej zaklęcie, kolejne soczyste, acz czułe przekleństwa:

– No, moje małe ścierwy, chodźcie do tatusia.

Najwyraźniej ścierwy pozostały głuche na romantyczne nawoływania i uparcie milczały, bo w lesie nadal panowała niezmacona cisza. Zadowolony z siebie poklepał kupkę liści i podniósł się, by ruszyć dalej.

Miał niejasne wrażenie, czy raczej odczuwał ulotny, nieokreślony rodzaj dreszczu, który elektryzująco przemyka po kręgosłupie, by zaparkować w mózgu i wbić weń bolesne przecucie, że coś jest nie tak. Zdziwiony ogarniającym go niepokojem zatrzymał się w ponurym cieniu rozłożystego buku i zaczął nerwowo skanować otoczenie. Niby nic się nie zmieniło, nic nie drgnęło, nie zatrzeszczało, a jednak wyczuwał czyjąś obecność. Otrząsnął się zniesmaczony swoją irracjonalną reakcją i by dodać sobie odwagi i animuszu, zaczął głośno gwizdać. Mimo to niepokój go nie opuścił. Wyjął spod kurtki dwururkę i z bronią w ręku ruszył do domu.

Laura wróciła zmęczona, a właściwie nieludzko znudzona do domu, prosto w objęcia Teresy, która wyglądała tak, jakby właśnie wstała z ciepłej pościeli. Zarumieniona, rozczochrana, z wyraźnie odcisniętym różańcem drobnych, bieliźnianych guzików na prawym policzku.

- Co tak późno?
- Późno? Bo ja wiem? Normalnie. Musiałam jeszcze posprzątać.
- No tak. No i co, córcia?
- Z czym?
- Jak to z czym? Z morderstwem!
- Mamo, nie było żadnego morderstwa, ktoś tylko zabił koty...
- Sama mówisz: zabił, znaczy zamordował! Wiesz coś nowego?
- Nie, w zasadzie chyba nie.

Laura, zdawkowo odpowiadając matce, usiadła na drugim stopniu stromych ażurowych schodów prowadzących na strych. Niespiesznie zaczęła zdejmować z odzianych w cienkie pończochy nóg czarne, ciężkie sandały i ze zboląłą miną rozmasowała stopy. Prosto z sieni podreptała za matką do pokoju stołowego, gdzie czekał na nią talerz zimnej, nieapetycznej jajecznicy.

Mimo że jeszcze przed chwilą była piekielnie głodna, odechciało jej się jeść, a niechęć do Teresy i jej lenistwa zalała ją lodowatą falą. Od chwili, gdy podczas porządków natknęła się na szarą kopertę ukrytą w starej, wciśniętej w najciemniejszy kąt strychu walizce, radykalnie zmieniła sposób patrzenia na rodziców. Początkowo myślała, że znalazła plik pożółkłych wyników badań i wypisów szpitalnych, które dawno już powinny zostać spalone. Jednak gdy wrzucała papiery do czarnego worka na makulaturę, jej uwagę przykuła wysunięta kartka. Dane nieznaney kobiety, jakieś daty, słowa, których nie rozumiała, zrodziły jednak podejrzenie, że... może nie jest córką swoich rodziców. Zdziwienie i podejrzenia co do niechcianej prawdy z dnia na dzień stawały się coraz silniejsze. Odbierały w nocy sen i uruchamiały wyobraźnię: co by było, gdyby mieszkała gdzie indziej, z innymi rodzicami, może nawet z rodzeństwem. Chodziłaby do innych szkół i pewnie zajmowała się czymś bardziej inspirującym niż banalna praca w wielobranżowym blaszaku.

Wreszcie nie wytrzymała i podczas jednej z nudnych kolacji, kiedy to Teresa zamęczała rodzinę trajkoczącym monologiem o błahostkach, zadała nurtujące ją pytanie:

- Czy ja jestem adoptowana?

Rodzice zamarli ze sztućcami w powietrzu, patrząc na nią oniemiałym wzrokiem, zupełnie jakby oświadczyła, że od jutra ma zamiar zostać papieżem.

– Co?

– Czy jestem waszym dzieckiem?

– Jezu miłosierny, skąd to pytanie? – Teresa głośno wciągnęła powietrze i wyprostowała się na krześle. – Ojciec, no, powiedz coś...

– A co tu mówić? Nie, nie jesteś adoptowana.

Laura, mimo wrażenia, że pochwytuje ulgę w skierowanym do męża spojrzeniu Teresy i wyczuwa napięcie w ruchach człowieka, którego uważała za ojca, poprzestała na tej odpowiedzi.

– O czym ty, dziecko, mówisz? Nie widziałas moich zdjęć w ciąży?

– Zapomniałam.

– A widzisz? Źle ci z nami czy co? Skąd takie głupie pomysły?

– Ach, nic, tylko tak zapytałam.

– To więcej nie pytaj. Jesteś naszą córą i jesteśmy z ciebie dumni.

– Tak.

– Widzisz? Gdzie by ci było tak dobrze jak tu?

Nie padły zapewnienia o miłości, kochaniu najbardziej na świecie i takie tam. Za to matka wiele mówiła o tym, że zawsze będą razem, że teraz jej pora na przejęcie gospodarki, nikt oczywiście nie wspomniał, że ta cała gospodarka to marne pięć hektarów, głównie porośniętych lasem i łąkami, że oni są już starzy i schorowani, wymagają opieki, że już siły nie te, lata nie te i świat nie ten.

Wszystko to sprawiło, że Laura przestała się zastanawiać, co by było, gdyby urodziła się pod innymi współrzędnymi geograficznymi, w innym czasie i wśród innych ludzi. Czuliła się całkowicie bezradna i ubezwłasnowolniona przez obowiązek odwdzięczenia się miłością i troską.

Teresa zdawała się nie dostrzegać kwaśnej miny Laury pochylonej nad talerzem jajecznicy, bo plotąc trzy po trzy, co rusz wytykała córce, że znowu jej nie smakuje.

– Co, córuś, nie jesz?

– Nie mam ochoty na zimną jajecnicę po raz czwarty w tym tygodniu.

– Nie przesadzaj. Jak była wojna, to ludzie o takich rarytasach tylko mogli pomarzyć.

– Tylko że wojna skończyła się w czterdziestym piątym, i to w minionym stuleciu. Nie mogłabyś czasami ugotować normalnego obiadu?

– Czyli niby jakiego?

– No, nie wiem. Ziemniaki, jakieś mięso, może kalafior.

– Widzisz, dziecko, ja już się do czegoś takiego nie nadaję.

– Mamo, masz przecież dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat. Ludzie w twoim wieku...

– Przestań mi tu o innych gadać. Człowiek na siebie musi patrzeć. Praca na roli to nie to samo co stanie w jakimś sklepie za ladą.

Teresa wytrąciła Laurze wszelkie argumenty, z wyjątkiem tych, które w prostej linii prowadziły do konfrontacji i wytoczenia ciężkiej artylerii. Laura, która z natury unikała wszelkich konfliktów, podała tyły i postanowiła nie odnosić się do życiowej filozofii matki. Ta natomiast, jakby nie widząc niczego złego we własnym lenistwie i nadmiernym obciążaniu obowiązkami latorośli, perorowała dalej:

- A Aśka od sołtysa to w kościele nawet dzisiaj była.
- Yhm.
- No, a jaka elegancka. But na obcasie, sukienka w białe groszki, no wiesz...
- Wiem.
- A niby skąd?
- Bo do sklepu wpadła.
- A co kupowała?
- Właśnie o to chodzi, że nic.
- No to po co do blaszaka łąziła?
- A po to, żeby powiedzieć, że ona w takich miejscach zakupów nie robi, ale skończyła jej się czekolada, no i takie nieszczęście – musiała do mnie wpaść.

Teresa, rozpędzona niczym walec na gorącym asfalcie, nie była w stanie czytać między wierszami tego, co komunikuje jej córka. Zaaferowana gustem i trybem życia lokalnej celebrytki, z ekscytacją domagała się więcej szczegółów.

- A jaką chciała?
- Ale że co?
- No, jaką czekoladę?
- Gorzką z malinami.
- A to robią takie?
- Najwyraźniej tak.
- A jakiej firmy?
- Lindt.
- To nie słyszałam. Ale miałaś, prawda?
- Nie, nie miałam.
- Nie miałaś? Co za wstyd, co za wstyd. To koniecznie musisz zamówić! Może jeszcze kiedyś do ciebie wejdzie. A wiesz, że ma nowego chłopaka? Przystojny taki, że nie wiem co.

- Widziałaś go?
- No, nie, ale Gazdowa mówiła, że jak Włoch wygląda, a ponoć i bogaty, i samochód ma taki, jakiego tu w wiosce jeszcze nikt nie widział.

– Biorąc pod uwagę, że z perspektywy naszej wsi niewiele widać, i to nie tylko w sferze motoryzacji, to wcale nie musi być jakiś szczególny.

– Nie gadaj tak, jakbyś była zazdrosna. Drożdżewska to mówiła, że dachu nie ma. To znaczy ma, ale taki składany. Sama widzisz, córcia, żebyś ty tak

szczęście miała i kogo wreszcie spotkała. Ta Aśka to każdemu się podoba.

– Raczej każdemu do łóżka wskoczy.

– Zazdrość to grzech, pamiętaj! Lepiej weź z niej przykład, a nie wyzłośliwiaj się.

– Nie wyzłośliwiam się, tylko jej nie lubię.

– Nie wiedzieć czemu. Ona ci dobrze życzy. Dziś po kościele nawet do mnie podeszła, pytała, co u nas, co u ciebie, i była taka miła, że powiedziała, że koniecznie musi się tobą zająć.

– Mną? – Laura omal nie eksplodowała ze złości, wysłuchując zachwyty matki nad znenawidzoną przez żeńską część młodej wiejskiej społeczności dziewczuchą, która każdemu z uśmiechem na ustach przykleja łatkę, wynosi się nad innych i sypie złośliwościami na prawo i lewo. Pomysł oddania jej w reformatorskie ręce Aśki doprowadził ją do czystej furii. – Zwariowałaś? Nikt się mną nie będzie zajmował! I przestań wreszcie gadać, że powinnam mieć chłopaka. Może się okaże, że wolę dziewczyny albo chcę być sama! To moje życie.

– Jezusie, Maryjo, ty mi tu nawet nie myśl, że możesz być gejem.

– Nie mogę być.

– I chwala Panu! Dzięki Ci, Jezusiku słodki. Ale się złąłam.

– Mogę być co najwyżej lesbijką.

– A co to takiego?

– Gejem jest facet, a kobieta lesbijką.

– Chryste Panie, co ludzie we wsi powiedzą? Jak ja się w kościele pokażę?

Przecież wielebny nas wyklnie.

– Nikt cię nie wyklnie, bo nie mam zadatków na lesbijkę...

– To na co takie głupoty gadasz?

– Żebyś się ode mnie odczepiła.

– Przecież ja tylko twojego dobra chcę. Aśka to miła dziewczyna. Powiedziała nawet, że na zakupy może z tobą pojechać, bo te twoje ciuchy to już niemodne.

– Przestań! Czy ty siebie słyszysz? Może ty się z nią najpierw umów, a dopiero potem myśl o mnie, co?

– A żebyś wiedziała. Dopiero ci oko zbieleje! Bo z tobą to na zakupy iść się nie da!

– Nie da się, bo nigdy nie chcesz!

– A bo ty się na tym znasz?

– Czyli teraz potrzebujesz stylistki, tak?

– Ztylizki czy nie, ale życie jest krótkie i jak ja o siebie nie zadbam, to już nikt o mnie nie pomyśli.

– Oczywiście, ani o zakupach do domu, które codziennie robię, ani o twoich zwierzakach, które karmię.

– A widzisz? Mnie w tym wszystkim nie ma! Z ojcem myślicie tylko o sobie!

– Mamo, mam dosyć. Wyobraź sobie, że dziś nie wróciłam do domu i niestety musisz sama zająć się kurami i ojcem.

– No wiesz ty co? Nie dość, że ojca w krzyżu łamie, to jeszcze ma na gospodarce robić! Wstydu nie masz.

– Nie ojciec, tylko ty. Przekonaj się, jak to jest, gdy się nie przesypia całego dnia.

– Wstydu nie masz.

– Rzeczywiście. Ani wstydu, ani cierpliwości. Teraz to ja idę się przespać.

To mówiąc, wstała od stołu i nie patrząc na Teresę, ruszyła do swojego pokoju. Pokoju, którego nie znosiła za sprawą infantylnej, ohydnej różowej tapety w beżowe maziaje, zwieńczonej pod sufitem seledynowym dekorem przywodzącym na myśl zwiędnięty szczypiorek. Upiorny prezent – niespodzianka na dwudzieste urodziny.

Późne czerwcowe popołudnie, rozkrzyczane ptakami moszczącymi się w gniazdach na okolicznych drzewach, roziskrzone promieniami słońca i aromatem maciejki wysianej na wiosnę pod oknem, zachęcało do wszystkiego, tylko nie do snu.

Położyła się na miękkim materacu stojącego pod oknem łóżka i bezmyślnie obserwowała wędrówkę osowiałej muchy po koślawym suficie. Doskonale wiedziała, że nie może pozwolić sobie na leniwe popołudnie, ale choć przez chwilę pragnęła wzbudzić niepokój w Teresie i zmusić ją do jakiegoś działania.

Musiała jednak przysnąć, bo gdy nagle czyjaś ręka dotknęła jej ramienia, aż się poderwała zaskoczona niespodziewaną obecnością w pokoju kogoś jeszcze. Niemal wylała trzymaną przez matkę herbatę.

Teresa postawiła wciśniętą w wiklinowy koszyczek szklanę na niewielkim okrągłym stoliku i ciężko przysiadła na łóżku.

– Córcia, co ci jest?

– Jestem zmęczona i mam dosyć twojego gadania.

– No, wiem, ja tylko tak... Człowiek w czterech ścianach siedzi, to chciałby coś więcej wiedzieć. No już, nie gniewaj się.

Teresa pulchną ręką poklepała Laurę po policzku i podała jej szklanę. Koszyczek zabezpieczał co prawda palce przed poparzeniem, ale nie uchronił ust przed pierwszym gorącym łykiem, który pozostawił bolesne piętno na gwałtownie puchnących wargach.

– Au! – Laura syknęła i odruchowo dotknęła poparzonych ust, jednocześnie strząsając z siebie resztki snu.

– Napij się, córcia, i chodź, bo kury głodne. Pójdziemy razem. Potem zobaczymy, co też dziś dają w telewizji, i spędzimy miły wieczór.

Dziewczyna niechętnie zwlokła się z łóżka, myśląc o tym, że niewątpliwie będzie to miły wieczór, dokładnie taki sam jak setki minionych i dziesiątki tych przed nią. Spędzą bezmyślne godziny przed ekranem telewizora, sącząc kolejne przesłodzone herbaty, przeżywając niewnoszące nic do ich monotonnego życia perypetie bohaterów tasiemcowych seriali i próbując podzielać emocje kolejnych uczestników beznadziejnych teleturniejów. Matka będzie komentować wszystko, ojciec dla odmiany nie odezwie się ani słowem.

Nikt ich nie odwiedzi, nikt nie zadzwoni, nic się nie wydarzy.

Z ociąganiem zabrała się do przygotowywania codziennej porcji pszenicy dla drobiu, rarytasu, za którym, w przeciwieństwie do gotowych pasz, kury wręcz przepadały.

Gdy otworzyła ciężkie drzwi prowadzące z sieni na podwórze, zmierzch rozświetliły pulsujące niebieskie światła migające za linią przydrożnych drzew na jezdni prowadzącej do Wsiowa.

Co to ma znaczyć?!

– Możesz sprecyzować?

– Nie przeginaj!

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale jak powiesz, po co dzwonisz, być może zdołam się do tego ustosunkować.

– Czy tobie naprawdę odbiło?

– Nie.

– Nie przerywaj mi! Co to ma znaczyć? Wyrzucasz nasze dziecko z domu?

– Nikogo nie wyrzucam, samo postanowiło zamieszkać z tobą.

– Jak to sobie wyobrazasz?

– Szczęśliwie nie muszę sobie nic wyobrażać w tej kwestii. – Nawet mnie nie uprzedziłaś.

– To była nagła sytuacja.

Jestem pewna, że nie chce znać szczegółów dotyczących tego, jak bardzo nagła.

– Nie interesują mnie wasze kłótnie. To twoja córka i masz się nią zająć.

– Jak wcześniej wspomniałeś, to nasze dziecko, więc będzie sprawiedliwie i dobrze dla jej rozwoju, jeśli tyle samo czasu spędzi z ojcem co z matką. Ze mną mieszkała pięć lat, więc teraz czas na ciebie.

– Ale ja nie mam warunków! Nicola jest mała i potrzebuje dużo przestrzeni!

– I?

– Co i? Chyba sama rozumiesz.

– Niby co?

– No, że ja nie mam warunków! Poza tym jak ona wygląda?!

– Wygląda tak, jak jej na to pozwoliłeś.

– Na nic takiego nie wyrażałem zgody!

– Nie utwierdzałeś jej przypadkiem w przekonaniu, że jej ciało to jej sprawa?

– Ale nie w kwestii różowych włosów.

– To teraz ją przekonaj do słonecznego blondu!

– Nie stać mnie na dwoje dzieciaków w domu!

– Wyobraź sobie, że mnie, od czasu, jak przestałeś płacić alimenty, nie stać nawet na jedno! Swoją drogą mogłeś wcześniej skalkulować koszt kochanki i zainwestować w prezerwatywy. Cześć, muszę kończyć.

Zaskakuję samą siebie spokojem i brakiem wyrzutów sumienia. Chyba po raz pierwszy w życiu nie czuję się winna, tylko pokonana.

Takie rozmowy sprawiają, że z coraz większą tęsknotą myślę o największej tajemnicy mojej młodości. Miała na imię Zosia i takie malutkie czerwone rączki.

Gdy mi ją pokazali, wcale nie płakała. Przebierała nóżkami i czekała, aż ją przytulę... Ale nawet na to mi nie pozwolili. Zabrali ją zaraz po porodzie. Matka mówiła, że tak będzie lepiej. Dla niej z pewnością. Wywieziona i zamknięta w mieszkaniu stryjenki we Wrocławiu nie zwracałam niczyjej uwagi. Ludzie: rodzina, sąsiedzi, znajomi, nie plotkowali, bo nie mieli o czym. Zniknęłam na całe wakacje, a we wrześniu trochę pulchniejsza wróciłam do szkoły. Nikt się niczego nie domyślał. Rodzice uchronili się przed największym złem w ich życiu, czyli niepoehlebną opinią innych na ich temat. Nie musieli się tłumaczyć, wyjaśniać, że to młodzieńczy wybryk na prywatce. Frywolne, pozbawione zabezpieczeń, za to pełne optymizmu i naiwności, że po pierwszym stosunku nie zachodzi się w ciążę, wejście w dorosły świat. W ich przekonaniu był to dopust boży, na który nie zasłużyli, w opinii ówczesnego proboszcza – ciężki grzech. Choć mam poczucie, że gdzieś tam głęboko w sobie dusili pretensję do mnie. O co? Że chodziłam na taniec, choć zapisali mnie na zajęcia przykościelnego chóru.

Błagałam ich, by Zosia z nami została. Przecież mieliśmy duży dom, ogród. Tak bardzo chciałam ją mieć. Czułam jej ruchy, widziałam, jak naciskany piąstką porusza się mój brzuch. Słyszałam jej pierwszy płacz i potem... te oczy i ta cisza. Tak jakby wiedziała, co się stanie. Jakby błagała mnie, swoją mamę, żeby jej nie oddawać... A ja nie mogłam zrobić nic. Miałam szesnaście lat i nic nie mogłam zrobić!

Uznali, że będzie lepiej, jeśli odbiorą mi ją od razu. Myśleli, że nie będę tęsknić? Rozmyślać? Pamiętam, jak bolały mnie piersi, jak źle się czułam. Pamiętam pustkę i pastylki, które miały wykasować z mojej pamięci dziewięć miesięcy. Dziewięć miesięcy cudu, który się we mnie stawał.

Myśli i wspomnienia o małej Zosi powracają do mnie z coraz większą siłą, burząc spokój i wywołując coraz to nowe fale wyrzutów sumienia. Aż trudno uwierzyć, że ten noworodek, którego obraz tak boleśnie wrył mi się w pamięć, ma teraz dwadzieścia sześć lat. Nieraz usiłowałam dowiedzieć się czegoś o niej. Gdzie mieszka, jak się nazywa. Przyglądałam się dzieciom na ulicy, usiłując w ich rysach odnaleźć małą. Rodzice nigdy nie chcieli rozmawiać na ten temat. Zawsze go ucinali, nim wypłynął na dobre. Zachowywali się tak, jakby moja ciąża nigdy się nie wydarzyła. Jakby Zosi nie było.

Nie wiem, czy Zosia to Zosia, czy ktoś zmienił jej imię. Znając moją matkę, z pewnością zmieniła je już w szpitalu, by skutecznie zatrzeć wszelkie ślady. Patrząc na Monikę, coraz częściej się zastanawiam, jak wygląda Zosia, gdzie jest i co robi. Czy są choć trochę podobne? Rośnie we mnie przeczucie, że jest zupełnie inna niż moja młodsza córka. Ułożona, rozsądna, kulturalna. Pewnie założyła rodzinę i ma własne dzieci. Być może dowodzi to mojej nieudolności, że poszukuję ideału w dziecku, w którego wychowaniu nie miałam najmniejszego udziału, lecz tak naprawdę bardziej skupiam się na tęsknocie, która zaczyna towarzyszyć mi

nieustannie. Narasta we mnie pragnienie odnalezienia jej za wszelką cenę. Chcę ją tylko zobaczyć, przekonać się, że jej życie jakoś się ułożyło, że jest szczęśliwa.

Zaglądam do pokoju Moniki, który, choć to niewiarygodne, prezentuje się jeszcze gorzej niż wczoraj. Zamykam drzwi i opieram się o futrynę. W zasadzie i tak straciłam kontrolę nad wszystkim, więc nie ma żadnego znaczenia, co teraz zrobię. Idę do kuchni, nalewam do szklanki sok pomarańczowy, bezmyślnie śledzę pojawiające się na powierzchni bąbelki i sięgam po pastylkę na sen. Przyglądam się sprasowanemu białemu proszkowi, pociętemu wyraźnymi liniami na trzy części, i podejmuję odważną decyzję – połykam całą tabletkę. Docieram do sypialni, zrzucam ciuchy i w samej bieliźnie, za to w pełnym makijażu, wsuwam się pod kołdrę... Wykrochmalona powłoczka przyjemnie chłodzi policzek, a głośno tykający zegar wprawia ciało w rezonans. Sen nadchodzi szybciej, niż zdążę zastanowić się nad tym, co się wydarzyło.

Niespodziewanie dzwonek telefonu przenosi mnie z górskiej wyprawy prosto na czwarte piętro bloku pozbawionego wygod i horyzontów. Macam w pościeli w poszukiwaniu aparatu i wreszcie wygrzebuję go spod zmiętej kołdry.

– Halo.

– A ty co? Śpisz?

Jak zwykle wylewne powitanie z Pawłem nie nastraja radośnie do reszty popołudnia.

– Nie wolno?

– To dlatego pozbyłaś się dzieciaka?

– Nikogo się nie pozbyłam. Monika sama zaproponowała, że zamieszka z tobą.

– Taaa, oczywiście. Czy ty w ogóle widziałaś jej chłopaka?

– ?

– Jesteś tam?

– Jestem.

– Przecież on jest starszy ode mnie!

– I?

– Co i?

– W czym problem? Może w nim odnajdzie uczucia, którymi powinien obdarzyć ją ojciec.

– Ty naprawdę upadłaś na głowę. Co małolata robi z takim staruchem?

– A co taki staruch robi z małolotą?

– Nie rozumiem...

– O tobie mówię.

– To zupełnie coś innego.

– A mnie się wydaje wręcz odwrotnie. Dokładnie to samo!

– Wiesz, że ona nawet nie zabrała ze sobą podręczników?

– A po co?
– Jak to po co?
– Przecież za tydzień są wakacje.
– No właśnie! Za tydzień!
– Gdybyś choć trochę się nią interesował, tobyś wiedział, że już od tygodnia mają wystawione oceny...

– Zdała?
– Ledwo, ale tak.
– To co ona będzie robiła całymi dniami?
– Nie mam pojęcia, coś wymyślisz. Przecież zawsze byłeś taki kreatywny. Wpadłeś na to, że można mieć dwie kobiety, to i zajęcia dla nastolatki jakoś ogarniesz. Cześć.

Klik i choć już go nie słyszę, w mojej głowie pulsuje zasłyszana informacja. Czy to możliwe, że Monika rzeczywiście spotyka się ze starszym gościem, a ja niczego nie zauważyłam? Jestem przerażona. Co teraz?

Aśka, zaraz po ojcu, była najprawdopodobniej najlepiej poinformowaną osobą we wsi, a może i w całej gminie. Epatując nie do końca zwerbalizowaną wiedzą i nierzadko pozostawiając słuchaczy w zawieszaniu, dawała wszem i wobec do zrozumienia, że wie więcej niż przeciętny mieszkaniec Koniuszek. Dumnie zadzierała natapirowaną głowę, co rusz zarzucając doczepianymi lokami.

Samozwańczo okrzyknęła się lokalną celebrytką, a naiwna miejscowa społeczność, żadna coraz to nowych ploteczek i ciekawostek płynących z jej odętych ust, z entuzjazmem na to przystała.

Zawsze na wysokich obcasach wyzywających kolorem, zdobieniami lub fasonem butów, bez względu na porę roku w nieprzyzwoicie krótkiej spódniczce i z przyklejoną do ucha komórką paradowała pośród sąsiadów. Co rusz chwaliła się nowym chłopakiem w coraz to bardziej sportowym samochodzie, ze szczególnym upodobaniem do kabrioletów, z których na całą okolicę płynęła ogłuszająca tandetna muzyka.

Kobiety jej nienawidziły, widząc w atrakcyjnej, zarozumiałej dwudziestolatce skrzyżowanie lafiryndy z prostaczką, natomiast mężczyźni, bez względu na wiek i posiadane hektary, wprost nie mogli oderwać od niej wzroku.

Niestety Aśka była świadoma wrażenia, jakie wywołuje, i tym chętniej panoszyła się w lokalnej społeczności, przesiadując po chałupach od Koniuszek do Wsiowa. Mimo niskiego wzrostu marzyła o karierze modelki, no, może fotomodelki, rozpoznawalnej twarzy i tłumie wielbicieli.

Tymczasem, skończywszy dwuletni kurs kosmetyczny, zabijała czas plotkami, zakupami i pouczeniem wszystkich wokół, nie chcąc zauważyć, że nikogo nie interesują jej złote, lecz bezużyteczne porady.

Dziś miała swój dzień.

Przez przypadek znalazła się w centrum największego od miesiący zamieszania w Koniuszkach. Nie dość, że przesłuchiwała ją policja, to jeszcze udzieliła wywiadu do najprawdziwszej telewizji.

- Podobno była pani na miejscu zdarzenia.
- Jak by to powiedzieć... tak.
- Proszę opowiedzieć, co się stało.
- Jak by to powiedzieć... rano razem z matką, no bo ojciec jest SOŁTYSEM i nie ma czasu, zajmuje się tyloma ważnymi sprawami, na przykład tymi kotami, co to je zabili, no normalnie rządzi tutaj...
- Ale co się wydarzyło o poranku?
- Jak by to powiedzieć... no więc poszliśmy z matką do kościoła, a tam wszystko pozamykane. Najpierw myślałyśmy, że ksiądz zasnął, więc poszliśmy do

niego do domu, to znaczy na plebanię.

– Tak, i co się okazało? Ksiądz faktycznie zasnął?

– A gdzie tam! Jak by to powiedzieć... proboszcz już chodził po domu cały zdenerwowany, da pani wiarę? Ktoś klejem pozaklejał wszystkie okna i drzwi. Kropelką jakąś czy czymś. No mówię pani, ruszyć się nie dało.

– Tak?

– No to poleciałam po Maćka od Wójcików, bo on stolarz, to myśleliśmy, że coś poradzi.

– I pomógł?

– Jak by to powiedzieć... tak jakby, bo trzeba było okno od ogrodu wybić, no mówię pani, co to się narobiło. Ludziska spod kościoła przyszli, bo i kościół zamknięty. A potem się okazało, że w kościele też wszystko poklejone. Da pani wiarę?

– Wszystko? Co pani ma na myśli?

– Jak by to powiedzieć... drzwi sklezione z futryną. Zamki klejem zalane, a jakby tego było mało, wejście do zakrystii też zaklejone.

– Czy mieszkańcy kogoś podejrzewają? Ksiądz miał jakichś wrogów?

– Jak by to powiedzieć... trudno stwierdzić. Proboszcz to niby dobry człowiek, ale co niektórzy to do kościoła chodzić nie chcą, to może kto z nich? A wie pani, że jak by to powiedzieć... to te drzwi i okna to nie wszystko, bo jak Maciej od Wójcików drzwi wyważył, to na ołtarzu wszystko było sklezione. Świece z obrusem, a i ta, no... Biblia też posklejane kartki miała, nawet otworzyć się jej nie dało.

– A co mieszkańcy na to wszystko?

– Jak by to powiedzieć... no, martwią się. Bo to nie wiadomo, co komu do głowy przyjdzie. Żeby to już nawet proboszcza nachodzić? I jeszcze te koty pomordowane.

– Jakie koty?

– Jak to, nie słyszała pani? No zabite koty, co to pod moim domem znaleźli. Mojego ulubionego Puszka.

– To bardzo interesujące. Co dokładnie się stało? Ma pani jakichś wrogów?

– Jak by to powiedzieć... no, we wsi to mnie albo podziwiają, albo nie lubią.

– A to dlaczego?

– No, niech pani na mnie spojrzy...

Zdziwiona dziennikarka, sama ubrana w proste dżinsy i jasną koszulową bluzkę, ozdobioną małą apaszką, omiotła wzrokiem wbitą w dwa rozmiary za małą, obcisłą koronkową sukienkę Aśkę, która z koncertowym makijażem Amy Winehouse właśnie rozpoczynała dzień. Chyba nie pojmowała, w czym rzecz, ale rozmówczyni przyszła jej w sukurs.

– No i co? Sama pani widzi. Bo mi tu wszyscy zazdroszczą. Jak by to

powiedzieć... jak człowiek o sobie dba, jest atrakcyjny i zadbany, to od razu ma wrogów.

Wianuszek ludzi, który gromadził się wokół nich od dłuższego czasu, zafalował zaintrygowany tym, co usłyszał. Część kobiet zdawała się nie rozumieć ostatniej kwestii, natomiast trzy stojące obok siebie przyjaciółki, dawne koleżanki Aśki z podstawówki, aż się zapowietrzyły z oburzenia.

Tymczasem do zgromadzonych dołączył ksiądz i skradł Aśce show. Jak kwiecistą mantrę powtarzał to, co wszyscy już podsłuchali, dodając, że drzwi od strony kierowcy w jego granatowym opłu również zostały zaklejone.

– Czy ksiądz kogoś podejrzewa?

– Nie, niestety nie. To dzieło szatana. Szaleńca, który słucha podszeptów złego. Choć trudno w tej chwili podsumować koszty napraw, straty niewątpliwie są ogromne. W dodatku nie została dzisiaj odprawiona poranna msza święta.

Teresa przepychała się wśród sąsiadów łokciami, koniecznie chcąc się znaleźć jak najbliżej źródła zamieszania. Wpatrzona w mikrofon jak mistyk w cud, chłonęła całą sobą każde słowo.

Nareszcie spełniło się jej marzenie. Znalazła się w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie. Jako jedna z pierwszych szarpała o poranku za mosiężną klamkę kościoła, a ta nie poddawała się ani jej naciskom, ani naporowi silnej, spracowanej dłoni sąsiada.

Nie rozumiała, co się dzieje, ale dała się ponieść emocjom i teraz rozprawiała z mądrą miną o tym, jak to nie dało się wejść do kościoła, jak Bóg ukarze grzeszników i co to się porobiło.

– Pani kochana, to już nawet na kościół nastają.

– Co to się dzieje.

– A może jednak proboszcz ma coś na sumieniu?

– Co też Wolska opowiada. Nasz proboszcz to porządny chłop jest.

– Nigdy nic nie wiadomo.

Dzięki obecności kamer ludzie nareszcie odeszli od budynków kościoła i plebanii, gdzie z pełnym zaangażowaniem macając i dotykając kolejnych elementów stolarki, zostawiali całe stada odcisków palców, zacierając ewentualne ślady.

Na razie niczego nie znaleziono. Ani opakowań po kleju, ani śladów włamania, ani żadnych niecodziennych odcisków na zagrabionej ziemi koło kościoła. Zresztą i tak nie miało to znaczenia, bo chaotycznie krążący głównie wokół własnej osi tłum skutecznie zniszczył wszystko, co z punktu widzenia postępowania dowodowego mogło być istotne.

Poruszenie we wsi było tak duże, że część ryczących gardłowo krów została wyprowadzona na łąki później niż zwykle, a poza Maćkiem od Gazdów nikt nie wyjechał traktorem w pole. W centrum zamieszania, niczym poszukujące dżdżownic kwoki, kręciły się i przekrzykiwały kobiety, natomiast mężczyźni w starych, przybrudzonych kaszkietach, popalając tanie papierosy, skupiali się w niewielkich grupach w bezpiecznej odległości od kamer, podpierając płoty okolicznych zagród.

Dziennikarze jeszcze chwilę pokręcili się po okolicy, a następnie, zaproszeni na herbatę, zniknęli w domu sołtysa. Aśka, dumnie wypinając pierś, nie odstępowała ich na krok. Z zadowoloną miną zamknęła za sobą drzwi, machając ręką gapiom.

Plotkujący tłumek powoli rozchodził się do swoich zajęć. Ludzie wracali do domów, opowiadając o tym, jak to zrobiło się tu niebezpiecznie. Wzajemnie się

nakręcali i straszili, tak że niewiele brakowało, by we wsi wybuchła panika.

Teresa nie za bardzo wiedziała, co z sobą począć. W mrukliwym Leonie nie widziała wdzięcznego słuchacza, który byłby emocjonalnie zaangażowany w wydarzenia z życia wioski, raczej skwitowałby je jak zwykle stwierdzeniem, że to takie wygłupy młodych i nic więcej.

Dlatego po chwili namysłu skierowała ciężkie kroki w stronę usytuowanego nieco na uboczu sklepu wielobranżowego, w którym pracowała jej córka. Wąska asfaltowa droga, z jeszcze węższym chodnikiem porośniętym chwastami gnieźdzącymi się między kostkami bruku, prowadziła prosto na pusty parking przed sklepem. Nawet o tak wczesnej porze słońce prażyło niemiłosiernie, co w zestawieniu z nadwagą Teresy sprawiało, że coraz bardziej oblewała się potem. Głucha i obojętna na letnie wdzięki okolicy niczym taran wbiła się w otwarte na oścież drzwi sklepu. Zaplątała się w zasłonkę z plastikowych kolorowych wstążek wiszących w wejściu i przez chwilę, głośno sapiąc, stała na progu.

– Mamo, to ty?

– Ja. A co się tak dziwisz?

– No nic, tylko że ostatnio byłaś tu kilka miesięcy temu. Coś się stało? Coś z ojcem?

– Daj mi, dziecko, co do picia, może być jaka gazowana oranżada albo inna fanta. I krzesło daj, bo ledwie stoję.

– Ale co się stało?

– A co się miało stać? To już córki w pracy odwiedzić nie można?

– No, jasne, że można. Tylko trochę mnie zaskoczyłaś.

– A co, masz jakieś tajemnice?

– Boże, mamo, zaskoczyłaś mnie. Nie mam żadnych tajemnic.

Laurę coraz bardziej złościło, że musi tłumaczyć matce wszystko jak dziecku, a ta, bez wyraźnej instrukcji obsługi albo nie chce, albo nie potrafi poskładać danych w spójną całość. Nie ułatwiał też sprawy całkowity brak poczucia humoru Teresy i jej wrodzone przewrażliwienie na własnym punkcie.

– A o księdzu słyszałaś?

– Coś mi się o uszy obilo.

– Widzisz? Siedzisz tu i nic nie wiesz. Telewizja we wsi jest. Policji pełno. Ludzie się boją i każdy każdego podejrzewa.

– Wiem, u mnie też byli dziennikarze.

Teresa aż podskoczyła na krześle i odruchowo poprawiła napuszone trwałą ondulacją włosy.

– No co nie mówisz? I co chcieli?

– Nic, pytali tylko, czy coś wiemy, bo jeszcze z Józkiem magazynierem rozmawiali.

– I co im powiedziałaś?

- A co miałam powiedzieć? Prawdę.
- Czyli?
- Że nic nie wiem.
- A ładnie wyszłaś w kamerze?
- A skąd niby mam wiedzieć? Normalnie.
- No wiesz, bo z Aśką też rozmawiali, a teraz to nawet u sołtysów kawę piją.

Jak myślisz, kto mógł to zrobić?

- Nie mam pojęcia.
- Tak sobie myślę, że ksiądz nie chciał ochrzcić tego małego od Marciniaków, bo matka niby po rozwodzie, to może Marciniak co zrobił.

– Czy ty się w ogóle słyszysz? Co za bzdury wygadujesz! Lepiej nikomu takich rzeczy nie opowiadaj, bo to zwykle oszczerstwa i tylko problemy z tego mogą być. Jak nikogo za rękę nie złapiesz, to nie rzucaj oskarżeń.

– A czy ja kogo oskarżam?

– Niestety takim głupim gadaniem tak.

– A ciebie to o co jeszcze pytali ci telewizyjni?

– O nic takiego. Czy ktoś nowy nie pojawił się we wsi, czy są jakieś zatargi...

– No to chyba o tym przystojnym Włochu im nie mówiłaś?

– Mamo, przecież tu co rusz są nowi letnicy, nie tylko ten Włoch. Zaraz koniec czerwca, sezon nad jeziorem będzie w pełni i pełno nowych ludzi.

– Niby tak, ale szkoda by było tego Włocha, jakby go zamknęli.

– Bo śliczny i cacany, to nic złego nie może zrobić, a jak zrobi, to trzeba wybaczyć?

– No, nie, ale szkoda chłopaka. A czy on jeszcze za tą dziewczuchą się ugania?

– Przestań.

Teresa postanowiła, że jeszcze z dziesięć minut posiedzi i odpocznie, a potem ruszy do domu. Po cichu liczyła na to, że spotka którąś z sąsiadek. Jednak po kolejnych piętnastu minutach siedzenia obok pracującego na pełnych obrotach wentylatora jej ciało nie miało pomysłu na podjęcie jakiegokolwiek wysiłku związanego z przechadzaniem się po wsi. Tym bardziej że do sklepu raz po raz ktoś wchodził i podczas robienia zakupów wypytywał, co się wydarzyło, albo dzielił się własnymi podejrzeniami.

Teresa czuła, że to jest jej dzień. Wygodnie rozsiadła się za ladą i podczas gdy Laura uwijała się, pakując do siatek warzywa i bułki, krojąc wędliny i przyjmując pieniądze, i snuła własne, mocno podkolorowane kryminalne podejrzenia. W końcu jednak zabrała się z sąsiadem do domu.

Późnym popołudniem zaklejone drzwi i okna urosły do rozmiarów całkowitego zdemolowania parafialnego kościoła i przylegającej doń plebanii, noszącego przy okazji znamiona napadu na księdza, najprawdopodobniej ze

zbrodniczym motywem. Na okolicę padł nieudawany strach. Trzaskały zamykane okiennice i plastikowe rolety, spuszczone z łańcuchów psy cieszyły się niespodziewaną wolnością, obszczekując podwórka.

Reaktywowała działalność zawieszona tydzień temu straż obywatelska i średniowiecznym zwyczajem wołając: „idzie się”, obchodziła wieś, czyli krążyła w tę i z powrotem po dwóch krzyżujących się nieopodal kapliczki wiejskich drogach.

Laurze też udzielił się strach, wychodząc więc ze sklepu, poprosiła Józka, by towarzyszył jej przy zamykaniu nieszczęsnej starej kraty. Wsiadła do wysłużonego fiata i czujnie rozglądając się po okolicy, dojechała do domu.

Tym razem nie czekała na nią zimna jajecznicza, bo nawet jej nie chciało się Teresie przygotować. Za to ze stołowego dobiegały głośne dźwięki programu informacyjnego, który najwyraźniej oglądali rodzice.

– Laura, to ty?

– Tak, wróciłam.

– Zrób sobie kanapkę.

– Dobrze, chcecie też?

– A w sumie możesz nam zrobić.

Już miała ruszyć w kierunku kuchni, gdy Teresa zaczęła wrzeszczeć:

– Laura, szybko, chodź prędko!

Jak zwykle oczami wyobraźni Laura ujrzała nieszczęście w postaci wylewu albo zawału, więc już po sekundzie wpadła do pokoju, gdzie zastała wychylonych w fotelach rodziców.

– Patrz! Jesteś w telewizji.

Prasuję stertę kuchennych ścierek i jednym okiem obserwuję migotliwy ekran telewizora, na którym przesuwają się kolejne ilustracje nieistotnych wiadomości. Prognozowany dużo wcześniej wybuch wulkanu, który sparaliżował lotniska w połowie Europy, udaremniony przemyt narkotyków, kolejne idiotyczne pomysły polityków, wypadek w fabryce lakierów i... nagle z głośników dobiega mój własny głos wygłaszający kwestie, których nigdy nie mówiłam.

Zamieram z żelazkiem w dłoni i oniemiała wpatruję się w dziewczynę na ekranie, w swoją młodszą o dwadzieścia lat twarz. Kasztanowe włosy luźno opadają na ramiona, duże brązowe oczy w gąszczu ciemnych rzęs i wąskie usta. Twarz pozbawiona makijażu wygląda na zmęczoną. Wrażenie to potęguje czarny nijaki sweter, podkreślający szczupłe ramiona. Sięgam po pilota, by podgłośnić, i w tym momencie parzę dłoń o gorącą stopę żelazka.

– Auć!

Z telewizora płynie pozbawiony emocji, rzeczowy głos dziewczyny.

– Nie, takie rzeczy nigdy się tu nie działy.

– A czy w okolicy pojawił się ktoś nowy, podejrzany?

– Mieszkamy nad jeziorem i w sezonie letnim zawsze przyjeżdżają turyści, ale nie zauważyłam nikogo podejrzanego.

– Jak mieszkańcy reagują na to, co się wydarzyło?

– Zaczynamy się trochę obawiać o swoje bezpieczeństwo. Ludzie zamykają domy, przyglądają się sobie wzajemnie. Nie jest to miłe uczucie. Mam nadzieję, że policja szybko ujmie sprawców.

Na dole pojawia się mleczny pasek z literami układającymi się w imię i nazwisko dziewczyny – *Laura Żyto, Koniuszki*. Nie mogę cofnąć wiadomości ani ich zatrzymać, a ponieważ panicznie się boję, że utracę tak długo poszukiwany trop, rzucam się w kierunku stołu, by na ostatniej stronie czasopisma zapisać dane. Przy okazji zahaczam nogą o zwisający kabel i zrzucam żelazko na podłogę. Woda z różowego pojemniczka zalewa wykładzinę, a ja mam tylko nadzieję, że żelazko jest całe. Wyszarpuję wtyczkę z gniazdka i siadam na podłodze wpatrzona w nagryzmolone pospiesznie słowa. *Laura Żyto*.

Choć jest to mało prawdopodobne i zbyt banalne, rodzą się w mojej głowie nadzieje, że może tym razem naprawdę trafiłam na upragniony ślad córki. Świat jest ponoć pełen sobowtórów i każdy ma swojego gdzieś tam, ale narasta we mnie elektryzujące przekonanie, że może tym razem tak nie jest. Zaczyna kiełkować irracjonalne przecucie, że wyczuwam więzy krwi, że właśnie zobaczyłam na ekranie Zosię. Moją Zosię. Moją małą dziewczynkę. Nie mogę się mylić. To podobieństwo, ten głos, gesty – to nie przypadek. Telewizja dokonała cudu, który

przez lata nie udało się ani mnie, ani wynajętemu przed laty detektywowi.

Serce łomocze mi tak mocno, że intensywną pracę mięśnia widać przez cienką bluzkę. Robi mi się gorąco, a na głowie zaciska się obręcz emocji. Strzelam sobie mentalnym plaskaczem w twarz i nakazuję umysłowi się uspokoić. Gdyby życie obfitowało w takie zbiegi okoliczności, ludzkość byłaby w zupełnie innym miejscu. Rozum krzyczy i ze współczuciem klepie mnie po głowie, natomiast emocje kręcą piruety w powietrzu i wwiercają bolesną śrubę w splot słoneczny. Dwóch rzeczy jestem pewna: że zachowuję się jak idiotka i że cokolwiek miałyby się wydarzyć, muszę to sprawdzić.

Dopadam do laptopa i w wyszukiwarce wrzucam hasło: wiadomości. Oczywiście na żadnym z portali nie odnajduję twarzy Laury, za to dowiaduję się sporo na temat wsi, o której istnieniu jeszcze kilka minut temu nie miałam pojęcia. Malowniczo położona nad jeziorem gwarantuje cudowny wypoczynek wśród lasów i pól, obiecuje ciszę i kojący kontakt z naturą. Regionalne jedzenie w okolicznych restauracjach i, jako że słynie z hodowli kóz i owiec, degustację serów i innych maślanek. Liczne edukacyjne ścieżki rowerowe i zorganizowane wyprawy kajakiem czy żaglówką dopełniają atrakcyjnego obrazka.

Wreszcie odnajduję portal, na którym online można oglądać emitowany program, i w napięciu przesuвам materiał, aż... pojawia się ona. Szeroki kadr ukazujący regały wyładowane pieczywem, puszkami i owocami. Obraz stopniowo się zwęża i skupia na dziewczynie za ladą. Na moim sobowtórze, na mnie sprzed dwudziestu lat. Na Zosi? Więc jednak nie robi kariery naukowej. Nie skończyła studiów, skoro pracuje w wiejskim sklepie. Czy to ona? Nie potrafię się skupić na tym, o co pyta dziennikarz, za to chłonę każde słowo Laury. Bo teraz tak ma na imię. Kto wymyślił coś tak infantylnego?

– Już wcześniej ludzie we wsi gadali.

– Co ma pani na myśli?

– Niedawno, to znaczy kilka dni temu, może z tydzień... No, w każdym razie ktoś zabił trzy koty i napisał ich krwią, tak ludzie mówią, w sumie to ja tam nie wiem, ale ktoś napisał na chodniku „patrz”. A wcześniej było jeszcze kilka pożarów, no, nie takich dużych, bo spalił się stóg siana i takie tam, ale nigdy przedtem czegoś takiego u nas nie było.

Najwyraźniej ekspedientka jest zestresowana, krótkie spojrzenia rzucające w obiektyw zdradzają paraliżujący strach, z trudnością znajduje słowa. Lada co prawda buduje bezpieczny dystans i staje się podporą dla rąk, które dziewczyna wygina w nienaturalny sposób, nie potrafiąc znaleźć dla nich miejsca. Mam wrażenie, że gdyby mogła, schowałyby się pod kontuar.

– Czy ujęto sprawców?

– No właśnie, że nie. I teraz każdy się boi. Przecież to spokojna okolica i wszyscy się znamy, to mała wieś.

– Wspomniała pani, że wcześniej dochodziło do aktów wandalizmu i znęcania się nad zwierzętami. Czy przypomina pani sobie inne podobne zdarzenia?

– Nie, takie rzeczy nigdy się tu nie działy.

– A czy w okolicy pojawił się ktoś nowy, podejrzany?

– Mieszkamy nad jeziorem i w sezonie letnim zawsze przyjeżdżają turyści, ale nie zauważyłam nikogo podejrzanego.

– Jak mieszkańcy reagują na to, co się wydarzyło?

– Zaczynamy się trochę obawiać o swoje bezpieczeństwo. Ludzie zamykają domy, przyglądają się sobie wzajemnie. Nie jest to miłe uczucie. Mam nadzieję, że policja szybko ujmie sprawców.

Znikają sklepowe półki, a w ich miejscu pojawia się obraz niewielkiego drewnianego kościoła, z pękatą wieżą i uroczymi niewielkimi oknami w oprawie rzeźbionych białych ram, estetycznie kontrastujących z ciemnym drewnem desek. Na wypiełgnowanej trawie przed głównym wejściem spora grupa nerwowo gestykułujących ludzi prowadzi ożywioną dyskusję.

Wsluchuję się w relację dziennikarza, opowieść zdenerwowanego proboszcza i głośne, chaotyczne uwagi gapiów. Niby nic wielkiego, zapewne jakiś wyglup dzieciaków, jednak autentycznie jestem poruszona. Powinnam współczuć tym ludziom, ale zwyczajnie się cieszę, że coś takiego się stało, że przyjechała telewizja i... że ją zobaczyłam. I już wiem, że w najbliższych dniach nic nie będzie się liczyć, tylko ona. Muszę ją zobaczyć. Muszę tam jechać i spróbować z nią porozmawiać.

W sumie nie wiem po co, bo co niby mam jej powiedzieć? Cześć, kochana, jestem twoją mamusią, tylko że głupio wyszło i dopiero teraz się poznajemy. Nie mam jej przecież nic do zaoferowania. Zresztą nie mam pewności, że to ona.

Aśka była wściekła. Oglądała wiadomości i była pewna, że za chwilę na ekranie pojawi się jej idealna twarz i równie śliczna historia, którą usiłowała wcisnąć dziennikarzom oczywiście jako jedyną słuszną i prawdziwą. Tymczasem nie dość, że jej nie pokazali, to jeszcze przeprowadzili wywiad z tą jękającą się i co chwilę poprawiającą opadające włosy idiotką Laurą. W dodatku jak ona wyglądała! W tym paskudnym wełnianym swetrze, bez makijażu, na tle konserw. Ona nigdy by sobie nie pozwoliła na coś takiego. I do tego ta opowieść, że nigdy się tu nic nie działo, a teraz to niby mieszkańcy się boją. Bzdura. Jak można opowiadać takie rzeczy przed kamerą? I potem ludzie się dziwią, że nie ma turystów. A kto by chciał tu przyjeżdżać, skoro nawet miejscowi się boją.

I co teraz powie znajomym, których obdzwaniała od dwóch godzin,

informując, że wywiad z nią puszcza w wieczornym wydaniu *Faktów*?

Ze złością wyłączyła telewizor i rzuciła pilota na puszysty różowy koc, którym matka starannie przykryła łóżko i równie pieczołowicie poukładała na nim dziesiątki mniejszych i większych poduszek. Mimo że to był pokój Aśki, jak przystało na rozpieszczoną jedynaczkę nie robiła w nim nic. Zresztą nie tylko tutaj nie kałała się pracą. Zwyczajnie nie wiedziała, co to takiego.

Gdy była mała, ojciec wiecznie powtarzał, że jest jego małą księżniczką, a jej jedynym obowiązkiem jest nauka. Niestety nigdy nie określił satysfakcjonującego poziomu, jaki córka powinna osiągnąć, kastrując tym samym wszelkie, najmniejsze nawet próby podejmowane przez żonę, by zagonić Joannę do jakichkolwiek prac domowych. W szlachetnym poczuciu dobrze pojętego rodzicielstwa wyhodował na własnej piersi pasożyta i egoistkę, która poza własnym przypudrowanym nosem nie była w stanie dostrzec niczego ani nikogo.

Ostatnimi czasy coraz częściej uświadamiał sobie wychowawczą klęskę, jaką ponieśli z żoną, bo Aśka nie słuchała żadnych racjonalnych argumentów, a na dodatek w przekonaniu o własnej słuszności coraz bardziej lekceważyła ludzi, obrażając ich na każdym kroku. Umiejętnie korzystała też z kart bankomatowych licznych przygodnych narzeczonych i poza uprawianiem własnego ciała w gabinecie kosmetycznym nie parała się żadnym zajęciem, wychodząc z założenia, że pieniądze rodziców i ich czas należą się jej jak psu zupa. Od dwóch tygodni spotykała się z nowym chłopakiem, który – miała taką nadzieję – jest ową wywróżoną przez Samilinę kwintesencją szczęścia i dawcą plemników, z których już niebawem narodzą się jej wymarzone dzieci.

– Daniel, no gdzie ty jesteś? – Aśka, wściekła jak osa, wyrzucała z szuflady kolejne pary niebotycznie wysokich szpilek, by wreszcie zdecydować się na czarne, pokryte koralikami koturny. – No tak, ale miałeś być już u mnie. Wiem, to jakaś pomyłka. Teraz pokazali tę idiotkę, ja udzieliłam dłuższego wywiadu, to pewnie nie puścili od razu. Tak, tak. Też myślę, że mogą powtórzyć w *Uwadze*. No wiesz, ma się rozumieć. Czekam.

Wrzuciła telefon do fikuśnej niebieskiej torebki przewieszanej przez oparcie sosnowego krzesła, opadła na łóżko i z wściekłością zaczęła pukać palcami o blat stolika. Koła zębate w jej mózgu przesuwwały się ze zdwojoną prędkością, układając niespokojne myśli w cwany plan, który za sprawą zaklejonego kościoła pozwoli jej jeszcze zaistnieć w mediach. Gdy się zastanawiała, czy i kiedy powinna się skontaktować z „Twoim Dniem” albo równie plotkarskim „Codziennikiem”, chórem werbli i dzwonek odezwała się jej komórka.

– Cześć, Natalia. Nie, nie oglądałam. Nie było? Wiesz, pewnie nadawali na żywo, coś musiałam pokręcić. Coś ty! Przecież nie mam czasu zajmować się takimi rzeczami, nie będę szukać nagrania w sieci. No kto jak kto, ale ja nie mam parcia na szkło. Tak, zaraz jedziemy do klubu. Nara.

W czasie tej krótkiej wymiany zdań usiłowali się jeszcze dodzwonić Jasiak i Kaśka, i ktoś z zastrzeżonego numeru. Była wściekła na siebie, że im nagadała o tej idiotycznej telewizji, i jeszcze bardziej wkurzona na tych durnych dziennikarzy, którzy nie puścili wywiadu z nią w roli głównej.

Został tydzień do ostatniego w tym roku szkolnym dzwonka. Oceny są wystawione, ostatnie zebranie z rodzicami mam za sobą i teraz przede mną tylko rada pedagogiczna i pożegnanie. Perspektywa dwumiesięcznych wakacji zawsze mnie cieszyła, ale w tym roku tych kilka wolnych tygodni wydaje się szczególnie atrakcyjne.

Jeszcze do wczoraj nie miałam żadnych wakacyjnych planów, a dziś już wiem, że spędzę kilka dni w małym domku nad jeziorem nieopodal Koniuszek. Nie jest to może najbardziej bajkowa perspektywa, ale dla mnie to jak wygrana na loterii. Nareszcie będę mogła przyjrzeć się tak do mnie podobnej dziewczynie, Laurze. Mam nadzieję, że nawet uda mi się ją poznać. Z zaprzyjaźnianiem się raczej byłabym ostrożna, nie jestem aż taką optymistką. W zasadzie wystarczy mi tylko upewnienie się, że jakoś sobie radzi, że jej nie skrzywdziłam aż tak strasznie i że ktoś może pokochał ją bardziej niż ja, otoczył opieką i troską, których ja nie mogłam jej zaoferować.

W pokoju nauczycielskim panuje przedwakacyjny optymizm. Udziela się wszystkim poza woźnym, który jest tak antypatyczny, że opuścili go wszyscy znajomi i jego drugim domem stała się szkoła, więc wakacje traktuje jak dopust boży. Nie dość, że nie ma dokąd pójść, to nie ma też na kogo wrzeszczeć i kogo pouczać. Poddaję się nastrojowi i przestaję myśleć o sprzeczce z córką.

Monika, uparta i zawzięta jak na rasową nastolatkę przystało, ani do mnie nie dzwoni, ani nie odbiera telefonów. Od czasu do czasu przemyka szkolnym korytarzem w towarzystwie koleżanek, ale na mój widok odwraca wzrok i udaje, że mnie nie widzi. Choć kusi mnie, by do niej podejść, nie robię tego. Obawiam się niekontrolowanego wybuchu emocji i kłótni, która stałaby się niepotrzebną gimnazjalną sensacją.

Dopijam kawę, sięgam po dziennik i przygotowane dla klasy trzeciej D materiały, które w przyjemny i płynny sposób mają przeprowadzić młodzież przez próg naszej szkoły w świat liceum, i ruszam w kierunku drzwi. Trwa przerwa, mam więc sporo czasu, by dojść na drugie piętro i otworzyć salę.

– Mamo.

– Monika? Co tu robisz?

– No, w szkole jestem.

– To widzę, ale co robisz pod pokojem nauczycielskim? Stało się coś?

Wygląda, jakby zaraz miała się posikać. Przebiera nogami, drobi w miejscu, a ja nie wiem, o co jej chodzi.

– Nie, chciałam tylko pogadać.

– Tak? A o czym?

– O wakacjach.

– Masz już jakieś plany?

– No właśnie. Ojciec zabiera Klaudię i małą do Włoch, ale nie zarezerwowali dla mnie miejsca w hotelu, bo wykupili wycieczkę w lutym, i...

HA! HA! HA! Jeden do zera. Biedny, mający skromne możliwości finansowe tatuś jednak wyskrobał groszaki na wyjazd w ciepłe kraje. I czwarte HA! – może Monika wreszcie zrozumie, że jej lukrowane wyobrażenie o ojcu jest mało precyzyjne i odbiega nieco od rzeczywistości. Nie mogę się powstrzymać i przerywam nie wiadomo dokąd zmierzający wywód:

– I co, przykro ci?

– Nie, no coś ty?!

– Nie jest ci przykro? – Cholera, nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Automatycznie rodzą się ciekawość i obawa, co też się jej uroiło w niedojrzałym mózgu.

– Pewnie, że nie! Będę miała mieszkanie tylko dla siebie.

– Chyba żartujesz? Masz szesnaście lat i nie możesz mieszkać sama.

– A niby dlaczego?

– Bo jesteś nieletnia.

– Wiedziałam, że jak zwykle będzie kwas.

– Chyba nie oczekujesz, że zaakceptuję taki pomysł?

– Myślałam, że się zgodzisz.

– Monika, nie podnoś głosu. Porozmawiamy w domu!

– Zapomniałaś, że już u ciebie nie mieszkam?!

– Co nie oznacza, że nie możemy się zobaczyć.

– A właśnie, że nie możemy! Nie chcę cię widzieć!

Zaczyna truchtem uciekać w kierunku prowadzących do przyziemia schodów i z połowy korytarza wykrzykuje, że nie chce mnie znać. Jej różowe włosy wydają się świecić w jaskrawym świetle szkolnych jarzeniówek. Oczywiście w pół sekundy stajemy się sensacją dnia, której chętnie przyglądają się grupki uczniów. Udaję, że ich nie dostrzegam, i markując opanowanie, głośno postukuję obcasami i wspinam się schodami na piętro. Całe szczęście, że to ostatnie dni Moniki w gimnazjum, bo nie zniosłabym takiego jej zachowania.

– Ola, coś się stało?

Oczywiście jak na złość. Akurat teraz muszę spotkać najbardziej wścibskie babsko w szkole. Violetę, przez V i dwa T. Zamiast siedzieć w kanciapie przylegającej do nowo wybudowanej sali gimnastycznej i pilnować skakanek oraz piłek, pod byle pretekstem snuje się po całej szkole. Wyskakuje jak królik z kapelusza w najmniej oczekiwanym i pożądanym momencie. We własnym mniemaniu jest posagową pięknoscią i w dodatku ulubionym nauczycielem. Wniosek ten wysnuła w dość prostym rozumowaniu: skoro WF jest ulubionym

przedmiotem młodzieży, to siłą rzeczy nauczyciel tego przedmiotu również.

Violetta ma metr osiemdziesiąt, tyle że w pasie, i pretensjonalny głos. Wiecznie spocona, spryskuje się litrami słodkich perfum i w przeciwieństwie do większości otyłych osób nie jest sympatyczna. Jej bystry umysł i wyjątkowo wrażliwe ucho w każdym szkolnym zakamarku znajdują liczne dane w postaci plotek, które z zapałem poddaje analizie i wypływa w formie z dupy wziętych teorii.

- Nie. A co?
- Słyszałam, jak Monika krzyczy.
- Ach, to? Nieporozumienie.
- Mała się buntuje? Wiesz, u mnie na zajęciach też.
- Przepraszam cię, ale spieszę się na lekcję.
- Jeszcze cztery minuty przerwy.
- Tak, ale obiecałam, że otworzę klasę wcześniej.
- Jak uważasz, ale moim zdaniem jednak powinniśmy porozmawiać.
- Bardzo chętnie, tylko później.
- No dobrze. Skoro tak, to spotkamy się na następnej przerwie.

Cholera jasna, będę musiała przez dwadzieścia minut siedzieć w klasie, z nadzieją, że zatroskana Violetta nie wdrapie się ze swoją nadwagą na drugie piętro do sali dwieście pięć. Może jeśli pójdę do pracowni językowej albo jeszcze lepiej, do biblioteki, tam mnie nie dopadnie. Ta opcja mi się podoba, tym bardziej że po drodze mogłabym zorganizować kolejne czarne espresso z naszego nowego ekspresu, prezentu od rady rodziców na Dzień Nauczyciela.

Przebijam się przez tłum na schodach, na korytarzu nie jest lepiej. Dzieciaki kręcą się jak ciuchy w pralce. Ci do przodu, tamci do tyłu, totalny chaos. Wszyscy wrzeszczą, nikt nie mówi dzień dobry, bo przecież za tydzień kończą edukację w tym przybytku, więc dla większości z nich nie ma to już najmniejszego znaczenia.

Nareszcie, pokonując odziane w wąskie dzinsy wyciągnięte nogi Maćka i Krzyśka, którzy siedzą na podłodze, nonszalancko rozparci na własnych plecach niczym na kanapie, docieram do szarych drzwi ze smutno zwisającą naderwaną klamką. Szybko je otwieram i jeszcze szybciej zamykam za sobą. Otacza mnie rozkoszna cisza. No, może nie taka zupełna, bo tu też dochodzi dudnienie szkolnego organizmu, ale to i tak luksusowa sytuacja. Nie widzę nikogo i nikt nie spogląda na mnie. Jestem sama. Siadam na krześle i swobodnie się przeciągam. Czuję, jak mięśnie się napinają, a kolejne elementy kręgosłupa odsuwają od siebie, by po chwili na nowo odnaleźć właściwe miejsca i ułożyć się w elastyczny szereg kręgów. Zrzucam lewy kłapek i macham stopą. Niespodziewanie uzmysławiam sobie, jak bardzo wkurzały mnie takie nieświadome ruchy u Pawła, który wiecznie albo machał stopą, albo bębnił

palcami, a im bardziej był skupiony czy zaaferowany, tym bardziej drgała mu któraś część ciała. Gwałtownie wsuwam nogę w kłapek na niewielkim koturnie i zrezygnowana podchodzę do drzwi.

Naciskam na klamkę i choć się poddaje, nadal nie mogę ich otworzyć. Wydawało mi się, że nie zamykałam drzwi na klucz, ale może zamyślona bezwiednie go przekręciłam. Okazuje się, że na biurku nie ma niebieskiego klucza na sporych rozmiarów metalowym kółku z plastikowym breloczkiem, na którym ktoś koślawo nabazgrał numer sali. Może wrzuciłam go do torebki?

Zduszony chichot za drzwiami jest dowodem na to, że raczej nie. Prawdopodobnie w roztargnieniu zostawiłam klucz w zamku na zewnątrz i teraz zadowoleni z siebie trzecioklasiści uwięzili mnie w sali. Nie mam zamiaru dawać im satysfakcji i negocjować czy, nie daj Boże, prosić, żeby mnie wypuścili. Dzwonię do sekretariatu i proszę o interwencję.

Po kilku minutach słyszę tubalny głos woźnego.

– I co, zadowoleni jesteście?

– Tak!

– Banda ćwoków. Odsunąć mi się od drzwi. Pani Aleksandro, jest tam pani?

– Tak, tak, wszystko w porządku.

– A właśnie, że nie. Jakiś gnojek wcisnął szpilkę w zamek. Szybko pani nie wyjdzie, muszę to wszystko rozkręcić albo rozwiercić. Cie pieruna, gówniarstwo. Który był taki mądry?

No i super. Zamiast wyjść ze szkoły o czternastej czterdzieści, siedzę drugą godzinę zamknięta w klasie, pęcherz stepuje w tęsknocie za toaletą, a do tego muszę wysłuchiwać radosnych głosów zza drzwi: jaki to mieli zajebisty pomysł, ale jest zajebiście, zajebisty jest ten ktoś, kto to zrobił, i – sądząc po odgłosach – ktoś teraz przybija zajebiste piąteczki. Młodzież choruje na zajebiozę i z trudem potrafi znaleźć w słowniku jakiś inny przymiotnik.

Niespodziewanie wśród chóru głosów wybija się niczym solista perlisty śmiech Moniki.

– Lol! Ale jaja. Moja matka?

– No, chyba ci to nie robi?

– Spoko, i tak miałam z nią dzisiaj kwas. Jak tam posiedzi, może jej rura zmięknie.

– No to zajebiście!

Jestem załamana. Moja córka to egoistyczny potwór, nie trzeba jej było we wszystkim pobłażać.

I co, gwiazdo telewizji? Warto było się pchać przed kamerę?

– Aśka, kupujesz coś czy nie?

– Niby co mam w tej budzie kupować? Zaraz z Danielem jedziemy do miasta, prawda, Misiu?

Zajęty oglądaniem ściany piw płynnie przechodzącej w regał z ciężkimi alkoholami Misiu, posturą przypominający raczej grizli niż pluszaka, nie zwracał najmniejszej uwagi na Aśkę, która sprawiała wrażenie, jakby spadła z top listy prosto na back stage.

– No, Misiaku!

– Taa?

– No, prawda?

Najwyraźniej Misiu nie wiedział, która dziupla jest pełna miodu i na jakiej gałęzi siedzi, ale dla świętego spokoju przytakiwał i korzystając z okazji, usiłował nabyć pół litra wyborowej.

– Czyś ty oszalał! Nie będziemy tu nic kupować. Trzeba mieć klasę! A tobie radzę się ogarnąć i nie pchać tam, gdzie cię nie chcą.

Zadowolona z siebie Aśka, z minitorebeczką na złotym łańcuszku przewieszoną przez ramię, nieprzerwanie telepiącą się niepokojąco na wysokości kolan, z dumnie zadartą głową ruszyła w kierunku drzwi, przy okazji niby przypadkiem zrzucając z lady koszyk z ulotkami.

Opieszale Daniel, na szeroko rozstawionych nogach, w dwa rozmiary za dużych spodniach, które zwieszając się malowniczo, ukazywały spory fragment białych gatek ozdobionych czarną gumką z czerwonym logo Calvina Kleina, za to w zdecydowanie zbyt małej koszulce podkreślającej napompowane do granic możliwości, pokryte tatuażami mięśnie, ciężkim krokiem podążał za dwutygodniową narzeczoną. Niemal dało się słyszeć stukot jego jaj, gdy mijał kolejne regały i trzaskając drzwiami, wyszedł na wybrukowany, zalany słońcem parking przed sklepem.

– Ja pierdolę. Dokręcasz mi śrubę!

– Misiu, ja?

– I przestań, kurwa, przy ludziach nazywać mnie misiem!

– Jacy tam ludzie, to tylko Laura.

– No właśnie. Ja pierdolę. Czy ty naprawdę jesteś taka tępa, czy tylko udajesz?

Zszokowana Aśka szeroko otwartymi oczami spojrzała na kupę mięśni wciśniętych za kierownicę. Złożony dach nie chronił przed agresywnymi promieniami słońca, a dudniąca muza sprawiała, że w zasadzie nie rozmawiali,

tylko się przekrzykiwali. Nareszcie trafiła na twardziela, który wydawał się bardziej zdecydowany od niej i sprawiał, że to nie ona rządzi. Po raz pierwszy w życiu musiała kogoś słuchać i nie była do końca pewna, czy to się jej podoba.

– Ale, kochanie, przecież ja nic nie zrobiłam.

– Ucieszyłem się, że do mnie zadzwoniłaś. Myślałem, że spędzimy miły dzień, ale nie, ty znowu wyjeżdżasz z tymi swoimi problemami.

– Ja tylko chciałam jej pokazać, kto się liczy.

– I co? Pokazałaś? Jesteś zadowolona?

– No chyba.

– *Shit*, jakaś ty naiwna. Myślisz, że ona się tym przejęła?

– Daniel, proszę cię.

– Ale co ci, kurwa, znowu nie odpowiada? To, że ktoś ci prawdę powie?

Pieprzona królowa Koniuszek.

– Wypraszam sobie! Jakim prawem tak do mnie mówisz?

– Jesteś moja laska, to mówię, jak jest.

– Ale sprawiasz mi przykrość.

– Czy ty, kurwa, nie widzisz, że twoje zachowanie *determinuje* moje?

Aśka nie była pewna, co robi na niej większe wrażenie: to, że facet zna trudne słowo czy że jest taki twardy, stanowczy, męski. Ostatecznie doszła do wniosku, że imponuje jej ten cham, który tylko przy niej, co prawda na kilka chwil, ale jednak, zmienia się w romantyka oferującego miłe słowa i pieszczoty. I nie miało znaczenia, że zazwyczaj była to tylko krótka gra wstępna poprzedzająca dziki, brutalny seks, uprawiany coraz częściej bez jej wielkiej ochoty.

– Wiesz, mała? Lepiej, żebyś do mnie nie dzwoniła. Ja jednak nie potrafię kochać. Zaslugujesz na kogoś lepszego. – Daniel, skupiony na wyprzedzaniu dwóch ciężarówek i manewrze mającym na celu uniknięcie czołowego zderzenia z nadjeżdżającym z dużą prędkością samochodem z naprzeciwka, nawet nie rzucił na nią okiem. Nie musiał patrzeć na skuloną, anorektyczną postać obok, by wiedzieć, jak piorunujące wrażenie zrobiły jego słowa.

– Ale, kochanie, ja nie chcę nikogo innego. Jesteś dla mnie idealny! Już nie będę cię denerwować. Nie możesz mnie zostawić!

– Zaslugujesz na więcej.

– Ale ja nie chcę nic więcej. Chcę ciebie! Skąd możesz wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze? Tylko ja to wiem.

– No, nie wiem. Jesteś taka otwarta i naiwna. Łatwo dajesz sobą manipulować, bo jeszcze nigdy nie dostałaś po dupie. A ja potrzebuję laski, która będzie mnie słuchać i szanować.

– Ale przecież ja właśnie taka jestem. Ja cię słucham.

Daniel znowu przyspieszył, szum powietrza stał się jeszcze głośniejszy i coraz mniejsza była przyjemność z jazdy, jednak Aśka nie miała odwagi odezwać

się choćby słowem. Mknęli w kierunku miasta i choć jeszcze przed chwilą cieszyła ją perspektywa zakupów, zaczynała odczuwać obawę i wolałaby się znaleźć w swoim różowym pokoju.

Tymczasem mieli się spotkać z Długim i Mięczakiem na piwie w Casablance, obskurnym lokalu, który za sprawą światła i muzyki wieczorem zmieniał się w najmodniejszą, najbardziej wypasioną dyskotekę w okolicy. Pilnowany przez armię ubranych na czarno bramkarzy-selekcjonerów stał się obiektem marzeń nie tylko okolicznych dziewcząt, które wystrojone w przykrótkie sukienki co weekend poszukiwały w nim perspektyw na lepsze życie. Nieliczne znajdowały miłość, większość pakowała się w poważne kłopoty, podszyte narkotykami, seksem i paserstwem.

Laura pozbierała ulotki i wściekła zainstalowała się na twardym krześle za ladą. Wpatrzona w zeszyt wypełniony angielskimi słówkami bezskutecznie usiłowała skupić na nich rozdygotany umysł, jednak wspomnienie złotego łańcuszka torebki i wydętych ust Aśki wytrącało ją z równowagi. Jakim prawem ta szmata tak się zachowuje? Za co jej nienawidzi? I podczas gdy w duchu, kipiąc ze złości, obiecywała sobie, że jeszcze jej pokaże i udowodni, która z nich jest lepsza, gniewne okrzyki przed sklepem przywróciły ją do rzeczywistości.

– Uważaj, człowieku, jak jeździsz! Ślepy jesteś?!

– To ty, panie, patrz, gdzie leziesz! Prosto pod koła się pcha i jeszcze pyskuje!

– Piesz ma pierwszeństwo! Nie uczyli cię?

– Wal się.

– Sam się wal.

Drzwi sklepu jednocześnie usiłovali sforsować Zdzisiu Recydywka i jakiś młody obcy facet, na którego twarzy popołudniowe słońce wyraźnie uwydatniło mozaikę czerwonych pryszczu. Nikt nikomu nie powiedział dzień dobry, nikt na nikogo nie spojrział. Zaintrygowana Laura wyprostowała się na krześle i obserwowała niemile widzianych klientów.

– Węgiel do grilla i podpałkę ma?

– Tak, tam na prawo, zaraz za wodami.

– A kielbasy?

– Są.

– No to, że są, to sam widzę, a nie może pani czegoś polecić, tak po ludzku?

– Mogę, tylko należy zadać inne pytanie, nie czy są, tylko jakie pani poleca.

– Patrzcie, pyskować mi tu będzie. Z szefem proszę.

– Nie ma szefa.

– To zadzwoni do niego.

– Nie zadzwoni.

– A to niby dlaczego?

– Bo jest sobota, a w sobotę centrala nie pracuje. Przyjdzie w poniedziałek i sobie zadzwoni.

– Co za bezczelność. Skargę napiszę.

– Oczywiście. Podać coś jeszcze?

– Nie. – Facet sypnął pieniędzmi i dynamicznie, potykając się na progu, zniknął za drzwiami. Po chwili wrócił wściekły, wołając: – Zapałek mi nie dała!

– Nie prosił.

– Bezczelna pinda. To chyba oczywiste, że potrzebuję zapałek.

Wyprowadzona z równowagi Laura poczuła, że oto niespiesznym krokiem nadchodzi jej chwila, i z pełnym zadowoleniem oświadczyła spokojnym, dobitnym głosem:

- Nie ma.
- Jak to nie ma?
- Zwyczajnie.
- To da mi zapalniczkę.
- Skończyły się.
- Jak to się skończyły? Jak ja tu widzę.
- Te są sprzedane. Ten pan je kupuje. – Palcem wskazała gmerającego między regałami Potockiego.
- To jak mam grilla rozpalić?
- Nie wiem.
- Kurwa, co za wiocha.

Po chwili usłyszała trzaśnięcie samochodowych drzwi i pisk opon. Gdyby nie pozbruk, pewnie trzeba by po gościu zagrabić ulicę i wyrównać nawierzchnię.

Podczas gdy Laura skupiała się na nieznanym facecie i falach jego pretensji, zadowolony z zamieszania Potocki napełniał liczne, rozsiane po całej brudnej, sztywnej odzieży kieszenie różnymi dobrami. I tak po kilku minutach zaplątane w podszewkę spodni i kurtki zmieniły adres złączki, śrubki, puszka tuńczyka i małe zgrabne obcęgi. Ze względu na rozmiary do kasy dotarł tylko wielki zwój drutu, którego nie sposób było ukryć przed na powrót czujnym wzrokiem sprzedawczyni.

- To wszystko?
- Nie, jeszcze niech mi da chleb. Parówki ma?
- Tak, cienkie czy grube?
- Jak cienkie? Grube da, z kilogram. A boczek ma?
- Wędzony czy gotowany?
- A który bardziej pachnie?
- Wędzony.
- To z pół kilo.
- Proszę.
- A, i wino.
- Białe czy czerwone?
- Białe to siki, czerwone da, to co zwykle.

Laura schyliła się do najniższej półki, by sięgnąć po zieloną flaszkę wina marki wino, a w tym czasie dwa snickersy wylądowały w lewym rękawie Potockiego.

- Ile się należy?
- Czterdzieści siedem, piętnaście.
- Zdzierstwo.

Podał wygnieciony niebieski banknot i pospiesznie zgarnął resztę. Szybko zniknął za drzwiami. Miał nadzieję, że podczas wizyty w sklepie dowie się czegoś więcej od plotkujących bab. Niestety, znowu miał pecha, bo nie dość, że nie spotkał nikogo znajomego po drodze, to jeszcze wpadł na tego bezczelnego letnika, pewnikiem jakiegoś prezesa ze stolicy.

Z ciężkim, dużym wiankiem drutu zarzuconym na ramię i papierosem w ustach, włókł się noga za nogą w kierunku chałupy, snując plany na najbliższe dni. Doskonale zdawał sobie sprawę, że musi być bardziej ostrożny, a kontakty z handlarzem, który raz na tydzień pojawiał się wieczorem pod jego bramą, ograniczyć do minimum.

I choć do domu miał rzut beretem, niespodziewanie szczęście w osobie Wolskiego stanęło mu na drodze.

– A kaj sąsiad idzie?

– A kaj niby? Do chałupy.

– A na co Potockiemu tyle drutu?

– Płot się ledwie trzyma, to żem pomyślał, że podreperuję.

– A słusznie. Co to się teraz dzieje... Uważać na siebie trza.

Zdzichu zastrzygł uszami i już wiedział, że niczym gołąb pocztowy trafił prosto do celu.

– Niech no sąsiad opowie. Bo ja na tym zadupiu to nic nie wiem.

– Jak to? A nie słyszał Potocki o tych kotach?

– No, coś żem słyszał. Psy nawet do mnie przylazły wypytać, czy mam z tym coś wspólnego. Psie macie.

– No widzi sąsiad, co to się porobiło. Nie wiedzą kto, to rozpytują po wsi.

– Taaa, i porządnych ludzi się czepiają.

Wolski nie do końca był przekonany o nieskazitelności rozmówcy, ale tak samo ciekawy jak Potocki nadstawił uszu i nieudolnie usiłował wydusić jakieś nowinki.

– A Potocki co widział?

– A co żem miał widzieć? W chałupie siedzę, nigdzie nie łążę, to niby co mam widzieć?

– Ale po lesie się włóczy, sam widziałem, to może co zauważył?

– Panie, co miałem w krzakach widzieć, chyba ino jagody.

– Ano tak, obrodziły ponoć.

– A bo ja wiem...

– To po co do lasu chodzi?

– A co, nie wolno? Na spacer se ide. Lepiej w las niż w ludzi.

– Ano to świnta racja.

– A Wolski widział te światła wczoraj wieczorem?

– Jakie światła?

- A na sygnale coś gnało.
- A, to. Do sołtysa karetka jechała.
- A co się stało?
- Nic, nic. Jednego letnika szerszeń uzał i facet prawie się udusił. Mówię panu, te miastowe to takie delikatne, że nie wiem.
- No. Żem myślał, że to znowu psy po wsi węszą.
- A gdzie tam. Dupy im się nie chce ruszyć, jak co dużego się dzieje, a co dopiero durnymi kotami się zajmować.
- No właśnie. To z Bogiem.
- Ano z Bogiem.

Było to pierwsze od lat westchnienie Potockiego do Boga. Zadowolony z siebie, pogwizdując, doszedł do chałupy, wymacał ukryty wśród dachówek klucz, otworzył niemiłosiernie skrzypiące drzwi i z łomotem zrzucił z ramienia ciężki zwój. W sieni panował nieprzyjemny zaduch potęgowany smrodem psującego się jedzenia. Niezidentyfikowane źródło wydzielało gęsty odór, który panosząc się po całym domu, czynił przebywanie w nim nieznośnym. Niewiele było potrzeba, by zgniłe miazmaty doprowadziły do rozprzestrzenienia się jakiejś zarazy.

Potocki wydawał się nieczuły na zewnętrzne bodźce. Wyłożył na stół podebrane w sklepie fanty, z niesmakiem przyjrzał się pełnym orzechów batonom i poczuł napierający z wielką mocą głód. Zdjął dwie fajerki z kuchni, podrzucił drewna na tłące się od rana węgle, ustawił wypełniony do połowy zimną wodą niebieski emaliowany garnek i wrzucił do niego trzy grube parówki. Odłamał kawał chleba, posmarował grubą warstwą smalcu ze skwarkami i przebił się przez twardą skórę pięcioma żółtymi zębami, które po latach unikania pasty do zębów ostały mu się w ustach niczym ocalałe po wielkiej wojnie niedobitki, ranione próchnicą i paradontozą. Ciamkał coraz bardziej płynną papkę i snuł inżynierskie projekty, co powstanie z zakupionego drutu. Ogarnęła go błoga melancholia. Czuł się niczym niezagrożony, bezpieczny we własnym gnieździe, niemal szczęśliwy.

Ostatni dzień szkoły, pierwszy dzień wakacji i pierwszy dzień prawdziwych poszukiwań potencjalnej Zosi. Z naręczem podwiedniętych kwiatów wracam do domu przepełniona koktajlem radości i niepokoju. Po raz pierwszy cieszy mnie to, że Monika mieszka z ojcem. Mam czas dla siebie, nie muszę gotować obiadów, jem, co chcę i kiedy mam ochotę. Nie muszę ciągle sprzątać mieszkania, bo nikt w nim nie bałagani. Nikt niczego nie żąda, nie oczekuje i nie chce. I byłby to idealny stan umysłu, gdyby nie Zośka i cała związana z nią niepewność, a może raczej ciekawość, i gdyby nie Monika, jej różowe włosy i starszy chłopak.

Mimo że wskazówki zegara dopiero leniwie podążają w kierunku godziny czternastej, czuję, że zasługuję na lampkę białego wina, które w przypływie natchnienia wczoraj wieczorem włożyłam do lodówki.

Włączam muzykę i pozwalam, by smętne *Hallelujah* Leonarda Cohena zawładnęło kubaturą mieszkania. Przymykam oczy i powoli skupiam się na tym, co powinnam wrzucić do walizki. W środę wyjeżdżam do Koniuszek. Staruszek czerwony nissan micra jest w stanie pomieścić tylko rzeczy pierwszej potrzeby, a ja nie mam pomysłu, co to będzie. Mimo upałów postanawiam dorzucić do bagażnika kalosze, sięgam też po deskę do krojenia i zastanawiam się, czy niewielki leżak, który stoi na balkonie, wciśnie się między siedzenia kierowcy i pasażera.

Powinnam też kupić coś Zośce. No, może nie powinnam, ale byłoby miło. Może uda mi się jednak do niej zbliżyć bardziej, niż podpowiada rozum. Tylko co by to miało być? Co jej sprawi przyjemność albo może co jej się przyda? Nie wyglądała na kogoś o rozbudzonych potrzebach. Raczej sprawiała wrażenie skromnej, a nawet odrobinę zagubionej. I ten jej czarny sweter w środku lata. Kosmetyki? A może coś do ubrania? Jedno i drugie wydaje się zbyt osobiste. Przecież nie kupię jej niczego do domu. A może właśnie tak? Jakaś fajna aromatyczna świeca? A może coś do kąpieli?

Szlag trafił spokój. Wiercę się na kanapie i gubię w domysłach. Tak bardzo chciałabym rzucić się jej na szyję, przytulić. Razem byśmy płakały, wybaczyły sobie wszystko i pełne zrozumienia wiodły szczęśliwe życie. Dziewczyny, moje dziewczyny by się zaprzyjaźniły i żyłybyśmy długo i szczęśliwie. Dzięki naiwnemu optymizmowi zapadam w marzenia, które, jak zwykle brutalnie, przerywa dźwięk telefonu.

– Słucham! – Nie patrząc na niebieski ekran, prawie wrzeszczę w słuchawkę.

– Mamo, to ja.

Trzeźwieję, prostuję się i z napięciem wsłuchuję w głos córki.

– Cześć, Monika. Co tam?

– Mogę przyjść?

– Jasne, przecież to twój dom.

– OK, zaraz będę.

Rozłączam się i przeczuwając zbliżające się kłopoty, duszkiem dopijam wino. Prawie się krztuszę, gdy kolejny raz odzywa się telefon. Pewna, że to córka, radośnie wołam:

– Tak?

– A ty coś taka zadowolona? Masz satysfakcję?

Cholera, to Paweł. Wściekły.

– Cześć, myślałam, że to ktoś inny. O co chodzi?

– Jak to o co? O Monikę. Gówniara jedna. Co ona sobie wyobraża?

– Nie rozumiem.

– Nie mów, że o niczym nie wiesz!

– Nie, a co się dzieje?

– Wiesz, że wyjeżdżamy? To znaczy z Klaudią i małą.

– Obiło mi się o uszy. Podobno zapomniałeś, że masz dwie córki, i do Włoch zabierasz tylko jedną.

– Przestań mi tu dogryzać.

Przezornie milczę w oczekiwaniu na bombę.

– Czy ty wiesz, co ona wymyśliła? Przyszła dziś z tym całym włochatym Kamilem i oświadczyła, że jak nas nie będzie, to on się nią zajmie i pomieszka u nas, dasz wiarę?

Znając pomysły naszego dziecka, niestety dam.

– I co?

– Jak to co? Czy ty naprawdę sobie wyobrażasz, że jakiś stary obcy dziad będzie tu mieszkał? Wycierał się w mój ręcznik, może jeszcze golił moją maszynką?

– A co ja mam do tego? Podobno uznałeś, że Monika jest dorosła i odpowiedzialna i może zostać sama.

– No właśnie dorosła wcale nie jest!

– Wiem o tym doskonale, ma przecież dopiero szesnaście lat.

– To dlaczego nic nie zrobiłaś? Nic nie powiedziałaś?

– A co miałam mówić? Wielokrotnie usiłowałam wytłumaczyć ci pewne rzeczy, ale zawsze wiedziałeś lepiej. Zresztą i tak teraz jest pod TWOJĄ opieką i to są TWOJE decyzje.

– Oboje jesteśmy jej rodzicami.

– Szkoda, że nie pamiętałeś o tym w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

– Zawsze musisz się kłócić?

– Nie mam zamiaru, po prostu nie wiem, po co do mnie dzwonisz.

– Zrób coś z tym.

– Niby co?

– Weź ją do siebie.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale to nie jest kot, któremu pakujesz miskę, kuwetę i wywozisz, dokąd zechcesz. To dzieciak, który musi mieć stabilne gniazdo!

– No właśnie. Musisz jej to zapewnić. Ona nie może pomieszkiwać, gdzie chce. I jeszcze ten facet. Czy ty wiesz, że ona ma zamiar z nim zamieszkać? Z nim i jego kumplami w jakimś squacie. Paranoja.

Nie mogę nie przyznać mu racji: to więcej niż paranoja. Obawiam się jednak, że to jedna z tych rzeczy, która wkrótce, bez mojej interwencji, może się stać przykrą rzeczywistością.

– Słuchaj, zostawię ci trochę kasy ekstra, tylko się nią zajmij. Może gdzieś wyjedźcie.

– Nie musisz kusić mnie dodatkową kasą, wystarczy, że zapłacisz zaległe alimenty.

– No dobra, coś tam ci zapłacę. To jak będzie?

Dzwonek do drzwi przerywa tę nedorzeczną dyskusję. Obiecuję, że się odezwę, i pospiesznie kończę rozmowę.

W drzwiach stoi Monika. Niemożliwie rozczochrane stworzenie wypełnione po kokardę mieszaniną wyrzutów, oczekiwań i roszczeń. W jej postawie jest jednak coś, co sprawia, że robi mi się jej żal, i odruchowo, wyzbyta jakiegokolwiek strategii, zwyczajnie przyciągam ją do siebie i mocno przytulam, poklepując po plecach.

W młodej najwyraźniej coś pęka, bo czuję, jak jej pierś coraz gwałtowniej faluje, a ramionami wstrząsają niekontrolowane drgania. Po policzku Moni spływa pierwsza łza, a za nią, w chaotycznej mieszaninie szlochów, smarków i głębokich, groźących hiperwentylacją oddechów, suną kolejne.

– Ciii, nie płacz.

Niespodziewanie mój wzrok ogniskuje się na facecie, który czai się dwa metry od nas. Stoi z rękami wciśniętymi w bufiaste, szare lniane spodnie, ni to szarawary, ni to nie wiadomo co, i świdrującym wzrokiem, pełen napięcia wpatruje się we mnie, jakby usilnie pragnął przeniknąć mój umysł. Odruchowo cofam się o krok, pociągając za sobą Monikę. Ten nieznaczny ruch wytrąca nas z uścisku i delikatnie odsuwamy się od siebie.

– Mamo, to Adil, poznajcie się.

Adil, który z fizjonomii bardziej przypomina chłopka-roztropka, bez najmniejszego uśmiechu, z kamienną twarzą podaje mi zimną, wręcz lodową dłoń.

– Dzień dobry. Jestem Adil, to w hindi znaczy szczerzy. Kiedyś Kamil.

– Dzień dobry. Aleksandra, mama Moniki.

Mierzymy się wzrokiem jak dwa wrogo nastawione lwy, które osaczyły ostatnią na sawannie antylopę. Adil ma ze czterdzieści lat, zaawansowaną łysinę

przechodzącą w nieliczne dredy, pozostałość po blond włosach. Włosy najwyraźniej zmieniły miejsce zameldowania, bo dla odmiany zagnieździły się gęstą uprawą na pozostałych, widocznych częściach ciała. Nie chcę myśleć gdzie jeszcze. Cały jest omotany mnóstwem koralików i w dodatku pachnie podejrzenie, jak kadzidełko albo skręt z marychy. Bez skrępowania prezentuje porośniętą krzakami siwych włosów chudą klatkę piersiową, która wyłania się z rozchełstanej białej koszuli.

Wygląda jak skrzyżowanie psychologa z prorokiem i pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nie został duchowym przewodnikiem mojej córki. Czuję, że oczy zaczynają niebezpiecznie sterczeć z mojej twarzy, a krew swobodnie spływa w kierunku stóp.

– Mamo, to mój chłopak.

Chryste Panie. To coś ma być moim zięciem? Zupełnie nie jestem przygotowana na taką rewelację i nie potrafię zapanować nad emocjami. Gestem zapraszam ich do środka, usilnie próbując znaleźć rozwiązanie tej dziwnej sytuacji. Ja – wieczna gaduła, nauczycielka doceniona kilkoma nagrodami – nagle nie wiem, co mam powiedzieć, jak się zachować. Wydaje mi się, że najbezpieczniej będzie zaproponować herbatę, ale niestety dysponuję tylko czarną, i to w dodatku w torebkach, co zapewne nie spełnia filozoficznych i kulturowych standardów dziwadła.

– Przyszłam tylko po rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Wyprowadzam się.

– Myślałam, że już to zrobiłaś.

– Teraz wyprowadzam się naprawdę. Będę mieszkać w squacie.

– Czyli gdzie?

– W kamienicy na Starym Mieście.

– Wynajmujecie mieszkanie w kamienicy?

– Nie, to pustostan, ale dobrze zachowany. Adil tam mieszka razem ze wszystkimi.

– A kim są ci wszyscy?

– To buddyści.

– Od kiedy ty jesteś buddystką?

– Od niedawna.

– No proszę.

– Czy ty zawsze musisz być taka?

– Jaka?

– Ironiczna.

– Ironiczna? Ja tylko jestem ciekawa.

– Idziemy, mała?

Kamil vel Adil zachowuje się, jakby mnie nie było. W dodatku z kieszeni wyjmuję bibułkę, jakiś tytoń i zaczyna pracować nad skrętem. Nie wiedziałam, że buddiesi palą, no ale on jest przecież tylko krajową podróbką, więc w zasadzie czemu nie?

– W tym domu się nie pali.
– OK, OK. Mała, idziesz?
– Monika, nie zgadzam się.
– Ty jak zwykle swoje. Jesteś taka sama jak ojciec. Pewnie kasy też mi nie dasz?

- A ojciec ci nie dał?
- Powiedział, że nie ma.
- To tak jak ja.
- Ale ja potrzebuję! Muszę zacząć samodzielne życie.
- W samodzielnym życiu samemu się zarabia.
- Ale ja się uczę.
- No właśnie. Dlatego to jeszcze nie jest samodzielne życie.
- Ale ja bez kasy nie mogę tam zamieszkać.
- A co ja mam z tym zrobić?

Wbrew sobie, ogarnięta ciekawością, chcę się dowiedzieć, na jaką kwotę liczy moje wchodzące w dorosłość dziecko. Okazuje się, że wystarczą banalne dwa tysiące, by urządzić sobie życie na nowo w jakiejś zaplutej ruderze. Oczywiście nie dysponuję taką gotówką, ba, nawet na koncie nie mam takich pieniędzy, co więcej – zdolności kredytowej, a co dopiero chęci oddania ich jakimś oberwańcom.

Dopiero teraz zauważam, że zniknęła lycra i moje dziecko dokonało odkrycia, że przemysł tekstylny oferuje nie tylko skóropodobną przykrótką odzież, ale również bawełnę i len. Jej przewiewna, długa do kostek sukienka koresponduje z mnóstwem metalowych bransoletek i łańcuszków, a rzemykowe sandały sprawiają wrażenie wygodnych.

– Słuchaj, Moni, nie mam czasu. Bierzesz kasę i spadamy albo z nami koniec.

– Zdobędę te pieniądze, tylko daj mi czas.
– Nie taka była umowa.
– Wiem, ale mówiłaś, że mnie kochasz i to nie jest takie ważne.
– Nie było. Ale teraz wszystko się zmieniło, zresztą sama widzisz. U nas nie mieszka się za free. Poza tym mówiłaś, że masz dzianych starych, że już skończyłaś szkołę, a ty jakaś małolata jesteś, nie chcę przez ciebie mieć problemów. Nara.

- Kamil, poczekaj. Nie zostawiaj mnie. Co ja teraz zrobię?
- Nie wiem. Co chcesz. Jakby co, to wiesz, gdzie nas szukać.

Czyżby moje dziecko dostało kosza od jakiejś podejrzaney sekty? Czy matkę

może spotkać większe szczęście? Mam ochotę skakać z radości i satysfakcji, ale wycofuję się na boczne pozycje i przyczajona obserwuję rozstanie Moniki z pseudonarzeczoną.

– Mogłaś nazbierać dobrej karmy, ale najwyraźniej nie chcesz. Jak zmądrzejesz, możesz do nas wrócić.

– Ale przecież mówiłaś, że się mną zaopiekujesz!

– Bobym się zaopiekował. Ale ty nawet do pracy nie możesz iść. Ile masz lat? Szesnaście, siedemnaście? To są jakieś jaja.

– Jakoś wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– A, daj spokój. Nara.

Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają, ale nikt nie wspomina, jakim od czasu do czasu można być farciarzem, gdy zwyczajnie się ich nie ma. Pewnie gdybym była bardziej dziana i tolerancyjna, moje dziecko niebawem zgoliłoby różowe włosy, nakleiło na czoło jakiegoś gluta, zamknęło się w buddyjskim klasztorze i co rok rodziło małe buddysiatka. Dzięki ci, Panie, za biedę. Choć niezbadane są ścieżki, którymi kroczysz, w tym wypadku wyprowadziłaś mnie z labiryntu.

Drzwi za Adilem się zamykają, a Monika, niczym mała dziewczynka, której wypadły z ręki dopiero co kupione lody, zaczyna lamentować i szlochać. Jeszcze głośniej, gdy usiłuję ją pocieszyć. W końcu podrywa się i trzasnąwszy drzwiami, znika w swoim pokoju. Po chwili ciszy mieszkaniem wstrząsa rezonans basów dobywających się z głośników jej sprzętu i wycie jakiegoś opętanego apokaliptyczną wizją miłości wokalisty, który zapewne, podobnie jak moje dziecko, w wieku kilkunastu lat doświadczył bólu po utracie jedynej miłości i nie znajduje recepty na kolejne siedemdziesiąt lat biegania po tym padole.

Mam tylko nadzieję, że sąsiedzi nie podpiszą petycji o eksmitowanie nas z budynku. Z drugiej strony, nie wiem, co jest bardziej uciążliwe: moje dziecko z okazjonalnym misterium rockowego koncertu we własnym pokoju czy sąsiad z góry z niedosłuchem na granicy kompletnej głuchoty i telewizorem nastawionym na cały regulator przez pół dnia.

Oszaleję. Nalewam sobie kolejną lampkę wina i zastanawiam się, co powinnam zrobić. Może przejść na koniak?

Teresa ma ekskluzywne poczucie humoru. Tylko jedna osoba śmieje się z jej dowcipów i niestety zazwyczaj jest to ona sama.

Dziwnym trafem wstała dziś wcześniej i przed wyjściem na najważniejszą w tygodniu mszę – sumę w samo niedzielne południe – postanowiła uprzykrzyć swoim towarzystwem życie prasującej bieliznę Laurze. Rozsiadła się, chichocząc, na starym rozklekotanym tapczanie w stołowym i ociera łzy z rumianej twarzy.

– Mówię ci, sołtysowa wyglądała, jakby ducha zobaczyła.

– Mamo, to nie jest śmieszne. Facet prawie umarł.

– Ale przecież nie umarł. Czym tu się martwić?

– Mogło się skończyć tragicznie.

– Przestań. Co cię ugryzło? A widziałas tego narzeczonego Aśki?

– Yhm.

– I co? Niezły, nie? Sołtysowa mówi, że to coś poważnego. Widzisz? Ta Aśka to się umie zakręcić. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz, żeby ci pomogła.

– Rozmawialiśmy już na ten temat.

– Wiesz, ona jest taka fikuśna.

– Im mniej gustu, tym więcej fikuśności.

– Co tam mówisz?

– Nic, nic.

– Wiesz, że mają wyjechać za granicę?

– To świetnie, tylko co mi do tego? – W skrytości ducha Laura życzy sobie, by stało się to możliwie jak najszybciej, żeby wreszcie nie musiała wysłuchiwać peanów na jej cześć.

– Też byś mogła coś osiągnąć.

– Niby jak? Mam znaleźć sobie karka i z nim wyjechać? A kto będzie się zajmował kurami, obejściem i wami?

– Ano tak, widzisz, jakie to życie jest niesprawiedliwe.

Teresa nadal nie wpadła na to, że główną przyczyną niepowodzeń życiowych córki i przeszkodą w osiągnięciu przez nią szczęścia w życiu jest ona sama. Była typem kobiety, która wciąż czyha na sytuację, w której mogłaby się wściec albo zrobić awanturę. Żyła od kłopotu do problemu, od obawy do paniki, pociągając za sobą w mroczne otchłanie najbliższych, odbierając im jasne perspektywy i radość.

Jednocześnie czuła się spełniona w zatwardziałej wierze, że świat został stworzony w siedem dni i wszystko, na długo przed narodzinami człowieka, zapisane zostało w niebie. Hołdując filozofii: jakiego mnie, panie Boże, stworzyłeś, takiego mnie masz, nie podejmowała najmniejszej pracy nad sobą, za to sporo

wymagała od innych.

Laura miała tego szczerze dosyć.

– Co z ojcem? Wstał już?

– A popatrz, nie zaglądałam.

– To ja pójdę, a ty wstaw wodę na herbatę. Jeszcze zdążymy wypić.

– Jak tam chcesz. Ja wolę nic nie pić, bo wiesz, potem musiałabym do toalety, a w kościele to człowiek przez takie coś to i modlić się nie może.

Laura wyszarpnęła wtyczkę z kontaktu i z ulgą opuściła matkę. Sama ubrana w prostą, ale odświętną sukienkę gotowa była do wyjścia z rodzicami do kościoła. Zrobiło się tak gorąco, że mimo niewielkiej odległości postanowiły pojechać samochodem. Uznały, że nawet przy braku klimatyzacji będzie to mniej męczące niż piesza wędrówka.

Przeszła przez sień na drugą stronę domu i delikatnie zapukała do drzwi swojego dawnego pokoju, który aktualnie zajmował Leon, lata temu wyproszony z sypialni przez małżonkę z powodu chrapania. Odpowiedziała jej cisza, zastukała więc głośniejsze, a ponieważ nadal niczego nie usłyszała, w przekonaniu, że ojciec postanowił zajrzeć do stajni, weszła do pokoju. Rolety były spuszczone i panowała w nim ciemność, jakby wciąż była głęboka noc. Pociągnęła za taśmę i pozwoliła, by słońce wdarło się do środka. Wyciągnęła rękę, żeby otworzyć okno, i w tym momencie jej wzrok spoczął na łóżku i śpiącym Leonie. To dziwne, zawsze taki czujny, a tym razem się nie poruszył.

Serce zaczęło gwałtowniej pompować krew i Laura w przeczuciu najgorszego krzyknęła:

– Mamo, mam, chodź tu szybko, z ojcem coś jest nie tak!

W jej umysł wdarła się straszna myśl, że właśnie po raz pierwszy widzi trupa. Panicznie bała się go dotknąć, ale poczucie obowiązku i nikła nadzieja, że ojciec jednak żyje, spowodowały, że się przemogła i potrząsnęła go za ramię.

Był sztywny i zimny. Oczywiście się nie poruszył. Przykryty po szyję grubą pierzyną sprawiał wrażenie spokojnie śpiącego. Do pokoju wtoczyła się biała, wężąca nieszczęście Teresa.

– Co się stało?

– Ojciec chyba nie żyje...

– Jezu, Maryjo, co ty, dziecko, mówisz?! – Teresa dopadła do męża i zaczęła nim gwałtownie szarpać. – Leon, to ja, Teresa. Leon!

Laura objęła tłuste ramiona matki, tuląc się do niej bodaj pierwszy raz w dorosłym życiu. Teresa, zeszywniała jak martwy małżonek, stała w osłupieniu nad łóżkiem, nie potrafiąc wydobyć dźwięku. Po chwili wolno poruszające się trybiki w mózgu złożyły obraz w całość i sprawiły, że nieziemska siła rzuciła ją na kolana. W tej pozycji zaczęła zawodzić niczym średniowieczna płaczka:

– Leon! Mój Leon! Jak mogłeś mi to zrobić? Jak mogłeś? Co ja bez ciebie

poczną! Nie zdążyłam ci powiedzieć, że cię kocham. Słodki Jezu, co my teraz zrobimy? Co my zrobimy!

Wszystkie jej uczucia jak zwykle były związane z praktycznymi sprawami, w których centrum znajdowała się ona i jej potrzeby.

Laura po raz pierwszy tak bezpośrednio zetknęła się ze śmiercią i zupełnie nie wiedziała, co powinna w tej sytuacji zrobić. W końcu doszła do wniosku, że najważniejszym krokiem będzie telefon na pogotowie. Pewnie tam powiedzą, co w tych okolicznościach począć.

Podczas gdy karetka wiozła lekarza, Laura wsiadła w samochód i pojechała po księdza. Proboszcz, który między jedną a drugą mszą zajęty był spożywaniem sutego śniadania, w myśl zasady, że to najważniejszy posiłek dnia, pochłaniał kolejne smażone przez gospozię naleśniki. Zasada ta przestawała obowiązywać w porze obiadu i kolacji, bo te posiłki stawały się wówczas równie istotne jak poranny, skutkiem czego z roku na rok kolejne sutanny stawały się przyciasne, a wielki brzuch coraz trudniej było dźwigać z godnością.

Pukanie do drzwi i nagłe przerwanie posiłku wytrąciło go z równowagi. Kto, do diaska, ma czelność mu przeszkadzać? Ludzie przyzwoitości nie mają. Fala niezadowolenia wylała się, jeszcze zanim Laura przekroczyła próg plebanii.

– Do jasnej ciasnej! Kto tam?

Gospożia wpuściła ją do środka i nim Laura wyjaśniła, o co chodzi, proboszcz zaatakował ostro:

– Czy ty, dziewczyno, serca nie masz? Musisz w śniadaniu przeszkadzać?

– Ojciec nie żyje!

– Jak to nie żyje?

– Zmarł w nocy. Może ksiądz przyjechać?

– No chyba nie mam wyjścia?

– To poczekać na księdza?

– Nie, jedź do domu i módlcie się, zaraz dojadę.

Roztrzęsiona Laura wycofała się do samochodu, a wielebny z niesłabnącym apetytem wrócił do jedzenia. Nałożył grubą warstwę marmolady na naleśnik, zwinął go w rurkę i jakby nigdy nic delektował się słodkością, która przyjemnie pieściła jego kubki smakowe.

Wreszcie dopił równie słodką herbatę i ciężko dźwignął się z krzesła. Niemilo zaskoczony wiadomością, która zepsuła mu nie tylko niedzielny poranek, wsiadł do samochodu. Resory jęknęły pod jego niebagatelnym ciężarem. Z trudem zmieścił się za kierownicą i sapiąc, ruszył przed siebie, myśląc o tym, że Leon tak jak cicho żył, tak cicho odszedł.

Mamy ciche dni. Monika zamknięta w sobie i w swoim pokoju wychodzi tylko po coś do jedzenia i do toalety. Postanawiam odpuścić i dać jej spokój, żeby znowu w jakiś sposób nie zrazić jej do siebie. W końcu dochodzę do wniosku, że milczenie zaczyna nam obu ciążyć na tyle, że dojrzałyśmy do poważnej rozmowy. Delikatnie pukam i wchodzę do ciemnego pokoju. Potykam się o jakieś książki i boleśnie uderzam stopą w nogę łóżka.

– Cholera. – Całą siłą woli skupiam się na tym, by nie wybuchnąć i nie skomentować bałaganu. Po omacku udaje mi się opaść na skraj materaca. – Monika, możemy pogadać?

– Niby o czym?

– O nas.

– Znowu będziesz truć?

– Nie, nie będę. A ty?

– Co ja?

– Będziesz truć? – Czuję, jak wzrusza ramionami i czeka, co będzie dalej.

– Słuchaj. Nie mówiłam nic wcześniej, bo sama nie wiedziałam, jak to się ułoży, ale postanowiłam oderwać się od problemów i zarezerwowałam domek nad jeziorem. Chciałabym, żebyśmy pojechały razem.

– Bez sensu.

– Nie wiem, być może, ale po co mamy tkwić w bloku w mieście, skoro tam będziemy miały kawałek plaży dla nas, las i ciszę.

– Wolę zostać ze znajomymi.

– A oni nie wyjeżdżają?

– Niektórzy.

– No widzisz? Fajnie będzie.

– Raczej nudno.

– Jeśli chcesz, możesz kogoś do nas zaprosić. Pewnie znajdzie się dodatkowe łóżko. Zresztą, jeśli nie będzie ci się podobać, odwiozę cię do domu. Co ty na to?

Mimo braku entuzjazmu następnego dnia wywlekamy walizki i usiłujemy w nich upchnąć zawartość szaf. Rzeczy Moniki są porzucane po dwóch mieszkaniach i teraz młoda biega między klatkami, znosząc kolejne naręcza ciuchów. Jej walizka jest taka wielka, że mam wątpliwości, czy zmieści się do samochodu, ale postanawiam chwilowo przemilczeć swoje obawy. Uznaję, że zamiast leżaka wrzucimy ją na tylne siedzenie. Okazuje się, że podczas krótkiej nieobecności mojej córki jej garderoba się rozrosła, i to znacznie, uzupełniona o kolejne lniane sukienki i wełniane sweterki. Mam nadzieję, że epoka lycry minęła bezpowrotnie.

Niewiele ze sobą rozmawiając, w miarę sprawnie upychamy kolejne siatki w maleńkim bagażniku, dorzucamy kilka kuchennych gadżetów i wreszcie mamy poczucie, że jesteśmy gotowe i możemy ruszać.

Jestem zestresowana, bo po rozstaniu z mężem to moja pierwsza tak daleka wyprawa za miasto. Niby nie jest to kolosalna odległość, bo mamy przed sobą zaledwie dwieście osiemdziesiąt siedem kilometrów, ale zawsze to Paweł prowadził, a ja na miejscu pasażera głównie podziwiałam widoki.

Uzbrojone w mapę i z odpalonym w komórce GPS-em wyjeżdżamy dwupasmówką z miasta. W zasadzie mogłybyśmy jechać autostradą, jednak panicznie się jej boję i wolę wolniej, ale w moim odczuciu bezpieczniej przemieszczać się lokalnymi drogami. Cieszy mnie zaangażowanie Moniki, która z telefonem w ręku czuje się za coś odpowiedzialna i ważna. Oczywiście myli prawo i lewo, więc ustalamy, że do werbalnych wskazówek dołączymy machanie ręką we właściwym kierunku, i tym sposobem po dwóch godzinach udaje nam się pokonać połowę dystansu.

Gdyby nie to, że nie tylko wypoczynek jest moim celem, przeżywałabym chwile ekscytacji i radości. Niestety pokłady niepewności i niesprecyzowanych oczekiwań przygaszają entuzjazm. Z Moniką po raz pierwszy od miesiący rozmawiamy jak matka z córką, bez moralizatorstwa i pretensji. Obie jesteśmy ostrożne i czujne, by nie doprowadzić do spięcia. Traktuję to jak duży sukces. Nie wiem tylko, na jak długo starczy nam optymizmu.

Okazuje się, że nafaszerowane radarami i ograniczeniami prędkości lokalne drogi bardzo niemrawo przybliżają nas do celu. Nie obawiam się mandatu, bo mój stary nissan ledwie się kula, a doładowany walizkami nie ma siły się rozpędzić. Okolica powoli robi się coraz bardziej zalesiona i sielska, co rusz przetykana malowniczymi widokami. Wsie, przez które przejeżdżamy, są zadziwiająco zadbane i czyste. Na każdym kroku widać unijne inwestycje w postaci chodników, nowych barierek i boisk. Nie zmienia to faktu, że tak jak przed laty, również teraz nie widać w nich życia. Króluje ogólny marazm, pogłębiony nieznośnym czterdziestostopniowym upałem.

Mimo otwartych na przestrzał okien jesteśmy spocone i zmęczone. Monika w przerwach między instruowaniem mnie a sprawdzaniem mapy nieustannie pisze esemesy. Dyskretnie nie pytam, z kim się komunikuje, mam tylko nadzieję, że nie z tym czupiradłem. Wreszcie nie wytrzymuję.

- A co u Kamila?
- Nie wiem, nie interesuje mnie ten palant.
- Fajnie, że już ci przeszło.
- No.
- Przepraszam, że pytam, ale powiedz, co ci się podobało w o tyle starszym facecie.

– Seks.

Prawie wjeżdżam w drzewo, niebezpiecznie zahaczając prawym kołem o krawężnik.

– Uważaj!

– Tak, tak, przepraszam. Seks?

– Co się tak dziwisz?

– Ale zabezpieczaliście się?

– Nie, medytowaliśmy, żebym nie zaszła w ciążę.

– Nie wiedziałam, że uprawiasz seks.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

Monika, przyssana wzrokiem do komórki, odpowiada zdawkowo, jakby rozmawiała o sposobie segregowania bielizny do prania, a nie o czymś tak ważnym. No, chyba że dla niej nie jest to istotna sfera.

– Czego na przykład?

– Nie wiem, musiałabym pomyśleć.

– A możesz?

– Znowu przynudzasz. Poczekaj, tylko skończę pisać.

– A z kim esemesujesz?

– Z Kaśką.

– Aha.

Nie znam żadnej Kaśki, ale z ostrożności nie dopytuję. Ufam, że to nie jakaś scjentolożka albo lecząca bioprądami członkini sekty Niebo. Niestety nie dowiaduję się niczego więcej, bo rozmowa z koleżanką całkowicie pochłania Monikę.

Jestem spięta. Ale też bardzo ciekawa. Przez całą drogę, jak przystało na niedzielnego kierowcę, kurczowo ścisnęłam kierownicę, więc napięte mięśnie karku i przedramion bolą mnie jak po ciężkiej harówce w polu. Pokonanie ponad trzystu kilometrów, bo oczywiście do tych dwustu osiemdziesięciu siedmiu należy dodać drogę, którą przebyłyśmy, dwukrotnie błędząc, wykończyło mnie i z utęsknieniem wypatruję tablicy z nazwą Koniuszek.

Zamknięta w swoim świecie Monika rzadko odzywa się sama z siebie. Poza krótkimi komunikatami dotyczącymi drogi prawie nie rozmawiamy. Przestałam ją zagadywać, wychodząc z założenia, że dużym sukcesem jest samo to, że zdecydowała się na wspólny wyjazd. Swoją drogą to wariactwo, że w pewnym wieku dzieci łaskawie zgadzają się na wakacje z nami, a my się z tego cieszymy. Jeszcze do niedawna było tak radośnie odwrotnie. To one podekscytowane czekały na hasło do wyruszenia w świat, a my, skupieni na tym, by ich nie zgubić i by nie stała im się krzywda, na urlopie wcale nie odpoczywaliśmy i schetani wracaliśmy do pracy, żeby głębiej odetchnąć.

Nareszcie. Wjeżdżamy do Koniuszek. Monika przestaje słać esemesy

i sceptycznie rozgląda się po okolicy. Z mapy wynika, że aby dotrzeć do domku w lesie, musimy przejechać przez wieś. W zasadzie nie mogłybyśmy nigdzie skręcić, bo to typowa ulicówka. Za domami widać stodoły i pola. Przed ostrym zakrętem przysiadł dla odmiany niewielki dwupiętrowy blok, zapewne relik po PGR-ze, za którym nie rozciągają się pola, za to horyzont upstrzony jest szeregiem szopek i małych ogródków. Gdzieś wyrasta zardzewiały garaż z blachodachówki, a piaszczyste, porośnięte chwastami podwórko nie doświadczyło nawet myśli o pozbruku czy innej kostce.

Elewację tworzą różnokolorowe balkony, pomalowane tak pstrokato, jakby ogłoszono konkurs na najbardziej neonowy kolor, za to dziewięć mniejszych i większych przyczepionych do muru anten satelitarnych jest zadziwiająco zgodnie białych. Wydaje mi się, że największą ironią w życiu mieszkańca ekologicznej wsi jest gnieźdzenie się w bloku.

Całe szczęście, że jadę bardzo powoli, czujnie się rozglądając, bo gdy mijam zakręt i chcę nieznacznie przyspieszyć, zaskakuje mnie tłumek ubranych na czarno ludzi. W pierwszej chwili mam wrażenie, że napatoczyłyśmy się na jedną z tych lokalnych manifestacji, o których od czasu do czasu mówią w wiadomościach, ale szybko się orientuję, że mam przed sobą kondukt pogrzebowy, który niespiesznie sunie w kierunku małego cmentarza na górcie. Monika po krótkiej analizie dochodzi do tego samego wniosku, bo odruchowo rzuca:

- Ktoś zmarł.
- Najwyraźniej.
- To nieźle zaczynamy wakacje.
- Przestań. Jeśli to nie właściciel naszego domku z kluczami w kieszeni czarnego garnituru, nie mamy czym się przejmować.
- Wcale mi się tu nie podoba.
- Ale co?
- No, wszystko tutaj.
- Przecież jeszcze niczego nie widziałyśmy.
- I tak mi wystarczy. Jakaś megastypa. To jednak nie był dobry pomysł. Możesz mnie już odwieźć.

– Zobaczysz, rozejrzemy się trochę po okolicy i będzie fajnie.

Zatrzymujemy się w pobliskim sklepie spożywczym, który jest wielkości łazienki w bloku, i z nielicznych półek wybieramy kilka podstawowych produktów na kolację. Jesteśmy czujnie obserwowane przez starszą kobietę, która występuje tu raczej w roli detektywa, a nie ekspedientki, jak zapewne ma wpisane w umowie o pracę.

- A panie na pogrzeb?
- Nie.
- Nie? Aha, to pewnie letniczki.

- Tak, przyjechałyśmy na wakacje.
- Ano widzi pani, a tu takie nieszczęście. Nasz Leon zmarł. Znała go pani?
- Nie, jestem tu pierwszy raz.
- A taki dobry chłop był. Wartko go kostucha wzięła. Przecie stary nie był.
- To przykre.
- A żeby pani wiedziała. No, ale... Wiele tych bułek pani wzięła?
- Pięć.
- Ano to będzie trzydzieści siedem.

Podaję jej sto złotych, a ona dalej narzeka, tym razem w zakresie finansowym:

- A drobnych nie ma?
- Przykro mi, ale nie.
- No to nie wydam.
- Ale ja naprawdę nie mam. Mogę kartą zapłacić.
- Kochanieńka, u nas to ino pieniądze. A w kiejdzie drobnych nie znajdzie?
- Gdzie?
- No, w kieszeni znaczy.
- Nie, nie mam. Monika, masz jakieś drobne?

Na szczęście młoda ma swoją kasę, która zawsze jest bogatym zbiorem różnego rodzaju drobników, i wreszcie możemy się uwolnić od gadatliwej jejmości, choć ta jeszcze zdążyła nam opowiedzieć, jak bardzo bołą ją kulasy od tego stania i jak bardzo żałuje, że nie zdążyła zobaczyć Leona w trumnie, i nie rozumie, po co tak szybko wieko zamykali, i że to nie do pomyślenia, i... postanowiłyśmy, że znajdziemy inny sklep.

Zresztą, jeśli mam wytropić potencjalną Zośkę, to sądząc po wielkości regałów, które widziałam za jej plecami, raczej powinnam się skupić na czymś większym niż bożonarodzeniowa szopka.

Planowałam, że obiad zjemy w jedynej w promieniu trzydziestu kilometrów restauracji o szumnej i wiele obiecującej nazwie Paradise, niegwarantującej zapewne rajskiego menu. Teraz nabieram jednak obaw, że została zarezerwowana na stypę, dlatego dorzucam do koszyka dwie chińskie zupki. Zaopatrzenie musi wystarczyć do jutra, a potem, gdy zrobimy rekonesans, z pewnością znajdziemy jakieś bardziej tradycyjne wiejskie produkty.

Klucze mamy odebrać w domu sołtysa. Obawiam się, że on również może towarzyszyć Leonowi w ostatniej drodze, i jestem miło zaskoczona tym, że czeka na nas przejęta kobieta, mniej więcej w moim wieku, z pękiem kluczy i odręcznie nagryzmołoną mapką, z której wynika, że przed nami jeszcze tylko kilka kilometrów i meta.

Asfalt kończy się w połowie klonowej alei i dalej, wzbijając potężne kłęby kurzu, jedziemy piaszczystą drogą. Drzewa rosną coraz gęściej i nim się

orientujemy, jesteśmy w środku lasu, którego cień obiecuje odpoczynek od piekielnych upałów, jakie męczą nas od tygodnia. Nie widać najmniejszego prześwitu, który upewniałby nas, że jedziemy właściwą drogą. Gdy już myślę, że jednak powinnam zawrócić, niespodziewanie ściana lasu się kończy, a naszym oczom ukazuje się łąka jasnego piasku i połyskująca toń jeziora. Zatrzymuję samochód na skraju polany, wypinam pasy i powoli otwieram drzwi. Monika siedzi naburmuszona. Jest mi obojętne, czy wysiądzie, czy nie. Samochód rozgrzeje się zaraz do czerwoności i tak czy inaczej wypluje ją na łono natury.

Pachnie lasem, wodą, owady brzęczą, a tu i ówdzie odzywa się jakiś ptak. Odchylam się nieco, prostuję plecy i nabieram powietrza. Czuję, jak balony płuc rozpychają się, a ciało zalewa fala tlenu, który spowoduje, że za chwilę zrobię się senna. Jest cicho, nie widać żadnego sąsiada, a nasza chałupka, wielkością przypominająca raczej działkową altanę, a nie, jak podawali w ogłoszeniu, domek, kuli się skromnie pod starym wielkim drzewem. Chciałabym wiedzieć, co to za gatunek, ale oczywiście nie mam pojęcia. Jak przystało na mieszcza, z trudnością odróżniam klon od kasztanowca, a co dopiero drzewa w lesie. To jednak nieważne, bo zapowiadają się miłe, zupełnie inne od codzienności wakacyjne dni. Głośne walnięcie drzwiami samochodu mąci ciszę, a nerwowy głos córki, która głośno prychnęła, demoluje nadzieję na radosny urlop.

– I to ma być to?

– Myślę, że tak. Oczywiście na stronie internetowej dom wyglądał okazale, ale chyba nie jest najgorzej.

– Przecież tu nikogo nie ma.

– Właśnie o to chodziło, żeby nikogo nie oglądać.

– Będę się bała tu spać. A jak nas napadną albo coś?

– Niby kto miałby nas napaść? Nie mamy przy sobie nic cennego.

– On może o tym nie wiedzieć.

– Zwariowałaś? Filmów się naoglądałaś i teraz masz jakieś dziwne wizje.

– Nie trzeba niczego oglądać, żeby sobie wyobrazić, jak dwie kobiety są mordowane w środku lasu, na pustkowiu... – Mówił ci ktoś, że jesteś walnięta?

– No, powtarzasz to dość regularnie.

Mam wrażenie, że atmosfera między nami staje się mniej napięta, więc pozwalam sobie na delikatny żarcik.

– Chodź, moja walnięta córko, zobaczymy, co jest w środku.

Wywlekamy z samochodu walizki, ta Moniki oczywiście zaklinowała się między siedzeniem a drzwiami, mnóstwo różnokolorowych sklepowych reklamówek, w których upchnęłyśmy buty, suszarkę, kosmetyki, które nie zmieściły się w kosmetyczce, do tego kurtki i stertę gazet. Taszczymy cały ten majdan pod drzwi z ciemnej dykty i usiłujemy z pęku kluczy wylosować ten właściwy. Naturalnie jest to ostatni klucz na kółku.

Mimo duszącego upału w domu czuć stęchlizną. Najwyraźniej nikt w nim nie przepalał zimą, bo ściany i fundamenty zawilgły i teraz oddają zimno i smrodek.

Mikrokorytarzyk prowadzi prosto do kuchni, wyposażonej zaledwie w zlew, kuchenkę i małą, starą lodówkę postawioną na szafce, będącej niegdyś elementem meblościanki Kowalskiego. Urządzenie zdaje się oddychać, bo regularnie wydobywa z siebie niepokojący charkot. Z kranu kapie woda. Nikt nie wpadł na pomysł wymiany uszczelki, za to położył na odpływie gąbkę do naczyń, która skutecznie wygłusza odgłos kapania.

Kwadratowy stolik, przykryty ceratą w wielkie żółte kwiaty, trzy krzesła i głośno tykający zegar reklamujący Durex – to reszta wyposażenia. Odsuwam plastikowe harmonijkowe drzwi i wchodzę do pokoju, w którym stoją dwa łóżka i kolejna część meblościanki Kowalskiego. Ktoś oblókł poduszki i kołdry tęczowymi poszewkami z kory i rzucił na wierzch brązowe koce z wielkimi beżowymi głowami lwów. Choć to bardzo skromne wyposażenie, jest tu zadziwiająco czysto, co, sądząc po minie Moniki, nie jest dla niej wystarczającym argumentem za tym, by zostać.

Podchodzę do okna i wyłuskuję z fałdów staroświeckich zasłon klamkę. Odsuwam zwój materiału, otwieram drzwi balkonowe i wpuszczam do środka powiew lasu. Przede mną rozpościera się zapierający dech w piersiach widok. Deski tarasu przechodzą w długi, szeroki, nasz prywatny pomost, który tuż nad taflą wody się rozszerza, tworząc idealne miejsce dla dwóch leżaków. Mam nadzieję, że Monia dostrzeże w tym miejscu to co ja. Woda migocze połyskliwie, a delikatny szum trzciny można by pomylić z odgłosem morskich fal.

To jeden z tych dni, które Teresa zapamięta do końca życia. Co prawda to Leon umarł i to on powinien być głównym bohaterem uroczystości, jednak jej udało się skupić uwagę wszystkich. Ubrana w czarną suknię, przywodzącą na myśl namiot, z którego ktoś pospiesznie wyciągnął rurki i pozwolił, by połyskliwy materiał opadł byle jak i byle gdzie, w dziwnym kapeluszu ozdobionym opuszczoną na twarz firanką i niepasujących brązowych butach na trzycentymetrowej szpilce, pociła się obficie.

Usiadła po prawej stronie, w pierwszym rzędzie kościelnych ławek, tuż przed amboną, i zanosiła się płaczem. Mokre, zwinięte w kulki chusteczki higieniczne upychała w niewielkiej torebce z ekologicznej skóry, tu i ówdzie nieładnie poprzecieranej, i rozglądała się w poszukiwaniu współczucia. Wpatrzona w twarze sąsiadów hipnotyzowała ich wzrokiem, by zamiast skupiać się na trumnie, zainteresowali się nią. Laura, ze spuszczoną głową, przytłoczona ceremonią i tym, że siłą rzeczy również znalazła się w centrum uwagi, siedziała po jej prawej stronie. Nie miała już siły ani wysłuchiwać narzekań matki, ani jej pocieszać. Żadne argumenty nie trafiały do Teresy, która nie potrafiła dostrzec, że Laura również straciła jedną z najbliższych osób na świecie.

Ceremonię prowadził obcy, pulchny młody ksiądz, którego widziały pierwszy raz w życiu i który najwyraźniej był stremowany okolicznościami, w jakich się znalazł. Co chwilę się zacinał, jękał i pospiesznie parł do przodu, by jak najszybciej zakończyć mszę i ruszyć w kierunku cmentarza. Mechanicznie wstawiała, siadała, wpatrzona w ławkę. Śpiewała ze wszystkimi i jak automat wraz z innymi ruszyła za powolnym karawanem. Trzymała Teresę pod rękę i marzyła o tym, by ten dzień się skończył. Towarzyszył im zawodzący, co chwila załamujący się fałszywie dźwięk trąbki, wydobywany przez lokalnego artystę muzyka. Jaki kraj, taki Chris Botti.

Tymczasem przed nią była jeszcze stypa, wizyta nielicznej najbliższej rodziny w domu i obowiązki związane z nakarmieniem zwierząt. Tak bardzo nie miała na to ochoty! Chciała zniknąć w pościeli i przespać najbliższe dni.

Paradise, mimo rekordowych upałów, powitał ich gorącym rosołem z dużą ilością pietruszki i makaronu. Wszyscy ochoczo zajmowali krzesła i toczyli banalne rozmowy, w których nie było miejsca dla świętej pamięci Leona. Chlubnym wyjątkiem była Teresa, która wspominała go bezustannie, w ten sam od dwóch dni, monotony sposób.

– Panie, świeć nad jego duszą. Tak mi go brakuje.

– No, mógł chłop jeszcze pożyć.

Kaśka od Szymańskich, jak zwykle zainteresowana życiem innych, pochyliła

się nad półmiskami pełnymi de volaille'ów i schabowych w kierunku wdowy, która rażno nakładała sobie kolejną kopiastą łyżkę parujących ziemniaków.

– Ano mógł. Co ja zrobię sama?

– A bo to pierwsza wdowa we wsi? I jaka tam sama? Laura przecież pani została. A co się właściwie stało?

– Bo to człowiek wie? Całe życie chłop pracował, a robotny był, że nie powiem. Tak latał, że ino piętami po dupie się walił.

– Nie gadaj, sąsiadka, bo Laura mu przecież pomagała. – Wolska nie wytrzymała i włączyła się do rozmowy. Ze złością spoglądała na Teresę. Sama rok temu pochowała męża, a miesiąc po nim syna, który się zapił i w końcu po pijaku spowodował wypadek, na szczęście okazał się w nim jedyną ofiarą. Została sama na gospodarstwie, z pięcioma krowami, dwoma świniakami i stadem kur, a z uwagi na jej niewyparzony język i wrodzoną złośliwość nikt z sąsiadów nie był skory do pomocy.

– A co ona może? Sama jedna, bez chłopa... Dzieci nie ma... Co ona poradzi?

Kaśka postanowiła nie odpuszczać.

– A na co sąsiad zmarł, jeśli można wiedzieć.

– Pewnie, że można! Tylko że nikt nie wie. We śnie odszedł.

– To pewnie zawał.

– Ach, Kasiu, mówię ci... co za kłopot.

– To co sąsiadka teraz robi?

– A co mam, dziecko, zrobić? Laura się mną zajmie, dobra dziewczyna. Tylko szkoda, że chłopa se znaleźć nie umie.

– Znajdzie, niech się sąsiadka nie martwi.

– A gdzie ona tam znajdzie? Młoda już nie jest, to kto ją będzie chciał? No, sama powiedz.

– Eee, przesada.

– Jak patrzę na Aśkę od sołtysa, to żadna przesada. Ta to jest zrobiona, każdy by chciał taką żonę mieć.

Kaśka spojrzała na Laurę, która sztywno siedziała na krześle obok, i zrobiło się jej żal dziewczyny. Z drugiej strony, zdawała sobie sprawę, że w gadaniu Teresy jest jednak sporo prawdy. Laura zapadała się w sobie coraz głębiej. Nie dość, że wyglądała coraz bardziej szaro i nijako, to w miarę upływu lat zatracala też radość życia.

– Laura, a ty jak się czujesz?

– Nijak. Wiesz, ojciec był taki cichy, że czasami miało się wrażenie, że go nie ma. Ale teraz, gdy odszedł na zawsze, uświadomiłam sobie, że bardzo mi go brakuje.

– A co z gospodarką? Sprzedacie?

Laura bała się głośno powiedzieć, że nie marzy o niczym innym, jednak, po pierwsze, nie miała odwagi, po drugie, Teresa wdarła się w rozmowę niczym alkoholik do monopolowego o poranku i głośno zbesztła Kaśkę:

– Dziecko, co ty opowiadasz! Jakie sprzedacie? Przecie to nasza ojcowizna! Z dziada pradziada na tej ziemi siedzimy, to i siedzieć będziemy. A zresztą gdzie byśmy miały z Laurunią iść? No przecie nie do miasta.

Niewygodną rozmowę przerwało dźwięczne stukanie nożem w księżowską szklankę z wodą. Wielebny wstał, wyprostował się, omiótł wzrokiem towarzystwo, przełknął ślinę i wygłosił mowę, do której się nie kwapił, ale wszyscy uważali, że tak się należy.

– Bracia i siostry, kochani. Właśnie pożegnaliśmy naszego brata, który teraz u bram niebieskich stoi i prosi Pana o zmiłowanie. Leon, bo o nim mowa – jakby jeszcze ktoś z grona stanął u TEJ bramy – był dobrym człowiekiem. Wzorowym mężem, ojcem i dziadkiem. Zebraliśmy się, by towarzyszyć mu w ostatniej drodze, jednak nie zapominajmy o naszym bliskim w kolejnych dniach i polećmy go Panu w naszych modlitwach. Był życzliwy dla najbliższych, dla sąsiadów, dla obcych. Wytrwały, pracowity, odpowiedzialny, wielu mogłoby brać z niego przykład. Do potrzebujących wyciągał dłoń, wspierał słabych. Wierny nauce Pana wspomagał Kościół. Odszedł od nas po ciężkiej chorobie w spokoju i ciszy. W ostatnich dniach towarzyszyli mu najbliżsi, żona, dzieci i wnuki. Pamięć o Leonie pozostanie na zawsze w naszych sercach i modlitwie. Żyjmy nadzieją, że niebawem spotkamy się na łąkach Pana. Amen.

Oslupiali żałobnicy spoglądali to na księdza, to na Laure, zastanawiając się, czy byli na pogrzebie tego samego człowieka co młody adept sztuki kapłańskiej.

Wielką nieobecną na pogrzebie była Aśka, która akurat tego dnia miała umówioną metamorfozę u fryzjera i uroczysty obiad zapoznawczy z rodzicami Daniela. Podeksycytowana od tygodnia przygotowywała się do tego wyjątkowego dnia. To przymierzała sukienki, to biegała po galerii oglądać nowe szmatki, zasięgała porad okolicznych ekspedientek, a im bardziej zbliżał się ów dzień, tym bardziej była podeksycytowana.

Wreszcie zdecydowała się na małą czarną, która zdaniem internetowych szafiarek jest strojem na każdą okazję. Bezpieczną, nijaką, potencjalnie elegancką, w której miała wrażenie, że wygląda jak zakonnica. Dlatego postanowiła ozdobić ją czerwoną koronkową bluzką i nietuzinkowymi butami na wysokich złotych koturnach.

Tak wystrojona ruszyła o poranku na pobliski przystanek PKS i po chwili wsiadła do niebiesko-białego autobusu pełnego ludzi. Tworzyła z nimi dziwny kontrast: oni zaspani, w grzecznych mundurkach, które pozwolą im skromnie zasiąść za urzędniczymi biurkami, i ona, niebanalny, zagubiony kwiat nonszalancji i złego gustu.

W mieście przesiadła się do tramwaju i wyruszyła w podróż marzeń wiodącą wprost do największej galerii. Głośno stukając sztywnymi koturnami, omijała kosmicznie drogie, małe luksusowe butikiki, przekonana, że już niebawem niczym *Pretty Woman* stanie się ich stałą klientką. Szeroki gest Daniela i jego kabriolet wydawały się najlepszą przepustką do lepszego świata.

Na dłużej zatrzymała się w popularnej sieciówce, z pogardą przejrzała półki i wieszaki, prychnęła na znudzoną ekspedientkę i wreszcie dotarła do usytuowanego na piętrze salonu fryzjerskiego *Awangard*.

– Dzień dobry, mam umówioną wizytę.

– Pani imię?

– Joanna.

– Ach, pani Asia. Proszę chwilę poczekać, fryzjerka zaraz do pani podejdzie.

– Dobrze.

Opadła na fioletową, pluszową, nabijaną pseudokryształowymi guzami kanapę. Sięgnęła po leżące na stoliku pismo i znudzona zaczęła je przeglądać. W miarę kartkowania jej wizja siebie nabierała kształtów i barw, by po kolejnych minutach eksplodować w obrazie czarnych włosów, z burzą loków i rozkosznym różowym kosmykiem na grzywce.

Zainspirowana włochatą torebką, wyglądającą, jakby uciekła z planu filmu *Potwory i spółka*, uznała, że natychmiast musi stać się jej właścicielką, i postanowiła zaraz po wyjściu od fryzjera nabyć ją w reklamowanym sklepie na

parterze. Dlatego przedłużające się oczekiwanie na usługę coraz bardziej ją irytowało.

– Długo jeszcze?

– Pani Iza już kończy, jeszcze chwila.

Wyluzowana recepcjonistka, zgrabnie przechylona w stronę innej klientki, z nogą wysoko założoną na nogę, nie wydawała się w najmniejszym stopniu poruszona zdenerwowaniem Joanny.

– Ale jak długa chwila?

– Kilka minut, naprawdę. To może ja pani włoski umyję i poleży sobie pani z odżywczką.

Aśka ochoczo rozsiadła się na niewygodnej myjce. Po chwili powieki jej opadły, a rozkosz i odprężenie rozlały się po całym ciele. Recepcjonistka powolnymi ruchami masowała skórę głowy i jednocześnie dawała znaki fryzjerce, żeby się pospieszyła. Nałożyła Joannie grubą warstwę taniej, pachnącej migdałami odżywki, zapewniając, że ten luksusowy produkt sprawi, że włosy staną się jedwabiście gładkie, lśniące i nawilżone, po czym oddaliła się w kierunku milczącego telefonu. Mimo że nie było ruchu, a w salonie przebywały zaledwie cztery osoby, dwie klientki, w tym jedna z głową w myjce, i dwie pracownice, biegnący czas nie pociągał za sobą nikogo z obecnych.

Aśka czuła, jak kark jej sztywnieje i zaczyna coraz bardziej boleć. Dokładnie przyjrzała się plakatowi na ścianie, białym plamom na czarnych kafelkach, przepalonej żarówce i własnym paznokciom i nie miała wątpliwości, że za chwilę wyzionie ducha na tym niewygodnym siedzisku.

– Przepraszam.

Odpowiedziała jej cisza. I gdyby nie pracująca suszarka, ogarnąłby ją irracjonalny niepokój, że może wszyscy sobie poszli. Uniosła głowę i poczuła, jak woda, omijając ręcznik, skapuje jej prosto na plecy.

– Przepraszam, długo jeszcze?

– Nie, nie, chwila.

– Chwila miała być pół godziny temu. Żądam, żeby ktoś mnie wreszcie obsłużył!

– Niech się pani nie denerwuje.

– Jak mam się nie denerwować?! Minęło prawie czterdzieści minut, jak tu siedzę.

– Spokojnie, Iza zaraz do pani podejdzie.

Spokojnie działa na Aśkę jak wyciągnięcie zawlecзки na granat.

– Kurwa, jaja sobie robicie! Macie natychmiast mnie obsłużyć!

Najchętniej zadarłaby kitę i wybiegła, ale z mokrymi włosami sama raczej niewiele by zdziałała w centrum handlowym. Dlatego głęboko oddychając, opadła na fotel przed lustrem i oddała się w ręce fryzjerki nieznającej pojęcia pośpiechu.

– Co robimy?
– Farbę.
– Farbę? To po co pani myła włosy?
– Nie ja myłam, tylko ona mi umyła.
– No, w takim razie nie wiem...
– Ale ja wiem: masz natychmiast zrobić mi farbę. Czarną, z takim różowym kosmykiem, o tutaj.

Sołtysówna w chwilach złości automatycznie przechodzi na ty z rozmówcą, brutalnie omijając uprzejmość i elegancję, nie licząc się ani z wiekiem, ani z pozycją innych.

W efekcie nikt nie proponuje jej kawy ani herbaty, niechętnie podaje czasopisma, jednak dla niej nie ma to znaczenia. Zapatrzona w ekran komórki na nic nie zwraca uwagi. Wreszcie po bitych dwóch godzinach w kruczoczarnej fryzurze, z zasłaniającą brwi, artystycznie asymetryczną grzywką i różowym czymś na spalonych włosach, co przypomina pompon, a nie wystylizowany kosmyk, opuszcza salon.

Zniecierpliwiona zjeżdża ruchomymi schodami na parter, gdzie prawdopodobnie znajduje się torebka jej marzeń. Przy okazji delektuje się swoim odbiciem w szybach witryn. Wydyma usta, zasysa policzki i trzepocze rzęsami w przekonaniu, że właśnie przekroczyła granicę lepszego świata.

Zatrzymuje się przed wejściem do kolejnej popularnej sieciówki i uważnie przygląda prezentującym bajeczne ciuchy manekinom na wystawie. Serce przyspiesza w chwili, gdy jej wzrok pada na złoty łańcuszek wymarzonej torebki. Nie jest jednak jedyna. Dziś pierwszy dzień wyprzedaży i w kierunku regałów zmierza, niczym pielgrzymka chromych do Częstochowy, grupa spragnionych nowych ciuchów dziewczyn.

Godzinę później i kilka stów mniej Aśka wychodzi z wielką papierową torbą w ręku. Wyciąga z torebki komórkę i wybiera numer Daniela.

– Cześć, Misiu.
Zamiast radosnego powitania zalewa ją fala pretensji.
– Do kurwy nędzy, gdzie jesteś?
– No jak to gdzie? W galerii.
– W jakiej, kurwa, galerii? Obiad czeka. Myślisz, że jesteś pieprzonym pępkiem świata? Ziemiaki się rozgotowują, mama jest zła.
– Nie wiedziałam. Przecież ci mówiłam, że najpierw idę do fryzjera.
– Na cztery pierdolone godziny?! Natychmiast masz się tu stawić.
– No tak, tylko nie wiem, gdzie mam jechać.
– Kurwa. Czekaj na mnie i nie ruszaj się. Zaraz przyjadę.

Nim Aśka zdąży wcisnąć czerwony klawisz, wysłuchuje marudzenia o pizdach i idiotkach i nie jest pewna, czy jej się to podoba. W zasadzie wcale się

jej nie podoba, ale jakaś siła sprawia, że staje się pokorna i stoi posłusznie, nie ruszając się w tłumie ludzi. Podświadomość podpowiada jej, że to ostatni moment, by uciec, jednak ciało odmawia współpracy.

Po piętnastu minutach dzwoni telefon.

– Halo?

– Gdzie jesteś?

– Kazałeś mi się nie ruszać, więc stoję.

– Kurwa! Czy ty jesteś taka tępa, czy tylko grasz durną? Zejdź na parking.

– Dobrze, dobrze... Już idę.

– Dalej, tylko na furkocie.

Aśka nie wie, co znaczy „na furkocie”, ale woli nie zadawać pytań i uznawszy, że chodzi o pośpiech, przyspiesza kroku, a po chwili truchta na miejsce spotkania. Nareszcie dostrzega zaparkowany na niebieskim miejscu dla niepełnosprawnych czarny wielki kabriolet. Muza grzeje głośniki i nieprzyjemnym bitem rozpycha się na parkingu.

– Kurwa, co ty masz na sobie! Wyglądasz jak zdzira i chyba cię pojebało z tymi włosami. Tak chcesz się pokazać mamie?

– Myślałam, że ci się spodoba...

– Ocipiałaś? Może i by mi się podobało, ale idziesz do mojej matki! Nie kumasz? Miałaś być ładnie ubrana, a nawlokłaś na siebie jakieś dziwne szmaty.

Daniel się piekli, jakby co najmniej pokryła jego furę gęstą plątaniną nieudanego graffiti, a przecież zaledwie delikatnie zmieniła odcień włosów, jeśli można tak nazwać płynne przejście z blondu w czerń. Najchętniej by się obraziła, ale w końcu uznaje, że małżeństwo wymaga poświęceń, a na kasę trzeba zapracować, nawet jeśli sprowadza się to do wysłuchiwanie przykrych uwag.

– Wsiadaj wreszcie.

– Otworzysz bagażnik?

– Po co?

– Muszę gdzieś upchnąć siatkę.

– Wsadź sobie pod nogi.

– OK.

Czy królowa, pani męskiego serca i wybranka powinna być tak traktowana? A właściwie: czy powinna pozwolić na takie traktowanie? Aśka nie ma wątpliwości, że nie, a jednak pozwala, by potencjalny facet jej życia tak się do niej zwracał. Z drugiej strony, ciepło myśli o jego sile i pewności siebie, przecież brutalny cham podszyty romantyzmem to ideał faceta, choć w tym wypadku najwyraźniej proporcje zostały zaburzone. Obiecuje sobie, że jutro z rana zadzwoni do zaprzyjaźnionej wróżki Samiliny.

Muzyka dudni, łomocze głośnikami i sprawia, że rozmowa staje się niemożliwa, a w dodatku jadą w innym kierunku, niż Asia się spodziewała.

Zamiast kierować się do dzielnicy domów jednorodzinnych, parkują w drugiej części miasta, na wielkim blokowisku.

– Wsiadka.

– Tutaj?

– A niby gdzie? Dalej, bo obiad stygnie.

– A co z zakupami? Zamykasz dach?

– A jak myślisz? Oczywiście, że zamykam. Masz jakieś kwiaty dla mamy czy coś?

– Nie, przepraszam cię, ale nie pomyślałam.

– Ja pierdolę. Nawet o tym nie myślisz.

Zamiast prosto na obiad zmierzają do niewielkiej budy z kwiatami, w której Daniel wybiera wielki bukiet białych lilii przeplatanych herbacianymi gerberami i nieznośną ilością asparagusu, oczekując, że Aśka zapłaci. Ta skonfundowana wygrzebuje z torebki ostatnie pieniądze.

– Masz pięć złotych, bo mi zabraknie?

– Kurwa, ja pierdolę.

Daniel wygrzebuje z kieszeni niebezpiecznie obwisłych spodni garść drobnych i z brzękiem rzuca na ladę. Zgarnia kwiaty i popycha Aśkę do drzwi. Mijają obrośnięte żywopłotami chodniki i wreszcie zatrzymują się przed ostatnim wejściem do klatki jedenastopiętrowego bloku. Aśka drobiąca na koturnach za narzeczonym jest zmachana, bolą ją nogi i ma wrażenie, że coś złego dzieje się z jej pachami. W dodatku upał stara się pobić własny rekord i pot spływa gorącymi falami po jej sukience. Daniel wbija w domofon kilka cyfr, brzęczy dzwonek i od razu odzywa się kobiecy głos:

– Słucham?

– Cześć, mamuś, to ja.

Głośne brzęczenie, szarpnięcie drzwi, krótka droga do windy i po chwili zatrzymują się pod otwierającymi się, obitymi brązowym skajem drzwiami mieszkania. Stoi w nich tęga kobieta, która wygląda jak starsza siostra Jabby z *Gwiezdnych wojen*, z tą różnicą, że jej pulchną twarz otacza aureola blond loków, uszy zdobią duże złote kolczyki, które korespondują z zestawem coraz to większych i bardziej wyrazistych pierścionków na wykończonych fuksjowym lakierem palcach. Gruba warstwa makijażu w stylistyce pośmiertnej wypełnia szczelnie każdą najmniejszą zmarszczkę, a osypująca się z mocno wytuszowanych rzęs mascara nieładnie zlepia kąciki oczu. Małe oczka, ukryte w fałdach skóry, wnikliwie przyglądają się przybyłym, szczególnie uważnie lustrując sołtysównę.

– Cześć, mamo, to dla ciebie. – Daniel wypycha przed siebie Aśkę i zmusza ją do niezgrabnego wręczenia bukietu.

Nikt nikogo nie przedstawia, a przestrzenią zaczyna rządzić nieznośna cisza.

– Wejdźcie, kochani. Danielku, opowiadaj, co tam słyszać.

- A wszystko dobrze. Roboty huk.
- Wy, młodzi, to nie narzekajcie. Kiedyś nic nie było, a człowiek jakoś żył.
- Ja tam nie narzekam. Ojciec jest?
- A niby gdzie ma być? Siedzą z babką przed telewizorem.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawia się niski, chudy człowieczek, który wygląda raczej jak starszy brat Daniela, a nie jego ojciec. Ubrany w dżinsy i jasną koszulę dosłownie rozplywa się w powietrzu. Jest zupełnie nijaki. Pod względem stroju, osobowości i energii. Tworzą z żoną eklektyczne małżeństwo: on ograniczony w formie, ona tryskająca nadmiarem wszystkiego, ona królowa kakofonii, on król harmonii.

Z umiarkowanym entuzjazmem podchodzi do syna, klepie go po plecach i dopiero zdaje się zauważać Joannę.

– Mariola, no co nic nie mówicie, że mamy gościa? – A zwracając się do syna, dodaje: – Kogo to nam przyprowadziłeś?

– A nikogo, koleżankę.

Askę paralizują wyrastające między nimi słowa, jednak oniemiała i w lekkim szoku daje się wepchnąć w głąb mieszkania, prosto w objęcia babci, która wygląda, jakby zamiast w łóżku miała zwyczaj sypiać w słoju z formaliną. Jest zakonserwowana w każdym centymetrze wychudzonego ciała, sprawia wrażenie, jakby upływ czasu jej nie dotyczył, i emanuje optymizmem.

– Kochanieńka, jakaś ty śliczna! A co ci się, dziecko, do włosków przyczepiło? No wiesz, czego to ludzie nie wymyślą. A pupcię jaką masz zgrabną. No, no, no. Nie ma co mówić, nasz Danielek to jednak ma gust. A dzieci jakie śliczne będą.

W tym momencie do pokoju wchodzi matka Daniela i niemal wypuszcza z rąk parującą wazę z zupą. Zaprasza wszystkich do mikroskopijnego salonu, który wygląda, jakby jego powierzchnia została zassana przez niezliczoną liczbę stojących ciasno obok siebie mebli. Na półkach i półeczkach wśród kryształów przysiadło nieprzebrane bogactwo bibelotów i tanich pamiątek z wakacji. Telewizor w drugim pokoju drze się na cały regulator. Jest parno, pachnie liliami, zupą pomidorową i ciężką wonią perfum.

Nim zasiądą do stołu, Aśka zostaje poddana skrupulatnemu przesłuchaniu. W rolę śledczego wcieliła się babka, strażnikiem jest ojciec, a krytycznym sędzią matka. Młoda czuje, że z każdym pytaniem pogrąża się coraz bardziej, i coraz chętniej by stąd uciekła. W dodatku nie widać oznak zamożności gospodarzy, a co za tym idzie, perspektywa wystawnego i wygodnego życia wydaje się coraz odleglejsza. I w chwili, gdy zaczyna się zastanawiać, czy pomyliła się w ocenie, czy może jednak jest coś, czego nie potrafi dostrzec, po raz kolejny poddawana jest weryfikacji, tym razem przez matkę Daniela.

– A studia skończyłaś?

- Nie, jeszcze nie.
- A co studiujesz?
- Jeszcze nic, zastanawiam się.
- No to co robisz przez cały dzień?

No właśnie, co ona robi? Aśka zupełnie nie wie, jak to ująć, więc duka niepewnie:

– No, jakby to powiedzieć, przygotowuję się do studiów. Cały czas myślę, co wybrać. A poza tym zajmuję się Misiaczkiem.

Mariola czuje gwałtowne wbicie szpili w matczyne serce i pełna niechęci prychna:

– Danielkiem to zajmuję się ja. Powiedz więc, co jeszcze robisz. Na roli pomagasz? Pracujesz gdzieś?

Czy ta kobieta naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że ona nic nie musi robić – Aśka nie może uwierzyć, że jest ktoś, kto nie rozumie, że jako córka swojego ojca nie musi parać się niczym.

- Nie, nie muszę pracować. Rodzice mnie utrzymują.
- Czyli nic nie umiesz.

Tym krótkim podsumowaniem zamyka usta dziewczynie, której coraz mniej podoba się cała ta rozmowa. Daniel, zapatrzony w wyspy ryżu pływające w zupie, skupia całą uwagę na trafianiu łyżką do ust. Nie bierze Aśki w obronę, nie przychodzi jej w sukurs ani nie usiłuje zmienić tematu. Joanna próbuje szturchnąć go spojrzeniem, dać sygnał nogą pod stołem, ale okazuje się, że pomyliła adresata.

– Auć. – Babcia aż podskoczyła na krześle.

– O rany, najmocniej przepraszam.

– Nic nie szkodzi, kochana. Nasz Danielek to ma szczęście, że taką śliczną dziewczynę sobie znalazł.

– Niech mama nie przesadza. Nie takie się koło Daniela kręciły. A ty, synu, jakie masz plany na wieczór?

- A bo ja wiem?
- Może byś pojechał ze mną do sklepu?
- No, jeśli mama chce.
- Ale mieliśmy iść do kina – wtrąca Aśka.

Mariola spogląda na nią jak jaszczurka na muchę i wietrząc łatwą zdobycz, postanawia doprowadzić do konfrontacji z potencjalną, a z pewnością niechcianą synową.

- Chyba nie sądzisz, że jesteś ważniejsza od matki?
- Nie, absolutnie, ale...
- Daniel, to jak będzie?
- No jasne, nie ma sprawy, odprowadzę tylko Asię na przystanek.
- Synu, nie przesadzaj. Odwieź chociaż dziewczynę do domu, matka

poczeka.

– Nie mam zamiaru czekać.

– Mariola, kochanie, niech młodzi pojedą, a ja ci tu, kochana, herbatkę zrobię. – Niezawodna babcia, jak to większość babć – panaceum na troski, brak pieniędzy i niską samoocenę, przesuwając dyskretnie sztuczną szczękę po bezzębnych dziąsłach, usiłuje włączyć się do romowy.

– Niech mi mama nie mówi, co mam robić.

– Mariolka, nie denerwuj się, przecież wiesz, że ja chcę tylko twojego dobra.

– Jakby mamie na mnie zależało, to nie oddałaby mama mieszkania temu zasrańcowi.

– Proszę cię, licz się ze słowami, to twój brat.

– Raczej rodzinny pijak i nieudacznik.

– Nie każdemu się w życiu układa.

– Tak, szczególnie tym, którzy nigdy nie zhańbili się uczciwą pracą.

– A jak miał znaleźć pracę, jak z więzienia wyszedł i nikt nie chciał go zatrudnić?

– To nie trzeba się było tam pchać. Czy mama naprawdę nie widzi niczego złego w tym, że on przez lata okradał uczciwych ludzi?

– Uczciwych czy nie, od biednych nie brał.

– Tak, oczywiście, a od bogatych to mógł.

Zdenerwowana babcia potrząsa z dezaprobatą głową. Skręcone trwałą ondulacją szare, przeplatane wyraźnymi pasmami bieli loczki opadają, a twarz z nerwów szarzeje. Szczęśliwie dotychczas milczący wnuk władcym tonem przerywa dyskusję:

– Mama poczeka, zaraz wracam. Aśka, chodź.

– Ale jeszcze nie podałam kotletów – protestuje Mariola.

– Dobrze, wyjdziemy po kotletach.

Szlag trafił uroczysty posiłek. Panie się nie polubiły, Aśka poznała niechlubną historię rodziny, a Daniel stracił w oczach dziewczyny większość atutów, również tych finansowych. Obiad upływał w ciszy, kaleczonej co rusz zgrzytem sztućców o talerze z dawno niemodnego duraleksu. Upał przybierał na sile, pokój wydawał się coraz mniejszy, a ojciec Daniela coraz bardziej wycofany.

Wreszcie po trzeciej dokładce młody człowiek uznał, że jako tako zaspokoił głód i ostatecznie jest w stanie zrobić sobie przerwę przed deserem.

– Aśka, idziemy.

Joanna z ulgą zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Dziękuję za wszystko, było bardzo miło.

Wszyscy mieli świadomość, że to ładne okrągłe kłamstewko, ale nikt nie zaprzeczył ani nie przytaknął, pozwalając jej opuścić te duszne sześćdziesiąt metrów.

Joanna zrozumiała, że za żadne pieniądze nie chce dołączyć do tańczącego taniec śmierci grona, i choć żal jej było szpanerskiego samochodu i postawnego Daniela, którego zazdrościły jej wszystkie koleżanki, musi zerwać znajomość z chłopakiem.

– Daniel, słuchaj, tak sobie pomyślałam, że może ja jednak do ciebie nie pasuję.

– Słuchaj, dziunia, to ja decyduję, kto do mnie pasuje, a kto nie. Kto mi robi dobrze i z kim się będę spotykać. Wybrałam ciebie, więc przynajmniej do czasu, aż znajdę inną gwiazdę, jesteś ze mną.

Dziewczyna czuje, jak jej skóra gwałtownie rośnie milionem małych wzgórków, a do gęsiej skórki dołączają, mimo upału, zimne poty. Jeszcze nigdy nikt tak jej nie potraktował.

– No tak, ale twoja mama...

– Znowu się czepiasz! Co moja mama? Co ci się nie podoba? – W miarę podnoszenia głosu, który eksploduje wrzaskiem głośniejszym od ryku radia, Daniel wciska z taką siłą pedał gazu, że teraz mkną, niemal unosząc się nad asfaltem.

– Misiu, zwolnij...

– *Fuck*. Skończ z tym Misiem, nie wiesz, jak mam na imię?

– Zwolnij.

– Zamknij się i przestań mi ryc beret. Nie rozumiesz?

– Rozumiem, tylko że się boję.

– Kurwa.

Stopa z pedału gazu gwałtownie ląduje na hamulcu i osadza z piskiem opon i pamiątką w postaci czarnej krechy na asfalcie rozpędzony samochód.

– Wiesz co, wysiadaj.

– Ale Daniel...

– Powiedziałem: wysiadaj. Tam jest przystanek. Trafisz.

– No tak, ale myślałam, że podrzucisz mnie do domu.

– To źle myślałaś.

Aśka posłusznie wysiada z samochodu. W zasadzie jest prawie szczęśliwa, że ten dzień zaraz się skończy. Jeszcze nigdy nie czuła się tak upokorzona, ale z drugiej strony Daniel swoim zdecydowaniem jej zaimponował. Trzaska drzwiami i przypomina sobie o siatce z zakupami.

– Nie trzaskaj tak, to nie trabant.

– *Sorry*, a moje zakupy? Są pod siedzeniem.

– Odbierzesz sobie innym razem. Zadzwoń.

Macha na pożegnanie ręką, odwraca tyłem naprzód sztywną czarną full cap i znika. Gdyby nie dobiegający z oddali łoskot muzyki i smród palonej gumy, Aśka miałaby wrażenie, że to, co się wydarzyło, to zły sen.

Zgarbiona, na nogach uginających się za sprawą zbyt wysokich koturnów,

posłusznie człapie w kierunku przystanku. Chwilowo zniknęły cała jej pewność siebie i poczucie, że panuje nad wszystkim. Stopy w miejscach, gdzie pękły pęcherze, bolą ją jak sto nieszczęść. Jak tylko wróci do domu, poprosi matkę o przygotowanie kąpieli i opatrunków. Cholera, nie włoży szpilek przez najbliższe dni, aż rany się wygoją. Wróżka miała rację.

7 lipca, wschód słońca 4.24.

Cholerne słońce. Cienkie, sprane, w dodatku pomarańczowe zasłonki nie dość, że nie dają ochrony przed agresywnymi pierwszymi promieniami, to na dodatek sprawiają, że żółć jest bardziej żółta, a radość dnia radośniejsza. Czuję się, jakbym leżała na pomoście nad jeziorem, a nie w łóżku. Mało, że parszywie twarde materac spędza sen z powiek, to jeszcze to słońce. Miało być miło, wiejsko, za pan brat z przyrodą, tylko że niestety nie wzięłam pod uwagę, iż natura budzi się w środku miejskiej nocy.

To już trzecia noc, która kończy się o wpół do piątej. Monika, której wszystko jest obojętne: zjemy czy nie, pojedziemy czy zostaniemy, pada czy nie, sprawia wrażenie, jakby to również po niej sływało.

Rzucam się na łóżku jak ryba przez przypadek wyciągnięta z wody i czuję, że obietnica wakacyjnego wypoczynku zmienia się w niedospany koszmar. Usiłuję nakryć głowę poduszką, ale już po chwili robi mi się nieznośnie gorąco. W dodatku za otwartym oknem szaleją stada ptaków, które drą się jak opętane. Przewracam się na drugi bok, potem na ten pierwszy i kolejny raz na drugi, i wreszcie mam dosyć. Przeszkadza mi wszystko. Twardy materac, słońce, ptaki, upał, czyli dokładnie to, czego mieszczuch poszukuje w wiejskim pejzażu. Nie spodziewałam się, że spotkanie oko w oko z przyrodą będzie aż tak wyczerpujące.

Człapię do kuchni, by napić się kawy – rozpuszczalnej niestety. Biorę gorący kubek i taszcę leżak na przyjemnie chłodny pomost. Jezioro o tej porze działa jak naturalny klimatyzator, w dodatku delikatny wiaterek, który włączył się do gry, przynosi ulgę po dusznej nocy.

Zniecierpliwione letnie słońce przedziera się mgliście przez chmury, rozplywając się bladożółtą łuną ponad lasem. Zapadam się w płótno leżaka i obejmując dłońmi kubek, wciągam głęboko wilgotne powietrze. Przymykam oczy i usiłuję wepchnąć tę chwilę na twarde dyski pamięci, w nadziei, że tuż przed śmiercią ujrzę ten obrazek pośród innych wspomnień.

Najwyraźniej musiałam przysnąć, bo podskakuję ze strachu, gdy Monika potrząsa mnie za ramię.

– Co tu robisz?

– Kurczę, chyba się zdrzemnęłam. Nie mogłam spać w domu. Wiesz, która jest godzina?

– Dziewiąta i jestem głodna.

– OK, idziemy na śniadanie.

W czasie naszego krótkiego pobytu w tej chacie niewielką lodówkę wyładowaliśmy do granic możliwości, co, zważywszy na jej kubaturę, nie było

takie trudne. Kilka pomidorów, sałata, sok i parę plasterków szynki wydają się banalnym zaopatrzeniem, a jednak to wystarcza, by przygotować pachnące śniadanie. Zresztą nie pamiętam, kiedy w domu zasiadałyśmy wspólnie do porannego posiłku. Monika zaraz po przebudzeniu, ze szklanką soku w jednej ręce i komórką w drugiej, znika w czeluściach swojego pokoju, a ja celebruję samotność z kawą przed telewizorem. Wszystko w pędzie, niedoczasy i skupieniu, by nic nie umknęło przed wyjściem z domu.

Tutaj jest inaczej. Spokój i cisza tak mocno wytrąciły mnie z dotychczasowego rytmu, że nie potrafię się odnaleźć w tym lenistwie. Monika za to nie zmieniała się ani na jotę. Każdego wieczoru pyta, czy może już wrócić do domu, nie odstępuję mnie na krok, gdy wychodzimy, albo – wręcz odwrotnie – nie chce się nigdzie ruszyć. Nadal się siłujemy, przeciągając między sobą niewidoczną linię, i po krótkim euforycznym zachłyśnięciu się optymizmem, że nasze relacje jednak się zmieniają, coraz częściej tracę nadzieję.

Kładę na przywiezionej z domu desce dwa pomidory i małą cebulkę ze szczypiorkiem, zaczynam je rytmicznie kroić w równe plasterki, podczas gdy Monia zaczyna swój poranny rytuał marudzenia:

– Znowu pomidory? Nie możemy jeść jak ludzie?

– Wydaje mi się, że jemy jak ludzie. Nie otwieram saszetki whiskasa, jakbyś nie zauważyła.

– No, ale znowu to samo.

– A na co masz ochotę?

– Nie wiem, ale to...

– Skoro nie wiesz, to jak mam przygotować coś, co by ci smakowało?

– Może grzanki?

– Nie mamy tosterka.

Młoda czepia się tej myśli jak mała banana i nie odpuszcza.

– No, tosta to bym zjadła.

– Niestety nie dziś.

– To po co pytasz, skoro i tak nie chcesz tego zrobić?

– Nie że nie chcę, tylko nie mogę. Ale możemy iść na śniadanie do hotelu po drugiej stronie jeziora.

– Łeee tam, łązić to mi się nie chce. A co dzisiaj będziemy robiły? Znowu cały dzień przeleżymy na leżakach? Może mnie dzisiaj odwieziesz, co?

Dobre pytanie. Co będziemy robiły? Ja wiem, co mam w planach i po co tu przyjechałam, pytanie tylko, jak się pozbyć Moniki.

– Może pójdziemy na ryby?

– Chyba cię pogięło. Widzisz mnie, jak stoję z kijem i wgapiam się w wodę, a potem biorę to obślizgłe coś do ręki? Faj.

Faktycznie, tego nie widzę, raczej uczepliłam się myśli, że ryby nie są tak

głupie ani chętne, by zawisnąć od razu na haczyku, i dostrzegłam sposobność zyskania czasu dzięki temu wymagającemu cierpliwości i samozaparcia zajęciu.

– Zakupy?

– Gdzie? W tej dziurze? Chyba że chcesz kupić jakieś znicze albo śliwki, bo przecież tu niczego więcej nie ma.

– Widziałam, że wczoraj rozmawiałaś przed barem z jakąś dziewczyną. Może się z nią spotkasz?

– A bo ja wiem? Mówisz o tej z czarnymi włosami?

– Tak. Wyglądała na lokalną gwiazdę. Może zna jakieś ciekawe miejsca w okolicy. Co ty na to?

– Może, ale i tak nie mam do niej telefonu.

– Głupi ma szczęście, może się przejdziemy i gdzieś na nią wpadniemy?

– To chyba ty.

– Słucham?

– Nic, nic.

Wreszcie dociera do mnie, że ten „głupi” to chyba ja, ale udaję, że jestem tak tępa albo głucha, że nie zrozumiałam.

Fantastyczną rzeczą na wakacjach jest chodzenie przez cały dzień w stroju kąpielowym. Oczywiście nie samym, tylko pod ubraniem, ale to i tak daje poczucie wyjątkowości. W ubiegłym roku umawiałam się co drugi dzień z koleżanką na wypady nad jezioro zaraz po pracy. I każdy taki dzień, za sprawą stroju kąpielowego pod grzecznym nauczycielskim uniformem, stwarzał poczucie wyjątkowości chwili, dnia i pewnej małej tajemnicy, o której nikt nie wiedział.

Monika nie przejawia żadnej inicjatywy, nie pomaga w przygotowywaniu posiłków ani sprzątaniu po nich, ogarnięcie pościeli sprawia jej trudność, a co dopiero wypranie brudnych rzeczy. Już następnego dnia po przyjeździe jej walizka wyglądała jak czynny wulkan.

Wreszcie wsiadamy do samochodu, oczywiście opcja spaceru nie wchodziła u mojej córki w rachubę, i powoli jedziemy coraz lepiej nam znaną polną drogą w kierunku wioski. Modlę się, by spotkać tę dziewczynę. Z tego, co zauważyłam, jest na to spora szansa, bo stworzenie wydawało się zainteresowane wszystkim i każdym. W tak krótkim czasie kilka razy widziałam ją kręcącą się po okolicy.

Zdecydowanie muszę się pozbyć córki. Nie mogę dopuścić, by jakiegokolwiek moje mniej czy bardziej niestandardowe zachowanie wzbudziło jej ciekawość. A z moim śledztwem nie jest dobrze.

Zaraz następnego dnia po przyjeździe, pod pretekstem zrobienia zakupów, rozejrzałam się po wsi. Znalazłam kościół, który był przedmiotem zainteresowania dziennikarzy, i na tym koniec. Mimo że zaglądałam do wszystkich możliwych sklepów i sklepików, a w tej okolicy nie ma ich znowu aż tak wielu, nigdzie nie natknęłam się na ślad Laury Żytko. Oczywiście nikogo o nią nie pytałam, ale ze

zdwojoną uwagą przyglądałam się sprzedawczyniom, magazynierkom, a nawet pomocy kuchennej w Paradise.

Nic. Jakby zapadła się pod ziemię. Byłam skłonna podejrzewać siebie o omamy i dlatego wczoraj wieczorem, gdy Monika była zajęta rozmową telefoniczną, kolejny raz odtworzyłam na laptopie nagranie z tamtego dnia. Ponowna analiza upewniła mnie co do wykluczenia z obszaru poszukiwań małych sklepików. Zdecydowanie nagranie zostało zrobione w większym pomieszczeniu.

Wczoraj, podczas trzeciej już wizyty w blaszaku na obrzeżach Wsiowa, niemal nabrałam pewności, że pochodzi ono z tego miejsca. Jednak mimo odwiedzin o różnych porach i pod różnymi pretekstami nie zastałam Laury. Za ladą stał jakiś sprawiający wrażenie lekko niedorozwiniętego młodzieniec, który na moje pytanie:

– Czy ktoś jeszcze tu pracuje?

Odpowiedział ze zdziwieniem:

– Nie, a bo co?

Mamy szczęście. Dziewczyna z czarnymi włosami, w jeszcze czarniejszej sukience i butach, stoi oparta o porośnięty hederą płot i rozmawia z jakimś chłopakiem. Najwyraźniej właścicielem posesji, bo ma na sobie turkusowe krótkie spodenki i rozdeptane kapcie. Opalone, napakowane ramiona świadczą o tym, że albo ciężko zasuwa na gospodarstwie, albo jeszcze ciężiej na siłowni.

– Chcesz z nią pogadać?

– Niby jak? Mam podejść i co powiedzieć?

– No, nie wiem. Spytaj, czy może cię oprowadzić po okolicy.

– Chyba po cmentarzu. Tu nie ma nic do oglądania.

– Daj spokój. Zagadamy do niej.

– Jak tam chcesz.

Chcę, i to bardzo. Jeśli tylko dzięki temu zdołam się pozbyć Moniki i swobodnie powęszyć, to jest mi obojętne, czy się wygłupię, czy nie. Nie mam też zamiaru roztrząsać, czy wypada zaczepiać obcą osobę. Zwyczajnie zatrzymuję samochód przy krawężniku. Nie muszę wyłączać silnika, bo się zakrztusił i z głośnym czknięciem sam padł, co niestety zostało zauważone przez młodych ludzi, którzy z tym większą ciekawością się nam przyglądają.

Cholera, od czego zacząć? Rozmowa o pogodzie wydaje się zbyt banalna, ale... o oklejonym kościele już nie.

– Dzień dobry. Przepraszam, szukamy kościoła.

– Naszego?

– Tak, tak.

Co za durne pytanie. Nie widzę na horyzoncie żadnej katedry, klasztoru ani innego zboru.

– Ale już po mszy.

– My nie na mszę. Chciałyśmy tylko obejrzeć kościół. Czy to przypadkiem nie o nim był materiał w telewizji?

– Tak, o nim. Mówię pani, co tu się działo! – Dziewczyna pospiesznie żegna się z rozmówcą, który opieszale wraca do domu, i podchodzi do samochodu. Wyczuwa, że kolejny raz może stać się gwiazdą tamtego dnia. – Jak chcecie, to mogę wam pokazać.

– Nie chciałybyśmy sprawiać kłopotu.

– Jaki tam kłopot? I tak miałam do Gazdowej iść, to w tamtą stronę.

– Chyba że tak. Zapraszamy. Monika, przesiądziesz się do tyłu?

– No dobra.

Brunetka z zadowoleniem sadowi się na siedzeniu pasażera i uważnie rozgląda.

– Phi, ale śmieszne autko. Co to za marka?

– Nissan. Micra.

– Raczej mini. Tak tylko pytam, bo my z Danielkiem to jednak wolimy większe fury. A tak w ogóle to Joanna jestem, córka sołtysa, możecie mi mówić Aśka.

Przedstawiła się, jakby była księżną Yorku, córką króla, która łaskawie dopuszcza pospółstwo do spoufalenia się poprzez zdrobnienie jej imienia.

– Cześć. Ja mam na imię Aleksandra, możesz mi mówić Ola, a to moja córka Monika, możesz jej mówić Monia.

Monika, wyczuwając ironię, wbija we mnie szpilki spojrzenia, które odbijają się od lusterka wstecznego i atakują moje źrenice.

– Mamo.

Jadąc przez wieś, czuję się jak w londyńskim piętusie, a nie jak w swojskiej micrze. Dowiadujemy się, kto gdzie mieszka, jak się nazywa, kto się rozwiódł, że ta księdza gosposia to jakaś dziwna, wcześniejsza była lepsza, no ale umarła. Nie wspomina o Laurze, a ja na przyspieszonych obrotach usiłuję wymyślić, jak do niej nawiązać. Przy okazji dowiaduję się, że w lokalnej społeczności mają nawet byłego więźnia i czynnego lekarza, no, może nie do końca, bo zaledwie anestezjologa, ale zawsze.

Mijamy kolorowy blok, cmentarz. Z daleka widać wieżę kościoła, więc zapytam albo teraz, albo pewnie nigdy.

– Widziałam relację w telewizji. Pokazywali jakąś kobietę w takim większym sklepie. Gdzie on jest? Może byśmy zrobiły tam zakupy?

– A, to wielobranżowy we Wsiowie. Nie ma tam nic ciekawego i obsługa jest fatalna. Pracuje tam taka jedna Laura. Na niczym się nie zna, niczego człowiekowi nie poleci. Jak chcecie, to mogę wam pokazać fajne sklepy w mieście.

Już jej nie lubię. Podskórnie czuję, że ma jakiś kwas z Laurą. Bije od niej tak silna niechęć, że nawet osoby postronne mogą się zorientować, że coś jest nie tak.

– Monika, chcesz z nami pojechać? – kontynuuje Aśka.

– No, może.

– Poznasz moich kumpli, fajnie będzie. A tak w ogóle to skąd jesteście?

Zajeżdżamy na parking przed kościołem, który okazuje się zamknięty. Wielka zabytkowa klamka nie daje się ruszyć, a boczne wejście jest równie niedostępne. Wcale mnie to nie martwi, bo jakoś nie miałam ochoty na zwiedzanie regionalnych zabytków. Po raz pierwszy czuję, jak w mojej ręce zaczyna się rozwijać nić, która być może powoli zaprowadzi mnie do Laury.

Jak na złość obok nas parkuje samochód wypełniony po brzegi tłustym księdzem w czarnej sutannie.

– Pochwalony Jezus Chrystus. – Ksiądz chwyta lewą ręką dach Citroëna i z trudem wydostaje się z auta.

– Na wieki wieków, amen.

– A co tu, kobitki, robicie? Panie to pewnie nasze wczasowiczki, zgadłem?

– Tak, wypoczywamy w domku nad jeziorem.

– A to powinszować gustu. Okolica przepiękna, a i na pogodę, dzięki Bogu, nie ma co narzekać. Chociaż powiem pani, że ten upał mnie wykańcza. Już niczego nie noszę pod sutanną, a i tak ledwo daję radę.

Natychmiast widzę dyndające pod czarnym materiałem genitalia proboszcza i robi mi się słabo. W oszołomieniu i wbrew rozumowi zadaję pytanie, na które, w innych okolicznościach, nigdy bym się nie zdobyła:

– Bielizny też ksiądz nie nosi?

– A, kokietka z pani, kokietka! Oczywiście, że mam na sobie gacie.

– Aha. – Mam nadzieję, że brzmi to jak westchnienie ulgi, a nie wyszczone rozczarowanie, jednak na szczęście wielebny porzuca temat i gładko zaczyna nas inwigilować, zadając kolejne pytania, a skąd pochodzimy, czym się zajmujemy, czy na długo przyjechałyśmy.

Wreszcie gościnnym gestem zaprasza nas do drewnianego, pachnącego żywicą, kadzidłem i kurzem kościoła. Ze ściany wita nas siedząca na kłębowskiu chmur zatroskana Maryja. Gęsto poustawiane ławki przesunięto w kierunku ołtarza, tak że niebezpiecznie zmniejszył się dystans między księdzem a wiernymi.

W nawie bocznej, pełnej portretów świętych o tak groźnych obliczach, że mam wrażenie, iż trafiłam do przedsionka piekieł zarezerwowanego dla tubylców, stoi katafalk. Czyli zbita naprędce skrzynia niezbyt starannie obciążnięta czarnym sukniem. Niczym taksówka na postoju czeka obok opartego o ścianę krzyża na następnego pasażera, by przenieść go w kolejne życie.

Jeszcze takiej poczekalni nie widziałam i najprawdopodobniej zbyt długo się jej przyglądałam, bo proboszcz spieszy z wyjaśnieniem:

– A, widzi pani, dopiero co pogrzeb mieliśmy. Janek w polu zajęty i nie ma komu sprzątnąć.

– No tak. Słyszałam o pogrzebie.

– Ano, ludzie się rodzą i umierają, a życie musi się toczyć dalej...

– W zamyśleniu wsuwa serdelek palca wskazującego za biały pasek koloratki, usiłując ją poluznić niczym krawat. – I, widzi pani, jak zwykle najtrudniej mają ci, co zostają. No cóż, takie życie.

W końcu rozchodzimy się każde w inną stronę – ksiądz po wylewnym pożegnaniu, ja po obietnicy kolejnych odwiedzin. On rusza w kierunku zakrystii, ja natomiast na przylegający do kościoła zagrabiony plac.

Słońce oślepia mnie niespodziewanie jaskrawym blaskiem. Pod powiekami pojawiają się żółte plamy i zaczynają wirować. Wkładam okulary i z zadowoleniem obserwuję rozmawiające w cieniu dziewczyny.

– Monika, to co? Jedziemy?

– Wiesz, chyba jednak pojedę z Aśką. Zobaczymy się na kolacji.

Nie jest to pytanie o zgodę, raczej jednostronne oświadczenie woli, które cieszy mnie tak, jakbym w tej chwili odniosła wielki sukces wychowawczy.

– OK, to do zobaczenia.

Zostawiam oszołomioną Monikę, która najprawdopodobniej przegrupowywała argumenty do kolejnej kłótni. Radośnie odpalam samochód. Kilkakrotnie. Silnik gaśnie raz i drugi, ale wreszcie udaje mi się ruszyć. Przekręcam gałkę radia i teraz z głośników sączy się dynamiczna muzyka, która wlewa w moje serce optymizm.

Teresie odbiło. Zaczęła zachowywać się tak, jakby nigdy w jej życiu nie istniał żaden mąż, kochanek czy przyjaciel imieniem Leon. Sprawia wrażenie, jakby za wszelką cenę usiłowała wykasować go z pamięci i przestrzeni.

Skromna stypa zakończyła się równie szybko, jak niespodziewanie i pospiesznie trzeba było ją zorganizować. Po powrocie do domu Teresa opadła ciężko na fotel w pokoju stołowym, wyglądała na zupełnie załamana.

– Mamo, wszystko OK? Zrobić ci herbaty?

– Nie, dziecko, ja już niczego nie potrzebuję.

– Nawet tak nie mów.

– A co mnie jeszcze czeka? Zostałam sama jak kołek.

– Przecież masz mnie.

– Niby tak, ale ty masz swoje życie.

– Nie przesadzaj.

– Widzisz, dziecko, bo ja już do niczego się nie nadaję... Siły nie mam, gospodarką się nie zajmę... teraz wszystko na twojej głowie.

Laura niestety doskonale zdawała sobie sprawę, ile prawdy jest w słowach matki. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że będzie musiała zająć się nie tylko obejściem, ale przede wszystkim depresyjną Teresą.

Jednak kolejny wczesny poranek zaskoczył ją rumorem za ścianą. Teresa, ubrana w koszmary szary dres, który niebezpiecznie opinał się na jej potężnych pośladkach, i starą rozciągniętą koszulkę na naramkach, miotała się w sypialni Leona.

Na wytartym dywanie w kwiatowe wzory piętrzył się stos ubrań zmarłego. Z szuflad zostały wyrzucone skarpety i bielizna, a różne papierzyska dotychczas ukryte w szafie pod oknem wylewały się wodospadem kartek na podłogę.

– Jezu, mamo, co ty robisz?

– Im wcześniej się tego pozbędziemy, tym lepiej.

– Bez przesady. Nie musimy tego robić dzień po pogrzebie.

– Tak trzeba. Nic nie rozumiesz.

– A co tu rozumieć?

– Widzisz, cała ty. W telewizji mówili, że nie wolno unikać rozmów o zmarłym i trzeba zachowywać się tak, jakby z nami był.

– No ty chyba oszalałaś! Ojciec by dostał szału, jakby zobaczył ten bajzel.

– Ale go tu nie ma, a żyć trzeba.

– No dobrze, ale nie musimy już dziś robić porządków.

– Dziecko, przestań. Trzeba to wszystko ogarnąć. Żal, żeby taki pokój się marnował. Urządzi się tu miejsce dla letników.

- Jakich letników? Kto by chciał tu odpoczywać?
- A ty zawsze swoje. Zobaczysz, chętni się znajdą.
- Nie sądzę.
- Widzisz, ile ten człowiek rzeczy zgromadził? Po co mu było tyle szmat?
- No jak na sześćdziesiąt parę lat życia to raczej niewiele.

Laura zażenowana rozglądała się po pomieszczeniu. W innych okolicznościach nie miałaby ani odwagi, ani powodu przeglądać osobistych rzeczy ojca. Czowała się nieswojo, matka natomiast sprawiała wrażenie, jakby porwał ją dotychczas nieznaną, a jednak przyjazną żywiol. Wykrzesła z siebie tyle energii, jakby latami kumulowała ją właśnie na tę okazję. Córka już dawno nie widziała Teresy tak poważnie zaangażowanej w cokolwiek. Wydawała się głucha na jej argumenty, pogrążona w świecie własnej krótkotrwałej obsesji. Laura zdawała sobie sprawę, że po takiej eksplozji entuzjazmu matkę dopadną równie silne, jeśli nie silniejsze, depresyjne myśli. Teraz jednak miotła się między szafami, niebieskimi workami na śmieci i własnym strachem.

- A tyle razy mówiłam, że powinien iść do lekarza.
- Mamo, przestań, to już nie ma znaczenia.
- A właśnie że ma. Zawsze był takim egoistą. I zobacz, co narobił. Zostawił mnie samą, a wystarczyło tylko iść do doktora. Ale nie, wiedział lepiej. Myślał, że jest taki twardy, i co? I guzik. W trumnie leży.
- Mamo, proszę.
- Co mam, co mam? Taka jest prawda! A co sobie myślisz? Taka jest prawda. I czy ci się to podoba czy nie, mam prawo powiedzieć to na głos.
- Słuchaj, śmierć nie wybiera.
- Tak, tak. A on niby był taki wyjątkowy, że akurat jego wybrała. Patrz, ja po lekarzach chodzę i jakoś żyję, to co, on nie mógł? Język sobie strzępiłam, ale on był mądrzejszy. To ja w trumnie powinnam leżeć. Całe życie człowiek harował i na koniec takie podziękowanie, takie coś.
- No wiesz, teraz to już naprawdę przesadziłaś!
- A ty jak zawsze po stronie ojca. Nawet jak nie żyje.
- Nie jestem po niczyjej stronie, tylko usiłuję ci wytłumaczyć, że teraz to już nie ma znaczenia. Raczej powinnyśmy się zastanowić, co dalej.
- A właśnie, córuś, idź i zaparz mi herbatę. Może sama też się napijesz.

Laura nie tego się spodziewała. Sądziła, że matka będzie załamana, zrozpaczona, bezwolna, oczekująca wsparcia. Tymczasem po raz pierwszy w życiu zaskoczyła ją zdecydowaniem, bezkompromisowością i decyzywnością. Nie pozostało jej nic innego, jak poddać się chwilowemu ożywieniu Teresy.

Wyjęła z białego kredensu dwa kubki, wrzuciła po torebce earl greya i ustawiła na niewielkiej plastikowej tacy. Sięgnęła do lodówki po wcześniej rozkrojoną cytrynę i wcisnęła po kilka kropel soku do herbat. Obok postawiła

puszkę z ciasteczkami. Rozejrzała się czujnie po pomieszczeniu, czy nie nosi śladów egzekucyjnej działalności Teresy, jednak nie dostrzegłszy niczego nadzwyczajnego, niechętnie wróciła do sypialni Leona.

Matka siedziała na rozłożonym tapczanie, omiatając dzikim wzrokiem pokój.

– Chryste Panie, ale tu tego.

– No. Nie trzeba było wyrzucać wszystkiego naraz.

– Dziecko, przecież nie ma na co czekać. Życie należy porządkować od podstaw. A to jest właśnie nasz grunt. Musimy tu poskładać, a potem zastanowimy się, co dalej.

Laura przesunęła okulary Leona, lampkę i postawiła tacę na szafce pełniącej funkcję stolika nocnego. Przysunęła sobie krzesło i rozejrzała się po bałaganie, który zrobiła Teresa. Miała przecucie, a nawet pewność, że prawdziwe porządki spadną na nią.

– Ale mocną zaparzyłaś. Nie wiesz, że takiej nie lubię?

Laura nic nie odpowiedziała, wzruszyła tylko ramionami i uniosła kubek do ust.

– Co chcesz zrobić z tymi rzeczami?

– Wyrzucić.

– A nie myślałaś, żeby oddać biednym?

– A na co? Komu się nadadzą takie szmaty i do czego? Cukru nie dałaś.

– Zapomniałam. Przynieść?

– Nie, dobrze, wypiję gorzką. Zresztą mam zamiar teraz wziąć się za siebie.

– Czyli co?

– No, nie wiem, może bieganie? Schudnę trochę, będzie mi łatwiej.

– O, to na pewno.

– Sama widzisz. Tak to trudno mi cokolwiek zrobić, ale jakbym była chudsza, to może i dałabym radę. Tak sobie myślałam, że musimy porozmawiać i ustalić, jak teraz będziemy żyły.

– No chyba normalnie.

– Niby tak, ale pieniędzy Leona już nie będzie. Jakbyś wzięła więcej godzin w sklepie, to może jakoś byśmy powiązały koniec z końcem.

– Ale mamo, przecież dużo pracuję, a potem muszę zająć się obejściem, no chyba że ty mogłabyś się włączyć...

– Ja? Jak to sobie wyobrażasz? Schorowana jestem, ledwie kulasami ruszam, a ty jeszcze byś chciała, żeby pracowała!

– Po pierwsze, nie pracowała, tylko mi pomogła, a po drugie, skoro mówiłaś, że masz zamiar zacząć nowy rozdział w życiu, to sądziłam, że może on objąć również ten obszar.

– Niby co? Mam kury karmić?

– A czemu nie? Podsypiesz trochę ziarna, nalejesz wody...

– Ty to zupełnie nie masz zrozumienia dla starszych! Na własnym łonie cię wychowałam, a ty teraz takie rzeczy opowiadasz.

– Mamo, przecież tylko proponuję. Nie dam rady ze wszystkim.

– Jak to nie dasz rady? Młoda jesteś. Ja w twoim wieku nie takie rzeczy robiłam. Nie takie obowiązki miałam. Nie dość, że chałupa, mąż, to jeszcze dzieciaka pilnować człowiek musiał. A ty co? Tylko praca, trochę porobisz w gospodarstwie i wielkie mi halo.

– Jak możesz tak mówić?

– Mówię to, co widzę.

– A jakbym wyjechała?

– Niby gdzie miałybyś jechać?

– Do miasta albo do Anglii.

– I co byś w tej Anglii robiła?

– Pracowałabym w sklepie albo opiekowałam się dziećmi.

– Niby jak, bez języka? Dobrze sobie. Zresztą tu jest twój dom i tu masz obowiązki. Myślisz, że kto się mną zajmie? Sama nie dam sobie rady, dobrze wiesz.

– A gdybym się uparła?

– Gdybyś wyjechała, to ja bym umarła. Z tęsknoty bym umarła. – Teresa teatralnie przykładła grzbiet dłoni do czoła i głośno wzdycha. Raz, drugi i kolejny. – Nie możesz mi tego zrobić. Co ludzie powiedzą, jak sama zostanę na gospodarce? Jak ja mam dać radę? Żyły sobie dla ciebie wypruwałam, a ty chcesz mnie zostawić?

– Nie chcę, tak tylko pytam. Po prostu zastanawiam się, co byś zrobiła, gdyby mnie nie było. Musiałabyś jakoś żyć.

– A pewnie, że bym musiała. Na łasce innych, a jakże.

Matka pospiesznie dopiła herbatę i mimo wcześniejszego ożywienia teraz nie miała siły podnieść się z tapczanu. Zdecydowanie ustąpiło bezradności i w jednej chwili stała się na powrót tą samą słabą Teresą.

– Oj, dziecko, dziecko. Ile ja ci dałam, ile ci oddałam. Człowiek od ust sobie odejmował, żeby ci dobrze było. A przecież mógł w siebie zainwestować. Na wakacje do Jugosławii jeździć albo do Bułgarii, tak jak sołtysowie. Ale nie, wszystko dla dziecka. A pamiętam, jak Leon zbierał pieniądze. Ciulał jak dziad i wreszcie, zamiast sobie dzinsy, tobie lalkę Barbie w peweksie kupił. A jaki był szczęśliwy! Masz jeszcze gdzieś tę lalkę?

Laura oszołomiona spogląda na matkę i nie może uwierzyć w to, co słyszy. Nie pamięta ani cholernego peweksu, ani tym bardziej rzekomo zakupionej tam lalki. Kojarzy natomiast to, że inne dzieci z klasy miały więcej czasu dla siebie, podczas gdy ona musiała pomagać w gospodarstwie. Spotykały się po szkole, żeby grać w noże, jeździć na rowerach i popijać piwo w okolicznych rowach. Ona

jednak nie mogła uczestniczyć w tym życiu, bo była z lepszego domu, w którym obowiązywały lepsze zasady prowadzące wprost na spotkanie z lepszym światem. Spędzała całe wieczory w towarzystwie rodziców i babci Heleny.

W ocenie Teresy dzieciaki z wioski nie były właściwym towarzystwem dla jej córki. Gdy w domu pojawiała się nowa koleżanka Laury, od razu była poddawana wnikliwej obserwacji i wiwisekcji, po której się okazywało, że jest zbyt zarozumiała, pewna siebie, prymitywna i bez zasad, w najlepszym razie zbyt hałaśliwa.

Teresa za wszelką cenę usiłowała dobrać córce towarzystwo, najlepiej flegmatyczne i nijakie, tak by dziewczynki nie miały głupich pomysłów, które mogłyby ściągnąć na nie idiotyczne zagrożenia w rodzaju utopienia się, poznania niewłaściwego chłopaka, zainteresowania brzydkimi rzeczami. W efekcie Laura rosła w całkowitej izolacji od rówieśników, którzy w miarę upływu lat uważali ją za coraz większe dziwadło i od niej stronili.

– To jak, zrobisz to?

Laura ocknęła się z zamyślenia.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Co mówiłaś?

– Pytałam, czy to popakujesz.

– Co? Ten bałagan?

– Jaki tam znowu bałagan. Ot, kilka ciuchów trzeba wyrzucić i tyle.

I pamiętaj: niczego nie wydajemy. Nam nikt nigdy niczego nie dał, no, może z wyjątkiem pomarańczowego sera przysyłanego w stanie wojennym z Niemiec do kościoła, więc nie mamy żadnych zobowiązań. Nie zniosłabym, gdyby ktoś chodził w ciuchach po Leonie. Na przykład taki złodziej Potocki.

– On do kościoła nie chodzi, więc raczej najmniej mu grozi otrzymanie tych rzeczy. A gdyby je na przykład wysłać na...

– Nie, nie, nie! Wszystko wyrzuci się do kubła, resztę spali. Tak postanowiłam i koniec.

– Jak chcesz.

– To ty, dziecko, poskładaj to jakoś, a ja pójdę się położyć na chwilę.

– Teraz? Dopiero co wstałaś.

– Może masz rację. Od dziś miałam zacząć zmieniać życie, więc może sobie pospaceruję.

Nim córka zdążyła zaprotestować, Teresa zniknęła za skrzypiącymi drzwiami prowadzącymi do drugiej części domu. Laura z niechęcią rozejrzała się po ciuchach walających się po podłodze i jak automat zaczęła pakować je do kolejnych worków. Sprawdzała liczne kieszenie, z których wyjmowała nieciekawe drobiazgi, zazwyczaj karteluszkę zapisane jakimś numerami i notatkami, i tak pracując, dojrzała do południa, które głośno obwieścił Program I Polskiego Radia hymnem z wieży Mariackiej. Jak dziecko na dzwonek Świętego Mikołaja, na progu

pokoju pojawiła się Teresa.

– Co na obiad?

– Nie wiem, nie mam na nic ochoty. Zresztą myślałam, że idziesz na spacer.

– Pójdę, ale później. Może wybiorę się do lasu.

– Jak chcesz...

– To co z tym obiadem? W zasadzie miałam nie jeść, bo przecież się odchudzam, ale mogłabyś coś naszykować. Już wstawiłam wodę.

Świetnie. Zabrzmiało to tak, jakby Teresa co najmniej osobiście wypatroszyła, oskubała i wrzuciła do garnka z warzywami domowego kapłona. Nic bardziej mylnego. Laura doskonale wiedziała, że wstawienie wody było jedynym wkładem matki w główny posiłek dnia.

Nie zwracając uwagi na jej narzekania, wyniosła do sieni kolejny wypchany i starannie zawiązany worek. Wróciła do pokoju i z ulgą skonstatowała, że większość bałaganu zdołała ogarnąć. W zasadzie nie było to wielce problematyczne, bo skoro ustaliły – konkretnie Teresa – że wszystkie rzeczy po Leonie wylądują na śmietniku, wystarczyło jedynie wrzucić odzież do worków. Gorzej wyglądała sprawa dokumentów i szpargałów, które Teresa tak beztrudno wygarnęła na podłogę z trzech szuflad i szafki.

Laura nogą rozgarnęła górę papieru i bezmyślnie spoglądała, jak kolejne kartki, niczym dzieci na sankach z górki, zjeżdżają na dywan. Wśród nich dostrzegła niepozorną, wyblakłą, najwyraźniej wiekową szarą kopertę formatu A4 z odręcznie dopisaną czerwonym długopisem adnotacją „nie pokazywać”. Gdyby nie ten dopisek, nie zwróciłaby na nią najmniejszej uwagi, tymczasem wydała się jej najciekawszym znaleziskiem, ba, swoistym skarbem na wysypisku śmieci.

Otworzyła ją i wysunęła kartki. Przebiegła po pierwszej wzrokiem, przejrzała kolejne i w miarę czytania robiła się coraz bardziej blada. Najwyraźniej jej niejasne domysły nie były bezpodstawne...

Pobiegła do sypialni matki, chcąc od razu zrobić awanturę i poznać prawdę, jednak pokój był pusty. Teresa zniknęła. Do cholery, dokąd poszła?! Akurat teraz! Laura przypomniała sobie o nowym zwyczaju matki: codziennych spacerach nad jezioro, i choć przyszło jej to z trudem, postanowiła poczekać z aferą na jej powrót. Cholera, co za dzień. Przecież dziś pierwszy raz po śmierci ojca musi pojawić się w sklepie. Na szczęście ma popołudniówkę, ale tak czy inaczej musi się ruszyć z domu. Jak wróci, matka pewnie będzie spała przed telewizorem. Cholera, cholera, cholera.

Ruszyła do niewielkiej szafy, z której wyjęła jedyną letnią czarną sukienkę. Wcale nie miała ochoty na krepę, w której wyglądała jeszcze bardziej żałośnie niż zazwyczaj, nie chciała jednak dawać ludziom kolejnego pretekstu do gadania. Żałoba musi być widoczna i ostentacyjnie obnoszona. Nie wiedziała, na ile dni starczy jej samozaparcia, bo o miesiącach noszenia czarnych ciuchów mogła

z pewnością zapomnieć, ale dziś nie miała wyboru. Była w tak ponurym nastroju, że czerń idealnie harmonizowała z jej wnętrzem.

Monika z zainteresowaniem przyglądała się zabiegom Joanny. Siedziały w jej różowym infantylnym pokoju i wprost nie mogła uwierzyć, że w dzisiejszych czasach ktoś może tak mieszkać. Ściany, kapa, poduszki korespondowały z kolorem jej ciuchów. I w dodatku matka Aśki. Wiecznie do nich zaglądała, zupełnie jakby pilnowała czterolatek i co rusz sprawdzała, czy nie broją, proponowała jak nie herbatę, to ciasteczka, i tak w kółko. W sumie była uroczą kobietą. Miła, troskliwa i w dodatku piękna, sprawiała wrażenie, jakby nie zdawała sobie sprawy ze swojej urody. Córka najwyraźniej odziedziczyła po niej wszystkie fizyczne cechy, które stawiały ją w pierwszym rzędzie okolicznych piękności, z tą tylko przykrą różnicą, że świetnie wiedziała, jakie wrażenie robi na innych, zwłaszcza na facetach, i wykorzystywała to w całej rozciągłości. Była zarozumiała, pewna siebie, wymagająca i roszczeniowa. Monika tym bardziej była ciekawa oblubieńca Joanny.

Dała się nakarmić kanapkami, a następnie z przyjemnością zanurzyła zęby w słodkim ptysiovym kremie domowych ciastek. Żałowała, że jej matka taka nie jest. Po kolejnej matczynej propozycji przyniesienia czegoś do picia nawet pozazdrościła sołtysównie. Z drugiej strony, nie miała czasu na refleksję, bo skupiły się na wymianie poglądów na temat trwałości i transparentności posiadanych kosmetyków. Czas mijał bardzo szybko i niebawem pod dom podjechała prywatna dyskoteka w postaci Daniela i jego kabrioletu.

– Cześć, kochanie. To jest Monika, przyjechała tu na wakacje, zaprosiłam ją na dzisiejsze popołudnie.

– Siemka, Daniel. – Wyciągnął do dziewczyny rękę i mocno ujął jej dłoń. Przy okazji, mimo obecności Joanny, zmierzył ją kokieteryjnym wzrokiem, beczelnie zlustrował od góry do dołu, na dłuższą chwilę zawieszając się na poziomie biustu, i uśmiechnął szeroko. – Co, mała, jak ci się podoba wiocha?

– Może być, chociaż trochę nudno.

– Ja ci, kotuś, pokażę nasze atrakcje.

Obleśnie się uśmiechnął na myśl o tym, jak to będzie jej pokazywać i jak bardzo ona zobaczy, tymczasem oszołomiona Aśka nie wierzyła własnym oczom. Jej chłopak przy niej beczelnie podrywał jej nową znajomą. Hełoł, o co tu chodzi?

– No to spoko.

Monika, niczym gwiazda betlejemaska, rozpostarła wokół siebie wachlarz uśmiechów, zalotnych minek i umizgów. Zaproszona, przepychając się z Aśką, zajęła miejsce pasażera dotychczas zarezerwowane dla narzeczonej.

– A skąd, lalka, jesteś?

– Ze stolicy.

- Nie gadaj.
- No.
- Ale jazda. A znasz Powalonego?
- Kogo?
- No, kurwa, Krzycha nie znasz?
- Obawiam się, że nie.

Monika nie rozumiała tego pytania. Jakim cudem spośród ponad półtora miliona mieszkańców miałyby znać akurat jakiegoś Powalonego? Spojrzała na Daniela spod oka. Zastanawiała się, co Aśka w nim widzi. Dla niej z każdą kolejną kwestią z gościa wyłaniał się wiejski głupek, któremu wydaje się zdecydowanie więcej, niż wie w rzeczywistości.

Jej krótkotrwałe zauroczenie obracało się w ruinę niczym glinianka w Iraku. Był pozerem. Zwyczajnym zakompleksionym cwaniakiem, który gra kogoś, kim nie jest i nie będzie. Jednocześnie bawiło ją to, z jaką nabożną czcią zabiega o Daniela Aśka, i postanowiła rozerwać się jej kosztem.

Wakacje nabierały smaku i sensu. Zaczynało jej się tu podobać.

Chujnia mrok. Potocki miał dosyć. Nie dość, że wnyki były puste, nie złapał nawet głupiego zająca, to w dodatku najwyraźniej ktoś kręcił się po okolicy. Wbrew swej naturze stał się nerwowy jak rolnik w żniwa, bo nadal nie mógł zrozumieć, o co tu chodzi. Zaczął nawet podejrzewać poczciwego Wolskiego, który ostatnio go wypytywał o te wycieczki do lasu.

Po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że to z pewnością nie sąsiad, bo od czasu, gdy lata temu pogoniły go dziki, nie zapuszczał się w żadną gęstwinę. Nawet rachityczny krzew bzu w ogrodzie omijał z pewną rezerwą, a co dopiero leśny zagajnik.

Obszedł polanę. Zatrzymał się nieopodal trzech brzóz i sprawdził niewielką pętlę, w którą chciał złapać bażanta mającego nieopodal żerowisko. Zdecydowanym ruchem pociągnął za drut, przy okazji potrząsając drzewkiem. Wsunął rękę do kieszeni kurtki o wyjął garść pszenicy. Podesypał ziaren i postanowił wracać do chałupy.

Wiedziony dziwnym niepokojem obrał dłuższą drogę niż zazwyczaj, przez młodnik i piaszczystą polankę. Bacznie się rozglądał w poszukiwaniu pierwszych w tym roku kurek. Mimo upału ostatnie dwie noce mocno padało, co dawało nadzieję na grzybobranie. Trawa i mech zachowywały jeszcze wilgoć, tak że jego czarne gumiaki pokryły się kroplami rosy. Tuż przy piaszczystej, ledwo widocznej ścieżce wypatrzył sinozielone gołąbki. Dla zasady je kopnął, tak że dwa kapelusze odpadły, ukazując biały blaszkowaty spód. Podrapał się po głowie, mocniej nacisnął kaszkiet i na powrót zagłębił się w las.

Pochylony i wpatrzony w ściółkę nie tracił czujności, co rusz przystawał, rozglądał się i nasłuchiwał. Zajęcie, którym się parał, wymagało nie tylko sprytu, ale również obarczone było sporą dozą stresu, by nie dać się złapać na gorącym uczynku. Mimo że ryzykował powrót do pierdła, lubił to, co robił, a w jego głowie nawet na chwilę nie zagościła myśl, by zająć się uczciwą pracą.

– W pizdę jeża! Co za ciul.

Przymknął oczy i brudną ręką zmiótł pajęczynę z twarzy. Korzystając z okazji, głośno charknął raz i drugi, ściągnął śluz z zatok, zagulgotał i splunął. Wytarł ręce w zieloną zniszczoną kurtkę, odbił nieco w prawo i kontynuował poszukiwania grzybów. Stał na zwalonym, zmurszałym pniu, w który zdążyły się wgryźć mrówki, czyniąc z niego część mrowiska.

Plątanina gałęzi zdawała się tworzyć niemożliwy do przebycia gąszcz, na którego skraju widać było wyraźnie żółtą plamę – najpewniej kurek.

Ruszył w ich kierunku dziarskim krokiem, lecz nagle przystanął. Wszędzie wałały się gołąbki, zniszczone kapelusze, część zdeptana, tylko nielicznym udało

się przetrwać w całości. Nie dostrzegł śladów dzika ani innej zwierzyny. Zniszczenia były stosunkowo świeże i z pewnością ich sprawcą był człowiek.

Poczuł tym większy niepokój, że w jednym miejscu ściółka była najwyraźniej naruszona, a gdy dokładniej się przyjrzał, dostrzegł siatkę patyków przykrytych mchem, skrywających dołek.

Obszedł znalezisko z prawej strony, zawrócił, obszedł z lewej i choć doskonale wiedział, że to pułapka, nie dawał wiary w to, co widzi. W słuszości domysłów utwierdziła go wisząca nieopodal pętla i związane ze sobą, mocno przygięte do ziemi gałęzie.

– Psie macie.

Splunął z podwójnym zaangażowaniem. Odkrycie zaniepokoiło go, oznaczało bowiem, że nie tylko on kręci się po lesie, że tuż za plecami ma konkurenta, który prawdopodobnie w dużym stopniu był odpowiedzialny za jego ostatnie niepowodzenia.

Schylił się po leżący nieopodal gruby kij i mocno walnął w pułapkę. Z głośnym świstem gałąź wystrzeliła w powietrze, ciągnąc za sobą metalowy zwój. Uderzył raz jeszcze i nogą zaczął rozkopywać gałęzie. Zrozumiał jednak, że musi być bardziej czujny. Instynkt skłonił go do dalszych poszukiwań. Obszedł okoliczne zagajniki, krzaki i skupiska mniejszych drzew. Kierując się doświadczeniem, oceniał, gdzie sam założyłby wnyki. Coraz bardziej oddalał się od grzybów i zagłębiał w serce lasu.

Omiatał spojrzeniem drzewa, nasłuchiwał, skupiony głównie na tym, co leży i rośnie pod nogami. W zasadzie nie odniósł wielkiego zwycięstwa, bo odkrył tylko małą pułapkę, ale czuł się usatysfakcjonowany – teraz już wiedział, że ma wroga.

Postanowił wrócić do domu, straciwszy zainteresowanie skarbami oferowanymi przez las. Wydawało mu się, że każda trzaskająca i pękająca pod stopą gałązka wydaje zbyt głośny dźwięk, a jeśli jeszcze ktoś się tu kręci, z pewnością wie o jego nieproszonej obecności.

Nagle przystanął. Podświadomość nim szarpnęła i osadziła w miejscu. Zeskanował otaczającą go ścianę lasu i gdy już nabierał pewności, że jednak nic się nie dzieje, jego wzrok powrócił do dziwnej, nienaturalnie czarnej plamy zlewającej się z ciemną zielenią liści.

Wsadził rękę do kieszeni i wymacał nóż. Ścisnął mocno rękojeść i zaczął się skradać. Plama robiła się coraz większa i wyraźniejsza, aż wreszcie przybrała kształt człowieka, a konkretnie kobiety. Zszokowany, nie wiedział, co ona tu robi i dlaczego leży na mokrej trawie. Na brzuchu, skulona, jej twarz skrywały liście paproci, w które chyba upadła. Podszedł bliżej i zawołał:

– Halo! Pani? Wszystko w porządku?

Odpowiedział mu krzyk spłoszonego ptaka, który najprawdopodobniej w ten sposób usiłował odstraszyć intruza.

– Pani? Pani wstanie, co?

Znowu nic. Zbliżył się, tak że czubkiem gumiaka niemal dotykał czarnej sukni. Zdjął nadal oklejone pajęczyną okulary i zaczął uciskać palcami nasadę nosa. Głośno westchnął i zebrał się na odwagę. Szturchnął butem leżące ciało.

Było całkiem sztywne i nie dawało najmniejszych oznak życia. Kobieta nie powiedziała: auć, o co chodzi, ani nie zapytała: czego? – co w jego lingwistycznej strukturze byłoby szczytem elokwencji.

Przykucnął i dopiero teraz dostrzegł wokół jej szyi mocno zaciśniętą drucianą obręcz.

– Kurwa mać!

Nie dość, że miał przed sobą trupa, to jeszcze zamordowanego! Ciekawość zwyciężyła i jeszcze raz delikatnie poruszył gumiakiem zwłoki. Głowa się uniosła i ponownie opadła w paprocie. Jednak ta sekunda wystarczyła, by spojrzeć w martwe, szkliste, wytrzeszczone oczy Teresy.

– Kurwa, Teresa! Ja pierdołę, co tu się, kurwa, stało?!

Umysł Potockiego natychmiast przerzucił się na boczny tor, związany bezpośrednio z jego osobą. A jeśli ktoś pomyśli, że to on jest sprawcą? Siedział, więc wnioski są proste i same się narzucają. On, ucieleśnienie zdecydowania, odwagi i świadomości, że nie ma nic do stracenia, nagle nie wiedział, co począć. W pierwszej chwili postanowił uciec i zapomnieć, jednak w miarę jak szybkim krokiem oddalał się od zwłok, dochodził do wniosku, że może to być równie zgubne jak zgłoszenie sprawy na policji. Psów nienawidził. Nigdy z własnej woli z nimi nie gadał. I co? Ma teraz tak po prostu iść i powiedzieć, co odkrył? Zaraz zaczną wypytywać, co robił w lesie, po co tam łaził i czy wnyki są jego. Nie, nie mógł do tego dopuścić.

Jedynym słusznym rozwiązaniem wydało mu się zatarcie wszelkich śladów własnej obecności w lesie. Miał dosyć.

– Ścierwo, nie dzień.

Jeszcze bardziej przyspieszył, gumiaki plaskały coraz głośniejsze, a on tracił zimną krew. Tylko tego mu było potrzeba! Wreszcie dotarł do pierwszej pułapki. Wyszarpnął ukryty w liściach zardzewiały drut, zwinął go, boleśnie się kalecząc, i niczym ksiądz po kołędzie zaczął odwiedzać kolejne znane tylko jemu adresy. Po godzinie mitręgi wracał z naręczem złomu i śmieci do domu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Gdy wyłonił się z lasu i miał przemknąć w kierunku podwórza, jego wzrok zogniskował się na małym czerwonym samochodzie wjeżdżającym na szutrową drogę prowadzącą wprost do jego obejścia.

– Cie pieruna, co jest?

Mimo że zmrużył oczy, to przez okulary z grubym filtrem kurzu niewiele widział. Cisnął druty w pokrzywy i jak gdyby nigdy nic zapalił dziesiątego tego

dnia papierosa. Usiadł na wystawionym przed drzwi frontowe krzesło i mocno zaciągając się dymem, przyglądał się nieporadnym manewrom kierowcy. Wreszcie auto zawróciło i powoli odjechało w stronę głównej drogi.

Promienie słońca przyjemnie łaskotały zapadnięte, pokryte gęstą szczecina dwudniowego zarostu policzki. Odwiesił kurtkę na oparcie krzesła, wyciągnął nogi i zamiast rozmyślać o znalezionej w lesie martwej sąsiadce, zastanawiał się, co zrobić z przywleczonymi drutami.

W końcu wpadł na pomysł wrzucenia ich do starej, od dawna nieużywanej studni. Betonowe kręgi na środku podwórza przykryte były od lat tymi samymi przegniłymi deskami i raczej nikomu nie przyjdzie do głowy czegoś tam szukać.

Pstryknął niedopałkiem, przydepnął go gumową podeszwą, wygrzebał z pokrzyw wnyki i wrzucił je w czarną dziurę, na której dnie znajdowała się resztką wody. Głośne chlupnięcie dało znać, że zadanie zostało wykonane i może odetchnąć z ulgą.

Usiadł znowu na krzesło, odpalił znalezionego na ziemi na wpół wypalonego papierosa i mocno się zaciągnął. Przekonywał sam siebie, że nie musi dzwonić na policję, ale wyrachowanie i obiektywna analiza faktów sprawiły, że jednak postanowił powiadomić gliny o swoim znalezisku. Uznał, że lepiej będzie, jeśli ich ubiegnie, niż gdyby oni mieli przyjść i, nie daj Boże, oficjalnie go przesłuchiwać.

Nie wypuszczając papierosa z ust, uniósł pośladki, odgiął się do tyłu i z trudem wyciągnął z kieszeni opiętych spodni starą, popękaną nokię oraz czarną, pogniecioną paczkę desantów. Drobinki tytoniu okleiły opakowanie i zagnieździły się w każdym zakamarku kieszeni, jednak zupełnie nie zwracał na to uwagi. Wyrzucił niedopałek, odpalił papierosa wyjętego z pudełka i czekając na połączenie, mocno się zaciągnął. Wypuścił nosem dwa obłoki dymu, które sprawiały wrażenie, jakby w okolicy pojawiły się F-16 i teraz pozostały po nich tylko białe smugi. Gołębie, które hodował już od dzieciaka, głośnym gruchaniem domagały się porcji ziaren.

Automat nieustannie powtarzał, że ma poczekać na linii i się nie rozłączać.

– Posterunek policji we Wsiowie, młodszy aspirant Kowalski przy telefonie, słucham.

– Yyy...

– Słucham!

– Potocki mówi. Zdzisław Potocki. Znalazłem ciało w lesie.

– Co pan znalazł?

– Ciało kobiety, znaczy się sąsiadki, tego ten, Teresy Żytko.

– Czy udzielił pan pomocy?

– Kurwa, panie, jakiej pomocy? Trupowi?

– Skąd pan wie, że obywatelka nie żyje?

– Panie, sztywna jest jak chuj po viagrze.

- Tylko bez takich, proszę nie obrażać władzy.
- A gdzież bym śmiał.
- Gdzie pan znalazł denatkę?
- W lesie, jużem mówił.
- Ale gdzie w lesie?
- A zna pan nasz las?
- Niespecjalnie.
- To co mam gadać gdzie, jak i tak nie traficie. Chcecie, to was zaprowadzę. Chcieli.

Nareszcie. W końcu mogę się zabrać do poszukiwań Laury. Otwieram wszystkie okna, tak że podmuchy powietrza liżą palce stóp w sandałkach, zawracam, markując powrót do domu, i na najbliższym skrzyżowaniu odbijam w prawo. Kieruję się wprost do Wsiowa. Mijam blok i szereg domów, w których mimo południa nie widać najmniejszego ruchu, zupełnie jakby życie ze wsi uszło.

Między Koniuszkami a miasteczkiem rozciąga się pepitka pól. Kwitnący w kwietniu wulkanem żółtych kwiatów rzepak wygląda teraz ponuro, natomiast pola pszenicy przybierają coraz piękniejszy złocisty kolor. Pobocze drogi jakiś szalenciec obsadził wiśniami, które w tym roku obficie wydały ciężkie od ołowiu owoce. Wyłączam jazgot radia i pozwalam, by fala skołunionych niepokojem myśli zawładnęła umysłem. Co będzie, jeśli nie spotkam Laury, a co, jeśli ją zobaczę? Jak zacząć rozmowę?

Głośny sygnał pędzącego radiowozu wprowadził mnie w popłoch. W pierwszej chwili nie wiedziałam, czy wóz jest za mną czy przede mną. Pobocze było zbyt wąskie i zbyt gęsto porośnięte krzakami, by na nie zjechać, więc na wszelki wypadek jeszcze bardziej zredukowałam prędkość, niemal się zatrzymując. Nagle tuż obok mnie wyrósł srebrny radiowóz, wściekle rozświetlony niebieskim pulsującym światłem i wrzeszczący klaksonem, który najwyraźniej mnie informował, że jestem idiotką i coś źle robię.

Czuję, jak krew rozgrzewa się w spanikowanym ciele, krążąc chaotycznie tam i z powrotem i pompując do mózgu strach. Na sekundę tracę panowanie nad kierownicą, koła zahaczają niebezpiecznie o grysik, którym ktoś wysypał pobocze, i czuję, jak samochód wykonuje niekontrolowany podskok. Włączam światła awaryjne, zatrzymuję się i głośno oddycham z rękami splecionymi na kierownicy. Czuję się tak, jakbym cudem wyswobodziła się z gwałtownego wiru, który usiłował mnie wciągnąć.

Chryste Panie, co to było? Mam nadzieję, że gnający na złamanie karku policjanci nie wyciągną żadnych konsekwencji w stosunku do mnie i w domu nie będzie czekał na mnie mandat. Wreszcie postanawiam ruszyć. Odpalam silnik, spoglądam w lusterko, poprawiam pas, wrzucam jedynkę i gdy delikatnie dodaję gazu, by wytoczyć się na środek jezdni, z dzikim trąbieniem mija mnie rozpędzona ciężarówka.

Oddech panikuje, a ciało ogarnia paraliż. Skąd ona się wzięła? Mam ochotę porzucić micrę i uciec, ale wiem, że mi nie wolno. Więc kolejny raz przechodzę przez procedurę ruszania: lusterko, bieg, jeszcze raz lusterko i wreszcie toczę się w kierunku Wsiowa.

Jadę jak automat. Zamyślona i szczęśliwa, że przetrwałam i nie uczyniłam

Moni sierotą. Boże, niewiele brakowało, a osierociłabym dwie córki. Co prawda nie z własnej woli, jednak znowu byłabym sprawczynią nieszczęścia.

Zajęta rozpaczliwymi myślami, które co rusz punktują moją nieudolność, nie zauważam w porę blaszaka, celu mojej wyprawy. Muszę zawrócić, ale myśl o manewrze pozbawia mnie resztek spokoju. Jadę powoli, szukając podjazdu albo innego poszerzenia drogi, które ułatwiłoby zawrotkę, i wreszcie po niemal kilometrze decyduję się wjechać na piaszczystą drogę najwyraźniej prowadzącą do czyjegoś gospodarstwa. Z trudem na kilka razy zawracam i ponownie znajduję się na głównej szosie.

Spocona i zestresowana docieram na parking przed sklepem. Na szczęście mój nissan jest jedynym samochodem i mogę swobodnie zrobić duże koło, tak by zaparkować przodem do wyjazdu. Chociaż tyle.

– Dzień dobry.

– Witam szanowną panią, w czym mogę pomóc?

Kędzierzawy chłopak za ladą zachowuje się jak dziewiętnastowieczny subiekt, któremu zamiast bel jedwabiu przyszło sprzedawać tanie konserwy rybne, co najwyraźniej nie robi mu różnicy. Jestem zaskoczona jego obecnością, zachowaniem i kurtuazją. Miałam nadzieję, że dziś szczęście się do mnie uśmiechnie i spotkam Laurę.

– Jeszcze się nie zdecydowałam, rozejrzę się trochę.

– Bardzo proszę. Jeśli będę mógł być w czymś pomocny, proszę dać znać.

Myślę sobie, że najbardziej by mi pomógł, dzieląc się informacjami i plotkami na temat zmienniczki, i uznaję, że to dobry moment, by wykorzystać jowialność młodzieńca i trochę pociągnąć go za język.

– Pan jest tu chyba nowy, nie spotkaliśmy się wcześniej.

To nic, że zachowuję się, jakbym mieszkała tu od miesięcy i zajmowała stanowisko przewodniczącej lokalnego oddziału Caritasu, która wie wszystko o wszystkich, ba, nawet zna ich potrzeby i deficyty.

– To prawda. Jestem tylko na zastępstwie. Koleżance zmarł tata i musiała trochę dłużej zostać w domu, żeby uporządkować pewne sprawy, a jak pani wie, sklep rządzi się własnymi prawami i nie można go tak po prostu zamknąć. Klient nie będzie czekał, pójdzie po bułki do konkurencji.

Gaduła był w swoim żywiole. Nareszcie mógł porozmawiać z kimś na poziomie. Najczęstszymi, choć też najmniej wymagającymi klientami byli lokalni pijaczkowie, którzy wpadali tylko po flaszkę albo dwie i z rzadka dawali się wciągnąć w rozmowę.

– To prawda. Aż trudno uwierzyć, ile spraw trzeba zorganizować po śmierci kogoś bliskiego.

Co prawda nie mam pojęcia ile, bo na szczęście nikt z najbliższej rodziny mi nie umarł i nie musiałam oswajać tego tematu, ale wyobrażam sobie, że nie jest to

proste. Elektryzuje mnie również informacja o śmierci ojca Laury. Zastanawiam się, jak blisko byli z sobą związani i jak dziewczyna radzi sobie po takiej stracie.

– Zwłaszcza po takim gospodarzu jak pan Leon.

– Leon?

– Tak, znała go pani?

– Nie, nie, skąd. Tylko że w dniu, kiedy tu przyjechałyśmy, akurat był pogrzeb jakiegoś Leona.

– Widzi pani, jaki świat mały. To ten sam człowiek.

– Ludzie we wsi dobrze go wspominali.

– A pewnie. Poczciwy był i pomocny, ale rodzina to chyba lekko z nim nie miała.

– Dlaczego? Znęcał się nad nią?

– Leon? – Chłopak głośno się roześmiał. – W życiu! To był dobry człowiek, tylko trochę skryty, wie pani.

Nie wiem, ale zdecydowanie jestem żywo zainteresowana tą historią.

– Tak?

– No tak. Sam tyrał w gospodarstwie, niewiele mówił, ale dużo pracował. Myślę, że teraz, gdy go zabrakło, trudno im będzie to wszystko ogarnąć.

– A syna nie miał?

– Nie, tylko córkę, Laurę. W sumie jest bardzo zaradna, ale wie pani, jak to jest. Pracuje tu w sklepie, teraz przybędzie jej jeszcze pracy w obejściu, a to kupa roboty.

– A mąż Laury?

– Mąż? Nie, ona nie ma nikogo. Jakoś jej się nie ułożyło.

– Szkoda.

– Pewnie, że szkoda. Tych bułek niech pani nie bierze, wczorajsze. Chleb polecam. A pani tu na dłużej?

– Jeszcze nie wiem. Przyjechałam na dwa tygodnie, ale może przedłużę urlop.

– Niech się pani nie zastanawia. Gdzie pani znajdzie takie powietrze? A nie chce pani swojskich jaj? Te niby też są dobre, ale moja babka sprzedaje takie świeże, prosto od kury, to mógłbym pani przynieść.

– Naprawdę? Będę zobowiązana.

– Nie ma sprawy. A pani z rodziną na wakacjach czy sama?

– Z córką.

– Ale jej zazdroszczę. Ja to nigdy z rodzicami nie wyjeżdżałam. Wie pani, pięcioro nas w domu było, do tego ojciec wolał wódę niż mamę, to nie było lekko. Ale źle też nie. Coś jeszcze pani podać?

– Nie, dziękuję. To już wszystko. Gdybym czegoś zapomniała, to jeszcze podjadę. Do której macie otwarte?

– Do dwudziestej pierwszej, ale niech się pani pospieszy, bo ze świeżych rzeczy niewiele na wieczór zostaje.

– Dzięki za radę.

Zgarniam z lady ciężki koszyk – i aż pojękuję. Mleko, trzy kilogramy ziemniaków, cukinie i sok w kartonikach sporo ważą. Chłopak zrywa się z miejsca i oferuje pomoc.

– Proszę pozwolić.

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

– Ale to nic takiego. Widzi pani, nikogo nie ma, to przynajmniej trochę wyjdę na powietrze. Ile można odkurzać konserwy?

Z gibkością i skocznością właściwą młodym optymistycznym ludziom przepuszcza mnie w drzwiach, wyprzedza i zatrzymuje się przy bagażniku.

– Otwarty?

– Tak.

Samochodowa kłapa odsłoniła maleńkie wnętrze, które z trudem pomieściło zakupy. Z głośnym plaśnięciem zamykam bagażnik i już mam się pożegnać, gdy obok parkuje fiat panda. Kierowca pochyla się nad siedzeniem pasażera i czegoś szuka. Po chwili drzwi się otwierają i staje przede mną Laura. Wygląda na zmęczoną. Mimo że bladość twarzy podkreśla czarna nieładna sukienka, a niezdrowe sińce rozsiadają się wokół podpuchniętych oczu, jej twarz wydaje mi się znajoma. Nagle uświadamiam sobie, że wpatruję się w nią z taką intensywnością jak matka w noworodka. Znam tę twarz. Wróc. Znałam taką twarz, tak bardzo podobną do tej. Kształt oczu, grymas zbyt wąskich ust i nieposłuszne włosy, których w żaden sposób nie udaje się ułożyć w zgrabną fryzurę.

– O wilku mowa.

Laura spogląda na mnie z równie dużym zainteresowaniem. Przez chwilę w ciszy mierzymy się wzrokiem. Chłopak, nieświadomy, jakie zrobiliśmy na sobie wrażenie, jak gdyby nigdy nic z uśmiechem zachęca nas obie do wejścia do sklepu.

– Widzi pani, to Laura, zazwyczaj ona tutaj pracuje, ja tylko od czasu do czasu pomagam. Może wejdzie pani do nas jeszcze na chwilę, nie zapisałem, gdzie pani mieszka.

– A po co panu mój adres?

– No a jajka jak dostarczę?

– Jutro podjadę do sklepu.

– Jak pani sobie życzy, ale to nie kłopot, mogę podrzucić.

– Nie, naprawdę dziękuję. Jutro będę musiała kupić też chleb, więc podjadę.

Laura stała milcząca z boku i nie mogła oderwać wzroku od letniczki. Kobieta była jakaś dziwna. Miała wrażenie, jakby już ją kiedyś spotkała, ale oczywiście nie mogła przypomnieć sobie gdzie. Zresztą może jej się tylko wydawało. Ale było w niej coś, co budziło niepokój. Coś, czego nie dało się nazwać.

– Laura, nie miałaś wrażenia, że ta kobieta jest do ciebie podobna?

– Zwariowałaś?

– Nie, no naprawdę wydawała się podobna.

– Może trochę, ale pewnie słyszałeś, że każdy ma swojego sobowtóra.

– Podobno. Jak się trzymasz?

– Dobrze, chociaż matka bywa trudna. Teraz wymyśliła, że będzie się odchudzać, i w dodatku od rana robi porządki.

– To chyba dobrze?

– Nie jestem taka pewna. Powywalala wszystko z szaf i po chwilowym napadzie entuzjazmu oklapła. Jak się domyślasz, sprzętowanie bałaganu spadło na mnie.

– Kiepsko.

– Zwłaszcza po tym, co tam znalazłam, to prawdziwa katastrofa. – Laura uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo, i szybko usiłowała zmienić temat.

– Wiesz, ile człowiek potrafi zgromadzić gratów przez całe życie...

– Domyślam się. Wyglądasz na zajechaną.

– I jestem. A co w sklepie?

– Cisza. Kilka nowych twarzy i ekipa tych samych pijaczków jeszcze przed otwarciem.

Jak na ironię, ciszę przebił krzyk Kaśki, która pospiesznie oparła rower o obśrupaną kratę i wbiegła do sklepu, wołając od progu:

– Słyszeliście? Znaleźli trupa w lesie!

Laura i jej pomocnik oszołomieni wpatrywali się w przejętą sąsiadkę. Pierwszy oprzytomniał chłopak i od razu zapytał:

– Kogo znaleźli?

– Tego nie wiadomo. Podobno jakąś kobietę, pewnikiem letniczkę, bo przecież my wszyscy we wsi są.

– Rany, co też pani mówi! A kto ją znalazł i gdzie?

– W lesie, po drugiej stronie szosy. Całkiem martwa była.

Zaraz za Kaśką pojawiła się na swoim starym skrzypiącym rowerze Wolska, która nie zaprzętała sobie głowy opieraniem go o cokolwiek ani tym bardziej ustawianiem na nóżce, która urwała się zapewne w czterdziestym piątym, gdy

Niemcy pospiesznie opuszczali ziemie im już nienależne, i rzuciła go na żwir przed wejściem.

– Ludzie, ludzie! Słyszeliście?! Potocki trupa w lesie znalazł.

– No właśnie o tym mówiłam.

Kaśka, oburzona, że ktoś usiłuje skraść jej show, z niezadowoleniem spojrziała na nowo przybyłą. Jednak temat był tak interesujący i niezwykły, że gwiazdorzenie zostawiła na później, i obie, niczym kury nad sypniętym ziarnem, przekrzykiwały się nowinkami:

– Nie może być, a skąd wiesz?

– Sołtys coś mówił. Ponoć Potockiego na spytki wzięli.

– A co? Ma z tym coś wspólnego?

– Cholera wie. Kto tam za nim nadaży. Siedział, to nawet jak nie on, to przecie kumpli jakichś ma.

– No, niby tak, ale po co by mieli kogo w lesie ciukać?

– A to sąsiadka nie wie? Mogli zaciukać dla kasy, zgwałcić albo ot, tak po prostu, żeby zobaczyć, jak to jest.

– No też pani wymyśliła.

– A ty, Kaśka, taka mądra nie bądź, ja ci mówię. Bo to wiesz, co ludziom w głowie siedzi? Każdy co innego tam ma.

W kulminacyjnym momencie dyskusji dołączyła do nich nowa letniczka, ta sama, która robiła zakupy przed chwilą. Już od progu wyczuła napięcie panujące w sklepie, bo zgubiła zwawy krok i zeszytniała, zupełnie jakby zobaczyła obcą kobietę sikającą w niezamkniętej toalecie.

– O, przepraszam, nie chciałam przeszkadzać.

– A skąd, niech pani robi zakupy, jakby nas tu nie było.

Wolska zmrużyła oczy i z zaciekawieniem przyglądała się nowo przybyłej.

– A pani słyszała, co to się stało?

– Nie, nic nie wiem. A stało się coś?

– A jak! Trupa w lesie znaleźli. Prawdziwego.

– Boże, co pani mówi? A kiedy?

– Bo ja wiem, kilka godzin temu. Podobno jakaś dziewczyna, choć nic więcej nie można się dowiedzieć, bo Potockiego, no, tego, co ją naszedł nieżywą, na przesłuchanie wzięli, a do lasu wstęp wzbroniony, taśmą wszystko ogrodzone.

Letniczka zrobiła się blada, po chwili jeszcze bledsza, a w następnej sekundzie wyglądała tak, jakby miała zemdleć. Wolska albo nie widziała, co się z nią dzieje, albo nie chciała dostrzec zmiany w wyglądzie kobiety.

– Duch Święty nie wiedział, Matka Boska się nie spodziewała, a trup w lesie jest. – Jednak zerknąwszy na letniczkę, aż się zapowietrzyła. – A tej co? Kobieto, ty sama jak trup wyglądasz. Laura, kochanieńka, daj krzesło, bo kobiecina nam padnie.

Nim Laura zdążyła się poruszyć, usłużny chłopak podparł klientkę i delikatnie podprowadził do wysuniętego zza lady krzesła. Gestem nakazał jej się pochylić i włożyć głowę między kolana i na chwilę zablokował ją w tej pozycji.

– Lepiej pani?

– Chyba tak, przepraszam.

– Co panią tak zdenerwowało?

– Muszę zadzwonić do córki.

– Boże przenajśłodszy, myśli pani, że to ona?

Laura spiorunowała Wolską wzrokiem i poklepała nieznajomą po plecach. W jej ocenie ta letniczka sprawiała wrażenie dziwnej. Niepokoiło ją to, z jaką uwagą przysłuchuje się rozmowom innych, i wydawało jej się, że chwilę przed jej przyjazdem wypytywała równie miłego jak naiwnego Adama. A ponieważ Laura nie rozumiała, o co chodzi, czuła się nieswojo.

– Co też Wolska za bzdury opowiada – ofuknęła sąsiadkę i zwróciła się bezpośrednio do kobiety: – Czy pani córka zniknęła? Kiedy pani ostatnio z nią rozmawiała?

Ola poczuła, że zaraz zwymiotuje. Jej potencjalne zaginione dziecko pyta ją teraz, czy jej córka zniknęła. Co za ironia losu. Z drugiej strony zganiała się w myślach, bo przecież poza podobieństwem nie miała żadnego punktu zaczepienia, który potwierdziłby jej domniemania.

– Rano. Dziś rano.

– A gdzie jest teraz?

– Pojechała z Joanną i jej chłopakiem do miasta.

– Aśką od sołtysa? To nic się pani nie martw! Przy tej nikt nie zginie.

Dzwoniła pani do niej?

– Tak, dwa razy, ale nie odbiera.

– Pewnie nie słyszy. Wie pani, jaka ta młodzież dzisiaj jest. – Wolska twardą, spracowaną dłońią poklepała pocieszająco miastową po głowie i zaczęła opracowywać plan, głośno przy tym cmokając. – A wie pani, gdzie pojechali?

– Nie.

– Laura, a ty nie masz numeru do Aśki?

Jeszcze tylko tego brakowało. Laura nie miała najmniejszej ochoty na kontakt z Joanną, a tym bardziej nie miała zamiaru go inicjować.

– Nie wiem, może gdzieś mam.

– Weź zobacz.

Laura sięgnęła do torebki po telefon i powoli zaczęła przeglądać książkę adresową. Na własne nieszczęście odnalazła Aśkę i już miała wcisnąć zieloną słuchawkę, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

– Podam pani numer.

Ręka drży mi tak, że nie jestem w stanie utrzymać komórki, a co dopiero wybrać numeru. Po czterech próbach nareszcie słyszę sygnał, który wydłuża swój jęk w nieskończoność. Nikt nie odbiera, włącza się automatyczna sekretarka.

– Nie odbiera.

– Niech no pokaże.

Wolska zdecydowanym ruchem wyjmuję mi z rąk telefon i wpatruje się w aparat jak małpa w kij.

– Cie pieruna. Co to jest? Nie ma klawiszy?

– Ma, tylko trzeba odblokować.

– A to niech odblokuje.

Kolejny raz usiłuję się połączyć z wybranym numerem i dla świętego spokoju oddaję telefon starszej kobiecie, która wsłuchuje się w dźwięki wydawane przez aparat, jakby oczekiwała na słowo boże płynące z zaświatów. Najwyraźniej odnosi sukces i łaska boska łączy ją z kimś, bo głośno woła:

– Halo, kto mówi?

– To ja pytam: kto mówi?

– Wolska z tej strony. Joanna, a jest z tobą ta dziewczuszka – tu zwraca się do mnie: – Jak córka ma na imię?

– Monika.

– No. Monika jest z tobą? Ty nie pyskuj mi tu „bo co”, tylko daj ją do telefonu. Jak to co mi do tego? Jej matka chce z nią rozmawiać. – Wolska wyciąga kościstą rękę z telefonem i wciska mi aparat, gestem pokazując, że mam przejąć pałeczkę.

– Monika?

– Co jest?

– Jezu, dziecko, dlaczego nie odbierasz?

– Telefon mi się rozładował.

– Tyle razy prosiłam, żebyś tego pilnowała!

– Nie krzycz na mnie.

– Nie krzyczę, ale odchodziłam od zmysłów. Myślałam, że coś ci się stało.

– Oszalałaś! Co niby mogło mi się stać?

– W lesie ktoś trupa znalazł, jakiejś dziewczyny, i tak się wystraszyłam...

– Jaja sobie robisz!

– Niestety nie. Słuchaj, mogłabyś już wracać?

– No spoko. Gdzie jesteś?

– Teraz siedzę w tym blaszaku, to znaczy w sklepie. Powiedz, za ile będziesz, to podjadę do domu.

– Poczekaj tam na mnie. Aśka, za ile dojedziemy do Koniuszek?

– Halo, Monia, sklep jest koło Wsiowa.

– Poczekaj. – Gdzieś w tunelu słyszę echa tego, co tłumaczy koleżance: Podobno u was w lesie kogoś martwego znaleźli. No, raczej nie żyje, jak jest martwy. Nie, mama nie mówiła, ale muszę wracać. – Mamo, będziemy za jakieś pół godziny. Poczekasz na mnie?

– Jasne. To ja tu siedzę i czekam, OK?

– Dobra, narka.

Czuję błogosławieństwo totalnej ulgi, która spływając na umysł, ogarnia ciało, odbierając mu całą energię i siłę. Miałabym ochotę położyć się i zasnąć. Czuję się tak zmęczona, jakbym właśnie zdała najtrudniejszy egzamin w życiu. Chyba nawet rozstanie z Pawłem nie kosztowało mnie tyle.

Wraca oddech, ale strach czai się nieopodal. Uświadamiam sobie, jak zaborczą miłością kocham Monikę. Nieważne, jak bardzo potrafi mnie zranić, jak często się kłócimy i jak bardzo nie potrafimy się zrozumieć. Gdyby nie ona, mój świat by nie istniał. Nie istniałabym ja. Spoglądam na spokojną Laurę, która wygląda tak, jakby doskonale wiedziała, że sprawa jej nie dotyczy, że nie chodzi o nikogo z jej bliskich. Patrzę na nią z podziwem i zastanawiam się, skąd bierze opanowanie.

Dla odmiany Kaśka z Wolską przerzucają się domysłami, podejrzeniami i wzajemnie straszą. Obie obdzwoniły rodzinę i wszystkich możliwych znajomych, a upewniwszy się, że rzecz nie dotyczy ich bezpośrednio, teraz oddają się konfabulacjom.

– Co to się, pani, porobiło... W dzisiejszych czasach to człowiek nawet w domu nie może czuć się bezpiecznie.

– A jeszcze ci letnicy. Najedzie się takich i potem co? Łazi toto po okolicy i tylko kombinuje, to i trudno się dziwić, że potem jeden drugiego ukatrupi w krzakach.

– Ano tak, święta prawda. Pani Wolska, pani jak co powie, to już powie. Poza tym Potockim to same porządne ludzie tu mieszkają. Co za wstyd dla wsi, żeby u nas taki skandal! Co teraz o nas powiedzą?

– Z tego wszystkiego to zapomniałam, co miałam kupić. Daj mi, kochana, tylko tego chleba, nie, nie tego, tego obok, z makiem, jutro po resztę wrócę. A ty, Kaśka, idziesz do chałupy?

– A żeby Wolska wiedziała, że idę, może po drodze się czego dowiemy.

Wyszły i... zapanowała cisza. Krępująca cisza, w której niestety będę musiała spędzić najbliższe pół godziny. Tak bardzo czekałam na to spotkanie i przyniosłam z sobą tyle pytań, a teraz nie potrafię wykrztusić słowa.

– Laura, to ja już będę leciał. Dasz radę?

– Jasne. Do jutra.

– Do widzenia pani. Proszę pamiętać, że jutro będą na panią czekać jajka.

– Bardzo dziękuję.

Ani nie mam ochoty na jajka, ani nie jest mi potrzebne do szczęścia masło, po które wróciłam do sklepu. Postawiony na pustej półce tuż za ladą biały wiatrak miarowo, z lekkim szumem mieli nagrzane powietrze. Mimo jego wysiłków nie jest tu ani krztynę chłodniej. Ciszy nie maści nawet radio. Przyglądam się spod opuszczonych powiek Laurze, której najwyraźniej ta sytuacja również ciąży. Okazuje się, że w tym samym momencie decydujemy się przerwać milczenie, bo jednocześnie wypływają z nas słowa:

– Napije się pani czegoś?

– Ale się porobiło.

Zawstydzone uśmiechamy się do siebie, a ponieważ Laura wydaje się bardziej zagubiona niż ja, postanawiam przejąć pałeczkę.

– Bardzo chętnie. Jeśli to nie kłopot, to byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zaparzyła mi pani jakiejś herbaty.

– Oczywiście, nie ma sprawy. Tyle tylko że mam niewielki wybór: miętową i czarną.

– Miętowa będzie super.

Laura odwraca się i znika na zapleczu, dając mi chwilę na pozbieranie myśli. Nie mam pojęcia, jak działają detektywi i jakie powinnam zadać pytania, by przybliżyć się do interesującego mnie tematu. Nie mogę zafundować jej przesłuchania, to pewne, ale jakimś sposobem muszę uzyskać informacje.

Z zaplecza dobiega odgłos lejącej się wody i stukanie, które może sugerować, że dziewczyna opłukuje szklanki. Rzeczywiście, po chwili pojawia się w drzwiach z ociekającymi wodą kubkami w ręku i stawia je na ladzie. Wrzuca po torebce herbaty i starannie zawija sznureczki za uszka.

– Słodzi pani?

– Nie, dziękuję.

I znowu ta cholerna kropka, po której nic nie następuje. Nastawiona woda zaczyna coraz głośniejsz bulgotać, wreszcie się zagotowuje, herbaty zostają zalane wrzątkiem, a my siedzimy naprzeciw siebie jak dwie ponure sowy. Kolejny raz wykonuję gest w kierunku zacieśnienia naszej znajomości.

– Nie przedstawiłam się – wyciągam do niej rękę – Aleksandra Rozcieplińska. Przyjechałam na wakacje i jakoś tak się złożyło, że zaczęłam robić zakupy w tym sklepie.

– Laura Żytko, miło mi. – Laura w nazbyt delikatny, nieprzyjemny sposób ściska moją rękę. Jestem zawiedziona, myślałam, że jest bardziej zdecydowana.

– Na długo pani przyjechała?

– Na mniej więcej dwa tygodnie, ale tu jest tak pięknie, że może zostaniemy dłużej. A pani mieszka tu na stałe?

– Tak, to znaczy mieszkam niedaleko, w Koniuszkach, może pani słyszała?

– A, Koniuszki. Byłyśmy tam wczoraj. Słyszałam, że była jakaś afera z kościołem.

– To prawda. Jakiś idiota pozaklejał drzwi i okna.

– Kurczę, ludzie mają dziwne pomysły. Zawsze mnie zdumiewa, że mają czas na takie idiotyzmy. Z drugiej strony należy ich podziwiać za kreatywność. Podejrzewam, że my nawet za ciężkie pieniądze nie wpadłybyśmy na taki pomysł.

– Tak to jest, jak się ma za dużo wolnego czasu.

– Właśnie.

Upijam łyk wrzącego miętowego naparu i przez chwilę robi mi się jeszcze bardziej gorąco. Oszołomiony organizm najpierw wzdraga się przed dostarczonym ukropem, porządkuje doznania, a po chwili panujący na zewnątrz upał nie jest już tak uciążliwy. Laura tymczasem wsypuje do kubka łyżeczkę cukru, z namaszczeniem miesza napój, próbuje i dosypuje kolejną, ponawiając całą procedurę. Herbata najwyraźniej jest dla niej zbyt gorąca, bo odstawia kubek i patrzy mi prosto w oczy. Nieświadomie inicjuje tym spojrzeniem przemarsz armii mrówek przez mój kręgosłup. Mam wrażenie, że ogląda mi dno oka, skupiona na poszukiwaniu plamki żółtej i prawdy o mnie. Nie jestem w stanie wytrzymać jej wzroku i uciekam spojrzeniem w kierunku własnych dłoni.

– Przyjechała pani z rodziną?

– Tylko z córką.

– A mąż pracuje?

Rany Julek, to ja miałam przepytawać, a nie być przepytwana. W pierwszym momencie panikuję, ale po chwili uświadamiam sobie, że jej bezpośredniość może być przepustką dla mojej ciekawości.

– Nie jesteśmy razem.

– Współczuję.

– Nie trzeba. Okazał się gnojkiem, więc może to lepiej.

– I tak po prostu pogodziła się pani z jego odejściem? Podziwiam.

– Ale gdzie tam, wcale się nie pogodziłam. Zwyczajnie musiałam to zaakceptować. Wie pani, jak to jest, jak się nie ma na coś wpływu. Tym bardziej że okazało się, że mój mąż ma narzeczoną.

– No, nieźle. A w jakim wieku ma pani córkę?

– Ma szesnaście lat i, jak widziała pani przed chwilą, chodzi swoimi drogami.

– Prawo nastolatków.

Modłę się w duszy, by nikt nie wpadł na pomysł zrobienia zakupów i nie wparował do sklepu z listą potrzeb, bo coraz odważniej zbieram się w sobie, by zamienić się z Laurą rolami.

– A pani ma dzieci?

- Nie, jakoś się nie złożyło.
 - Rozumiem. Przynajmniej ma pani święty spokój. Dzieci to wieczne problemy. Radość oczywiście też, ale jednak człowiek stale się martwi.
 - Pewnie tak.
 - Wraca pani po pracy i nie musi gotować obiadów, odrabiać lekcji i takie tam. Ma pani czas dla siebie.
 - Nie do końca. Mieszkam z rodzicami, w zasadzie teraz już tylko z matką, a ona nie jest już młoda i trochę sobie nie radzi. Mamy gospodarstwo, to i trzeba w nim pracować, inwentarza doglądać, o wszystkim pamiętać.
 - Tego to już bym robić nie chciała. Mogę grzebać w ziemi, coś tam uprawiać i odchwaszczać, ale nie sprzątać kurniki.
 - Jakby pani nie miała wyjścia, toby pani to robiła.
 - Jasne. Na szczęście mieszkam w bloku i nawet jakbym zamarzyła o hodowli kur, nie miałabym szansy na realizację takiego pomysłu.
- Rumor. A właściwie łomot na parkingu obwieszcza przybycie Joanny i jej znajomych, w tym mojej własnej córki. Chłopak minę ma zadowoloną niczym mormon na wozie, natomiast z daleka wyczuwa się napięcie panujące między dziewczynami. Coś niewątpliwie poszło nie tak.

Radiowóz zatrzymał się przed domem Potockiego, który najwyraźniej czekał na wizytę policjantów. Siedział od dłuższego czasu, przyklejony do tego samego wystawionego miesiące temu na próg krzesła, i palił kolejne papierosy. Pety rzucał gdzie popadnie, głównie pod własne nogi, tak że wejście do domu wyglądało jak obsypane gigantycznymi płatkami śniegu. Miało to również wymierne plusy w postaci swoistej dostępności towaru, co było szczególnie istotne w przypadkach dołka finansowego. Wystarczyło się schylić, otrzepać i odpalić.

Tym razem Zdzychu zajmował się produkcją, nie odzyskiwaniem, ciągnąc szluga za szlugiem z dopiero co kupionej paczki. Usiłował zachowywać pozory spokoju, jednak wewnątrz był wzburzony i pełen obaw, że podejrzenie padnie na niego.

Radiowóz zatrzymał się w wyrwie w płocie, w której jeszcze kilka lat temu była osadzona brama z krzywo zbitych sztachet, tradycyjnie pomalowanych starym olejem silnikowym odzyskanym z traktora.

Z samochodu wysiadło dwóch policjantów, już Potockiemu znany młodszy aspirant Tomasz Paprocki i około czterdziestoletni, postawny glina o chytrej twarzy, bystrych oczach i minie szeryfa.

– Psie macie, kurwa jego mać. JEBANE PSY.

Zdusił między palcem wskazującym a kciukiem wypalonego do połowy papierosa i rzucił na ziemię. Z nonszalancją mafioza wchodzącego do kasyna przydepnął go podeszwą zniszczonego buta. Kolistymi ruchami wdeptał w ziemię i czekał.

Policjanci, niczym rewolwerowcy w niskobudżetowym westernie, szli powoli, z gracją poprawiając spodnie i obciągając pasy z bronią. Czujnie rozejrzeli się po podwórzu, oceniając potencjalne zagrożenia i analizując źródła dochodu gospodarza. Ich uwagi nie umknęły najdrobniejsze szczegóły.

– Pan Zdzisław Potocki?

– Taaa. – Pociągnął głośno nosem i dodał: – To ja.

– To pan powiadomił nas o znalezieniu denatki w lesie?

– Ja.

– Co pan robił w lesie?

– A com miał robić? Łaziłem.

– A po co?

– Jak po co? To już spacerować nie wolno?

– Wolno, oczywiście. Tylko pytanie, po co pan akurat tam poszedł.

– Grzybów szukałem.

– Latem?

– A co to pan władza kurek nigdy nie jadł?

– A, kurki.

– No przecie że nie prawdziwki.

– Gdzie pan znalazł zwłoki?

– O tam, za tym pagórkiem, ale to trza głęboko w las iść. – To mówiąc, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i bezwiednie poprawiając lewą ręką klejnoty w rozciągniętych dresowych portkach, prawą wyciągnął w bliżej nieokreślonym kierunku, ni to na wschód, ni to na zachód.

Policjanci nie wiedzieli, gdzie spoglądać: w stronę wyimaginowanego punktu w lesie czy raczej obserwować manewry odbywające się w spodniach świadka, który niezrażony ich obecnością podciągał i przesuwiał to, co uchwycił brudną dłonią z obgryzionymi paznokciami, najwyraźniej nie potrafiąc znaleźć miejsca dla swędzących jąder.

– Świadek zaprowadzi nas na miejsce zdarzenia.

Był to rozkaz, absolutnie nie pytanie czy prośba, a nomenklatura automatycznie uruchomiła w mózgu Potockiego serię czerwonych płonących lampek. Stał się czujny i uwrażliwiony na każdy gest i słowo funkcjonariuszy.

– To idziem.

– A daleko to? Może lepiej pojechać radiowozem?

Oczywiście, że było daleko i rozsądniej było podjechać, ale nie miał zamiaru wsiadać do policyjnej suki, a w dodatku czy mogło być coś przyjemniejszego i bardziej satysfakcjonującego niż przeciągnięcie ich przez krzaki, młodniki i jeżyny? Potocki nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z tej podszytej złośliwą radością opcji.

– A bo ja wiem... Wedle mnie to pieszo lepiej.

Nie takiej odpowiedzi spodziewali się policjanci, ale nie widzieli innego wyjścia, jak poczłapać w las za świadkiem. Upał walił z nieba, żar wlewał się za koszulę, a odór niemytego od wielu dni ciała Potockiego dopełniał koszmaru.

Cholerne jeżyny czepiały się spodni, maliny zwarły szeregi i nie chciały przepuścić ich w cień lasu. Już na starcie mieli dosyć, a świadomość, że to dopiero początek tego długiego dnia, doprowadzała ich do furii.

Potocki celowo nie zwalniał kroku, wręcz przyspieszał, wybierając sobie tylko znane, niewidoczne ścieżki i nie oglądając się za siebie, parł naprzód. Doskonale zdawał sobie sprawę, że im szybciej wędrują, tym tych dwóch ma mniej czasu na niepotrzebne rozglądanie się po okolicy i wypatrywanie tego, co on ewentualnie mógł przegapić i co mogłoby go pogrzyżyć.

Nareszcie dotarli do piaszczystej drogi, którą przecięli i zagłębili się w młodniku. Z daleka wypatrzył żółtą kępkę kurek i skierował się nieco na prawo. Teraz zaczął uważnie przyglądać się poszyciu, szukając jakiegoś znaku, który skierowałby go we właściwą stronę. Wiedział, że ciało powinno znajdować się

gdzieś tu, niedaleko, jednak mimo okularów na nosie nie mógł dostrzec czarnej, zlewającej się z poszyciem sukni. Gdy już zaczął się zastanawiać, czy aby coś mu się nie przywidziało albo, co gorsza, czy ciało jakimś cudem nie zniknęło, w oddali dostrzegł znajomy kształt. Zniecierpliwieni policjanci spoglądali na niego coraz bardziej podejrzliwie, z bezwiednie rodzącą się pretensją. Nie dość, że przeczołgał ich jak na poligonie, to jeszcze najwyraźniej niczego tu nie było.

– Co mi tu obywatel opowiadał, że dojechać się nie da.

– A bo ja wiem? Prawa jazdy nie mam, samochodu nie mam, to niby skąd mam wiedzieć, czy da się dojechać czy nie.

– Niech mi tu nie konfabuluje.

Zmierzyli się wzrokiem. Potocki się odwrócił, głośno splunął, paluchem wyciągnął z ust odrobinę tytoniu, splunął raz jeszcze i drapiąc się po zadku, zawrócił się w kierunku młodnika.

– I co, nie ma ciała? – Zirytowany starszy policjant spojrział na niego groźnie, ocierając ręką pot z czoła. Z powrotem włożył czapkę z daszkiem i dobitnie dodał: – Czy wie pan, że za wprowadzanie funkcjonariuszy w błąd grożą konsekwencje karne?

Zdzisław nie tylko nie odpowiedział, ale nawet na nich nie spojrział. Świadome odpowiedzialności serce zaczęło jednak bić mu nieco gwałtowniej i gdy zaczął rozważać, czy się nie wycofać i udać, że się pomylił, jego wzrok tym razem już nieomylnie spoczął na kawałku czarnego materiału. Wiedział, że mleko się rozlało i nie ma odwrotu. Przecież Teresa nie pojawi się w domu na kolacji i w końcu zaczną jej szukać, a on oczywiście będzie pierwszym podejrzanym.

– Tu jest.

Policjanci, którzy zaczęli liczyć się z tym, że odbyli niepotrzebną wycieczkę i bez sensu przedzierali się przez krzaki, mieli zawiedzione miny. Podeszli i przyjrżeli się leżącej u ich stóp postaci.

– Cholera.

Teraz dla odmiany młodszy zdjął czapkę i podrapał się po potylicy. Ponownie ją włożył i obszedł ciało z drugiej strony. Przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej. Spoconą ręką usiłował wyczuć drganie skóry pod opuszkami, ale poza chłodem ciała nie czuł nic.

– Nie żyje.

Potocki, jakby pokazywał im staw z żółtymi kaczuszkami, a nie zwłoki kobiety, zapalił kolejnego papierosa. Mocno się zaciągnął, oparł o pień drzewa i spod daszka nigdy niepranego kaszkietu, niczym widz w ulicznym teatrze, obserwował kolejne akty.

Początkowo nie działo się wiele. Policjanci co rusz kucali przy zmarłej, oglądali – zupełnie jakby ich zabiegi miały wskrzesić trupa. Do kogoś dzwoniли, instruowali, a potem zaczął się cały cyrk.

Najpierw przyjechało pogotowie. W zasadzie usiłowało dojechać, bo medycy wielokrotnie gubili się w płataninie krętych piaszczystych ścieżek, klucząc i zawracając, i w chwili, gdy zrozpaczeni informowali, że krążą w kółko, niespodziewanie biała karoseria mignęła między brzoźami i karetka dotarła na miejsce.

Ratownicy obejrzeni zmarłą, odwróciwszy ją na plecy. Policjanci nie pozwolili zdjąć drutu mocno zaciśniętego na szyi. Po chwili pojawił się biegły sądowy z grubym czarnym kajetem, w którym raz po raz coś notował. Jakiś facet z dredami, wyglądający na pierwszy rzut oka jak rasowy paparazzo, robił niezliczoną liczbę fotek, a obok ciała pojawiały się i znikwały karteczki z numerami. Ktoś coś mierzył, a ktoś inny taśmą wygradzał obszar niedostępny dla postronnych. W sumie nie wiadomo, kto miałby się kręcić w środku lasu, ale ten przepis, najłatwiejszy do wykonania, egzekwowano ze szczególną starannością.

Krzatających się osób było coraz więcej, ale nikt nie zwracał uwagi na Zdzisława z papierosem i nieustającym świadem genitaliów. Wreszcie po wypisaniu aktu zgonu karetka odjechała, na jej miejscu pojawił się czarny samochód prokuratora i kolejny radiowóz. Ciągnęło się to godzinami.

Zdziwione ptaki uparcie milczały, a poranny wiatr zapowiadający burzę, teraz się uciszył i złagodniał. Coraz głębsza szarość nadchodzącego wieczoru u podnóża drzew była tym ciemniejsza.

Potocki poczuł silne parcie na pęcherz i bez zastanowienia podszedł do taśmy, podniósł ją i już miał pod nią przejść, gdy dorwała go młoda policjantka z burzą blond loków spiętych w grubą kitkę.

- A pan dokąd?
- Odląć się.
- Chyba pan żartuje.
- Nie. Chce mi się lać, to krzaka szukam.
- Nie może się pan powstrzymać?

Potocki pomyślał, że od dłuższego czasu się powstrzymuje, żeby nie powiedzieć im, że są bandą nieudaczników i pozorantów, którzy pomierzą, pooglądają, a i tak nie znajdą sprawcy.

– A widzi pani, nie mogę.

– No dobra, to niech pan idzie, tylko nie za daleko. Tak, żebyśmy pana widzieli.

- Jak tam, lalka, chcesz.

Blondynka spoglądała za nim, oczekując, że oddali się do kępy krzaków i załatwi swoją potrzebę. Tymczasem on ostentacyjnie zatrzymał się przy najbliższym drzewie i ściągnął gatki tak nisko, że obnażył pół tyłka. Obrócił głowę i spoglądając w twarz policjantki, ujął wacka i zaczął z szerokim rozbryzgiem oddawać mocz na pień klonu. Przy okazji ochlapując sobie nogawki i buty.

Niezrażony tym podciągnął portki, zacharczał, splunął i ruszył z powrotem do taśmy. Za nią zamiast policjantki stał już rosły policjant, który żwawo zabrał się do pracy, osaczając Potockiego gradem pytań.

– O której znalazł pan denatkę?

– A bo ja wiem...

– Czyli o której?

– No, mogła być jaka pierwsza, może pół do drugiej.

– Czy pokrzywdzona już nie żyła?

– No, przeciwnie mówił, że jak na moje to nie żyła.

– Dotykał pan ofiary?

– A jak nie, jak tak. Pewnie, że dotykał, bo niby skąd miałem wiedzieć, czy dycha czy nie.

– A jak pan jej dotykał?

– No, normalnie.

– Czyli jak?

– No, butem.

– Jak to butem?

– Normalnie. Butem ją ruszyłem, żeby się gęba pokazała, no bo tak po ciebie to trudno stwierdzić, kto to jest.

– I co pan zobaczył?

– No jak? To samo co pan.

– A rozpoznał pan ją?

– A co miałem nie rozpoznać, jak to nasza Teresa? To znaczy nie nasza, tylko Leonowa. No ale Leon nie żyje, to teraz nawet nie wiedzieć czyja.

– Znał pan dobrze panią Teresę?

– Panie, ja tam tych wsioków nie znam. To znaczy gadamy i patrzymy na siebie, ale żeby zara znać... Kumple my nie byli.

– A dlaczego nie utrzymuje pan kontaktów z sąsiadami?

– Panie, ja to by nawet utrzymywał, ale ludziska nie chcą. Cięgiem gadają, że w pierdlu siedział. A co gdzie idę, tylko patrzą, czy czegoś nie ukradnę. A ja porządny chłop jest.

– Czy ofiara ma jakąś rodzinę?

– Córkę ma, to chyba rodzina. Zresztą ja tam nic nie wiem.

– A widział pan, co miała na szyi?

– Widział. Drut.

– A to chyba taki, co to można z niego wnyki w lesie zastawiać. – Policjant znacząco przyjrzał się Zdzichowi, dając mu do zrozumienia, że domyśla się, po co ten chodzi po lesie.

– A ja nie wiem.

– A sam pan nigdy nie kłusował?

– Jużem gadał, że porządny chłop jestem.

Agresja Potockiego była wprost proporcjonalna do ogarniającego go coraz większego stresu, co nie uszło uwagi funkcjonariusza, który to wykorzystywał i przypierał świadka do muru.

– Może i tak, ale wie pan, różnie w życiu bywa.

– A co mi pan władza tu amputuje?

– Nic nie imputuję, tylko się upewniam.

– No to niech się nie upewnia, bo jak mówię, że nie, to nie.

Rozpytywanie się przedłużało, a ciemność w lesie gęstniała. Wreszcie, gdy już prawie nic nie było widać, ciało zostało zapakowane do czarnego worka, akt zgonu i karta informacyjna przygotowane, wszyscy zaczęli z ulgą szykować się do odwrotu. Potockiego siłą wepchnięto na tylne siedzenie radiowozu. Paprocki prowadził, groźny szeryf zajął miejsce obok i smutna kawalkada ruszyła w kierunku, z którego przybyła. Potocki wpatrywał się w pozbawione klamek drzwi i czuł się co najmniej nieswojo.

Dyskomfort odczuwali też towarzyszący Potockiemu policjanci, których czekała przykra powinność poinformowania rodziny. Potocki został zobowiązany do złożenia zeznań kolejnego dnia na komendzie, co wywołało z jego strony falę głośno wyrażanego niezadowolenia i pretensji i z automatu zaczął żałować, że otworzył gębę w tej sprawie.

A Teresa? Teresa jego zdaniem była głupią babą, która samotnie włóczęc się po lesie, sama prosiła się o nieszczęście. Swoją drogą zastanawiał się, do kogo należały wnyki, w które wlała, bo co do przyczyny śmierci nie miał najmniejszych wątpliwości.

Kurwi dołek.

Jechał z nią jak z furą gnoju. Gdy tylko wsiadły do samochodu, cała uwaga Daniela skupiona była na Monice, której najwyraźniej to bardzo imponowało. Co rusz zarzucała włosami, a ta jej cholerna cienka sukienka, zakrywając wszystko, obnażała jeszcze więcej. Co Daniel w niej widział? Aśka nie mogła tego zrozumieć. Myślała, że zabierając ze sobą tę szarą mysz odzianą w nieciekawą szmatę w stylu hinduskim, stworzy znakomite tło dla swojego idealnego ciała wciśniętego w miniaturę lateksowej sukienki mini. Tak się jednak nie stało. Tamta jak najęta gadała o życiu w stolicy, ona dla odmiany siedziała nadęta, niewiele z tej paplaniny wynosząc.

Monika wzięła kretyna Daniela w posiadanie i robiła z nim, co chciała, a ten idiota stroszył przed nią pióra jak głuszcę przed kurą i tokował jak dziki. Aśka przyglądała się im z tylnej kanapy, walcząc jednocześnie z pędem powietrza, który brutalnie szarpał jej doczepionymi włosami, płącząc je i kołtuniąc. Z każdym mijanym kilometrem traciła na swej kobiecości i wystylizowanej atrakcyjności. Spoglądała na nieregularnie wygoloną czaszkę narzeczonego i odkrywała, że coraz więcej rzeczy jej się w nim nie podoba. Nie podobało jej się, jak jarał się możliwościami, które stwarza duże miasto, jak wypytywał Monikę o kluby, ludzi, sklepy, co chwilę komentując:

- Lol, nie gadaj!
- Serio?
- I byłeś w takiej sekcie?
- Nie sekcie, tylko squacie.
- Było mówić.
- Przecież mówiłam.

Monika perorowała i puszyła się, natomiast Aśka nie rozumiała, o czym rozmawiają. Wstydziła się zapytać, co to squat i o jakiej sekcie mówią, więc tym zacieklej przysłuchiwała się rozmowie w nadziei, że wyłuska dane, które dadzą się ułożyć w spójny obraz.

- Ale co? Nie płaciecie za chatę?
- No, nie, bo to pustostan. Nielegalny.
- Słyszysz, mała? – Daniel spojrział w oczy Aśki w lusterku. – Może też byśmy tak spróbowali?

Sołtysówna pragnęła wielu rzeczy i o wielu marzyła, ale na żadnej liście, nawet małym druczkiem u dołu, nie było mieszkania w ruinie. Jakkolwiek byłoby to trendy. Zdobyła się na nikły komentarz w postaci mało inteligentnego:

- No.
- A z czego żyjecie?

– Różnie. – Monika nie miała ochoty mówić o planie pomysłu z dofinansowaniem, a w zasadzie braku możliwości wpłacenia „wpisowego”, skupiając się na fantazjowaniu o życiu za pięć złotych, których zdobycie jest prostsze od złapania kataru. – Niektórzy trochę pracują, jest taka jedna, co wróży, a Edi to nawet leczy ziołami.

– Lol. Gadasz... Pasowałyby mi takie życie.

– To dołącz do nich.

– A żebyś wiedziała. Zagadam z Grubym, może sami taki squat stworzymy. Będziemy wynajmować łóżka, a ty, młoda – znowu spojrzenie na Aśkę – mogłabyś gotować.

No właśnie, że by nie mogła. W minionym tygodniu, gdy matka kupiła nowy czajnik elektryczny, miała problem z jego uruchomieniem, a co dopiero myśleć o obsłudze kuchenki.

– Nie umiem gotować.

– To się nauczysz, aż taka tępa nie jesteś.

– Nie mam ochoty.

– Co nie masz ochoty? Chcesz z nami żyć, to musisz się włączyć.

– Ale ja nie mam zamiaru mieszkać w jakimś pustostanie.

– Kurwa, ty jak zwykle nic nie rozumiesz. Nic, tylko byś przed lustrem siedziała, a to przygoda życia!

– Jakoś wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– Ale teraz przeszkadza, kumasz? Całe życie przed nami, wszystkiego trzeba spróbować, a nie tylko wygodnie w fotelu siedzieć.

– Nie.

– Kurwa, przestań! Ty zawsze musisz stawiać na swoim. Jaka ty jesteś durna dziunia! Jak blond, tak durna.

Nawet nie raczył pamiętać, że dopiero co ufarbowała się na czarno!

I tak, wyznając jej miłość, tradycyjnie coraz mocniej wciskał pedał gazu, zmuszając upchnięte pod maską konie do galopu.

Monika z zadowoleniem przysłuchiwała się kłótni. Widziała, jak jad sący się cienkim strumykiem, zatruwając serce Aśki. Obserwowała, jak uchodzi z niej pewność siebie i znika atrakcyjność. Musiała przyznać, że bawi ją ta sytuacja, a ogłupiały Daniel wyglądał żenująco. To żalosne, jak bardzo pragnął zaznać innego życia niż to małomiasteczkowe kokietowanie lokalnych idiotek.

Aśka siedziała sztywno i usiłowała skupić wzrok na drodze, jednak jej myśli zaprzętał coraz mniej atrakcyjny i pożądaný narzeczoný. Miała dość tej jego głupiej gadaniny, wypytywania o miejskie życie i popisywania się przed Moniką... I w dodatku ta jego rodzinka. Liczyła, że pozna kogoś z wyższych sfer, znajdzie się w przestronnym salonie nowoczesnej willi i zrobi wrażenie na jego rodzicach. Może nawet pozna jakiegoś profesora albo wziętego lekarza. Była realistką i nie

obstawiała nikogo znanego z ekranu telewizora, no ale ambicje trzeba mieć.

Tymczasem stanęła oko w oko z niechętną i zapatrzoną w siebie kobietą, zagubioną wśród tandetnych bibelotów i wiecznych pretensji. Gdy pomyślała, że może musiałaby z nimi zamieszkać w tym zapyziałym, śmierdzącym kapustą i pronto mieszkaniu, zaczęła się trząść. Zgubiła wątek rozmowy, która toczyła się w samochodzie, skupiona na tym, jak się uwolnić z tego niechcianego układu.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że to Daniel rozdaje karty i musi tak nim pokierować, by sam się z niej wyleczył. Spojrzała na niego spod doklepanych jedwabnych rzęs, zastanawiając się, co ją urzekło w tej kupie aktualnie spoconego i czerwonego mięsa. Nie dostrzegła czułości, która kiedyś tak ją zachwycała. Zniknął gdzieś dowcip, a jego miejsce zajęły wygodnie rozparte buta i pycha. Chryste, co ona w nim widziała?! Nawet ten kabriolet jest starszy, niż się wydawało.

Dojechali do Grubego. To znaczy czegoś, co wyglądało jak źle zamaskowana dziupla. Niewielką posesję na skraju miasta otaczał nowy lity ceglany mur, sponad którego wystawała niezliczona ilość różnokolorowych, noszących ślady intensywnej eksploatacji zderzaków i błotników, poukładanych na spawanych metalowych regałach. Buda, która niegdyś była niewielkim domem, została przerobiona na biuro zawalone po sufit papierami i segregatorami. Ściany zdobiły liczne plakaty z kobietami wypinającymi pod różnymi kątami półnagie pośladki, natomiast na oknach osadziła się solidna warstwa naturalnego filtru w postaci wieloletniego brudu. Gruby okazał się około pięćdziesięcioletnim gościem, tak zaszuszonym, że miało się wrażenie, że wystające obojczyki przebiją skórę. Rozciągnięty podkoszulek ze stylowej białej siateczki tylko podkreślał jego chudość, a wielki złoty zegarek na jeszcze większym złotym pasku nie tylko wyglądał groteskowo, ale i groził, że swym ciężarem złamie rękę właścicielowi.

– No, ziomal, ale lalkę przywiozłeś.

Ku rozpaczcy Aśki to nie ona okazała się lalką, tylko coraz bardziej wyprostowana i zadowolona z siebie Monika. Gruby zachowywał się tak, jakby komplementował dopiero co wyrwane z cudzego samochodu halogeny, a nie żywą istotę.

– Niezła, nie?

– Royal!

– Wazzup?

Monika wytrzeszczyła oczy, bo sporo czasu zajęło jej przetłumaczenie tego na „what’s up” i opanowanie zdziwienia, że panowie znają takie obce słowa.

– A spoko. Nową furę w nocy przywieźli.

– Beemę czy mesia?

– Mesia. Ale na jakim wypasie! Pełna skóra, podrasowany, cztery–pięć sprint do setki. Cacko.

- Gdzie stoi?
- A gdzie, kurwa, ma stać? Przecież nie tu.

Panowie naraz stracili zainteresowanie kobietami i oddalili się w kierunku zakamarków dziupli na tyłach posesji, gdzie mieścił się niepozorny, porośnięty pnączem garaż.

– Zadowolona? – Joanna gwałtownie przystąpiła do ataku, do którego najchętniej włączyłaby paznokcie, zostawiając krwawe pręgi na twarzy Moniki i wrywając jej kłaki.

- No, fajna wycieczka.
- Ty mi tu oczu nie mydl wycieczką. Nie o to pytam!
- A o co?
- Musisz lecieć na mojego faceta?
- Oszalałaś? Przecież on mi się nawet nie podoba.
- Jak nie, jak tak.
- Wal się. Nie lubię cegieł.
- Co?
- Cegieł, inaczej pustaków. Rozumiesz? Nie moja liga.
- I bardzo dobrze. – Zaborcza Aśka nie wychwyciła obelgi.
- Skoro już to sobie wyjaśniłyśmy, to może wrócimy do domu.
- Niby jak?
- Samochodem.
- A masz prawko?
- Nie, a twój narzeczony nie może nas odwieźć?
- Pewnie może, tylko najpierw musi załatwić swoje sprawy.
- A ile mu to zabierze?
- A skąd mam wiedzieć?

Aśka podeszła do okna i oglądała paznokcie lewej dłoni. Z jednego tipsa, za to tego najważniejszego, bo palca wskazującego, nieładnie odprysnął całkiem spory kawał różowego lakieru.

- To może idź i zapytaj.
- Sama idź.
- Poszłabym, gdyby to był mój chłopak, a nie jest.

Monika klapnęła na niegdyś stylowy pseudoskórzany fotel wciśnięty pod okno, tak że widać było z niego wjazd na posesję. Sztuczna skóra odchodziła z niego płatami, ukazując beżową siatkę, z której wyłaziła żółta gąbka. Choć budził w niej obrzydzenie, był tu jedynym meblem, na którym można było przysiąść.

Joanna gwałtownie obróciła się na pięcie, tak że jej mała torebka zawieszona na złotym łańcuszku zachybotła się, uderzając ją boleśnie w biodro. Z westchnieniem wyszła na podwórko porośnięte rzadko koszoną trawą i w obawie, by nie zniszczyć wysokich aksamitnych obcasów w rozmiarze

dwanaście, stąpając na palcach, brnęła w kierunku garażu. Obcisła sukienka ograniczała ruchy, a cholerna torebeczka była w tej sytuacji zbędnym balastem. Nie pukając, weszła do pomieszczenia i zamarła.

W środku stał przepiękny, przeblyszczący i przesrebrny sportowy mercedes. Miał otwartą maskę, nad którą pochylał się Daniel, podczas gdy Gruby zajmował się tym, co faceci lubią robić najbardziej, podziwiając cudze samochody – kopał w przednią oponę.

– Kurwa, ale żyleta.

– Niezła, nie?

– Skąd masz takie cacko?

– Wątlę... kurwa, co ty tu robisz?! – Z twarzy Grubego wyskoczyła para okrągłych oczu i trudno było oprzeć się zdziwieniu, że w tak zasuszonym ciele nie przybrały postaci rodzynek.

– Ja tylko chciałam zapytać, czy możemy wracać...

Zaskoczony Daniel szarpnął się gwałtownie i z całej siły przywalił wygoloną głową w rant maski.

– Kurwa.

Wścikły zaczął rozmasowywać głowę, gdzie wyrastał coraz bardziej okazały guz, który zapewne za kilka dni przybierze głęboki granatowy odcień i będzie żywą pamiątką niesubordynacji narzeczonej. Mimo że nic nie zrobiła i nie była to jej wina, Joanna zastygła, nie mogąc wykonać kroku. Nie była pewna, czy bardziej oszołomił ją blask auta, czy reakcja narzeczonego. Buty piły ją niemiłosiernie i najchętniej by stąd uciekła. Po co słuchała tej całej Moniki?

– Misiu, przepraszam.

– Kurwa, nie mów do mnie Misiu! – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wykiełkowały w nim gwałtowne emocje, które po chwili eksplodowały i znalazły ujście w werbalnej agresji. – Kurwa, wypierdalaj stąd! Nikt cię tu nie prosi!

– Ale ja tylko...

– Znowu za mną łazisz! Jak będziemy mieli jechać, to ci powiem, a teraz wypierdalaj! Ryjesz mi beret, a tego nie lubię.

– OK, myślałam tylko...

– To, kurwa, nie myśl, tylko słuchaj, co mówię. Wynocha.

Stała, sztywna i poważna jak maszt podczas uroczystości państwowej, no, może w jej wypadku rzecz była nieco mniejszego kalibru, jednak jako córka, bądź co bądź, urzędnika państwowego nie omieszkała wmieszać się w nie swoje sprawy i zapytać:

– A ten samochód to wasz?

– A niby czyj? – Gruby nerwowo spoglądał na Daniela, który nic sobie nie robił z jej wścibstwa, bo doskonale wiedział, jak w razie czego ją zastraszyć

i uciszyć.

Teraz znowu pochylał się nad czarną obudową silnika, nie zwracając sobie głowy dziewczyną.

– Tak tylko pytam. Bo to chyba drogi model, nie?

– Drogi. I co z tego?

– A skąd mieliście tyle kasy?

– Kurwa, młoda, czy ty nie możesz się zająć swoimi tipsami? Czy ja cię pytam, skąd masz kapustę?

– Od rodziców i wcale tego nie ukrywam, ale ta fura...

– Kurwa, czy ty nigdy nie odpuszczasz? I uważaj. Jeszcze kilka pytań i zesrasz się na miętko. Nie uczyli cię, że milczenie jest złotem?

– No tak, ale...

– Kurwa, a ta swoje. Jak się o czymś nie mówi, to nie istnieje. Kumasz? A teraz wypierdalaj i nie chcę więcej słyszeć o żadnym samochodzie. Zrozumiano?

Aśka wydeła usta, miała ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale rozum i instynkt wzięły się pod rękę i nakazały jej zachować milczenie. Obróciła się na pięcie, złapała rozchybotaną torebkę i ruszyła w kierunku głównego budynku.

Kuliła się w sobie, tym bardziej że wychodząc, usłyszała jeszcze, jak Gruby z chichotem wyraża podziw dla kumpla, i wiedziała, że ta sytuacja może przyczynić się do tego, że jej narzeczony będzie traktował ją z jeszcze mniejszym szacunkiem.

Trochę się go bała, ale przede wszystkim obracała w głowie myśl, że Daniel jest dobrym chłopakiem, tylko się pogubił. Wzięła sobie za punkt honoru, że się nim zajmie i pokaże mu inne aspekty życia. Te bardziej kolorowe, nieco bardziej legalne, a zatem mniej stresujące, i w jej przypadku bazujące głównie na pozytywnej energii i zaangażowaniu innych.

– I co, jedziemy?

Zapomniała o Monice, która znudzona pólleżała na fotelu.

– Za chwilę.

– Kurde, nudzi mi się.

– To weź telefon.

– Właśnie mi się rozładował.

– A, to kicha.

– Może ja pójde ich pogonić.

Aśka zbladła. Doskonale wiedziała, że to samobójczy pomysł, jednak chęć zemsty była tak silna, że z radością na to przystała.

– Jak chcesz.

Monika chciała. Zebrała się z fotela, niedbale wrzuciła komórkę do wielkiej workowatej torby i rażnym krokiem w tych swoich naszywanych koralikami sandałach ruszyła w kierunku, z którego wróciła koleżanka.

Joanna zajęła wygrzane miejsce pod oknem i w napięciu oczekiwała pierwszych grzmotów zwiastujących karczemną awanturę. Mimo że brudne okna przepuszczały niewiele słonecznego blasku, w pomieszczeniu zrobiło się nieznośnie gorąco. Dotychczas nie czuła również coraz bardziej natarczywego głodu, który teraz szarpał jej żołądkiem. Zajęła myśli obrazami pizzy, kebabu i piętrowego burgera i nie usłyszała powrotu szczebioczącej Moniki u boku Damiana i Grubego.

Była rozczarowana. Oczami wyobraźni widziała Monikę z trzęsącą się z nerwów brodą i wściekłego narzeczonego, tymczasem wszyscy sprawiali wrażenie, jakby właśnie zsiadli z koników na karuzeli i mieli wspólnie się udać do budki z różową watą cukrową.

– Jasne, pojedziemy coś zjeść.

– Ale fajnie, może na makaron?

Daniel nie znosił żadnych klusek, od pyz poczynając, przez szare i śląskie, na makaronach skończywszy, teraz jednak wydawał się podekscytowany perspektywą wyprawy w świat past i lasagne.

– Oczywiście, co tylko chcesz. A jaki lubisz najbardziej?

– Po bolońsku.

– A z czym to?

– Z mięsem mielonym, pomidorami...

– Co, Gruby? Ujdzie, nie?

Już mieli ruszać, gdy Aśce odbiło i zapytała:

– A może pojedziemy mercedesem?

Spojrzeli na nią lodowato, a ona przecież tylko chciała coś zmienić w swoim życiu i pokazać innym, że też jest coś warta. W końcu była do bólu zwyczajną dziewczyną, taką, która dorastała w zwykłej rodzinie, bez wielkich perspektyw, której nie szło w szkole i odetchnęła, gdy wreszcie ją skończyła. Która zbyt wczesnie zaczęła życie seksualne i równie nieoczekiwanie wpadła. Przypadek, los, a może modlitwy sprawiły, że niespodziewanie poroniła i tajemnica pozostała tylko jej tajemnicą. Nie zmieniło to jednak w żadnym razie jej percepcji świata i wiedziona głupotą, zadufaniem czy niezrozumiałą pewnością siebie pakowała się w kłopoty.

We wsi panowało takie poruszenie, że nikt nie myślał o robieniu zakupów. Fala plotkujących i snujących różne domysły mieszkańców przelała się przez blaszak i teraz w sklepie panował całkowity spokój. Laura czuła się nieswojo i chciała jak najszybciej wrócić do domu. Podjęła odważną decyzję i cichaczem zamknęła budę godzinę wcześniej. Wyłączyła światło, wentylator, zgarnęła notatki z angielskimi słówkami, zamknęła drzwi i rozchwierutaną kratę i z ulgą wsiadła do samochodu.

Miała dosyć tego dnia. Poranne szaleństwo matki, bałagan i odkrycie prawdy o sobie, której od jakiegoś czasu się domyślała. W ferworze Teresa straciła czujność i na podłodze wylądowała koperta, którą przez lata tak skrupulatnie z mężem ukrywali. Odręczna notatka nie pozostawiała wątpliwości, że Laura została w dzieciństwie adoptowana przez państwa Żytko.

Zastanawiała się, czy jej świat się zawalił. I im dłużej myślała, tym bardziej nie była pewna odpowiedzi. Jedyne, co czuła, to narastającą niechęć do rodziców. Ich stylu życia, sposobu myślenia, ba, nawet miejsca, w którym wybudowali dom. W innej rodzinie, z innymi bliskimi i możliwościami byłaby w zupełnie innym punkcie czasoprzestrzeni. A tak? Utknęła na zabitej dechami wiosze, bez perspektyw. Choć marzyła o Anglii, wątpiła, by kiedykolwiek starczyło jej sił na taką zmianę... Ale miasto, stolica, to było coś w zasięgu ręki, co byłaby w stanie ogarnąć i co z automatu by jej nie wypluło.

Miała żal. Nie o to, że wychowali ją obcy ludzie, a nie matka, ale o to, że ci, których uważała za rodziców, nie powiedzieli jej prawdy, zataili najważniejszą w życiu człowieka rzecz – jego korzenie. Wszystko wydaje się takie przewidywalne. Powielamy wzorce rodziców, przejmujemy ich zwyczaje i sposób myślenia, tylko że jej prawdziwe wzorce były gdzie indziej. Jej schematy należały do innego domu. Ktoś odebrał jej prostą harmonię i przerzucił ją w świat innych wartości i norm.

Nienawidziła swojej biologicznej matki. Kobiety, która jej nie chciała. Nie znajdowała dla niej żadnego usprawiedliwienia. Ona nigdy nie oddałaby dziecka! Bez względu na okoliczności, na to, ile by miała lat, gdzie by mieszkała i skąd pochodziła.

Jej matka była potworem, który nie tylko pozbawił ją najważniejszej życiowej relacji, ale również odebrał możliwości lepszego życia. W swym zaciętrzewieniu i naiwności nie brała pod uwagę innych aspektów, że może wychowywałaby się w gorszym miejscu, że inni rodzice by ją bili, byliby alkoholikami, miałyby chmurę nieznośnego rodzeństwa. Nie dopuszczała tego do siebie, zła na to, że nie dano jej szansy poznać prawdy.

Pogrążona w ponurych myślach brnęła jak automat przez parne powietrze prosto do domu. Obietnica burzy, która wraz z ciemnymi chmurami i odległymi pomrukami na krótko pojawiła się na horyzoncie, zniknęła bezpowrotnie, czyniąc piekło lata jeszcze bardziej nieznośnym.

Podjechała pod cichy dom. Wymęczone kury w niewielkich grupkach kulily się pod resztką płotu, zaplątane w nieliczne krzaki i chwasty. Kaczor z głośnym kwakaniem dumnie przechadzał się po podwórzu, nie przeczuwając niedzielnych dwudaniowych planów bezpośrednio z nim związanych. Zaparkowała przed bramą garażową, sięgnęła po leżącą na dywaniku przed fotelem pasażera torebkę i zaczęła się gramolić z samochodu.

Kury ożywiły się na jej widok, a mały psiak oszalał ze szczęścia, podskakując, przysiadając i kręcąc się wokół własnej osi, cicho popiskiwał i skomlał. Domyślała się, że to nie ona jest źródłem tej euforii, lecz raczej skojarzenie jej osoby z pełnymi miskami, jednak nie protestowała przeciwko temu wybuchowi entuzjazmu.

– No chodź, Ciapek, chodź. Pani zaraz da coś dobrego. Ej, ale nie skacz tak, podrzesz mi sukienkę. No już dobrze, dobrze.

Tak monologując, dotarła do drzwi i w chwili, gdy miała je otworzyć, na podwórko zajechał radiowóz, wypchany czterema napakowanymi policjantami. Zaskoczyło ją nie to, że przyjechali, no bo przecież to mogło się zdarzyć, ale że było ich aż tylu. Gdy wysiedli, czujnie się rozglądając, rozpoznała dwóch z nich. Widywała ich od czasu do czasu, wpadali do sklepu po coś do picia albo bułkę.

– Dzień dobry. Pani Laura Żytko?

– Dzień dobry, tak – odpowiedziała drżącym głosem, domyślając się, że ma przed sobą raczej posłańców przynoszących złe wiadomości niż zwiastunów dobrej nowiny.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Słucham.

– Wejźmy do domu.

Szczeniak nie przestawał tańczyć wokół jej stóp. Na widok czterech facetów aż zapiszczał z radości, czekając na poczwórną ilość pieszczot i zachwyty. Gdy po chwili do niego dotarło, że nie są nim aż tak bardzo oczarowani, dał sobie spokój i na tyle, na ile pozwalały mu krótkie nóżki, uniósł tylną łapkę i obsikał najgrubszego, a co za tym idzie – najpowolniejszego z policjantów. Pojemność niewielkiego pęcherza starczyła za ledwie na nieznaczne skropienie czarnego buta, ale i tak osiągnął swój cel – zainteresowanie.

– Ty mały smrodzie, coś ty zrobił? – Policjant usiłował odgonić szkodnika, ten jednak tylko odskoczył i z bezpiecznej odległości, kręcąc młynki ogonkiem, przyglądał mu się rozbawiony. – Waldek, masz jakieś chusteczki?

– W radiowozie, a co?

– Ten mały łobuz mnie obsikał.

Laura gwałtownie się odwróciła, zganiła psiaka i powiedziała:

– Bardzo przepraszam, ale to jeszcze szczeniak. Zaraz dam panu papierowy ręcznik.

Wreszcie otworzyła drzwi i zaprosiła ich do środka, bez Ciapka, który zawiedziony został na podwórzu, głośno szcękając. But został wytarty i zapanowała ciężka, złowroga cisza. W końcu jeden z policjantów, którego Laura widziała pierwszy raz, odezwał się:

– Zdarzył się przykry wypadek.

Wpatrywała się w niego.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Pani matka nie żyje.

Patrzyła na nich, zupełnie jakby nie rozumiała, co do niej mówią.

– Jak to nie żyje?

– Jeden z sąsiadów znalazł jej ciało w lesie.

No to już wiadomo, kogo Potocki odkrył w zaroślach. Choć spodziewała się hiobowych wieści, zrobiła się papierowo blada, czuła, jak słowa przyklejają się jej do podniebienia. Nie mogła ich ani połknąć, ani wypowiedzieć. Utkwiły w jej wnętrzu, przygniatając ją całym ciężarem.

– Ale jak to...

– Badamy sprawę.

– Umarła w lesie? Zastabła?

– Niestety nie do końca. Śledztwo jest w toku, ale wszystko wskazuje na to, że została zamordowana.

– Zamordowana? Ale jak...?

– To wyjaśni sekcja zwłok.

– Niech mi pan powie, czy cierpiała? Ktoś ją zastrzelił? Udusił? Co się stało?

Paprocki tracił przy Laurze profesjonalizm. Miał ochotę ją przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze i że matka nie cierpiała, a może to wszystko to tylko pomyłka, ale oczywiście nie mógł. Wykrztusił z siebie jedynie, że zahaczyła się o jakiś drut i się udusiła.

– Jaki drut?

– Taki zwyczajny. Niektórzy robią z drutu wnyki.

– Znaczą się pułapki?

– Właśnie.

Laura siedziała sztywna. Dopiero co pochowała ojca, Janek pewnie nie schował jeszcze katafalku, to dobrze, nie będzie trzeba go ponownie wyciągać. Uświadomiła sobie, że została sama w tym całkiem sporym domu. Nie chciała tu mieszkać z rodzicami, a co dopiero sama jedna... Zaraz zrobi się czarna noc, a mieszkają tak daleko, że światła domów sąsiadów zaledwie mającą na

horyzoncie. Gdyby krzyczała, wołała o pomoc, i tak nikt by nie ruszył jej na ratunek.

– Chce się pani czegoś napić?

Pokręciła głową i wpatrzona w jeden punkt była coraz bardziej nieczuła na otoczenie. Stało się. Czy tak miało być? Nagle zupełnie straciła animusz i zajęła umysł praktycznymi rzeczami. A koszty pogrzebu? Jak to było? Leon miał jakieś ubezpieczenie, ale nigdy niepracująca Teresa chyba nie. Co powiedzą ludzie we wsi? Nie chce ich litości, gadania. Podejrzeń, dlaczego to spotkało właśnie ją.

I rzecz najważniejsza: co ma powiedzieć policjantom? Kto zabił matkę? Jakie zadadzą jej pytania? Pewnie będą chcieli wiedzieć, czy miały... mają wrogów. A miały? Czy się z kimś kłóciły? A może poszło o długi? Jezu, a jak matka narobiła jakichś głupot? Nabrała kredytów? Ale na co? Żyli tak skromnie, że nowa rzecz nie uszlaby niczyjej uwagi, a przecież w domu nie pojawiło się nic nowego.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak – odpowiedziała automatycznie, mechanicznie wstała i po chwili ponownie usiadła. W rzeczywistości nie czuła kompletnie nic. NIC. Świat zataczał wokół niej krąg, a pustka z piskiem wciskała się jej do świadomości. – Co teraz? – Spoglądała na policjantów jak dziecko na rodziców, którzy powinni wziąć je za rękę i przeprowadzić na drugą stronę ruchliwej ulicy.

– Musimy poczekać na wyniki sekcji zwłok.

– Co? Ale ja się nie zgadzam na sekcję! Matka panicznie bała się operacji.

– Obawiam się, że nie ma wyjścia. To standardowa procedura w przypadku zabójstwa, a to zakładamy.

– Boże. Nie wierzę. Podejrzewacie już kogoś?

– Na tym etapie nie. Ale proszę być dobrej myśli, znajdziemy sprawcę.

– A co ze mną? Jeśli morderca jest na wolności, czy nic mi nie grozi? Mam tu zostać sama na noc?

– Proszę dobrze zamknąć dom, a gdyby coś panią zaniepokoiło, proszę dzwonić na komisariat, przyjedziemy natychmiast.

– No, nie wiem...

– A może przenocuje pani u kogoś z rodziny albo u sąsiadów?

Ta opcja wydawała się jej jeszcze gorsza niż noc samotnie spędzona w tym starym domu z gliny, trzciny, tu i ówdzie łatanych czerwoną cegłą. Wstawione w ubiegłym roku nowoczesne plastikowe okna gwarantowały co prawda szczelność i ciepło, jednak osadzone w tak lichej ścianie nie chroniły przed włamaniem. Wystarczyło mocniej popchnąć, by pokonać rygiel w drzwiach wejściowych.

– Macie państwo jakichś wrogów?

– Nie, chyba nie. – Automatycznie pomyślała o nienawidzącej jej z wzajemnością Aśce od sołtysa, ale uznała, że ośmieszylałyby się tą sugestią. Jednak

synapsy zaczęły rozgrzewać się do czerwoności w przeczuciu swoistego katharsis, które zburzy jej dotychczasowy świat, by na nowo go zdefiniować. Już chyba wolałaby się poddać psychoanalizie.

– A może Teresa miała?

– Mama? Jej jedynym wrogiem był grzech, a nie człowiek.

– A może właśnie ktoś zgrzeszył, ona zwróciła mu uwagę i ten ktoś chciał się zemścić?

Laura spojrzała na policjanta jak na kretyna i stwierdziła, że nawet nie zada sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

– A może ktoś wam groził?

– Niby kto?

– Nie wiem, to ja panią pytam. A jak się układały pani stosunki z matką?

– Dobrze. – Pomyślała, że do wczoraj dobrze. Po tym, co znalazła, miała ochotę ją zwyzywać, rozmówić się z nią, nawet udusić, ale tak bardziej emocjonalnie, to przecież nie musi oznaczać, że były sobie wrogie.

– A może pani ma wrogów?

– Nie, no co pan? Przecież już mówiłam.

– Proszę się nie denerwować.

– Wciska mi pan, że mamy wrogów, i mam być spokojna?

– A czy w ostatnim czasie zauważyła pani coś podejrzanego?

– To znaczy?

– Czy ktoś kręcił się po okolicy, odwiedzał was?

– Nie, raczej nie.

– A może odbierała pani jakieś dziwne telefony?

– Nie.

– A matka?

– Nie, o niczym takim nie wspominała.

– A czy zauważyła pani zmianę w zachowaniu denatki?

– Jezu, niech jej pan tak nie nazywa! W zasadzie... Po śmierci ojca mama zaczęła robić porządki, takie gruntowne, co wcześniej jej się nie zdarzało. Poza tym postanowiła przejść na dietę i się odchudzać.

– Czy mogła mieć romans?

– Ona? Nigdy w życiu!

– Dlaczego pani tak myśli?

– Przecież dopiero co straciła męża, stale chodziła do kościoła.

– I?

– No i to nie po bożemu. Zresztą nie wiem, z kim miałaby romansować.

– Z którymś z sąsiadów?

– No chyba pan żartuje.

– Może jeździła do miasta? Albo ktoś z wczasowiczów?

– Do miasta jeździła tylko ze mną.

Laura wyobraziła sobie pulchną, zakutą w beże Teresę w ramionach nieznanego faceta i zrobiło jej się słabo. Po pierwsze: kto by chciał ją tulić, w ostatnich latach nawet Leon miał opory, po drugie – skąd wytrzasnęłaby amanta?

Policjanci zrobili jej wielopoziomowy rachunek sumienia. Cofali się do wydarzeń z dzieciństwa, analizowali ostatnie dni i pytali o plany. Była szczerą. Odpowiadała na wszystkie pytania, nawet najtrudniejsze, na granicy intymności i wiwisekcji, pozwalała grać im na najdelikatniejszych strunach emocji i wspomnień. Nie powiedziała tylko o jednym: że właśnie się dowiedziała, że została adoptowana.

Bała się, że odium znajdy mogłoby zatruć jej życie. Jej sekret stałby się publicznym tematem numer jeden na długie tygodnie. Zmieniłby jej relacje z ludźmi, patrzyliby na nią przez pryzmat niechcianego dziecka. Traktowałiby jak kundla, którego ktoś przygarnął z litości.

A może nie? Ale tego nie wiedziała.

Co z ciążą Teresy? Udawała? Ludzie ze wsi by gadali, gdyby nie miała brzucha, a potem pojawiła się z dzieciakiem. Zresztą widziała zdjęcia matki w ciąży sukience. Sfingowane? Postanowiła jeszcze raz przejrzeć stos papierów i przeprowadzić prywatne śledztwo. Żałowała, że nie może już o nic zapytać rodziców. Po raz pierwszy boleśnie odczuła ich brak.

W Monice zaszła kolosalna zmiana. Po raz pierwszy od przyjazdu sprawia wrażenie zadowolonej, i to niepokojąco przesadnie. Zamiast się cieszyć, stałam się podejrzliwa. Oczywiście mina jej zrzedła, gdy usłyszała o morderstwie popełnionym w pobliskim lesie.

- Żartujesz?! Jezu, mam, co teraz?
- Nie panikuj.
- Złapali go?
- Kogo?
- No mordercę!
- Nie, chyba jeszcze nie.
- Jak mam nie panikować, skoro morderca łązi tu sobie gdzieś, podgląda nas? Mam się nie bać?
- Zaraz tam podgląda. I dlaczego akurat nas?
- A dlaczego nie?
- Bo nie jesteśmy dziane babki, jakoś szczególnie atrakcyjne i tak dalej.
- A ta ofiara to niby była? Podobno to jakaś starsza kobieta.
- Wiesz, musimy uważać i raczej nigdzie nie chodzić same, ale też nie powinnyśmy panikować.

Jasny piorun. Jestem przerażona, dopiero rozmowa z córką uświadomiła mi jak bardzo. Mieszkamy na uboczu w tym pieprzonym domku, który wydaje się sklecony bardziej z dykty niż z cegły. Teraz widzę, jaki jest rachityczny. I do tego ten las, cholera, i jezioro, którym też można do nas dotrzeć. Poza pomarańczowymi zasłonami nie chroni nas nic. O roletach antywłamaniowych, ba, o byle jakich roletach nie ma tu mowy. Smolista ciemność, która jeszcze wczoraj tak mnie zachwycała, obsypując niebo niezliczonym mnóstwem świetlistych gwiazd, staje się moim największym wrogiem. Najchętniej od razu bym się spakowała i wróciła do domu. Ale nie mogę tego zrobić, zwłaszcza teraz, gdy poznałam Laurę.

Gdy tylko Monika pojawiła się pod blaszakiem, usłyszałam, jak z łoskotem spada mi kamień z serca, i niesiona euforią popędzałam ją w kierunku domu. Z tego wszystkiego zapomniałam o chlebie, skończyły się nawet jogurty, o chińskich zupkach nie wspominając.

Nie mamy wyjścia, kolejny raz musimy opuścić nasz zakątek i udać się do sklepu. Żadna z nas nie chce zostawić tej drugiej samej i tym sposobem rodzi się między nami nowa, silna więź. Okazuje się, że nie tylko ja troszczę się o córkę, ale ona jest równie przejęta mną.

W milczeniu mijamy las i zamieniamy polną drogę na asfalt. Nie mamy ochoty ani na rozmowę, ani tym bardziej na słuchanie muzyki. Uświadamiamy

sobie, że bezdomna kostucha kręci się gdzieś nieopodal.

Mimo informacji na drzwiach, że sklep jest czynny do dwudziestej pierwszej, blaszak jest zamknięty. Mamy do wyboru wizytę w maleńkim sklepiku z najbardziej wścibską ekspedientką w promieniu stu kilometrów albo w pobliskim Paradise.

Wybieram drugą opcję i po chwili siedzimy nad dwoma talerzami żuru okraszonego tłustym boczkiem i niedosmażoną cebulą. Na szczęście przydział żytniego chleba jest jak dla komandosa. Duże, grubo krojone pajdy, jeszcze grubiej posmarowane smalcem. Trzeba mieć fantazję, żeby tak skomponować menu.

– Dupy nie urywa – podsumowuje w żołnierski sposób naszą kolację Monika, niezadowolona, że nie udałyśmy się do budki z kebabem.

Niestety moje dziecko ma tylko połowiczną rację, bo rzezoną część ciała zaczęło nam urywać bezpośrednio po tym, jak dojechałyśmy do domu. Pierwszy wyścig do toalety wygrała ona, a potem już się nie ścigałyśmy. Rozpoczęła się sztafeta. Ona wpadała, ja wypadałam i na odwrót. Nie miałyśmy czasu na zamartwianie się, czy nas ktoś nie zamorduje, bo toczyłyśmy walkę o życie w łazience.

Rano obudziłyśmy się zmęczone, wyczerpane i lżejsze chyba o kilka kilogramów. Teraz siedzę na tarasie z gorącą mocną herbatą i poważnie rozważam wykupienie abonamentu obiadowego w Paradise na najbliższe dni – koszty przestają mieć znaczenie w obliczu możliwości zmniejszenia odzieży o jeden–dwa rozmiary.

Zielona Monika dołącza do mnie pół godziny później. – Nie mam siły.

– Ja też.

– Kurde, co to było?

– Żurek.

– Nawet nie wymawiaj przy mnie tego słowa. Do końca życia nie ruszę niczego na zakwasie. A ten smalec? Ohyda.

– Lepiej pomyśl, o ile jesteśmy szczuplejsze.

– Po takiej nocy przestało mi zależeć.

Monika wyciąga gołe blade nogi przed siebie, zsuwa się na krześle i na wpół leżącej pozycji kontempluje poranek. Co prawda jest trzynasta i pewnie połowa autochtonów zasiada do obiadu, ale my mamy wakacje, podczas których niczego nie musimy.

– Jak wczorajszy dzień?

– Dobrze.

– Czyli?

– Czyli OK. Swoją drogą banda wieśniaków. Okazuje się, że ta cała Aśka jest megazadzrosna o Daniela, natomiast on ma ją w dupie.

– To po co się spotykają?

– Nie mam pojęcia. Ona chyba po to, żeby nie być sama, a on, żeby mieć po kim jechać. I jeszcze te ich marzenia, zachwyty nad dużym miastem. Im się wydaje, że tam życie jest proste, kasa leży na chodniku, a praca tylko czeka, by się po nią schylić.

– A nie jest tak?

– No coś ty? Nawet do takiego głupiego squatu musisz mieć na wpisowe.

– Domyślam się, że o tym im nie wspomniałaś.

– Szczerze mówiąc, nie.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem?

Oczywiście odpowiedź jest prosta. Bo chciała poczuć się lepiej, a nic tak nie dowartościowuje jak naściemnianie komuś, że w naszym ogrodzie trawa jest bardziej zielona. Obawiam się, że raczej nie zaskarbiła tym sobie ich sympatii.

– Masz zamiar jeszcze się z nimi spotkać?

W głębi duszy wszystko we mnie krzyczy: tak, tak, tak! Nie mogę przecież ciągnąć jej ze sobą, a tym bardziej zostawić samej. Cholera.

Potocki od lat hołdował przekonaniu, że lepiej być znanym pijakiem niż anonimowym alkoholikiem, i od czasu do czasu z wielkim zapałem wprowadzał tę wiedzę w życie. Tak było i tym razem. Po powrocie z przesłuchania na komendzie we Wsiowie pierwsze kroki skierował prosto do maleńkiego, garażowego sklepu monopolowego, który poza wyborem tanich trunków oferował również koślawą ławeczkę pod regularnie obsikiwanym przez okoliczne psiaki murkiem.

Zasiadł na niej ciężko i w przerwach między kolejnymi machami desantów ostro pociągał z gwinta ze schowanej w papierowej torbie butelki czystej. Osiągnął poziom optymizmu i radości ducha na poziomie żałobników dźwigających trumnę z ukochanym dziadkiem. Miał dosyć.

Magłowali go wczoraj w lesie i dzisiaj na komendzie z nadzwyczajną zawziętością. Pytali, z czego żyje, co robił w lesie. Kto go odwiedzał, z kim się pokłócił. Co go łączyło z Teresą. Czy się lubili, czy rozmawiali, a nawet czy chodzili do tego samego kościoła. W żaden sposób nie dali sobie wytłumaczyć, że ma to wszystko głęboko w dupie, mniej więcej na poziomie okrężnicy.

I te dociekania, kto zakładał pułapki i wnyki. I czy to nie on. A jeśli nie on, to kto. A może jednak coś sobie przypomina. A może jednak to jego.

Im więcej pił, tym bardziej marszczył czoło, co sprawiało, że krzaczaste brwi przypominające ściany osuwającego się wykopu ściągały się coraz bardziej.

Kurwa. Jak bardzo żałował, że dał znać na policję. Wszystko przez te cholerne baby. Po co to lazło w las? Mało zboczeńców kręci się po świecie? Z drugiej strony, na myśl o tym, że ktoś miałby gwałcić zaniedbane, zwaliste ciało Teresy, zrobiło mu się słabo. Pociągnął dubeltowo z flaszki i prawie się udusił, gdy wychodzący ze sklepu Kazik walnął go w przygarbione plecy.

– I co sąsiad tak дума?

– A co, kurwa, mam robić? Przesrany czas.

– Słyszałem, że to wyście Teresę w lesie znaleźli.

– Na własne nieszczęście.

– Co?

– No, kurwa, na własne nieszczęście to babsko w krzakach wypatrzyłem.

– Nieszczęście, że się tam znalazła.

– A po co laziła po lesie? Mało chodników we wsi?

– Swoją drogą, niech sąsiad powie, co to się porobiło...

Kazik przysiadł na ławce, która niebezpiecznie się zachwiała, zatarł ręce i tęsknie spojrzął na trzymaną przez Zdzisława szarą papierową torebkę. Ten wyczuł żarliwy wzrok sąsiada i niechętnie podsunął mu flaszkę. Kazik tylko na to czekał. A że dbał o higienę, brzegiem nie najczystszej koszuli przetarł gwint

i solidnie pociągnął. W miarę jak pałacy płyn przesuwiał się w kierunku żołądka, zadowolenie zalewało go niczym spieniona fala nagrzanego piasek.

– Cie pieruna, to się porobiło. Ale, sąsiedzie, niech no sąsiad powie dlaczego ona.

– A dlaczego nie? – Potocki błysnął filozoficznym geniuszem, czym zyskał uznanie towarzysza.

Nim się zorientowali, obok nich pojawili się Wolski z synem. Spanikowany Potocki w odruchu rozpaczki wlał resztę wody do gardła i oświadczył, że kurwa jebana się skończyła. Szczęśliwie źródło było nieopodal i już po chwili, każdy z puszką piwa w rękę, na nowo rozważali aspekty nieszczęścia.

– I co ta Laura tera robi?

– A co ma zrobić? Życie będzie dalej.

– Ale co z gospodarką?

– A po kiego jej ta cała gospodarka? Ja na jej miejscu sprzedałbym to w cholere.

– Co też sąsiad opowiada. Przecie to ojcowizna.

– I chuj z tym. Ja bym tam na takim gównie nie siedział.

– A niby Zdzisław ma więcej.

– Może i nie mam wiele, ale też wiele mi nie trza. A ona młoda jeszcze jest.

– Jaka tam młoda. Już nie pierwszej świeżości.

– A ja tobym ją jeszcze pociupał.

Zwierzenie Wolskiego spowodowało nie tylko wytrzeszcz oczu u syna, ale i zawiesiło się galareta szoku nad ławeczką.

– Co to ojciec gada... A matka?

– A matka, to ci, dziecko, powiem, od lat nie daje, to i człowiek się rozmarzył. A ta Laura to, powiem wam, niczego sobie.

– Ojciec zgłupiał na stare lata.

Młody Wolski co prawda z niesmakiem spoglądał na dawcę plemników, który zaoferował dwadzieścia lat temu swoje nasienie jego matce, i nie dość, że nie mógł uwierzyć, że łączą ich więzy krwi, to przewrotnie zaczął rozważać, kogo on we wsi mógłby pociupać. Nim się zorientował, na głos wypowiedział pobożne życzenie:

– Ja to bym tą soltysową przycisnął.

– Starą? – Kazik wyraźnie się ożywił.

– A gdzie starą! Młodą.

– E, plastikowa jakaś, ale cycuszki ma zgrabne.

Otępały Potocki pozwolił sąsiadom na głupie rozważania, szczęśliwy, że wreszcie nikt mu nie zadaje niewygodnych pytań.

I tak trwali na ławeczce, ławeczka z coraz większym trudem trwała pod nimi, niespecjalnie odporna na coraz większe przechyły i rozochocenie

uczestników zebrania.

Oni pili i gadali, on pił i się martwił. Jak rzadko kiedy. Miał nadzieję, że usunął z zagajnika wszystkie ślady swojej działalności i nikt nie wpadnie na to, by węszyć u niego w obejściu. Był zły na siebie, że w pierwszym odruchu wrzucił druty do studni. Woda była taka płytka, że gdyby dobrze się przypatrzeć, to coś by tam można dostrzec. Pierwsza myśl była taka, że doleje wody, jednak musiałby być Mojżeszem, by dzielić morza i akweny i panować nad żywiołem. Skłaniał się raczej ku bardziej realnemu rozwiązaniu: musi wydobyć wnyki ze studni i ukryć je gdzie indziej. Najlepiej głęboko w lesie. A jeszcze lepiej nie w jego lesie, tylko tym, do którego musiałby jechać pekaesem.

Co? Serio?

– To była matka Laury z blaszaka.

Dla Moniki to nowinka jak każda inna, dla mnie paralizująca informacja, która może zniweczyć wszystkie moje plany.

– Jesteś pewna?

– No, raczej. Aśka mówiła, że ponoć jakiś Podolski ją znalazł. Nie lubi gościa, bo miał odsiadkę. Z drugiej strony, to ona chyba nikogo nie lubi.

– To prawda, że ktoś ją powiesił?

– A tam powiesił... Aśka mówiła, że w jakąś pułapkę na zwierzęta wpadła. Może wrócmy jednak do domu, mamó. Jak tu są pułapki pozostawiane, to ja dziękuję, mam już dosyć!

– Przestań. Przecież nie pozwolimy, żeby jakiś wypadek zepsuł nam wakacje.

– Halo, jaki wypadek? Czy ty nie rozumiesz, że tu grasuje jakiś zbok? Morderca? Nie wiem, czy tata byłby zadowolony, gdyby wiedział, co się tu dzieje.

– Ale nie wie i się nie dowie. Jest we Włoszech, że tak uprzejmie ci przypomnę.

– Wie. Dzwoniłam do niego.

– Zwariowałaś? Po co?

– A nie uważasz, że powinien wiedzieć?

– Nie.

Jestem wściekła, po co smarkula wydzwania do Pawła, który we wszystkich mniej czy bardziej kłopotliwych sprawach podejmuje jedyną słuszną decyzję: nie wtrącaj się, wróć do domu, to nie twój interes. Niestety na jakimś etapie życia ja przestałam być jego intereselem, a nasz dom jego domem.

Zrywam się z leżaka i z niepotrzebną zawziętością wytrzepuję ręcznik. Przy okazji strącam do wody torbę plażową, która przez chwilę unosi się na powierzchni jak miniaturowa kolorowa gondola, po czym nasiąka i zaczyna się topić.

– Ja pieprzę, moja komórka!

Tak jak stoję, wskakuję do wody, nie zważając na dopiero co umyte i ułożone włosy, i w ostatniej chwili udaje mi się złapać torbę. Portfel niestety zdążył się zamoczyć, a w nim pięć dych, które mam nadzieję wysuszyć bez uszczerbku dla ich wartości. Błogosławię gościa, który wymyślił plastikowe dokumenty, bo tym na szczęście nic się nie stało, i – co najważniejsze – komórka, którą po rozmowie z biurem obsługi klienta rzuciłam na sam wierzch, jest w porządku.

Torba waży tonę, a zaskoczona Monika nie wpada na pomysł, by przyjść mi

z odsieczą.

- Rusz się i pomóż mi.
- Jezu, co ty wyprawiasz?
- Ratuje nasz dobytek, jakbyś nie zauważyła.

Wreszcie udaje mi się wgramolić na deski pomostu i gdy tak stoję, ociekając wodą, w żałości przyklejonej do ciała sukience, z tuszem, który kaskadami zalewa policzki, i z oklejającymi twarz włosami, które przed chwilą ułożyłam w sprężyste loki, pod dom podjeżdża radiowóz.

- No nie, jeszcze ich tu brakowało.

Monika robi się sina i podejrzewam, że gdyby pomost miał kilka rozwidleń i alternatywnych ujęć w las, toby zwiąła. Ale ponieważ nie ma takiej możliwości, to mimo że jest sporo ode mnie wyższa, usiłuje się skryć za moimi plecami.

- Starszy aspirant Edward Bąk. Możemy porozmawiać?

Spogląda na mnie jak na Marzannę, która się ocknęła po wiosennym podtopieniu i teraz usiłuje reaktywować życie w środku puszczy. Wyglądam jak zombi. Funkcjonariusz najwyraźniej widział w swoim życiu kilka ofiar wypadków i morderstw, bo mój wygląd robi na nim umiarkowane wrażenie.

- Zapraszam do domu. Tylko proszę dać mi chwilę, trochę się ogarnę.

– Proszę sobie nie przeszkadzać. Poczekam. A ty, młoda damo, dotrzymasz mi towarzystwa – odzywa się jak ksiązę do pokojówki, a moja córka robi się jeszcze mniejsza i bardziej sina.

- Muszę?
- Tak. Powiedz, co robiłaś wczoraj.

Zostawiam ich na ganku i znikam w niewielkiej, wilgotnej łazience. Tafla lustra dziwnym trafem jest odporna na moje odbicie i nie pęka. Jestem wściekła. Szlag trafił moje wysiłki i zrujnował plany na popołudnie. Zmywam z policzków rozlewiska tuszu i nacieram twarz grubą warstwą kremu. Mokre włosy spinam w ciasną kitkę na czubku głowy, zmieniam sukienkę i jestem gotowa na spotkanie z władzą.

- Napije się pan czegoś?
- Nie, dziękuję. Możemy porozmawiać?
- Jasne. O co chodzi?
- Zapewne słyszała pani, co się wydarzyło w lesie.
- Coś do mnie dotarło.
- Czy w ostatnim czasie coś panią zaniepokoiło?
- To znaczy?
- Czy kręcił się tu ktoś podejrzany?
- Nie, niczego nie zauważyliśmy.

Jestem przepytwana przez kolejne czterdzieści minut. Z każdym pytaniem obawa zaprzyjaźnia się z moim umysłem coraz bardziej, a pod koniec

przesłuchania mam wrażenie, że mu się oświadczy. Monika ma dosyć. Wygląda, jakby miała się rozplakać.

W dodatku dzwoni Paweł i zmywa mi głowę.

– Czy ciebie popierdoliło?! Co ty wyprawiasz?

– Nie rozumiem.

– Nie udawaj. Monika wszystko mi opowiedziała.

– Że co? Że ma nową znajomą?

– Nie, o tym nie wspomniała, za to sporo wiem o mordercy, który grasuje w okolicy, a wy podobno siedzicie na jakimś zadupiu.

– Nie twoja sprawa.

– A właśnie, że moja. To jest moja córka.

– Miło, że sobie przypomniałeś.

– Skończ. Masz wracać do domu.

– To mój urlop i zrobię, co uznam za stosowne.

Klik. Jak ja lubię się rozłączać w pierwszym takcie monologu, który tak płynnie miał się wylać z jego ust! Oczywiście to doprowadza Pawła do szału i przez długą chwilę wściekle atakuje moją komórkę połączeniami, których nie odbieram. Miałabym ochotę go zablokować, ale tego zrobić nie mogę.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że niestety ma rację. Powinam się spakować i wiać jak najdalej stąd. Niestety mój pokrecony umysł, pełen ciekawości i nadziei na odkrycie prawdy o Laurze, ma zgoła inne plany. Być może za sprawą emocji, które niesie ze sobą to nieszczęście, będę mogła zbliżyć się do niej bardziej niż w jakichś innych okolicznościach. Albo wręcz odwrotnie. Laura zaszyje się w domu i zupełnie stracę z nią kontakt.

Policjanci odjeżdżają, pozostawiając cały szereg pouczeń i ostrzeżeń, co nie pomaga mojej relacji z Moniką.

– Mamo, wracajmy, co?

– Dobrze, Monia, ale zapłaciłam z góry za wynajęcie domku i nie odzyskam tych pieniędzy. Dla mnie to jedyny urlop w tym roku.

– Chrzanić to.

– Może i tak, ale jeśli będziemy ostrożne, nic nam się nie stanie. Kupimy w mieście gaz, OK?

– Taaa i same się nim sparaliżujemy, zanim uda się nam go użyć.

– Nie przesadzaj. Czy ty kiedykolwiek widziałaś świat w różowych barwach?

– No, teraz widzę nawet w krwistoczerwonych.

– Daj spokój. Zbieraj się, jedziemy.

– Do domu?

– Nie. Do sklepu po bułki.

– Ja nie mogę, porypana jesteś! Nie możesz odpuścić?

– Monika, nie wyrażaj się! Nie można dawać się zastraszyć. Dokładnie taki cel mają terroryści: chcą, żebyś zaczęła się bać i zmieniła swoje plany.

– Mam w dupie terrorystów i to czy wygrają oni czy ja. Nie chcę takiej konfrontacji, jakbyś nie wiedziała. Ale OK, zrobimy, jak chcesz. Jakby co, to nie chowaj mnie w trumnie, tylko skremuj.

– Nawet tak nie żartuj. A swoją drogą, o co cię pytali?

– O wszystko. Gdzie byłam. Co robiłam. Od jak dawna znam Joannę, co o niej myślę, gdzie jeździłyśmy...

– I co powiedziałaś?

– Prawdę.

– Czyli?

– Że słabo ją znam, że poznałam Daniela.

– A o tym garażu?

– Mamo, tak się bałam, że wolałam powiedzieć wszystko, co wiem, co wiedziałam i co mi się wydaje. Myślisz, że dobrze zrobiłam?

– Oczywiście. A co, chciałaś coś ukryć?

– Nie, no coś ty. Tylko tak się zastanawiałam, czy mówić o tej dziupli...

– Kochanie, to nam się wydaje, że to dziupla.

– Niby tak, ale nigdy nic nie wiadomo. A jeśli oni rzeczywiście handlowali samochodami?

– To akurat nie nasz problem.

– No a gdyby chcieli się na przykład mścić?

– A policjanci zakazali ci o tym mówić?

– Nie.

– To sama widzisz: nie ma się czym martwić.

– Niby tak, ale nie chciałabym musieć zeznawać. Przecież nic nie zrobiłam, nikomu nic nie ukradłam, ale w ogniu pytań policjantów czułam się winna.

– Wiem, niestety to chyba normalne.

Monika się rozkręca i trajkocze o tym, jak groźnie na nią patrzyli i że miała wątpliwości, czy jej wierzą, ja natomiast zaczęłam się zastanawiać, czy nie wdepnęłyśmy w głębsze bagno, niż pierwotnie nam się wydawało.

Nadaśane pakujemy się do coraz bardziej pocharkującej micry. Mimo przekonania, że zamknęłam dom, wracam do drzwi i sprawdzam, czy na pewno przekręciłam klucz. Monika zaś plątaniną tylko jej wiadomych nitek i pułapek zabezpiecza posesję. Podejrzewam, że wejście do domku zajmie nam więcej czasu niż włamywaczowi sforsowanie drzwi.

Monika mimo antypatii, jaką darzy Aśkę, proponuje, że się z nią spotka. Kolejny raz ciekawość bierze górę. Podjeżdżam pod sołtysówkę i parkuję na wąskim chodniku zakończonym wysokim krawężnikiem. Coś nieprzyjemnie zgrzyta i szarpie podwoziem. Mam nadzieję, że nie urwałam misy olejowej ani rury

wydechowej. Najchętniej rzuciłabym się na kolana i oglądała auto od spodu, ale przy mojej znajomości mechaniki i tak niczego bym tam nie dostrzegła.

Sołtys z żoną stoją przy płocie i rozmawiają z jakąś podekscytowaną kobietą. Nie mogę oderwać wzroku od sołtysowej, która ubrana w obcisłe dżinsy i biały luźny podkoszulek wygląda zjawiskowo. Ani ona nie pasuje do wsi, ani wieś do niej. Klasę kobiety podkreślają płynne, wyważone ruchy i zdystansowane podejście do rozemocjonowanej sąsiadki.

– Pani Halino, nie ma co wpadać w panikę. Podejrzewam, że to jakiś wypadek.

– Jaki wypadek? Marysia to jakaś naiwna? Bo to pierwsze, co się u nas wydarzyło? To już Marysia nie pamięta, jak koty zabili? I ten stóg, i to wszystko? A ja mówię, że jakie złe tu grasuje po wsi.

– Bez przesady.

– A sołtys to niech tak nie patrzy, ino do roboty się bierze. Rozpytać trza i się zorganizować. Jakies patrole znowu zrobić czy co. Bo jak tak dalej pójdzie, to Janek katafalku już w ogóle nie będzie musiał chować.

– Pani Halino, niech pani nie dramatyzuje.

– A ja tam swoje wiem. Wystrzelają nas jak kaczki. Jeszcze wspomnicie moje słowa. Wielebny sam mówił, że to wielki grzech o siebie nie dbać. – I tak gderając, Wolska wsiada na stary skrzypiący rower i odjeżdża w kierunku kościoła, z postanowieniem zadbania o siebie w głębokiej i żarliwej modlitwie, zupełnie jakby kolejne zdrowaśki nawlekały na nią kolejne warstwy kuloodpornego kevlaru.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Pani do kogo?

– Ja tylko przywiozłam córkę. Umówiły się z Joanną.

– A tak, Asia już czeka.

– Aleksandra Rozcieplińska, miło mi.

– Marysia Tarnowska, a to mój mąż Maciej.

Przyglądam im się uważnie. Wyglądają na szczęśliwych ludzi. To znaczy on wygląda na szczęśliwego człowieka, ona – jak ktoś w tym szczęściu zajechany. Mimo urody sprawia wrażenie niepewnej i nadmiernie oddanej innym.

– A jak się pani podoba na wakacjach?

– Domek jest bardzo przyjemny.

– Piękna okolica, prawda?

– Prawda, tylko ostatnio trochę niebezpieczna.

– Ano tak. Nigdy czegoś takiego u nas nie było.

– Strach się bać.

– Fakt. Lepiej na siebie uważać. Może wejdzie pani na kawę, żona upiekła jabłecznik?

– Nie chciałabym przeszkadzać.

- A skąd, i tak mieliśmy wypić herbatę.
- Skoro tak.

Jakakolwiek możliwość zbliżenia się do lokalnej społeczności jest jak dar niebios i przepustka do popytania o Laurę. Przykry fakt kolejnej śmierci w jej domu staje się doskonałym pretekstem do wypytania o rodzinę.

Aśka wita Monikę bez uśmiechu i z entuzjazmem w dawce homeopatycznej zaprasza ją na piętro. Najwyraźniej albo mają zły nastrój, albo się o coś poprztykały, tylko w takim razie zupełnie nie rozumiem, po co w ogóle się umówiły. Może chcą sobie coś wyjaśnić?

Mijamy korytarz obity jasną boazerią, która nosi ślady zdjętych ozdób – jaśniejsze plamy po obrazach i czymś długim, prawdopodobnie jakiejś lasce albo szabelce. Pachnie woskiem i cytrynowym płynem do czyszczenia podłóg.

Kuchnia okazuje się zaskakująco dużym pomieszczeniem ze sporym stołem i ośmioma sosnowymi krzesłami, z których dwa są zajęte przez tłuste, leniwe szare koty. Zazdrostki w biało-czerwoną kratkę nadają pomieszczeniu wesoły i swojski wygląd. Białe kuchenne szafki i sosnowy blat są spełnieniem moich marzeń. Zdecydowanie mogłabym od razu się tu wprowadzić. Dotychczas myślałam, że wiejskie kuchnie, zwłaszcza na takim wygwizdowie, są zapchane starymi, pozbieranymi po ludziach meblami, tymczasem czuję się jak w pokazowym wnętrzu w IKEA. I jestem przytłoczona. Moje małe mieszkanie wręcz żebrze o remont, na który mnie nie stać, a przecież tak niewiele trzeba, by na nowo oswoić przestrzeń wokół siebie.

Na jasnym stole lądują dwa kubki z herbatą i filiżanka z czarną kawą dla mnie. Szarlotka pachnie sadem i dzieciństwem... i nie wierzę, że ktoś, kogo w zasadzie nie znam, ot tak po prostu zaprosił mnie do siebie. No cóż, to nie miasto i zamknięci w czterech ścianach niewielkich mieszkań ludzie.

Siedzimy i gawędzimy jak starzy znajomi, a ja przez opowieść o sobie i odpoczynku od szkoły usiłuję przebić się do świata Laury. Co w sumie nie jest aż takie trudne.

Okazuje się, że Leon był powszechnie szanowanym starszym panem, który ponoć, mimo szorstkiego obejścia, pomagał wszystkim.

– O zmarłych źle się nie mówi, ale z Teresą to nie miał lekkiego życia.

– A to dlaczego?

– Od czasu, jak urodziło im się dziecko, coś się jej w głowie poprzestawiało. Zachowywała się tak, jakby raczej dziecko straciła, a nie zyskała. Jakby trawiła ją jakaś troska, depresja. Oczekiwała, że wszyscy się nią zajmą.

– A dziecko?

– No, opiekowała się nim, pewnie. I na angielski posyłała, i na balet pokaesem do Wsiowa ją wozila, ale potem, jak Laura dorosła, nie chciała jej puścić od siebie na krok.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem? Zaczęła chorować. Stała się zaborcza i w sumie przegoniła wszystkich narzeczonych córki. Żaden się jej nie widział. A to z miasta, a to z dzieckiem, a to za stary albo za młody i w końcu doprowadziła do tego, że Laura idzie coraz bardziej w lata, a kawalera jak nie było, tak nie ma.

– To ta Laura, co w sklepie pracuje?

– Ta sama. Miła, dobra dziewczyna. Po tym, jak Leonowi coś w kręgosłupie strzeliło, to sama jedna musiała się gospodarstwem zająć. Szczęście, że młody Drożdzewski od niej świnie kupił i pola wydzierzawił, boby chyba nie dała rady.

– Ale w tym sklepie to raczej spokojna praca.

– Może i spokojna, ale prawie codziennie do dziewiątej wieczorem w niej siedzi. Jakby dodatkowych godzin nie brała, toby nie uciągnęli. Bo to wie pani, rolnik emerytury wielkiej nie ma, a potrzeby duże. Wszystko w obejściu chce jeść. W dzisiejszych czasach to nawet koty są tak leniwe, że za myszami się nie uganiają.

Upijam kolejny łyk kawy, zastanawiając się, jak utrzymać rozmowę w najbardziej interesującym mnie obszarze. Za sprawą dziewczyn, które zwabione zapachem ciasta pojawiły się w kuchni, okazało się to nader proste. Aśka, która najwyraźniej nie cierpi sąsiadki, plecie, co jej ślina na język przyniesie.

I tym sposobem dowiaduję się, że Laura nadaje się tylko do pracy w blaszaku, że ma niewielu znajomych i jest śmieszna z tą nauką angielskiego, bo przecież i tak z Koniuszek nigdy się nie ruszy. Że Teresa to była prawdziwa dewotka i nic nie robiła, tylko zajmowała się sobą i dbała o swoją wygodę...

A tak poza tym to najpewniej ktoś faktycznie zawział się na ludzi z Koniuszek, czego i ona sama doświadczyła, bo jakiś czarny samochód – i nie była to wołga, jak dodałam w myślach – zatrzymał się obok niej i taki łysy facet wypytywał ją o drogę. Ale ona uważa, że chciał ją wciągnąć do środka, na szczęście, niczym na rączym rydwanie, pojawił się Daniel w swojej furze i ją uratował. A facet był dziwny, nietutejszy, i jak to się stało, że tak od razu wpadła mu w oko.

Sołtys patrzy na nią jak na fajerwerki w środku letniego dnia i usiłując okiełznać wypływający z niej potok emocji, bagatelizuje przygodę córki.

– Kochanie, pewnie jakiś turysta pytał o drogę.

– No, pytał o drogę, ale na letnika nie wyglądał.

– Widzisz?

– Nic nie widzę. Wiem, jak na mnie patrzył. To było przerażające i do tego z tyłu siedziało jeszcze dwóch facetów.

– A kiedy to było?

– Bo ja wiem? Kilka dni temu.

– A o co dokładnie pytali?

- Nie pamiętam. Coś o stadninie mówili.
- Pewnie na pokaz jechali.
- Ja tam nie wiem, ale nie byli normalni. A ty to się zawsze musisz czepiać.

Zobaczysz, jak mi się coś stanie, to zmienisz zdanie.

- Nic ci się nie stanie.
- A niby skąd możesz to wiedzieć? Czy to moja wina, że się podobam facetom?

- Przepraszam cię za tak doskonałe geny.
- A ty zawsze musisz swoje.
- Asiu, kochanie...
- Co Asiu, co Asiu?! Zupełnie się mną nie interesujecie.

Biorąc pod uwagę, że rodzice, zwłaszcza matka, traktują ją jak dziecko specjalnej troski i opiekują się nią, jakby miała sześć miesięcy, z jednym wyjątkiem – nie muszą już zmieniać pieluch – jest to wielce krzywdząca ocena.

Monika w miarę rozmowy jest coraz bardziej zdziwiona postawą koleżanki i widzę, jak najwyraźniej toczą w niej bój podziw i przerażenie. Może nie powinnam narzekać na moje dziecko.

Dziękuję za poczęstunek i wychodzę. Leniwe koty snują się za moją piętą, nagle zainteresowane kuwetą w postaci starej piaskownicy znajdującej się na podwórku.

Odpalam samochód i z ulgą wsłuchuję się w miarową, z rzadka przerywaną kaszlem pracę silnika.

Laura obudziła się wczesnym rankiem. Słońce ostrymi promieniami wwierało się pod powieki, a ptaki nie ustawały w radosnym trajkotaniu. Dołączył do nich kogut Wasyl, król podwórka, który nie tylko rządził swoim stadem, ale w chwilach wybuchu agresji zwracał się przeciw właścicielce, gotów wskoczyć jej na głowę i dziobać po oczach. Tylko dzięki staremu Leonowi nie skończył jeszcze w rosole. Ale skoro Leona już nie było, jego dni wydawały się policzone.

Przetarła oczy i mrugając, usiłowała pozbyć się piasku spod powiek. Znów przymknęła oczy i wsłuchana w odgłosy dochodzące zza okna zaczęła rozmyślać o nowej rzeczywistości. Samotności i samodzielności, które stały się jej udziałem. Leon odszedł tak, jak żył, cicho i niepozornie. Matka natomiast pozostawiła po sobie bałagan, w pokoju męża, jak i w życiu córki, i odeszła z tego świata przy werblach plotek i podejrzeń.

Czarna kotka wskoczyła na kołdrę, przeciągnęła się, przyczaiła i rozpoczęła polowanie na jej stopy. Szczeniak dla odmiany skomlał, dopraszając się otwarcia drzwi i wypuszczenia na dwór.

Chcąc nie chcąc, musiała wstać. Postawiła stopy na podłodze i przez nanochwilę delektowała się jej chłodem. Niecierpliwie zwierzaki krążyły wokół i coraz gwałtowniejszym podskakiwaniem domagały się swoich praw. W pierwszej chwili sięgnęła po cienki batystowy szlafrok, ale uświadomiła sobie, że jest w domu całkiem sama i nawet chodząc nago, nikogo by nie zgorszyła. Dała sobie spokój z niepotrzebnym elementem garderoby i po wypuszczeniu trzódki poczłapała do kuchni.

Zaparzyła kawę w ulubionym ekspresie, dodała do niej kilka kropli mleka i kostkę cukru, jednak po raz pierwszy poranny rytuał nie sprawił jej przyjemności. Była to pora banalnych rozmów z matką, która właśnie wychodziła albo wracała z kościoła, jednak teraz dom spowijała niepokojąca cisza, przerywana miarowym tykaniem zegara. Tik-tak, tik-tak, stuk-stuk, puk-puk... waliło w skronie i uświadamiało nieuchronne mijanie chwil.

Wyniki sekcji zwłok potwierdziły udział osób trzecich w odejściu Teresy z tego świata. Oczywiście nie znaleziono żadnych śladów, odcisków, włókien, które nie należałyby do niej albo matki. Zero podejrzeń.

Sądziła, że po pogrzebie życie wróci do normy, jeśli o normie można w takiej sytuacji mówić. Rano, wieczór, praca, dom, wstawanie, spanie, karmienie zwierząt i przeliczanie ich przed snem. Zero miejsca na odstępstwo, zero miejsca na nadzieję.

Pospiesznie zorganizowany pogrzeb zgromadził nie tylko najbliższych sąsiadów i znajomych, ale również mieszkańców pobliskich wiosek, którzy

powodowani ciekawością tłumnie towarzyszyli Teresie w jej ostatniej drodze.

Laura znowu siadała i klękała w kościele, wysłuchiwała pieśni na cmentarzu, odległa i obca temu, co się dookoła niej działo. Nie było stypy, bo nie było komu na nią przyjść. To znaczy wszyscy chętnie by w niej uczestniczyli, chociażby po to, by wymienić się plotkami, jednak ona nie chciała widzieć nikogo.

Zaraz po ceremonii wróciła do domu i zamknęła się w czterech ścianach.

Weszła do pokoju Teresy, przyjrzała się szafkom i regałom, uzmysławiając sobie, jak obca jest jej ich zawartość. Otworzyła pierwsze z brzegu drzwi garderobianej szafy i przyjrzała się ubogiej kolekcji starych sukienek matki. Starych nie znaczy znoszonych, bo ich właścicielka z wielką pieczołowitością dbała o każdą sztukę odzieży, piorąc i prasując z nabożnością godną papieskich ornatów. Teraz, kilka dni po jej śmierci, rzeczy te stały się bezwartościowymi szmatami, które w zasadzie należało od razu wyrzucić albo wydać. Laura nie była jednak na to gotowa. Ba, nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie i czy odważy się grzebać w najbardziej intymnych zakamarkach pokoju matki.

Jedyne, co nie dawało jej spokoju, to sterty papierów niedbale poupychanych po różnych półkach, kartonach i biurku. Jak pies na lotnisku węszący w poszukiwaniu narkotyków, tak ona zaczęła przeglądać pożółkłe dokumenty i kartki.

Odkryła przebogate zbiory zapłaconych rachunków, które wraz z potwierdzeniami zapłaty w równych stosikach spoczywały w pudełkach po butach, znalazła medyczną historię matki, od wyników cytologii poczynając, przez zdjęcia rentgenowskie płuc i przebieg ciąży. To ostatnie zainteresowało ją na tyle, że opadła na dywan i siedząc w kucki, z zapartym tchem przeglądała kolejne zapiski. Miesiąc po miesiącu jakaś lekarka skrupulatnie zapisywała postępy, jakie czynił rozwijający się w łonie Teresy płód. Waga, wyniki badań, wreszcie płęć. Jak na tamte czasy było to nowatorskie badanie ultrasonograficzne, które wydawało się milowym krokiem w nowoczesność.

Zapisany zamasztysem wyraźnym pismem wynik jednoznacznie stwierdzał, że Teresa spodziewa się chłopca.

Chłopca? Laura wpatrywała się w kartkę jak ciele w malowane wrota i nic nie rozumiała. To znaczy litery składały się w wyrazy, a wyrazy w większą całość, jednak ich sens nijak się miał do znanej jej rzeczywistości. Jak to: syn? Gdzie jest ten chłopiec, co się z nim stało? Gorączkowo grzebała w pudle z dokumentacją medyczną, jednak nie znalazła w nim nic więcej. Wyrzuciła z biurka wszystkie papiery na jeden wielki, bezładny stos i systematycznie, kartka po kartce, zaczęła je przeglądać.

Sama nie wiedziała, ile czasu spędziła na poszukiwaniach jakiegokolwiek śladu. Dopiero pełen pęcherz przypomniał jej o terażniejszości i o tym, że mieszkańcy kurnika nadal nie wyszli na świeże powietrze i nie dostali codziennej

porcji ziarna.

Obiecała sobie, że zaraz po powrocie przeszuka bałagan w pokoju Leona.
Jezu, jak bardzo nie lubiła grzebania w papierach.

Nagle zrobiło się ciemno i duszno. Z trudem łapała oddech, który nie pozwalał sercu na miarową pracę, fundując mu paniczny dygot. Chciała krzyczeć, ale gdy otworzyła usta, żeby nabrać powietrza, poczuła na nich dotyk szorstkiej juty. Nie miała pojęcia, co się dzieje.

Po ostatnich wydarzeniach wiedziała, że nie powinna oddalać się zbyt od wsi, a tym bardziej odbywać samotnych spacerów po lesie i okolicy. Dlatego nie chodziła tam, gdzie w jej mniemaniu mogłoby jej coś grozić. Ograniczyła dystrybucję plotek do okolicznych chałup i więcej czasu spędzała z Danielem albo w domu. No dobra, spotykała się jeszcze z Moniką. Właściwie ich relacja bardzo się zacieśniła i mimo pierwotnej niechęci wypracowały kompromis, tak że były w stanie spędzać razem czas, nie patrząc na siebie bykiem. Choć trzeba przyznać, że zainteresowanie Daniela miastową niestety nie malało, jednak sposób, w jaki ją, Aşkę, traktował, nie pozostawiał wątpliwości, która z nich jest jego kobietą. Gdyby Joanna myślała racjonalnie i potrafiła wyciągnąć adekwatne do sytuacji wnioski, odkryłaby, że Danielowi potrzebna jest tylko do pomiatania i dowartościowywania się. Niestety nie była zdolna do tak zaawansowanych logicznych wywodów i kurczowo uciepiona myśli, że jest wybranką tego romantycznego chama, pozwalała na takie traktowanie.

Szarpnięcie. Kolejne szturchnięcie i bolesne wygięcie kostki. Zgubiła but. Utykając i boleśnie zahaczając o wystające korzenie i ostre kamyki, znalazła się w porastających skraj drogi zaroślach. Przez sztuczne ukształtowanie terenu i nasyp wykonany dwa lata temu dzięki środkom unijnym chodnik i droga znalazły się powyżej podłoża lasu i teraz nikt nie mógł ich dostrzec. Wiedziała, że jej sytuacja staje się coraz bardziej beznadziejna. Mimo to za wszelką cenę chciała się wyswobodzić i liczyła, że krzykiem jednak kogoś zaalarmuje. Ale ze ściśniętej krtani wydobył się jedynie zduszony jęk, który i tak został zdławiony w zarodku twardą, ciężką ręką. Ktoś w bolesny, brutalny sposób miażdżył jej usta.

– Zamknij się, suko – nieznaną głos wysyczał wprost do jej ucha.

Skuliła się jeszcze bardziej.

Była w rękach faceta, którego po sposobie mówienia, głosie i białych sportowych butach, jakie widziała spod spowijającego jej głowę worka, nie mogła rozpoznać. Ze strachu najpierw oblał ją zimny pot, po chwili zaś zrobiło się jej gorąco, a pęcherz się rozluźnił i pozbył zawartości.

– Kurwa, zsikała się.

Białe buty odskoczyły, a na ich miejscu pojawiły się noski szarych trampek. Ktoś ją pociągnął i sięgnął pod sukienkę chropowatą dłonią. Drugi w kleszczach uścisku miażdżył wykręcone do tyłu ręce. Brutalny uścisk przerodził się w bolesne

szarpnięcie. Wraz z coraz gwałtowniejszym biciem serca narastało przerażenie, które w szczytowym momencie, gdy ktoś zdarł z niej niebieskie stringi, zastąpiła panika. Czekwała na najgorsze. Spodziewała się tych wszystkich rzeczy, które są kulminacyjnym punktem kryminałów i thrillerów. Penetracja, gwałt i bolesny proces odbierania życia.

Drżała na całym ciele, dusiła się i nadal nie mogła uwierzyć, że o godzinie czternastej, w środku upalnego, pięknego dnia, w miejscu, w którym zazwyczaj kręcą się ludzie, nieopodal głównej drogi, stała się ofiarą przestępstwa.

Podciągnięta sukienka obnażała to, co Aśka zazwyczaj zakrywała spódniczkami szerokości opaski do włosów.

– Patrz, ziomal, ale się wygoiliła.

Czyjaś ręka dotknęła fantazyjnego wzorka, zaczęła się nim bawić i głaskać, przesuwając się coraz niżej. Aśka odruchowo zacisnęła uda, jednak silna dłoń bez najmniejszego problemu je rozchyliła i powędrowała dalej.

– Ty, zostaw ją. Nie taka była umowa.

– A co? Zabronisz? Też mi się coś należy.

– Daj spokój. Że też tobie zawsze się chce.

– To raczej ty się martw, że tobie nie.

– Spadamy, bo jeszcze nas kto przyuważy.

Grube paluchy boleśnie ją uszczypnęły, jednak posłusznie się cofnęły.

– Kurwa, nie mogę.

– Właśnie tak to się u ciebie kończy. Spadamy, rozumiesz?

Pociągnęli ją za sobą. W jednej szpilce nie była w stanie iść, więc pozbyła się buta i na bosą stopę dała się wlec porywaczom, robiąc jednak wszystko, by opóźnić marsz. Wiła się, syczała przy każdym kroku, szamotała, nawet usiłowała gryźć przez jutę. Na nic się to jednak nie zdało, bo już po chwili jeden z facetów bezceremonialnie przerzucił ją sobie przez ramię jak worek ziemniaków i przyspieszając kroku, oddalał się od drogi. Zagłębiali się coraz bardziej w las. Gęste zarośla zastąpiła przecinka, minęli młodnik i zanurzyli się w matecznik. Gałęzie drzew boleśnie odbijały się od jej ciała i drapały skórę. Nie mogła zasłonić gołych pośladków, osłonić się przed razami lasu i z workiem na głowie czuła się upokorzona jak nigdy wcześniej.

Facet, który ją dźwigał, dyszał, a jego krok stawał się coraz cięższy. Wreszcie zasapał się na dobre i z jękiem ulgi postawił ją na chłodnym mchu.

Stała chwiejnie, balansując i usiłując utrzymać równowagę. Jednocześnie był to doskonały moment na podjęcie kolejnej próby ucieczki. Miała wolne ręce i wykorzystując chwilową nieuwagę porywaczy, sięgnęła do worka na głowie. Zdarła go do połowy, gdy czyjaś ręka mocnym szarpnięciem ponownie umieściła go na miejscu. Jednak ta chwila wystarczyła, by spojrzeć w oczy dwóch nieznanym mężczyznom. Obaj w kominiarkach, szerocy w barach, ubrani w czarne

dżinsy i czarne T-shirty podkreślające muskulaturę. Wyższy, wyglądający na przywódcę, miał na szyi gruby złoty łańcuch z jeszcze większym krucyfiksem, z którego zwisał smutny Chrystus.

Ich oczy były przerażające. Pełne wściekłości, złe, a jednocześnie pożądlive. Patrzyli na nią wzrokiem psychopaty, który nie cofnie się przed niczym, i Aśka zrozumiała, że to najprawdopodobniej ostatnie chwile jej życia. Nie wiedziała tylko, dlaczego wybrali akurat ją, czym się naraziła, co zrobiła nie tak albo z kim się zadała.

– *Shit!* Jeszcze raz wytniesz jakiś numer, a cię załatwimy, rozumiesz, suko?

W jej żebra wbiło się coś twardego, co oczywiście skojarzyła z lufą broni.

– A teraz się rozbieraj.

– Proszę, nie.

– Mam ci pomóc?

Joannie było wszystko jedno. Skoro i tak ma umrzeć, nie miało to najmniejszego znaczenia. Bała się śmierci, ale nie tak bardzo jak bólu. Bała się gwałtu, bo wiedziała, że te dwa pustaki nie odmówią sobie chwili przyjemności. Poczula ciarki na całym ciele i zachwiała się. Prawie upadła, jednak jeden z oprawców mocno przytrzymał ją za łokieć.

– Kurwa, ściągaj te szmaty.

– Nie, proszę, zostawcie mnie!

W tym momencie coś zimnego zahaczyło o jej ramię i wdarło się pod rękawek sukienki. Rozległ się trzask materiału i czyjeś dłonie szarpnięciem rozerwały go do końca. Resztki sukienki, którą zdobyła na ostatniej przecenie w ekskluzywnym butik w ubiegłym roku, opadły jej do bosych stóp. Po chwili obok wylądował błękitny stanik i Aśka wiedziała, że zaraz się zacznie.

Twarde, spękane ręce jednego z facetów znalazły się na jej piersiach i zaczęły je ugniatać jak drożdżowe ciasto. Bolało. Jednocześnie kolanem brutalnie rozchyłał jej nogi. Upadła. Zacisnęła mocno powieki i jęcząc: Jezu, Jezu, czekała na najgorsze.

Tymczasem drugi z porywaczy odciągnął tamtego od jej ciała i z pretensją zaczął bluzgać i go łajać:

– Kurwa, odpuść, nie taka była umowa.

– A kto się dowie?

– Kurwa! Ja! Robimy swoje i spadamy.

Znowu stała na nogach. Tym razem pchnęli ją w kierunku pobliskiego drzewa, przycisnęli plecami do chropowatej kory i najpierw związali jej ręce, później nogi, a wreszcie całe ciało ciasno przywiązali taśmą do pnia, tak że nie mogła się ruszyć. Nim odeszli, zerwali jej z głowy worek, ale półprzytomna z przerażenia Joanna skupiła się tylko na białych butach, których właściciel jeszcze raz ją obmacał, nachylił się i wyszeptał jej do ucha:

– Czekaj. Jeszcze tu wrócę.

Słyszała, jak się oddalają. Trzaski pękających gałązek były coraz bardziej odległe, a krzyk Aśki coraz bardziej rozpaczliwy.

– Nie zostawiajcie mnie, proszę, tylko nie to. Zrobię wszystko, co będziecie chcieli, tylko zabierzcie mnie stąd.

Odpowiedziała jej cisza. Przestała słyszeć ich kroki i została zupełnie sama. Mimo że od rana żar lał się z nieba, w cieniu lasu zaczęło jej się robić chłodno. Spanikowane, napięte do granic ciało odmawiało współpracy. Po lewej nodze, łaskocząc ją, pięła się ku górze, zaintrygowana obecnością nieznanego obiektu, wielka czarna mrówka. Aśka wiedziała, że tuż za nią czają się jej towarzyszki, czekające tylko na sygnał od zwiadowcy, by ruszyć ku przygodzie.

Zemdlą.

Jadę w kierunku blaszaka z nikłą nadzieją, że spotkam Laurę. I myślę się. Nie ma jej. Za to już od progu kiwa do mnie młody sprzedawca.

– Mam dla pani jajka.

Powoli wysiadam z samochodu i ruszam w stronę sklepu. W zasadzie powinnam zrobić solidne zaopatrzenie, ale postanawiam ograniczyć się do odebrania zamówienia, żeby pod pretekstem kolejnych zakupów zajrzeć tu jeszcze po południu.

– Straszna historia. – Młody najwyraźniej się nudzi i za wszelką cenę usiłuje mnie na chwilę zatrzymać.

– Słyszałam. Współczuję.

– Normalnie szok. Nie dość, że coś takiego wydarzyło się u nas, to jeszcze trafiło na Laurę. Dopiero co pochowała ojca, a teraz matka...

– Przeróżające. Jak ona sobie z tym radzi?

– Nie wiem, chyba dobrze, jeśli coś takiego można w ogóle znieść.

– Może trzeba jej w czymś pomóc?

– Bo ja wiem?

– W sumie to nawet jakby człowiek chciał, to nie wie w czym.

– Właśnie. Laura jest raczej skryta i niechętnie mówi o swoich potrzebach. Obawiam się, że i tak nic by nie powiedziała.

– To może trzeba ją zaskoczyć? Na przykład obiadem albo... – Nie mam pojęcia czym. Nic o niej nie wiem, a nawet gdyby sytuacja dotyczyła kogoś mi bliskiego, to w takiej chwili trudno ocenić, w jakim obszarze nieść wsparcie. Nie mogę jej pomóc w domu, bo przecież nie dość, że nigdy tam nie byłam, to jeszcze nie mam pojęcia o hodowli zwierząt, karmieniu kur i tak dalej. O sprzątanii czy porządkowaniu rzeczy też nie ma mowy, więc poza ofertą wspólnego spędzenia czasu i wypicia kawy mój repertuar się kończy. – A co z jej rodziną? Przecież każdy ma jakieś ciotki, kogoś?

– Ech, oni to tacy byli trochę samotnicy. Odludki.

– A przyjaciele?

– Nie wiem, czy Laura przyjaźni się z kimkolwiek. Wie pani, ona jest... trochę dziwna.

Strzygę uszami jak zając na miedzy i aż wstrzymuję oddech.

– Dziwna? Ale w jakim sensie?

Chłopak kręci się niespokojnie i sprawia wrażenie, jakby żałował, że powiedział zbyt dużo, a ja po raz pierwszy wiem, że nie odpuszczę.

– Kurde, nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało źle. Bo to niby nic złego, że jest się typem samotnika, jednak w niej jest coś niepokojącego. Jak

sobie coś wymyśli, to nie odpuści, jak kogoś nie lubi, to tak, że od razu nienawidzi, jak kocha, to zaborczo.

– Naprawdę?

– Serio. Ja to bym się bał z nią chodzić. Musiałbym tańczyć, jak mi zagra, i wszystko wiedziałaby lepiej.

– E tam, większości facetów tak się wydaje. Boją się, że wpadną pod pantofel.

– Niby tak, ale ja tam swoje wiem.

– A Laura miała kiedyś kogoś?

– Podobno. Z tego, co wiem, coś tam Maciek próbował z nią kręcić, ale jakoś szybko mu przeszło.

– Ciekawe dlaczego.

– Ano, czasami lepiej nie wiedzieć i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

I dupa. Nic nowego. Stale kręcę się wokół tych samych informacji i nie posuwam się o krok. Ale jednak, skoro wiem, jak bardzo Laura nastawiona jest na siebie, może spróbuję podejść ją z innej strony?

Biorę kobiałkę umazanych kurzą kupą jajek, co najwyraźniej ma stanowić dowód ich ekologiczności i wiejskości, a co odrzuca mnie na całej linii. Już chyba wolę sklepowe wynalazki klasy A.

W drzwiach mijam dwie staruszki okutane w wielkie apaszki, zapewne odziedziczone po matkach mających zwyczaj nosić je na głowie, w dwóch podobnych workowatych sukienkach i takich samych białych sandałach Scholla. Mimo upalnego lata nie zrezygnowały z nylonowych skarpetek w kolorze cielistym – obraz zdublowanej modowej nędzy i rozpacz, uzupełniony dwiema wykrzywionymi laskami i torbami na kółkach, już w połowie wypchanych zakupami.

– A ja tam wam mówię, że to nie był przypadek.

– Ale co nasza Teresa miałaby na sumieniu? Pani Jabłońska, niech pani pomyśli, zanim co powie.

– To nie przypadek, że na Teresę trafiło. Ja o tym kościele i o tym wszystkim mówię. Przed wojną, pani kochana, to tego nie było. Te dzisiejsze ludzie to jedna banda złodziei i cwaniaków. Kiedy my młode były, to ksiądz miał szanowanie i słuchali go, a dzisiaj mało kto do kościoła chodzi. Czasami to psa z kulawą nogą nie ma. To i jak ma być dobrze, jak ludzie niewierzący.

– Jabłońska jak zwykle przesadza.

– Przesadza, przesadza... ale jak Jagoda w ciążę zaszła z tym, jak mu tam, no... tego... nieważne, to już chyba nie przesada.

– A to racja. Przecie ona z pielgrzymki z brzuchem wróciła!

– Zawsze mówiłam, że to wywłoka, co tylko szuka okazji.

– No, pani, przecie to moja siostrzenica!

- Siostrzenica czy nie, z dzieciakiem wróciła.
- Skaranie boskie. Jak były małe, to jakoś łatwiej było.
- Słyszała pani, że ta Teresy córka do miasta jakoś często jeździć zaczęła?

Może co kombinuje na boku.

- A co też sąsiadka opowiada! Na angielski z moją Bašką chodzi.
- Na co jej angielski? Przecie tu obcych nie ma, a sama nigdzie nie pojedzie,

bo i za co.

– A co mnie tam. Lepiej, że się uczy, niżby miała się za chłopami po stogach uganiać albo po rowach pokładać.

- Świnta prawda.
- Panie, a chleb ma pan jeszcze świeży?

Nie doczekuję odpowiedzi, bo na horyzoncie pojawia się radiowóz, który z gracją parkuje tuż obok mojej micry. Znowu będę miała problem z wyjechaniem. Dwóch powolnych funkcjonariuszy wkracza do sklepu. Pospiesznie zostawiam kobiałkę na wycieracze pasażera i jak gdyby nigdy nic, wachlując uszami, wchodzę za nimi do środka. Cholerny sprzedawca od razu otacza mnie niepotrzebną troską, zwracając uwagę policjantów na moją skromną, acz wścibską osobę...

- Zapomniała pani czegoś?
- Ach, pomyślałam tylko, że kupię coś słodkiego do kawy.
- Aha. To na tym regale z boku niech pani spojrzy.
- Dziękuję.

Policjanci oglądają sklep, wspomniany regał, półki ze słodyczami, mnie oraz dwie staruszki i na dłuższą chwilę zawieszają oko na sprzedawcy.

- Młodszy aspirant Tomasz Paprocki. Pan tu pracuje?

Nie wiem, do czego aspiruje ów młody człowiek, ale z pewnością nie wygląda na kogoś, kto miałby w planach i ambicjach dokonanie czegoś przełomowego. Sprawia raczej wrażenie wypalonego za młodu rutyniarza, który dobrze wie, że jego pytania zaprowadzą go prostą drogą do umorzenia sprawy z racji szeregu braków: od świadków poczynając, przez dowody, na ambicji policji kończąc.

- Tak.
- Pan się nazywa?
- Słucham?
- Pan się nazywa?
- Aaa, Adam Kołaciński.
- Więc pan tu pracuje.
- Tak, to znaczy pomagam. W sensie na jedną czwartą etatu.

Młody płacze się jak narkoman w zagajniku marihuany, a babcie najwyraźniej regulują aparaty słuchowe i zamierają przy półce z pieczywem.

Jedyną osobą, która stwarza pozory normalności, jestem ja, co już po chwili objawia się łomotem, bo – zapatrzona w rozmawiających – strącam cały stojak z czekoladami. Jak w tandetnym, i to na zwolnionych obrotach, filmie usiłuję uporządkować bałagan, miotając się po podłodze wśród połamanych tabliczek, a wszyscy spoglądają na mnie ze współczuciem i ubolewaniem.

Nie pozostaje mi nic innego, jak oddać się sprawie słodczy, i tym samym dobiegają do mnie tylko strzępy rozmowy.

– Nie, normalnie pracuje tu Laura Żytko, tylko że umarła jej matka i ona wzięła kilka dni wolnych.

– My właśnie w tej sprawie. Czy koło sklepu kręcił się ktoś podejrzany?

Myślę, że jedyną podejrzaną osobą jestem ja, natomiast szczęśliwie młody człowiek nie wyciąga podobnych wniosków, z przekonaniem zaprzeczając takiej ewentualności.

– A może ktoś robił jakieś nietypowe zakupy? Kupował większą ilość drutu albo kleju?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Ale wiecie, panowie, ludzie tu różne rzeczy kupują, a ja nawet się nie zastanawiam, za co ich kasuję. Po prostu kładą towar na ladzie, nabijam na kasę, biorę pieniądze, wydaję resztę i nie analizuję, co wzięli.

– Gdyby jednak coś zwróciło pana uwagę albo by pan sobie o czymś przypomniał, proszę zadzwonić.

– Tak, oczywiście.

– A Laura? Dobrze ją pan zna?

– Tyle o ile. Pracujemy zazwyczaj na zmianę, to trudno coś powiedzieć.

– Rozumiem. A jaką jest osobą?

– Sumienna, koleżeńska, odpowiedzialna... no, normalnie.

– A może ma jakichś wrogów? Ona albo jej rodzina?

– Panie, o co panu chodzi? My tu porządne ludzie jesteśmy. – Jabłońska zapomina, że miała dyskretnie podsłuchiwać, nie wytrzymuje i wtrąca się do rozmowy.

– Ja temu nie zaprzeczam, tylko usiłuję nakreślić charakter...

– To niech nie kreśli, bo nie ma co. Lepiej by się złodziejami zajęli, a nie o porządnym ludzi wypytywać będą. Za grosz szacunku.

– Proszę się nie wtrącać.

– Ja swoje prawa znam. Jest demokracja i wolność wypowiedzi, to się wypowiadam. No, niech sąsiadka coś powie, przecie to się nie godzi.

– Dowód proszę.

– Cie pieruna! Jaki dowód? Przecie ja tylko do sklepu wyszła, to dowodu z sobą nie brała. A poza tym, czy jestem o co oskarżona? Hę?

– Na razie nie, ale utrudnia pani czynności.

– Trzymajcie mnie, ludziska. Ja co utrudniam? Ja to jedynie mogę ułatwić. Pod kościołem to o wszystkim rozmawiamy.

– Pani da spokój.

– A niech mnie tu sąsiadka nie sumituje. Ja swoje prawa znam i nie będzie mnie tu taki siusiumajtek od dowodów wyzywał. A swoją drogą, to pamiętam, Tomuś, jakżeś przez płot przelazł na moje jabłka. I co, nie wstyd ci? A teraz portki czarne naciągnął i ważna mi figura. Od siebie, dziecko, zacznij, a nie innych tu szkalować będzie.

– Pani Jabłońska...

– Co pani Jabłońska, co pani Jabłońska! Teresę żywcem zamordowali, a wy się obijacie! My jako mieszkańcy nie zgadzamy się na takie traktowanie. Jako naród polski nie tak zostaliśmy wychowani i tolerować czegoś takiego nie będziemy. Weźcie się do roboty!

– Pracujemy.

– Pracujecie... Nie wiem gdzie i nad czym. Ja tam swoje wiem. I pamiętaj, Tomeczku, że ja, jakem Jabłońska, będę ci patrzeć na ręce. – Kobieta w miarę wypływanych słów staje się coraz bardziej dynamiczna, a jej ręce się dostrajają, gwałtownie gestykulując.

Dochodzę pospiesznie do wniosku, że nie wypiję dziś kawy i, co za tym idzie, nie skuszę się na czekoladę, a pozostanie w sklepie grozi obiciem laską przez staruszkę lub pałką przez Tomusia.

Wychodzę.

Laura siedziała na rozłożonym bordowym tapczanie odznaczającym się nietuzinkowym wgłębieniem, na które przez lata pracował Leon, zajmując nocą tę samą niewygodną pozycję. Wielokrotnie narzekał na twardość sprężyn kontrastującą z miękkością i zużyciem wypełniających siedzisko gąbek, ale nie chciał słyszeć o zmianie mebla.

Pokój wyglądał ponuro. Zachmurzone niebo odebrało mu resztki radosnego wyglądu, zastępując go długimi cieniami, zahaczającymi o widoczne w kątach pajęczyny. W części opróżnione szafy i sterty rupieci na podłodze podkreślały depresyjny nastrój i uświadamiały Laurze, że pewna epoka zakończyła się bezpowrotnie.

Udawiała przed sobą i sąsiadami większy szok, niż przeżywała w rzeczywistości. Choć paraliżowała ją myśl, że zostaje sama na gospodarstwie, z jedną niewielką pensją, bez pomocy kogokolwiek, to jednak czuła ulgę. Bała się głośno o tym powiedzieć, ale w cichości ducha czuła się wyzwolona. Wolna. Nareszcie mogła ze swoim życiem zrobić to, co chciała od zawsze. No, nie do końca. Uwikłana w toksyczne i obarczające ją odpowiedzialnością za Leona i Teresę relacje rodzinne, wyobrażała sobie cudowne życie w mieście, w innym kraju, z innymi ludźmi i problemami. Teraz jednak, gdy to wszystko mogłoby stać się jej udziałem, nie wiedziała, co począć. Była oszołomiona możliwościami i cieszyła się, że po raz pierwszy w życiu ma wybór.

Co nie było jednoznaczne z tym, że od razu rzuci pracę. O nie, na to nie może sobie pozwolić. Do zmiany nadal będzie się przygotowywać systematycznie i powoli.

Nim zmieni swoje życie, musi się uporać z pozostawioną przez rodziców zagadką... Dlaczego nie powiedzieli jej o adopcji? Jak świnia poszukująca trufli przekopywała się przez sterty pożółkłych papierów i dokumentów.

Wreszcie znalazła. Wpatrywała się jak kot w chomika w pognieciony skrawek papieru, który wypadł z broszury z przepisami na wielkanocne potrawy. Ostatni dokument napisany ręką ginekologa prowadzącego ciążę matki, z którego wynikało, że chłopiec urodził się w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży... martwy.

Nie zrozumiała. Przeczytała raz jeszcze i wreszcie dotarła do niej prawda. Chłopiec, dziecko Teresy i Leona nie żyło. To znaczy, że nigdy go nie było. I zaraz pojawiła się myśl, że przecież gdzieś powinien być jego grób. Choć przywołała w pamięci obraz rodzinnego grobowca, wiedziała, że na jego płycie nie znajdzie żadnej informacji. Poza datami narodzin i śmierci dziadków od strony ojca i matki nie było tam nic więcej. Nie odwiedzały też z Teresą po niedzielnej mszy żadnych

innych grobów. Dziwne, ale jednocześnie sprytne. Tragicznie zakończona ciąża posłużyła matce za narzędzie do oszukiwania jej przez lata, a zdjęcie z brzuchem rozwiewało rodzące się w jej głowie wątpliwości. Zmyślnie.

Była zdziwiona, że to odkrycie nie zrobiło na niej takiego wrażenia, jak można by się spodziewać. Przeszła nad tym jak nad kałużą w deszczowy dzień i zabrała się do grzebania w leżącej przed nią stercie makulatury, zastanawiając się, jakie jeszcze skrywa niespodzianki. Teraz uważniej przepatrywała świstki i wycinki z gazet.

Tym ostatnim przyglądała się ze szczególnym zainteresowaniem, usiłując wywnioskować, co je łączy. Jeden dotyczył ekologicznej hodowli pszczół i pozyskiwania miodu, drugi opisywał życie w pewnej szkole, do której nigdy nie chodziła, kolejny rozważał różne aspekty dotyczące wychowywania dziecka, a litanie niewiadomych kończył artykuł o tym, jak poradzić sobie z żałobą i śmiercią najbliższej osoby.

Więcej czasu poświęciła temu ostatniemu i ze zdziwieniem odkryła, że żadna z sugestii i rad jej nie dotyczy. Przede wszystkim nie wypłakuje się i co najdziwniejsze – wcale nie czuje takiej potrzeby. Co prawda przeżyła żal, zwłaszcza po śmierci matki, ale wynikający raczej z tego, że nie zdążyła jej o wszystko zapytać i że stało się to tak szybko. Faza druga, tęsknoty, też jakoś nie nadeszła. Może jeszcze jest przed nią, ale tu i teraz zamiast tęsknoty czuje powiew wolności.

I najważniejszy etap. Dezorganizacja i reorganizacja. Z zapalem oddała się podpunktowi drugiemu, pomijając pierwszy. Nie czuła się zdeorganizowana. Tym bardziej że Teresa tuż przed śmiercią zaczęła robić porządki, wystarczyło tylko je poszerzyć i doprowadzić do finału, by wejść płynnie w fazę organizacji życia na nowo. Czuła się bardziej zagubiona, gdy to Teresa usiłowała nadać ton ich egzystencji. I choć oczywiście nie wszystko była dla niej klarowne, czuła, że przestała być zależna od innych.

Wiedziała, że powinna się wstydić, że nie może nikomu wyjawić towarzyszących jej uczuć, a jednak wypełniał ją dziwny spokój, graniczący ze szczęściem. Była jak balonik napełniony helem, który wyrwał się z rączki dziecka i poszybował wysoko.

Lubiła ten stan.

Wychodząc z założenia, że lepiej dobrze zjeść, niż podobać się byle komu, rozsmarowuję grubą warstwę majonezu na dwóch kromkach razowego wiejskiego chleba z pobliskiej piekarni. Na majonezie lądują plastry żółtego sera z niepoprawnie dużymi dziurami, przez które usiłuje wyrzeć bąbel majonezu. Liść zielonej sałaty i dwa krążki pikantnego salami dopełniają dzieła.

Układam kanapki na białym, w dwóch miejscach lekko wyśrupanym talerzyku i dodatkowo oprószam całość szczyptą pieprzu. Z ustami pełnymi śliny wychodzę na drewniany owiewany poranną bryzą taras.

Po fali upałów z ulgą spoglądam na zachmurzone niebo, pełne puchatych obłoczków, w różnych odcieniach szarości. Wiatr delikatnie kołysze trzciniami, a na tafli jeziora pojawiają się otulone białą pianą namiastki fal.

Monika śpi. Las śpi. Nawet ptaki wydają się mniej rozochoczone. Śpią moje troski i lęki. Wbijam zęby w kanapkę i z cichym chlapnięciem na białej koszulce ląduje majonezowy glut.

– Cholera jasna!

Wycieram tłustą maź palcem, ochoczo wkładam go do ust i oblizuję. Cieszę się porankiem, chłodem, samotnością i ciszą. Emocje wczorajszego dnia i obawy o bezpieczeństwo sprawiły, że nie przespałam nocy. W dodatku natarczywa myśl, że Monikę również mogłoby spotkać coś niedobrego, odebrała mi resztkę spokoju, po który przecież wyjeżdża się na urlop.

Aśka zniknęła i Monika automatycznie popadła w irracjonalną pewność, podszytą paniką, że jej nową znajomą spotkało coś złego. Nie mam pojęcia, dlaczego tylko taki pomysł zakiełkował jej w głowie. Osobiście stawiam raczej na to, że młoda postanowiła zaszaleć i się zabawić. Ale... nie sposób nie przyznać Monice racji, że tak czy inaczej jest to bardzo niepokojące. Jako matkę półgodzinne spóźnienie córki przyprawia mnie o palpacje, a co dopiero nieobecność przez całą noc.

– Mamo?

Chryste Panie! Podskakuję na leżaku i kolejna porcja majonezu ląduje na T-shircie.

– Jezu, ale mnie wystraszyłaś! Co się tak skradasz?

– Trudno, żebym stukała obcasami, gdy mam bose stopy.

– Nawet gołymi piętami walisz jak koń na wybiegu.

– Przestań marudzić.

– Nie marudzę, tylko tak mnie przeraziłaś, że niewiele brakowało, a zostałabyś sierotą!

– Co jesz?

– Kanapki. Chcesz?

Niestety chce, i to łąpczywie. Z żalem spoglądam na do niedawna sporą pajdę, która łąduje w jej ręku i sprawnie, w kilku gryzach znika w wypchanych ustach.

– Dobra, ale niepotrzebnie nawaliłaś tyle majonezu.

– Potrzebnie, bo tak lubię! Halo! To moje śniadanie!

– No, a potem wydziwiasz, że jesteś gruba.

– Od czasu, jak cię urodziłam, nie dziwię się już niczemu.

Młoda przysiada na sąsiednim leżaku i wyciąga przed siebie z roku na rok coraz pulchniejsze blade nogi. Resztki czarnego żelu usiłują się utrzymać na płytkach paznokci, wgryzione jak diabeł tasmański w gada, walcząc zawzięcie o swoje prawa z coraz bardziej zuchwałym odrostem. Wygląda to szczególnie koszmarnie w zestawieniu z naszywanymi koralikami, kolorowymi sandałami.

Żelowy lakier przypomina zasiedziały pod paznokciami brud, co sprawia, że jej nogi są dalekie od fetyszyzowanych zadbanych damskich stópek z czerwonym lakierem. Wszelkie rozmowy na temat pedikiuru i manikiuru kończą się kłótnią i jeszcze bardziej podzielonym światem, który z takim trudem zaledwie od czasu do czasu udaje się poskładać, więc asekuracyjnie postanawiam przemilczeć temat.

Siedzimy przez chwilę wpatrzone w trzciniowo-leśny horyzont, i po raz pierwszy od dłuższego czasu milczenie zdaje się sprawiać nam obu przyjemność, a przynajmniej nie ciąży.

– Mamo, myślisz, że Aśce mogło się coś stać?

– Nie, no coś ty? – Sama niestety w to nie wierzę. – Pewnie zaszalała z tym swoim chłopakiem.

– No właśnie chyba nie.

– A co? Rozstali się?

– Niby nie, ale on ostro po niej jeździ, więc nie sędzę, żeby mieli spędzać romantyczny wieczór.

– A może lubią takie klimaty? – Głośno wzdycham z wdzięcznością, że sprawa nie dotyczy bezpośrednio mojej córki. – Wiesz, mroczny związek, dominacja i posłuszeństwo, po dwóch stronach barykady.

– W sumie z tego całego Daniela to niezły kozak.

– A jednak coś jej się w nim podoba.

– Chyba fura.

– No widzisz?

– Nie wiem, co może ją w takim prostaku pociągać. I wiesz, że on nadal mieszka w bloku z matką?

– To źle? No, w sumie raczej nie za dobrze, prawda.

– Ha, a jednak! I w dodatku z babcią.

– Patrz, a wydaje się taki chojrak.

– Pozory mylą. A wiesz, zabrał nas w takie dziwne miejsce, że...

Słowa *zabrał* i *dziwne* paradoksalnie sprawiają, że zupełnie się wyłączam. Spanikowana wyobrażam sobie, że to „dziwne miejsce” to zapewne jakaś przemysłowa hala z wielkim, wypełnionym kisiem malinowym basenem, w którym odbywają się zawody na najbardziej wypięty i okrągły tyłek.

Stężała twarz najwyraźniej zdradza, że się zawiesiłam, bo nagle docierają do mnie urywki monologu, w którym główną rolę odgrywają pokrzywy i jakiś podejrzany garaż.

– A ty mnie w ogóle słuchasz?

– Ależ oczywiście, słucham.

– To powtórz ostatnie zdanie.

– Mówiłaś coś o garażu i chwastach.

– Wcale nie! O samochodzie w garażu.

– No właśnie.

– Właśnie to ty mnie nie słuchasz!

Wściekła Monika upiera się przy swoim i wiem, że zaraz wstanie obrażona i nie odezwie się słowem przez najbliższe godziny, więc pospiesznie przyznaję się do błędu.

– Przepraszam, zamyśliłam się. To przerażające, co opowiadasz. – Kurde, tylko o czym ona klepie od pięciu minut?

– Widzisz? To podejrzane.

– Ale co?

– No ten samochód w garażu. To jakaś dziupla.

– Więc tam nie chodź.

Gdyby to było takie proste...

– Przecież nie mam zamiaru. Tylko jeśli Aśka się w coś wplątała?

– No, ale niby w co? Przecież nie handluje kołpakami.

– Jezu, mam, nie wiem, ale to jakieś nienormalne.

Pierwsze pojedyncze duże krople deszczu nieśmiało, w zwolnionym tempie spadają na taflę wody, deski tarasu i nasze półnagie ciała. Mimo że jesteśmy coraz bardziej mokre, twardo siedzimy na leżakach z twarzami zwróconymi w stronę łkających chmur. Deszcz przyjemnie chłodzi podrażnioną słońcem skórę.

Pada coraz gwałtowniej i bardziej natarczywie, a wiatr przynosi chłód, za którym tak tęskniłyśmy, a który teraz przenika nasze ciała do rdzenia kręgowego. Talerzyk po kanapkach staje się małym stawem z bezwładnie unoszącym się na powierzchni trupem muchy, a resztki majonezu rozplývają się w białawe, tłuste bajora.

Mamy mokre włosy i poskręcane niepokojem myśli. Ja się zastanawiam, jak Laura radzi sobie z kolejną stratą, Monika martwi się o Aśkę.

– A gdybym to była ja?

- To znaczy co?
- Gdybym tak zniknęła?
- Nawet tak nie mów.
- Ale gdyby? – Upiera się, świdrując mnie wzrokiem na wylot, i czeka na jedyną słuszną odpowiedź.
- Monika! Umarłabym ze strachu i poruszyła niebo i ziemię, żeby cię odnaleźć.
- Sama widzisz. Aśki też trzeba szukać.
- Myślę, że jej rodzina już to robi.
- Pewnie tak, ale wiesz co? Jedźmy do wsi zobaczyć.
- OK.

Wkładamy suche sukienki, spinamy mokre włosy w ponure imitacje końskich ogonów. Nie nakładamy makijażu, bo i tak zmyje go coraz bardziej agresywny deszcz, i pakujemy się do równie mokrej micry. Monika nie zamknęła do końca okna i teraz podróżuje na podmokłym siedzeniu.

Wieś jest jeszcze bardziej wyludniona niż zazwyczaj, a mijany po drodze kolorowy blok jeszcze bardziej żaloszny. Mam wrażenie, jakby życie uciekło z tego ogarniętego letargiem organizmu i mimo chwilowej reanimacji w postaci letników i tak nie miało szansy wstąpić w mieszkańców.

Kościół zamknięty. Garażowy sklepik spożywczy ze wścibską ekspedientką w pakiecie oraz nie najpierwszej świeżości artykułami z daleka świeci pustką.

Już mamy się skierować do Wsiowa i blaszaka, gdy z pobliskiej zagrody wybiega sołtysowa i macha na nas jak oszalała. Hamuję i zatrzymuję samochód z głośnym kasznięciem i jeszcze donośniejszym przytarciem opony o krawężnik tuż obok jej stóp i wyglądam na bardziej przerażoną od niej. Niewiele brakowało, a bym ją rozjechała! Najwyraźniej na kobiecie nie robi to wrażenia, bo uszczęśliwiona, z jakimś nienaturalnym napięciem widocznym w całej postaci prawie rzuca się na maskę, wołając:

– Boże, jak dobrze, że was zobaczyłam! Właściwie już miałam jechać nad jezioro.

– Co się stało? – Udziela mi się jej panika, miksuje z obawami Moniki i faszeruje ciało strachem.

– Joasia! Nadal nigdzie jej nie ma! Miałam nadzieję, że jest z wami.

– Nie, my też jej nie widziałyśmy.

– Monika, dziecko, może wiesz, czy się z kimś umawiała? Myślałam, że jest z Danielem albo z tobą.

– No, nie, on podobno wyjechał z babcią do jej siostry czy gdzieś.

– To może ją zabrał?

– Nie, na pewno nie. Dzwoniła do niego.

– A Aśka nie odbiera telefonu?

- No właśnie nie!
- Ale przecież ma w telefonie lokalizator.
- Nic nie działa. Zniknęła ona, zniknął telefon. Nie mówiła ci, co planuje?
- Nie. Raczej nie.
- A nie chciała gdzieś pojechać? Z nikim się nie umawiała?
- Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Ale wie pani, znamy się od niedawna. Może jakaś jej przyjaciółka coś więcej by wiedziała?
- Przecież ona nie ma przyjaciółek. Ma chłopaków i ich znajomych.
- A Gruby? Pytaliście Grubego?
- A kto to jest?
- Taki koleś, co handluje samochodami albo częściami. Zresztą nie wiem.
- Wiesz, gdzie on mieszka?
- Wydaje mi się, że bym trafiła.
- A pojechałabyś ze mną?
- Nooo...

Monika się namyśla, bo tak nakazują jej przyzwoitość i troska o znajomą, ale najwyraźniej nie ma na to najmniejszej ochoty. Zbiera się w sobie i w końcu bez cienia entuzjazmu oświadcza, że dobrze.

Wszystko fajnie, tylko że sołtysowa i Monika nie mają prawa jazdy ani samochodu, więc z automatu stają się ich szoferem i już po chwili gnam, a przynajmniej usiłuję się nie rozbić na krętej szosie do Wsiowa.

- Zawiadomiliście policję?
- Tak, ale zaczną jej szukać dopiero po dwudziestu czterech godzinach.
- A sami szukaliście?
- Jasne. Maciek od rana zmobilizował sąsiadów, jeżdżą po okolicy, ale bez rezultatów. Jakby się zapadła pod ziemię, zniknęła.
- To może też byśmy się włączyły...
- Będę wdzięczna, ale nie musicie.
- To samo byście zrobili, gdyby chodziło o Monikę.

Oczy mojego dziecka gwałtownie robią się groteskowo wielkie, a blada twarz jeszcze bielsza.

- Przecież to mogło spotkać każdego – mówię uspokajająco. – Ale póki co, nie martw się tak. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Pewnie poimprezowali i teraz odsypiają.

– Chciałabym.

Cholera, ja też. Ale im dłużej to trwa, tym bardziej jestem niespokojna i pełna obaw. Wsiowo, w skali moich szoferskich umiejętności, jest daleko, a co dopiero miasteczko, które wydaje się oddalone o lata świetlne. Wreszcie witają nas oklejone niezliczoną liczbą bannerów reklamowych rogatki miasta i ulewa gęsta jak nagotowany na kościach rosół. Hektolitry wody usiłują zatopić miścinę, a nasz

samochodzik zdaje się dryfować wśród kolein. Przyczepność mamy zerową, za to coraz gwałtowniej nabieramy wody przez nadal niedającą się domknąć boczną szybę. Łomot deszczu uderza w bębniaki, tak że musimy do siebie krzyczeć.

Błądzimy wśród zalanych uliczek i mimo wysiłków Moniki nie udaje nam się dotrzeć do ukrytego w pokrzywach garażu. Cofamy się do punktu wyjścia, czyli białej tablicy sygnalizującej wjazd do miasteczka, i ponownie zagłębiamy w labirynt wąskich, pustych uliczek.

Prawo, lewo, dwa razy prawo, rondo, na którym byliśmy ze dwa razy, i wreszcie trafiamy na zupełnie odludzie, które nie zapowiada niczego dobrego, a po chwili okazuje się prostą drogą do samotnej posesji, gdzie zza muru kipią różnokolorowe części samochodowe.

Brama sprawia wrażenie zamkniętej na głucho, a dom wydaje się opuszczony. Najpierw usiłujemy ustalić, która z nas ma wyjść w strugi deszczu, a gdy wreszcie zostaję wypchnięta pod furtkę, okazuje się, że nikt nie reaguje na donośny dzwonek. Dziewczyny również wysiadają i już po chwili wszystkie trzy walimy w blaszaną furtkę, usiłujemy zajrzeć przez ogrodzenie, a Monia głośno wrzeszczy idiotyczne:

– Halo! Jest tu kto?

Oczywiście odpowiada nam tylko echo i szum deszczu.

– Cholera, nikogo nie ma.

Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić, ale ostatecznie uznaję to nie za dopust boży, lecz raczej szczęście. Wolę nie stawać oko w oko z właścicielem tego przybytku i jego pitbulem, bo zapewne go posiada.

– Trudno, musimy wejść i sprawdzić. – Sołtysowa jest zdecydowana jak pijak na denaturat i pociąga nas w kierunku bocznego ogrodzenia.

– Chyba żartujesz!

– Ja muszę, wy możecie zostać.

– Kompletnie ci odbiło. Po pierwsze, jak chcesz tam wejść? Nie przypominasz gekona ani tym bardziej Spidermana. A po drugie, co, jeśli mają alarm albo psa?

– Naoglądałaś się filmów i panikujesz. – Patrzy na mnie zdesperowana – Masz lepszy pomysł?

Oczywiście nie mam i już po chwili patrzę, jak razem z Moniką gramolą się po mokrym, śliskim murze. Sama stoję na czatach, choć trudno tak nazwać dygotanie z zimna i strachu pod jakimś rachitycznym drzewem. Secce bije mi tak, że mam wrażenie, że jego coraz szybszy i głośniejszy łomot zagłusza ulewę.

Dziewczyny nadal usiłują sforsować mur, podsadzając się nawzajem i wdrapując na porzrzucone dookoła rupiecie i deski. Wreszcie z bólem serca podjeżdżam micrą pod ogrodzenie, co przy moich umiejętnościach jest jednoznaczne z bezpośrednim kontaktem zderzaka z tynkiem, i z rozpaczą

pozwalam, żeby wspięły się po aucie i zajrzały na drugą stronę.

Oczywiście nic tam nie słyhać i niewiele widać, więc decydują się na osobistą penetrację świata za murem i znikają mi z oczu.

Minuty ich nieobecności wloką się jak ślimak po liściu sałaty i jedna nie chce popychać kolejnej; ustawione w karnym szeregu przekazują sobie pałeczkę mojego niepokoju. Wreszcie po niewypowiedzianie długim czasie pojawia się na murze Monika, a chwilę po niej Marysia.

– I co?

– Obeszliśmy wszystko, wołałyśmy i sprawdziłyśmy, co się dało. I nic.

– Chyba jej tu nie ma.

– Mesia w garażu też.

– Jakiego mesia?

– Takiej sportowej bryki, którą nam pokazywali.

Obie z Marią robimy się sine, jednocześnie wypowiadając tę samą kwestię:

– Jezu, może to mafia samochodowa.

Sołtysowa jest przerażona jak kogut w niedzielne przedpołudnie, mimo to nie roni ani jednej łzy, opanowuje panikę i skupiona obmyśla kolejny plan. Wygląda jak zawodowy tropiciel, a nam udziela się jej determinacja.

Boże, przebacz mi, że tak sporadycznie w Ciebie wierzę, i dziękuję, że to nie mojej córki szukamy.

Kurwa mać!

Oślupiały Potocki wpatrywał się w gołę, zalane deszczem ciało młodej kobiety. Wnikliwie otaksował jej figurę, zatrzymując się dłużej na twarzy, piersiach i czymś, co powinno być wzgórkiem łonowym, a było wygolonym i fantazyjnie ufarbowanym włochatym czymś. Przyglądał się z daleka mokrej, przywiązanej, a właściwie przyklejonej szarą taśmą do drzewa dziewczynie, w której nie od razu rozpoznał córkę sołtysa.

– Kurwa!

Splunął solidnie i już miał ruszyć w swoją stronę, obiecując sobie solennie, że drugi raz nie będzie takim debilem, żeby mieszać się w nie swoje sprawy, zwłaszcza sprawy głupich bab, gdy ciało drgnęło. Głowa bezskutecznie usiłowała się unieść, ale opadała bezwładnie na piersi.

– Ja pierdołę...

Powiedział to niestety zbyt głośno, bo Joanna, instynktownie wyczuwając swoją być może ostatnią szansę, gwałtownie się szarpnęła, uniosła głowę i wystraszona spojrzała mu prosto w twarz.

O sekundę za późno odwrócił oczy i ich spojrzenia się spotkały.

Dziewczyna wzrokiem błagała o pomoc, a w zasadzie może właśnie kapitulowała i w niemej ciszy czekała na koniec wszystkiego.

Przegrała. Przegrała z tymi, którzy jej to zrobili, i przegrała z samą sobą. Przegrała ze swoją kobiecością i siłą, której dotychczas była tak pewna i której ufała. Została stłamszona, upokorzona, odarta z pewności siebie i resztek człowieczeństwa. Zaszczute zwierzątko zdane na łaskę innych.

Co z tego, że zniknęły mrówki, co z tego, że jakimś cudem przetrwała noc? Nie miała już nic. Umarła za życia. A mimo to tak bardzo łaknęła iskierki, która pozwoliłaby jej przetrwać.

Doskonale zdawała sobie sprawę z walki, jaką toczył ze sobą człowiek, na którym od zawsze wieszała psy. Z którego kpiła i którego nie szanowała. Rozumiała, że teraz ma prawo pójść dalej, udać, że jej nie spotkał, że jej nie widział.

Jednocześnie miała świadomość, że jest jej ostatnią szansą. Chciało jej się pić. Po nocy spędzonej w lesie było jej strasznie zimno, a teraz, w ulewie, już nic nie czuła. Zdrętwiałe ciało sprawiało wrażenie, jakby ktoś wypreparował je z nerwów. Przestała mieć ręce i nogi, kolejny raz przestała istnieć.

Gdyby nie to, że gęstymi zwojami taśmy scalili ją z tym chropowatym pnieniem, od dawna by leżała i umierała. Nie potrafiła jednak umrzeć na stojąco.

Potocki odruchowo zdjął kaszkiet, podrapał się po głowie i wyciągnął

z kieszeni spodni wygniecioną paczkę papierosów. Dopiero gdy w jego ręce wylądowała zapalniczka ozdobiona zdjęciem gołej brunetki z nienaturalnie wielkimi piersiami, uzmysłowił sobie, że w takiej ulewie nawet dynamitem nie odpali papierosa.

Chciał dać sobie czas na zastanowienie, a niespodziewanie okazało się, że wcale go nie ma. Decyzja należała do niego i musiał ją podjąć tu i teraz. Pomyślał o tym dziewczysku i wcale nie było mu go żal. Doskonale pamiętał, jak mu docinała, piętnowała za pobyt w więzieniu, kpiała i wywyższała się, zniechęcając innych do kontaktów z nim.

Myślał też o psach i kolejnej wizycie na komisariacie, przesłuchaniu, zeznaniach, podejrzeniach, śledztwie, byciu świadkiem... i odwrócił się na pięcie.

– Proszę. – Usłyszał ciche błaganie.

– Teraz to proszę. A prosz sobie, kurwa, prosz. Tego swojego boga prosz, co tak łazisz się z nim oglądać każdej niedzieli. Możesz mu podziękować.

Z głośnym charknięciem ściągnął flegmę z gardła i splunął na kępę mchu. Z drugiej strony, jej młode ciało go pociągało i czuł, że ma coraz mniej miejsca w spodniach. Miał już odejść, ale nie mógł sobie odmówić jeszcze jednego rzutu oka na jej piersi. Odwrócił się i stał wpatrzony jak dziecko w wór Świętego Mikołaja.

– Proszę, zrobię wszystko, tylko mnie uwolnij.

Nie zdawała sobie sprawy, czym jest owo *wszystko* i jak to *wszystko* nabrzmiewa, ale jęczała, korzyła się przed nim, błagała... i była jego. Mógł z nią zrobić, co tylko by zechciał. Teraz mógł jej odpłacić.

A jednak coś go powstrzymywało. Coś sprawiło, że w jej twarzy zobaczył tę małą, którą kiedyś tak boleśnie skrzywdził.

I wcale nie żałował tego, co zrobił. Nie było mu wstyd. Ale najbardziej na świecie nie chciał wrócić za kraty.

Cicha i osowiała Monika siedziała na tylnej kanapie micry, którą nieudolnie prowadziła matka. W lusterku widziała jej skupione na drodze oczy i strach nie tylko przed tym, co mogło spotkać Joannę, ale też jakiś inny niepokój, którego nie potrafiła określić.

Oczywiście ich poszukiwania skończyły się fiaskiem i nie dość, że nie znalazły Aśki, to nawet nie wpadły na najmniejszy jej ślad gdziekolwiek, ze szczególnym uwzględnieniem podejrzanej posesji.

Wysadziły sołtysową pod jej domem i zahaczając o blaszak, wróciły do siebie. Matka wydawała się ponad miarę ucieszona widokiem tej szarej, powolnej ekspedientki i zagadywała ją z takim zaangażowaniem, że Monika zaczęła ją nawet podejrzewać o narzucanie się biednej dziewczynie, bo spędziła w sklepie więcej czasu, niż wymagało kupienie pięciu bułek i marmolady z moreli.

– Co tak z nią gadałaś?

– Pytałam, czy wie coś nowego. Wiesz, jak to jest. Ludzie najchętniej plotkują podczas zakupów i taka sklepowa wie wszystko najlepiej.

– I dowiedziałaś się czegoś?

– Nie. Wydaje się, że nie lubi Joanny i niezbyt przejmuje się jej losem.

– No raczej.

– Raczej co?

– Aśka zawsze uważała ją za tępą dziwaczkę, która stroni od ludzi.

Na te słowa Ola sztywnieje, co nie uchodzi uwagi Moniki, która nie może zrozumieć, dlaczego matka nagle stała się taka drażliwa. Zupełnie jakby te wsioki były dla niej bliskimi osobami. Oczywiście matka uwielbia epatować dobrocią, graniczącą z litością i czasem upokarzającą dla innych, ale co ją tak nagle wzięło na tę całą Laurę?

Tak jak zauważyła Aśka, laska nie dość, że jest zupełnie zaniedbana, to w dodatku wydaje się również towarzyską abnegatką. Burkliwa, niemiła i zamknięta w sobie, w ten nieprzyjemny sposób, który innym sprawia przykrość, jednocześnie stawiając ich w szeregu mniej inteligentnych czy zorientowanych. Rzadki dar.

Deszcz nareszcie przestał padać, pozostawiając po sobie pamiątki w postaci wielkich kałuż i rozlewisk. Spękana po upałach ziemia, najwyraźniej zszokowana taką ilością wody, potrzebuje czasu, by to wszystko wchłonąć.

Polna droga prowadząca przez las do ich domku zmieniła się w grząskie koryto rzeki błota, które ich rachityczny samochód z trudem pokonuje. W dodatku intensywny wiatr z furią uderzał w topole i wierzby, zaścielając podłoże płataniną gałęzi, liści i witek.

Porośnięta trawą polana, łagodnie przechodząca w plażę, dotychczas stanowiła idealne miejsce do parkowania, teraz zaś stała się grząskim trawnikiem, który nasiąknięty jak gąbka zasysa stopy.

– Cholera, jeszcze trochę i się stąd nie ruszymy.

Matka nareszcie dostrzega farsę wakacji w lesie i Monika ma nadzieję, że pogoda zmotywuje ją w końcu do powrotu. Zresztą naprawdę zaczęła się bać. Nie obawiać, tylko bać. Stała się nerwowa, rozkojarzona i z godziny na godzinę jej umysł coraz bardziej przeistacza się w mózg zaszczutego zwierzaka, który wietrzy śmierć na każdym kroku.

– Weź siatki, a ja wyjmę kurtki z bagażnika.

Matka nieporadnie zaczęła wygrzebywać odzież z samochodu, a ona stała milcząca, pogrążona we własnych myślach. Dzień kończył się leniwie, ale nie w taki przyjemny wakacyjny sposób. Miał w sobie coś mrocznego i czuła, że zmienia się nie tylko długoterminowa pogoda, ale również atmosfera ostatnich dni już się nie powtórzy.

Nim przekroczyły próg domu, obojętna na poirytowanie matki Monika sprawdziła skonstruowany przez siebie system pułapek z nitek i liści i z westchnieniem ulgi otworzyła drzwi.

Wystarczyło małe oberwanie chmury, by mury nagrzane promieniami słońca przez ostatnie tygodnie stały się na powrót zimne i śmierdzące stęchlizną. Pościel nie wydawała się już tak przytulna, a taras i pomost urokliwe.

– Mamo, może jednak wrócimy do domu.

– Sama nie wiem.

– Ale czego nie wiesz? Niby co mamy robić w tej zatęchłej budzie?

– Może jutro pogoda się zmieni?

– Nie sądzę. Zresztą mam dosyć tych całych wakacji. Czuję się jak w horrorze.

– Nie przesadzaj. Mówię ci, że Aśka się znajdzie, a teraz z pewnością dobrze się bawi.

– I nie może nawet odebrać telefonu?

– Ludzie mają luz, sama to stale powtarzasz. Idziesz się kąpać czy mogę iść pierwsza?

– Spoko, idź.

Matka nic nie rozumie. To nie tak, że Joanna jest luzaczką, to megapozierka, dla której najważniejszy jest lans, i raczej zwraca na siebie uwagę facetem z fajną bryką, a nie znikaniem.

Woda się leje i zagłusza szum usiłującego się uspokoić jeziora. Monika z wyciągniętymi nogami siedzi oparta o kuchenną szafkę i przegląda internet. Jak zwykle poszukuje kolejnych modowych inspiracji i plotek o znajomych.

– Monika! Tyle razy cię prosiłam, żebyś się nie wycierała w mój ręcznik.

Tym bardziej do twarzy!

– Przecież nie wycierałam.

– Jak nie, jak tak.

Matka owinięta brązowym ręcznikiem kąpielowym staje w drzwiach, oskarżycielsko wyciągając rękę z czymś, co do niedawna było niewielkim białym ręczniczkiem, a teraz przypomina szmatę. Rozpościera ją w rękach i prezentuje powstały z resztek makijażu całun turyński z wyraźnie widocznymi plamami oczu.

– To nie ty?

Monika patrzy na nią oniemiała.

– Mamo, przecież ja mam niebieski tusz do rzęs, a nie czarny! Zwariowałaś? Pewnie sama to zrobiłaś.

Ola spogląda na córkę i czuje, jak krew odpływa jej z twarzy i omijając serce oraz tętnice, spada z łoskotem prosto do stóp.

– Nie malowałam się ostatnio.

– Daj spokój, pewnie zapomniałaś, że się umalowałam.

– Schowałam kosmetyki do walizki.

Obie patrzą na siebie sparaliżowane przerażeniem. Serca biją gwałtownie, a one nie wiedzą, co powinny zrobić, bo najwyraźniej...

– Ktoś tu był. – Pierwsza przytomnieje Ola.

– A może jeszcze jest?

– Kurwa mać. Siedź tutaj i nie ruszaj się!

– Co chcesz zrobić?

– Siedź, powiedziałam! Sprawdzę, czy nikogo nie ma w pokoju.

Owinięta ręcznikiem, z grubą warstwą kremu na twarzy, Ola bardziej przypomina źle zakonserwowaną mumię niż detektywa. Co prawda niewielki nóż do krojenia chleba łąduje w jej ręce, ale wydaje się oczywiste, że myśl o wykorzystaniu go do samoobrony jest raczej groteskowa.

Monika nie jest w stanie usiedzieć i przyklejona do pleców matki, rozglądając się czujnie, skrada się tuż za nią.

Pokój okazuje się pusty, podobnie jak przestrzeń pod łóżkiem, szafa, a nawet wewnątrz walizki. Nikogo nie ma również na tarasie. Wyjście na zewnątrz i penetracja okolicznych krzaków oczywiście nie wchodzi w rachubę.

– Nikogo nie ma.

– Może coś nam się pomyliło z tym ręcznikiem?

– Niby jak?

– Kurde, nie wiem.

– Ale przecież sprawdzałaś drzwi przed wejściem.

– No i wszystko było tak, jak zostawiłam. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– A okna? Chyba też były zamknięte.

– Tak, na pewno. Przecież tak lało, że kazałaś mi to sprawdzić, zanim wyszłyśmy.

– No właśnie.

– Mamo, co teraz zrobimy?

– Nie mam pojęcia.

– Wracamy?

– Nie wiem, może.

Po raz pierwszy Ola nie czuje się pewna własnych decyzji. Może faktycznie powinna dać sobie spokój z doszukiwaniem się prawdy o Laurze. Może to nie ma sensu? Z drugiej strony... jest tak blisko.

– Zadzwonimy na policję?

– I co im powiemy? Że ktoś nam pobrudził ręcznik?

– Nie, że ktoś włamał się do naszego domu.

– Zapytają cię, co zginęło, i co im powiesz? Tylko się ośmieszymy.

– To nic. Najwyraźniej coś tu nie styka. Najpierw ta Teresa, potem Aśka, a teraz to...

O, tu.

Policjanci z niedowierzaniem spoglądają to na Potockiego, to na gołą, przemarzniętą i przywiązaną do drzewa dziewczynę.

– Dlaczego pan jej nie odwiązał?

Chciał im powiedzieć, że ma ją w dupie i nic go nie obchodzi ta plastikowa lalka. I że w końcu dostała to, o co się prosiła. Nareszcie. Ale oczywiście nie mógł. Musiał grać zatroskanego obywatela.

– A com ją miał odwiązywać? Potem byście powiedzieli, że ślady zatarł, to teraz se sami ją odcinajcie.

– Pana obowiązkiem było udzielenie pomocy.

– No to że udzielił.

– Jak? Co pan zrobił?

– Zadzwoiłem po was.

Nie wspomniał, jaką stoczył wewnętrzną walkę i że decyzja zajęła mu długie minuty. Skupił się na dobru śledztwa i niemaczaniu paluchów w tej sprawie. Jego obojętność i podszyta cwaniactwem głupota były bezdyskusyjne i na takie dictum nawet doświadczeni policjanci z trudem znajdowali odpowiedź.

– Zna pan tę kobietę?

– A jak. To córka sołtysa.

– Kiedy pan ją znalazł?

– A dopiero co.

– I co pan zrobił?

– No jak co? Zatelefonowałem po was. A teraz nic tu po mnie.

Potocki podrapał się po jądrach, podciągnął spodnie, przy okazji urywając szlufkę, która nigdy nie miała sposobności spotkać się z paskiem, i zadowolony z siebie chciał odwrócić się na pięcie i zniknąć.

– Nie tak prędko. Zostanie pan do końca czynności.

Nie miał pojęcia, o jakich czynnościach mówi policjant, ale już po chwili nabrał przekonania, że będą one nie tylko żmudne, lecz i długotrwałe.

Wystraszona Joanna została odcięta od pnia i okryta srebrną folią termiczną. Dygoczącą wepchnięto do karetki, która na sygnale zabrała ją do szpitala.

Kolejny raz w lesie pojawiły się taśmy i kupa ludzi, którzy coś mierzyli, zaznaczali i fotografowali, początkowo nie zwracając uwagi na Zdzisława, ale już po chwili wzięli go w krzyżowy ogień tradycyjnych pytań.

– Co pan tu robił?

– A co? Zwyczajnie. Spacerowałem.

– W deszczu?

- A nie wolno?
- Wolno, tylko pytanie po co.
- Po nic, jużem mówił.
- Zna pan poszkodowaną?
- Psie nasienie, znać nie znam, ale wiem, co za jedna.
- Czyli jest pan z nią skonfliktowany.
- Jaki skonfliktowany! Co mi pan tu sumituje?
- Nie wyraził się pan o niej przychylnie.
- Bo to wstrętna dziewczucha.
- To znaczy?
- Czepia się każdego.
- Do pana też miała uwagi?
- A jak.
- Jakiej natury?
- Normalnej. Albo właśnie że nie.
- Proszę jaśniej.
- No... – Nagle zakręciło go w nosie, więc nabrał powietrza i z odgłosem korka opuszczającego szyjkę butelki szampana kichnął, a resztki głośno wysmarkał, przyciskając kolejno kciukiem obie dziurki.
- Proszę kontynuować.
- A tak, ten tego... To o czym my mówili?
- Wspomniał pan, że kobieta miała do pana uwagi. Jakie?
- No jak jakie? Żem w pierdlu siedział. A co to, człowiek nie może się zmienić?
- Może, oczywiście, że tak. I co jeszcze?
- Niby co?
- Czy jeszcze coś państwa poróżniło?
- E, niby nie. Ale co mnie widziała, to od razu klepała sąsiadom, że ze mnie dziad jest. Kurwa jedna.
- Proszę się nie wyrażać.
- Co mam się nie wyrażać, jak to zwykła kurwa. Z facetami się prowadzi po wsi. Co rusz z innym, to jak nie kurwa?
- Może pan to inaczej określić.
- A jak tam pan władza chce. Dziwka i tyle.
- Czyli miałby pan motyw, żeby ją porwać i uwięzić.
- Potocki aż się zapowietrzył. Gnoj jeden będzie mu tu kit wciskał. Znowu żałował, że po nich zadzwonił.
- No co też pan władza opowiada?!
- Wyciągam wnioski.
- Złe. Złe myślisz, synek.

- Nie do pana należy ocena.
- Taaa.
- Więc się mylę?
- Bo ja do tej dziw... w sensie do niej nic nie mam.
- Sam pan powiedział, że panu dokuczała.
- A bo to ona jedna? Pół wsi psy na mnie wiesz, to by i drzew zabrakło, jakbym miał ich wszystkich po lesie upychać i wiązać.
- Wrócimy do tego. Czy coś panu wiadomo o innych wrogach pani Joanny?
- Co za chuj! Wiedział, że tak będzie. Jakich innych wrogach? Przecież wyraźnie powiedział, że nic do tej idiotki nie ma. Oczywiście mógł to ująć bardziej parlamentarnie, ale wyszło, jak wyszło.
- Już nigdy więcej nie wtrąci się w nie swoje sprawy.

Policja przyjechała po dwóch godzinach. Co mnie obchodzi, że byli na jakichś innych czynnościach, gdy trzęsąc się, siedzieliśmy w domu. Zrobiło się szaro i ponuro, tak że nawet dojście do zaparkowanego nieopodal samochodu byłoby aktem desperacji i brawury.

I co mieli do powiedzenia: że tak, rozumieją, ale może same zrobiliśmy te plamy i jak ktoś mógł wejść do domu, skoro po naszym powrocie był nadal zamknięty. Sprawiali wrażenie, jakby nigdy nie słyszeli o dorabianych kluczach i wytrychach, no ale czego można się spodziewać po wiejskich przedstawicielach prawa.

Zapewnili, że zajmą się sprawą, że nie mamy się czego bać i że wszystko mają pod kontrolą. Tere-fere, akurat.

Zyskałyśmy tylko tyle, że po ich wyjściu zaczęłyśmy się jeszcze bardziej bać. Nie ma mowy o powrocie do domu, bo nawet za dnia pokonanie prawie trzystu kilometrów jest dla mnie wyczynem, a co dopiero nocą. I te ich pytania. Czy mamy wrogów, czy ktoś nam groził, czy widziałyśmy coś podejrzanego. Nawet usiłowali wplątać w to wszystko Bogu ducha winnego Pawła, który siedzi gdzieś na gorącej plaży we Włoszech. Doprowadzili do tego, że sama zaczęłam się zastanawiać, czy to nie on próbuje mi udowodnić, że nie potrafię się zająć własnym dzieckiem, ale po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że to szczyt absurdu.

Rozumiem, że pracą policji rządzą statystyki, ale tak bardzo bym chciała, żeby w tym przypadku skupili się jednak na tradycyjnej lupie i logicznym procesie wyciągania wniosków, opartym na analizie podsuwanych pod nos danych.

Siedzimy w dresach na łózkach i zamiast oglądać telewizję (o skupieniu nad książką raczej nie ma mowy), nasłuchujemy odgłosów za oknem. Oczywiście jezioro i las tylko pozornie wydają się ciche, jednak gdy się wsłuchać, eksplodują kanonadą dźwięków, które przyprawiają nas o dreszcze.

- Napijesz się herbaty?
- Możesz zrobić.
- Wiem, że mogę, ale mam nadzieję, że poprosisz.
- No jasne. Daj spokój.
- Usiłuję rozładować napięcie.
- Jakoś kiepsko ci idzie.
- I vice versa.
- Cholera, ale się porobiło.
- Przynajmniej będziesz miała co opowiadać w szkole.
- Dzięki.

Wlokę się boszo do kuchni, gdzie przyczajony pod wiszącą szafką czeka na mnie biały czajnik elektryczny. Jest tak stary, że włączony gasi światła w okolicy i potrzebuje tyle czasu na zagotowanie litra wody, co średniej jakości junkers na podgrzanie dwustu.

Z wrażenia odechciało nam się jeść i dlatego postanawiam przygotować namiastkę herbacianego deseru, w postaci jabłka, cytryny, resztki imbiru i kilku goździków, które lądują w szklance z naparem. Przydałaby się jeszcze gałązka rozmarynu, ale żaden ze sklepów w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie ma go w swojej ofercie.

Dokładam tyle owoców, że woda ledwie się mieści, i wylewam trochę na podłogę, gdy usiłuję donieść szklanki do sypialni. Na szczęście zdążyłam postawić naczynia na pseudostoliczku nocnym, skleconym z dwóch krzywych, przymocowanych do ściany skrzynek, gdy głośne pukanie przerywa ciszę.

– Aaaa!!!

Wrzeszczy Monika, a ja dołączam ze swoim:

– Łaa!!!

Drzemy się jak wpychane do piekielnego kotła dusze, spoglądamy sobie w oczy zdziwione, że na jednym wdechu potrafimy wydobyć z siebie tak długi i rozpaczliwy dźwięk.

Za drzwiami zapada cisza. Najwyraźniej ktoś się przyczaił i teraz czeka, co zrobimy. Szukam telefonu, który wreszcie wygrzebuję z fal kołdry, ale ręka tak mi drży, że najpierw nie mogę go odblokować, a potem wybrać numeru zaczynającego się na dziewięć. Jest mi obojętne, czy dodzwonię się na policję, straż czy pogotowie, byle tylko kogokolwiek powiadomić.

Znowu ktoś puka, tym razem w okienną szybę, a my powtarzamy numer z krzykiem.

– Hej, to ja.

Jakie ja?! Nie znam żadnego ja! Na dworze egipskie ciemności, więc po co ktoś miałby tu przyłązić.

– Odejdź! Kurwa, spierdalaj stąd! – Monika drze się jak opętana, a ja nadal walczę z tym cholernym telefonem.

– Dziewczyny, to ja, Maria! Matka Joanny.

Zatrzymujemy się w pół gestu i wreszcie podejmuję decyzję, by odsunąć cholerną pomarańczową zasłonkę, i staję twarzą w twarz z równie przestraszoną sołtysową.

– Otworzę ci drzwi.

– Dobrze by było.

Po chwili Maria wchodzi do korytarzyka. Wygląda, jakby nie spała od tygodnia.

– Jezu, ale mnie wystraszyłyście.

- To raczej ty nas.
- Ale drzecie się zawodowo.
- Daj spokój, po tym, co tu dziś zaliczyliśmy, trudno się dziwić.

Nieproszona opada na wciśnięte pod stół krzesło i skubiąc ceratę, umyka wzrokiem. Wreszcie oświadcza:

– Joasia się znalazła. Chciałam, żebyście się dowiedziały ode mnie. Przywiózł mnie mąż. Rozmawia przez telefon w samochodzie, ale w sumie nie chciałam, żeby wchodził. Zresztą sama nie wiem.

Choć wygląda jak trup i odpowiedź wydaje się oczywista, wyduszam z siebie idiotyczne pytanie:

- Żyje?
- Tak.

Boże, dzięki Ci. Nastawiałam się na inną odpowiedź i teraz w nieprzyjemny sposób się dziwię, zupełnie nie kontrolując emocji.

- Żyje?
- Tak.

– O Jezus, jak dobrze. Coś jej się stało? Gdzie była?

– Potocki znalazł ją w lesie. Gołą, przywiązaną do drzewa. – Jej ramiona gwałtownie zaczynają falować, jakby pompowały do oczu łzy, które po chwili kaskadą wypływają, moczając policzki, bluzkę i ceratę. – Porwali ją! Porwali moje dziecko!

- Co ty opowiadasz? Boże! Kto ją porwał?
- Nie wiemy. Jakichś dwóch facetów. Wiemy, że było ich dwóch.
- A gdzie Asia jest teraz?
- W szpitalu na obserwacji.
- Ale nic jej nie zrobili?
- Chyba nie. Ale jest w szoku. Boże, nie wiem, jak ona się po tym pozbiera.

Moja mała dziewczynka.

Błada Monika spogląda oczami wyjętej z wody ryby. Nie mruga, nie odzywa się, tylko ma coraz większy wytrzeszcz.

- Mówiłam.
- Ale co, dziecko, mówiłaś?
- Mówiłam, że na pewno stało się coś złego, ale ty nie chciałaś mnie słuchać.
- Monia, przestań, po prostu sama nie chciałam w to wierzyć.
- I co, teraz też pozwolisz, żeby zatłukli nas w tej budzie?! Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Rozumiesz? Chcę do taty! Zabierz mnie stąd.

Moja córka wpada w tak dziką i gęstą panikę, że jedynym wyjściem staje się propozycja Marii, by na tę noc spakować najpotrzebniejsze rzeczy i przenieść się do nich. Wcale mi się to nie podoba, ale Monika jest tak roztrzęsiona, że czuję się zmuszona skorzystać z zaproszenia.

Zgarniamy najpotrzebniejsze drobiazgi, ściągamy z łóżek pościel i prześcieradła, by nie robić kłopotu gospodarzom, i po chwili, wpatrzone w czerwone światła powoli sunącego przed nami samochodu jedziemy do wsi.

Co za wstyd. Jak mogli jej to zrobić? Miała poczucie, że wszyscy oglądali ją nagą i nabijali się z niedoskonałości jej ciała. Widziała szyderczy wzrok wpatzonego w nią Potockiego, wygłodniałe spojrzenia policjantów i pożądliwe uśmiechy lekarzy. Zwariowała. Nawet teraz, ubrana w dość tandetną piżamę z mnóstwem nadrukowanych serduszek i falbankami, czuła się naga, a współczujące spojrzenia personelu w jej interpretacji miały seksualny podtekst. Miała wrażenie, że cały świat chce ją zgwałcić i napawa się jej strachem.

Szorstka biała szpitalna pościel przywodziła na myśl chropowatość pnia, a wydobywający się z małej łazienki izolatki zapach piniowego odświeżacza powietrza pobudzał do wymiotów.

Mimo że nie jadła od wielu godzin, jej organizm za wszelką cenę usiłował wyrzucić resztki treści żołądka, boleśnie skręcając jelita. Matka przywiozła do szpitala wszystko, czego Asia mogła potrzebować, i przez całe godziny nie odchodziła od jej łóżka, a jednak ona czuła się samotna. Grube skarpety nie ogrzewały stóp, a umysł zaciął się na obrazach wspomnień ostatnich dni.

Gumowe czarne klapki kupione w szpitalnym sklepiku żałośnie wyzierały spod odartej z białej farby ramy łóżka, a wciśnięta między poduszkę a ścianę torebka w charakterystyczny brązowo-brązowy rzucik, tania podróbka markowego modelu, obnażała wnętrze pełne zasmarkanych chusteczek, paragonów i innych śmieci. Joanna ścisnęła ją jak niemowlę misia, zupełnie jakby ten kawałek ekologicznej skóry miał zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa.

Był środek nocy i zimne niebieskie światło naściennej listwy oświetlało jej blade ciało, które teraz przybrało nieładny fioletowawy odcień.

Koktajl środków uspokajających, sączących się cienką przezroczystą rurką prosto do żyły powyżej nadgarstka, sprawił, że odpłynęła w letarg i otępienie.

Dotychczas Joanna była jak zawzięta kałamarnica, która silnym uściskiem macek własnych potrzeb i oczekiwań twardo trzymała matkę, ojca, potencjalnych narzeczonych i sąsiadów.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że po raz pierwszy poczuła smak porażki i samotności. I w dodatku to spotkanie z psycholog, która coś opowiadała o konieczności przepracowania traumy i pomocy, na jaką może liczyć, a przecież ona nie chce niczego przepracowywać, wracać do tego lasu, chłodu, strachu i mrówek, które okazały jej tak wielkie zainteresowanie.

Spała, lecz nie śniła, leżała, a jednak nie odpoczywała; wegetowała w nie swojej pościeli, uczipiona życia, na które nie miała ochoty. Jaskrawe światło poranka, które nagle zalało salę, wytrąciło ją z letargu. Otworzyła oczy i, oślepiąca, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Ścian i zapachu nie była w stanie

przyrównać do niczego jej znanego i oczywistego. Dopiero uderzenia mopa o nogi łóżka i niezadowolona mina salowej, która nie miała współczucia ani dla siebie, ani dla nikogo z otoczenia, sprawiły, że odnalazła się w czasoprzestrzeni. Jednocześnie bolesne uderzenie wspomnień, niczym cios wymierzony w splot słoneczny, spowodował, że skuliła się w sobie i głębiej schowała pod kołdrę, niemal wyrywając wenflon.

Przymknęła powieki i usiłowała na powrót zasnąć, ale natarczywe myśli obskoczyły ją niczym zgraja hien i szarpały niepokojem. Gdy znów otworzyła oczy, przy jej łóżku stała matka z dwoma policjantami. To znaczy policjantem i policjantką.

- Nie, nikt się z nami nie kontaktował.
- Nikt do państwa nie dzwonił z propozycją okupu?
- Nie.
- Może były jakieś głuche telefony?
- Nie.
- A zauważyli państwo kogoś podejrzanego, kto kręcił się wokół domu?
- Nie, nikogo.
- A co pani wie o chłopaku córki?
- Niewiele, Asia się raczej nie zwierza.
- No dobrze, ale wie pani, czym on się zajmuje.
- W zasadzie nie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak niewiele wie o córce. Pomijając towarzystwo i narzeczonych, nie wie również, jakie ma poglądy i plany na przyszłość. Wiedziała za to jedno: nikt nie jest tak zorientowany w plotkach i życiu innych jak jej własne dziecko, a zarazem tak zafiksowany na sobie.

- Jak układała się ich relacja?
- No, chyba dobrze. Nie zauważyłam, żeby Asia się zmieniła.

Zresztą jak mogłaby cokolwiek dostrzec przez falę niechęci i żądań córki, która jedynie wymagała, niewiele dając z siebie, zwłaszcza w sferze ciepłych uczuć.

Joanna usiłowała skupić wzrok i spod przymkniętych powiek obserwowała parę policjantów. Mężczyzna sprawiał wrażenie bardziej przejętego i współczującego niż wysoka blondynka wciśnięta w zbyt obcisły policyjny uniform. Kobieta miała tak zacięte rysy twarzy i taksujące spojrzenie, że Aśka mimowolnie jeszcze bardziej skuliła się pod pościelą. Ten ruch sprawił, że trzy pary oczu oderwały się od siebie i zogniskowały na niej.

- Jak się czujesz, kochanie?

Idiotyczne pytanie, na które mogła udzielić jedynej właściwej odpowiedzi – że do bani, źle, chujowo i okropnie, ale nie miała ani siły, ani ochoty otwierać ust. Matka natomiast swoim zwyczajem zakrzętnęła się wokół niej, poprawiając

pościel i stawiając na stolyczku dwa małe kartoniki z sokiem pomarańczowym.

– Pani Joanno, przykro nam, że przychodzimy w takiej chwili, ale musimy zadać pani kilka pytań.

Patrzyła na nich tępo, zastanawiając się, jakie ma znaczenie to, co powie. Przecież i tak jak zwykle do niczego nie dojdą, niczego nie wytropią, a co za tym idzie – nikogo nie ukarzą. Nie sprawią, że poczuje się bezpiecznie i lepiej. Czekala, co się stanie, choć wcale nie była ciekawa.

– Czy rozpoznała pani sprawców?

Przecież wiedzieli, że prawie cały czas miała worek na głowie, to niby jak miała ich rozpoznać? Policjant jakby czytał w jej myślach, bo po chwili dodał:

– Wiemy, że miała pani zasłonięte oczy, ale może rozpoznała pani kogoś po głosie?

Nie miała ochoty odpowiadać. Nieznacznie pokręciła głową i czekała. Znowu czekała. Najwyraźniej ten gest zirytował policjantkę. Zrobiła dwa ciężkie kroki i zdecydowanym ruchem, z głośnym piskiem metalowych rurek na wykładzinie, przysunęła stojące pod oknem krzesło. Ustawiła je na tyle blisko, by zakłócić poczucie komfortu leżącej na łóżku kobiety, i z gracją wieloryba usiadła. Szeroko rozstawiła kolana, zupełnie jakby w jej spodniach załęgły się wielkie jądra, i sprawiając wrażenie, że się kulom nie kłania, dała do zrozumienia, że nie z nią takie numery i wyciągnie z Joanny każde możliwe wspomnienie i zeznanie.

Materiał na jej grubych udach napiął się do granic możliwości, tworząc nieestetyczne wałki, które pofałdowały ciało. Dodatkowo podkreślała swoje nastawienie głośnym klepaniem się po nogach. Zupełnie nieprzejęta stanem psychicznym ofiary, zabrała się do swojej roboty, używając narzędzi najgorszych z możliwych.

Osiągnęła skutek przeciwny do zamierzonego – Joanna zasklepiała się w sobie jeszcze szczelniej.

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

Aśka patrzyła na nią jak na oprawcę i miała ochotę się rozpłakać.

– No, kochana, niestety, jeśli mamy ci pomóc, musisz współpracować.

Dobre sobie! Kto miał jej pomóc i w czym? Nikt nie posiadał takiej władzy, by cofnąć czas i wymazać okoliczności. Nikt nie potrafił usunąć wspomnień. Zwłaszcza ten pitbul, ten kobieton upchnięty w zbyt mały mundur.

– Tak nie będziemy rozmawiać. – Maria nie wytrzymała i najchętniej rzuciłaby się do gardła tej bezdusznej idiotce.

Blondyna powoli zaczęła się odwracać, elektryzując powietrze jonami złości, że ktoś miał czelność przerwać JEJ procedury, i niemal dał się słyszeć dźwięk odbezpieczanego glocka. I to był ten moment. Stojący dotychczas z boku policjant przejął dowodzenie krótkim służbowym poleceniem brzmiącym jak rozkaz i przeciął zmierzającą do konfrontacji wymianę zdań.

– Magda, przynieś, proszę, z radiowozu czarny notes, leży na siedzeniu.
– A zwracając się do Marii, powiedział: – Ja prowadzę dochodzenie i ja będę zadawał pytania. Przepraszam za koleżankę, ale wczoraj ktoś przejechał jej psa i najwyraźniej przeżywa ciężki czas.

– Ciężki czas? I to niby ją usprawiedliwia? Ciężki czas to przeżywa moja córka, moja rodzina, więc jeśli ta pani sobie nie radzi, to...

– Proszę się uspokoić. Tak jak powiedziałem, to ja będę rozmawiał z pani córką.

– OK, niech pan próbuje.

Próbował. Zadawał pytania otwarte, zamknięte, posunął się do sugestii i samodzielnych hipotetycznych wniosków i dowiedział się tylko tyle, że Joanna nie zna sprawców, że widziała tylko szare trampki i białe buty.

Był to jakiś punkt zaczepienia, choć musiał przyznać, że niewielki, jak haczyk na języku ślimaka.

W domu sołtysów miało być bezpieczniej i spokojniej, a jednak nie było. Co rusz ktoś wchodził i wychodził, pozostawiając za sobą wachlarz domysłów, spekulacji i podejrzeń. Nagle się okazało, że nie tylko Joanna żyła życiem wsi, ale również wieś żyła wartkim, pełnym mielizn i wirów życiem Joanny.

Otępiały sołtys od kilku godzin siedział przy kuchennym stole i zastanawiał się, jak to możliwe, że wcześniej nie dostrzegł niechęci mieszkańców do swojej rodziny. Dowiedział się, że ten cały Daniel to niezły typek, cokolwiek to znaczyło, bo sąsiadka jakoś nie była skłonna rozwinąć wypowiedzi. Że Joanna jeździła do jakiejś wróżki, co oburzało połowę biegającej do kościoła społeczności, no bo nie godzi się w obliczu Pana dawać posłuch hochsztaplerom i zabobonom. A czy wie, że jego żona to stroni od ludzi, i czy zastanawiał się dlaczego.

Miał dosyć. Zamiast odczuć ulgę, że córka się odnalazła, zaczął funkcjonować w przekonaniu, że nie panuje nad niczym, ze szczególnym uwzględnieniem własnego podwórka.

– Maciek, zrobić ci herbaty?

Marysia, mimo że dopiero co wróciła ze szpitala i ledwie umyła ręce, już wpadła w kierat domowych obowiązków, na których liście poczesną pozycję zajmowało nakarmienie męża.

– Zjadłbym coś.

– To może odgrzać ci fasolowej?

– A w sumie możesz. – Po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzął na żonę z czułością, która nie była podszyta obawą o dziecko. – Ale się porobiło... Mam już tego wszystkiego serdecznie dość.

– Asia jest taka przybita. Nie wiem, jak sobie z nią poradzimy.

– No co? Trzeba będzie jej znaleźć psychologa i nie puszczać nigdzie samej.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek będzie chciała gdzieś wyjść.

– Nie przesadzaj. Pewnie, że będzie chciała, tylko potrzebuje czasu.

– No nie wiem. Ja tam...

– Ty jesteś inna, za miękka, zawsze ci to powtarzałem. Ale Aśka jest twarda baba, zobaczysz, wyjdzie z tego.

Maria postawiła na stole dwa talerze i uświadomiła sobie, że mają gości.

– Widziałeś się z Olą i Moniką?

– Były tu rano, zeszły na herbatę, a potem gdzieś pojechały.

– Też niezły numer z tym ręcznikiem.

– Bo ja wiem... Nie myślisz, że same go pobrudziły, a potem popadły w jakąś paranoję?

– Zastanawiałam się nad tym, ale z tego, co opowiadają, to musi być coś na

rzeczy.

– Niby co? Po co ktoś miałby wycierać sobie gębę w cudzy ręcznik? I jeszcze łązić po to do kogoś w środku lasu? Bzdura. A poza tym nie było śladów włamania.

– No właśnie, też o tym myślałam. Słuchaj, a kto jeszcze ma klucze do tego domu?

– A bo ja wiem? Chyba tylko my. Jeden komplet dałem im, a drugi wisi na haczyku w sieni.

Maria ze ścierką do naczyń w ręku i dwoma widelcami, których ząbki polerowała od dłuższej chwili, zajrzała za drzwi. Siedemnaście gwoździ wbitych w boazerię, ozdobionych karteczkami, różnokolorowymi kółeczkami i brelokami wiszących na nich kluczy, było płataniną adresów różnych zamków, w których poza Marią i Maciejem nikt nie był w stanie się rozeznąć.

– Nie wisi.

– Nie żartuj.

– Chciałabym. Ale ich tam nie ma.

– Nie opowiadaj. Przecież nikomu ich nie dawałem. A może nie odłożyłaś na miejsce po tym, jak sprzątałyście domek przed przyjazdem wczasowiczek?

– Na pewno je odwiesiłam. Oba komplety wisiały na tym haczyku.

Wpatrywali się w zakrzywiony gwóźdź.

– To niby gdzie się podziały? Nie ma.

– No widzę. A może masz je w kieszeni kurtki albo w torebce?

– Nie, nie znasz mnie? Zawsze wszystko odkładam na miejsce.

– Może tym razem tego nie zrobiłaś.

Zdenerwowana Maria, zamiast zająć się nalewaniem zupy, zabrała się do przeglądania wiszących w szafie sztuk odzieży, irracjonalnie zaglądnęła nawet do kieszeni kożucha. Tak jak powiedziała, odkłada wszystko na swoje miejsce i dlatego poza dwuzłotówką w kieszeniach czerwonego płaszcza nie znalazła nic. Nawet chusteczki.

Maciek sprawujący pieczę nad domkiem letniskowym czuł presję odpowiedzialności, która sprawiła, że zaczął grzebać w szufladach dwóch najbliższych szafek. Panujący w nich idealny porządek nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że nie znajdzie tam nic ponad to, co powinno w nich leżeć, skrupulatnie ułożone przez żonę.

Była wściekła. Wolność. Cholerna wolność nie taki powinna mieć smak. Było zbyt wcześnie, by odczuwała smutek, który pociąga za sobą samotność, i zbyt wcześnie, by wolność zaprosiła ją do wymyślanego, lepszego świata. Co prawda uchyliła kilkoro drzwi, ale nie sprawiła, by Laura poczuła się szczęśliwa. Jeszcze nie. Jeszcze nie teraz. Podskórnie czuła, że dopóki nie dowie się wszystkiego o swoim pochodzeniu, o kobiecie, która ją urodziła, nie znajdzie płaszczyzny odbicia do nowego rozdania marzeń, możliwości i życiowych perspektyw.

Zła wносиła kolejne worki niepotrzebnej odzieży i upychała je w bagażniku samochodu, z zamiarem wrzucenia do stojącego przy sklepie kontenera. Mimo upału rozpałała w piecu i wrzucała do ognia kolejne stare dokumenty, niepotrzebne rachunki i paragony. Miała w nosie, co powiedzą sąsiedzi, i nic jej nie obchodziło, że dym i sadza zanieczyści okolicę. Zresztą mieszkała na takim odludziu, że nie powinno to zostać zauważone.

Skupiona nad kolejną partią starych listów znalezionych w dolnej szufladzie komody w pokoju matki, tuż za płataniną pończoch, nie usłyszała pukania do drzwi. Oczywiście jak większość mieszkańców w okolicy nie miała dzwonka, licząc na psi alert albo zwyczajnie na to, że gość natknie się na siedzącego na ławce ojca.

Pukanie się powtórzyło i brak reakcji gospodyni również. Laura nie tylko nie usłyszała odgłosów za drzwiami, ale też zaabsorbowana darcie kolejnych kopert nie zwróciła uwagi na kroki za ścianą. Dopiero gdy ktoś niemal za jej plecami głośno zawołał: „Halo, jest tu ktoś?” – zerwała się z wrzaskiem z kolan. Wytrzeszczonymi oczami spoglądała na stojącą przed nią policjantkę.

– Czy pani oszalała?! Co pani robi w moim domu?

– Dobijaliśmy się do drzwi, ale pani nie otwierała. Widzieliśmy ruch za oknem i pomyśleliśmy, że coś się stało.

Laura czuła, że jej serce nadal chce się wydostać z klatki żeber, a płytki oddech usiłuje ją zadusić.

– Po co przyszliście?

– Chcieliśmy zadać kilka pytań.

– Nie mogliście mnie uprzedzić?

– Próbowaliśmy, ale nie odbiera pani telefonu.

Rzeczywiście jej komórka wielokrotnie zawodziła rzewną melodią, ale w ferworze porządków nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Nie miała o czym. Miała swój plan, własny osobisty projekt na najbliższe miesiące, i nikomu nic do tego.

– Aha.

– No właśnie. To co, możemy porozmawiać?

Policjantka i jej partner oszacowali rozmiary bałaganu, zniszczone meble, które – pozbawione dotychczasowej osłony bieżników i koców – obnażały swoje niedostatki, i odnieśli wrażenie, że kobieta się pospiesznie pakuje lub chce przed czymś uciec.

– Ale ma pani roboty. Gruntowne porządki – stwierdził młody policjant w czarnym mundurze. Powyrzucane rzeczy i galimatias przywołały wspomnienie jego pokoju z czasów nastoletstwa, nad którym ani on, ani matka nie byli w stanie zapanować, co wielokrotnie kończyło się dantejskimi scenami i okresami milczenia matki, która nie wiedziała, jak dotrzeć do smarkacza.

– Tak, usiłuję uporządkować rzeczy po rodzicach.

– My właśnie w tej sprawie.

– Chyba już powiedziałam wszystko, co wiem.

– Pojawiły się nowe fakty.

Laura zeszywniała. Mimo że usiłowała utrzymać krew na poziomie mózgu, czuła, jak jej się ścina w żyłach.

– Jakie fakty? – Podświadomie zaczęła panikować, a jej ruchy i zakradająca się coraz większa potliwość oraz rozbiegany wzrok zdradzały nerwowość. Rzucała spojrzenia to na twarz kobiety, to mężczyzny, chcąc wniknąć do danych zalogowanych na ich twardych dyskach.

– Zna pani zapewne Zdzisława Potockiego.

– Tak, to nasz sąsiad – odpowiedziała niepewna, do czego zmierzają.

– Jakie państwo mieli, czy mają, z nim relacje?

– W zasadzie żadne. To odludek.

– Ale jest klientem sklepu, w którym pani pracuje.

– Owszem, czasami kupuje to i owo.

– A czy w ostatnim czasie coś zwróciło pani uwagę? Kupował coś nietypowego?

Policjant zadawał pytania sugerujące, że Potocki kupował saletrę i inne pierdoły do skonstruowania domowej bomby, a nie chleb i parówki.

– Nie, raczej nie.

– A drut? Pani współpracownik powiedział, że jako jeden z nielicznych klientów zakupił spory zwój drutu.

– No tak, ale nie wiem, skąd on mógł o tym wiedzieć, skoro to ja sprzedałam drut Potockiemu. Jego wtedy na pewno nie było w sklepie.

– Jest pani pewna?

– Może kupował drut kilka razy? – podrzuciła policjantka oparta o fotel, w którym Leon spędzał leniwe godziny.

– No, nie wiem. Ja mu go sprzedawałam raz.

- A gwoździe, klej?
- Raczej nie. A dlaczego o to pytacie?
- Dla dobra śledztwa nie możemy udzielić odpowiedzi.

Policjant rozsiadł się wygodnie na złożonym już tapczanie i Laura wiedziała, że prędko się ich nie pozbędzie.

- A gdzie pani była w czasie zdarzenia?
- Jakiego zdarzenia? Porwania Joanny czy śmierci mojej matki?
- Właściwie obu.
- Jak już wcześniej mówiłam, w domu.
- Pani i Joanna, delikatnie mówiąc, nie przepadałyście za sobą.
- No, nie. Ale o to też już mnie pytaliście.
- Czy pani zdaniem Joanna mogła mieć wrogów?

Laura wzięła głęboki oddech i kolejny raz miała wyrzucić z siebie tę samą, powtarzaną już dwukrotnie odpowiedź, że nie wie, gdy coś w niej pękło.

- Biorąc pod uwagę, jak traktowała innych, mogła się narazić wielu osobom.
- Pani też.
- Nie wiem, do czego zmierzają te pytania, ale owszem, nie lubimy się.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Tak jest i już. Ona zawsze uważała się za lepszą, a trudno przyjaźnić się z kimś takim.

- A pani ma przyjaciół?

Wbiło ją w krzesło, na którym siedziała. Poczula się jak podczas psychicznej egzekucji. Musiała przyznać, że nie ma przyjaciół, że podobnie jak ojciec jest typem samotnika, choć myśląc o samotniku, automatycznie zobaczyła przygarbioną postać Potockiego. Czy to źle z nikim się nie przyjaźnić? Gorączkowo zaczęła obracać zestawy myśli, kodując je za każdym razem na innym poziomie wiarygodności. Wyglądało to tak, jakby ktoś oddał w ręce dziecka Enigmę i oczekiwał, że napisze na niej list do Świętego Mikołaja.

- Byłam blisko z matką, nie potrzebowałam innych przyjaciół.

Policjanci spojrzeli na siebie, a ona nadal nie wiedziała, czy udzieliła poprawnej odpowiedzi.

- Czy po śmierci mamy coś się w pani życiu zmieniło?
- No chyba wszystko?
- Przepraszam, źle zadałem pytanie. Czy coś się zmieniło w pani otoczeniu?

Pojawił się ktoś lub coś podejrzanego? Jakies telefony?

Patrzyła na nich osłupiała, zastanawiając się, dlaczego sama o tym wcześniej nie pomyślała.

- Mam wrażenie, że nie.
- A czy możemy rozejrzeć się po domu i podwórku?
- Bardzo proszę. – Miało to zabrzmieć w miarę życzliwie i obojętnie,

a wypadło nazbyt niechętnie.

– A tak przy okazji, dlaczego pali pani w piecu? Jest środek lata i upał jak jasny gwint.

– Palę stare papiery.

– Nie lepiej było wrzucić je do niszcarki?

– Pewnie tak, ale nie mam. Zresztą nie wiem, czy ktokolwiek we wsi coś takiego posiada.

Policjantka sięgnęła do najbliższego stosu kartek i ze zdumieniem skonstatowała, że ma przed sobą rachunki za prąd z 2005 roku.

– Stare, prawda? – zagaiła Laura z uśmiechem.

Pieniądze w znacznym stopniu ułatwiają ucieczkę przed nadchodzącym nieszczęściem, a ponieważ Potocki ich nie posiadał, jedyną furtkę otwierał przed nim alkohol, po który sięgał na coraz niższe sklepowe półki, po czym konsekwentnie i regularnie wlewał w swój wymizierowany organizm. Choć zdawał sobie sprawę, że stan upojenia osłabia percepcję i zdolność myślenia, co wydaje go na łatwy łup policji, nie mógł odmówić sobie kolejnej butelki taniego czerwonego wina. Nie rozstawał się z ławeczką pod monopolowym i kumplami od kielicha, którzy dzień w dzień, niczym baby na jarmarku, dywagowali na temat Joanny i Teresy, przy okazji przytaczając inne nieszczęścia i na różne sposoby usiłując je łączyć z historiami kobiet.

Policjanci nachodzili go wielokrotnie, zadając coraz bardziej niewygodne pytania. Przeszukali ponownie las, zacierając ewentualne ślady po wydarzeniach, i nie wiedzieć dlaczego przyczepili się do niego jak żywica ze świeżo ściętej sosny do palca.

W nocy tak zaczęło lać, że nawet on nie miał ochoty wyściubić nosa za próg, i mimo że jedynym płynem zawierającym alkohol w domu była reszтка denaturatu, postanowił nie wychodzić. Przez okno widział kolejne samochody, które jak w każde niedzielne przedpołudnie sunęły na sumę do kościoła, i nie mógł się nadziwić, że ludziom chce się wychodzić w taki dzień.

Strugi wody lały się po niemytych od lat szybach chałupy, wdzierając się przez kuchenne okno na wyłożony gazetą parapet, i ściekały nieregularną strużką na pełną okruchów i śmieci podłogę. Na stole przed nim stała puszka sardynek w sosie pomidorowym, z której unosiła się dusząca woń kutra. Czubkiem noża wygrzebał małą rybkę, którą starannie roztarł na podsuszanej kromce chleba i wbił się w nią zębami. Już dawno temu porzucił marzenie o tym, że ktoś będzie mu przygotowywał posiłki, i oswoił się z myślą, że do końca życia będzie amatorem gotowych produktów z długim okresem ważności. Nigdy nie był entuzjastą paprykarzy, mielonek i pasztetów, ale jego kulinarne umiejętności były bardziej niż ograniczone, co w prostej linii skazywało go na konsumpcję chleba z różnymi formami okładu.

Nie jadł ze smakiem, nie delectował się jedzeniem, bo i nie było czym. Jadł, żeby żyć, szybko, lecz bez entuzjazmu. Zdążył rozsmarować kolejne dwie sardynki na piętce bochenka, gdy pod dom podjechał samochód. Czarna skoda, w której siedziało dwóch funkcjonariuszy policji w równie czarnych mundurach.

– Psie macie, a wy tu czego?

Pospiesznie rozejrzał się po pomieszczeniu, sprawdzając, czy mieliby się do czego przyczepić. Poza lepkiem bałaganem nie dostrzegł nic, co mogłoby zwrócić

uwagę nowo przybyłych, i nie bez stresu podreptał do drzwi. W pierwszym odruchu miał ochotę uciec, ale wiedział, że na niewiele by się to zdało, bo w taką pogodę i z jego niedołęstwem nie odbiegłby zbyt daleko.

– Pan Zdzisław Potocki?

– Ta, czego?

– Jest pan zatrzymany.

– Niby za co?

– Wyjaśnimy to na komisariacie.

– Znam swoje prawa, nie możecie mnie tak po prostu zatrzymać.

– Owszem, możemy. Tu jest nakaz.

Policjant podetknął mu pod nos papier, na który Zdzisław nawet nie spojrzął, bo i tak bez okularów nic nie widział. Czuł natomiast, jak chłód pełnie po kolejnych kręgach kręgosłupa, wspinając się coraz wyżej w kierunku czaszki, i zrobiło mu się słabo. Przed oczami pojawiły się mroczki i gdyby nie ściana podparta stertami starych, w miarę miękkich gazet, boleśnie by się uderzył, upadając.

Słyszał wokół siebie bliżej niezidentyfikowane odgłosy szurania i czyjeś ciężkie kroki, które to zbliżały się, to oddalały. W pierwszej chwili pomyślał, że został napadnięty, jednak gdy chciał ręką przetrzeć spocone czoło i zrozumiał, że jego ruchy ograniczają srebrne kajdanki wciśnięte na nadgarstki, przypomniał sobie, co zaszło.

Leżał na łóżku, a w zasadzie na nigdy niepranym barłogu. Nad nim rozpościerał się krzywy, dawno niebielony sufit, a smród dopiero co jedzonych ryb drażnił nos. Ze zgrozą zrozumiał, że jego mieszkanie właśnie jest przeszukiwane, a nieproszeni goście grzebią w kątach, wywalając na środek izby zapomniane i latami nieużywane rzeczy.

Z trudem dźwignął się i usiłował usiąść. Wymamrotał kilka przekleństw i nie oszczędzając się, zaatakował:

– Co wy, kurwa, robicie? Jestem niewinny. Jeśli myślicie, że mam coś wspólnego ze śmiercią Teresy albo porwaniem tej małej, to się, kurwa, chujowo mylicie.

– To się jeszcze okaże, panie Potocki.

– Kurwa! Pojebańcy! Jestem niewinny.

– A te wnyki to pana?

Policjant, który właśnie wszedł do pokoju, trzymał w ręce zwój drutu. Potocki patrzył na niego oniemiały, zastanawiając się, skąd go wytrzasnęli. Przecież pozbierane z lasu wnyki wrzucił do studni i raczej niemożliwe, by ktoś ot, tak po nie sięgnął.

– Nie. Nie moje.

– Jak to nie pana, skoro pod domem w pokrzywach leżały.

– Jak mówię, że nie moje, to nie moje. Kurwa!

– Więc jak pan wytłumaczy, że znalazły się w pana obejściu?

No, tego wytłumaczyć rzeczywiście nie mógł. Przyglądał się drutom i wreszcie uświadomił sobie, co jest z nimi nie tak. Faktycznie zwinięte były w niebezpieczne pętle, ale najwyraźniej rękami amatora, bo ciasne skręty były byle jakie, nie dawały gwarancji utrzymania kilkukilogramowej ofiary. Wyglądało to tak, jakby ktoś nie miał siły, by mocniej je skręcić.

– Ja takich nie robię.

– Czyli jednak pan kłusuje.

– Nie. Kiedyś mozem trochę po lesie łaził, ale teraz już nie.

– Akurat.

– No, kurwa, akurat.

– Niech się pan wyraża.

– Właśnie, kurwa, się wyrażam. To jakaś amatorszczyzna.

– To znaczy?

– Słabo skręcone, to pic na wodę, nie pułapka.

– A jak pan wytłumaczy, że leżały na pana podwórku?

– Kurwa mać, skąd mam wiedzieć? Płotu nie ma, to każdy ciul może wleźć i co rzucić. Zresztą nieraz mi tu łazili.

– To dlaczego pan tego nie zgłosił?

– A co miałem zgłosić, że ino mi łążą?

– A te tubki kleju za śmietnikiem to też pewnie nie pana?

– Jakie tubki?

– Niech pan nie udaje.

– Panie, ale ja nie wiem, o co chodzi! Na co mi klej?

– Tego to ja nie wiem. Będzie się pan tłumaczył na komendzie.

Pozwolili mu zabrać bluzę i zapakowali do samochodu. Wsiadając, walnął się w głowę i teraz czuł pulsowanie, zupełnie jakby płyn mózgowo-rdzeniowy usiłował przepłukać szare komórki, zmuszając je do wytężonej pracy. Nie chciał iść do pierdła, ale też nie miał pomysłu, jak się z tego wywinąć. Najwyraźniej ktoś go wrabiał, tylko pytanie kto.

Jestem wykończona. Nie dość, że nie posunęłam się do przodu w moim prywatnym śledztwie, to na domiar złego naprawdę zaczęłam się bać. Choć bardzo nie chcę głośno tego przyznać i przy Monice bagatelizuję pewne rzeczy i sytuacje, to cieszę się z zaproszenia do sołtysówki. Nie dlatego, że niby tu nie może się nic złego wydarzyć, ale jest nas w domu więcej i w razie czego możemy liczyć na siebie nawzajem.

Tak jak zawsze tęskniłam za ciszą i spokojem, które niesie z sobą przebywanie na łonie natury, tak teraz tęsknię za moim niewielkim mieszkaniem i sąsiadami, których co prawda za dobrze nie znam, ale mam ich obok, pod i nad sobą. Naiwnie się łudzę, że ktoś usłyszałby krzyk i zareagował.

Joanna się odnalazła, a Monika wpadła w histerię, że ją też może spotkać coś złego. O dziwo, przestała negować moje pomysły i propozycje i uciepiona mojej spódnicy nie odchodzi ode mnie na krok. Z jednej strony nie jestem z tego zadowolona, bo to ogranicza moje manewry, z drugiej – mam ją stale na oku, co w ostatnich miesiącach i przy jej nadmiernej swobodzie jest zaskakujące.

Ostatnio wyczuwało się panujące wśród mieszkańców napięcie, które osiągnęło apogeum, gdy Asia trafiła do szpitala. Ludzie jakby oszaleli i każdy podejrzewa każdego. Zwykle sosnowe drzwi domu sołtysów zmieniły się w obrotowe. Gdy jedni wchodzą, inni opuszczają mieszkanie, a Maciej najwyraźniej nie radzi sobie z naporem tłumu bez Marysi, którą rano zostawił w szpitalu z córką. I choć szczerze mu współczuję, poza parzeniem kolejnych dzbanków herbaty nie mogę w żaden sposób pomóc, dlatego chętnie podłapuję propozycję Moniki, żeby przejechać się do miasteczka. Podejrzewam, że to tylko pretekst, by odwiedzić w szpitalu Joannę. W sumie jest mi wszystko jedno.

Po drodze postanawiamy wstąpić do domku w lesie i zabrać kilka rzeczy. Maćkowie nie dość, że okazują nam sporo serca i zrozumienia, to są w dodatku bardzo gościnni. Do końca urlopu pozostały nam trzy dni i postanawiamy je spędzić z nimi.

– Mamo, może jednak skrócimy pobyt?
– Nie, u sołtysów z pewnością nic nam nie grozi, a trochę jestem ciekawa, jak się skończy ta chryja.

– Ja tylko chciałabym wiedzieć, kto to zrobił.

– Co?

– No, porwał Aşkę.

Uwieszona kierownicy rzucam na córkę okiem i ze zdumieniem odkrywam, że w ciągu dwóch nocy Monika stała się dojrzała.

– Podobno było ich dwóch.

- Yhm.
- Stawiasz na kogoś?
- Nie wiem, ale wydaje mi się, że to może być sprawka tego całego Daniela.
- Chyba nie byłby taki głupi, żeby porywać własną dziewczynę.
- Jak nie on, to jego kumple. Jakaś cwana ekipa ci jego znajomi.
- Ale tak na logikę, w czym mogła im przeszkadzać taka dziewczyna?
- Może coś widziała? A że paplać potrafi, to może kogoś wkurzyła.
- Nie mam pojęcia i raczej nie chcę wiedzieć.

Wieś wydaje się dziś ożywiona jak w dzień odpustu Świętego Patryka, patrona parafialnego kościoła. Pod byle pretekstem ludzie powyłazili z domów i teraz zbierają się parami albo grupkami, z zaangażowaniem o czymś rozprawiając. Domyślam się, że przedmiotem dyskusji są ostatnie wydarzenia. Przyglądają się z zaciekawieniem naszej micrze i intensyfikują gestykulację, co świadczy o tym, że również znajdujemy się w strefie ich zainteresowania. Niestety.

Poranek przyjemnie otula nas ciepłymi promieniami słońca, dając nadzieję, że upał jednak powróci, ale o tej porze powietrze jest jeszcze rześkie i zachęca do spędzenia dnia na leżaku.

Znowu jedziemy przez pachnący las. Jeszcze mokre igliwie i mech wydzielają aromatyczną żywiczną woń, a pierwsze co odważniejsze owady chmarami kłębią się i rozbijają na szybie. Jak zwykle najbardziej ambitne komary dopadają nas zaraz po opuszczeniu auta, nieznośnie bzyząc i wgrzając się w ciała. Jezioro zachęca do zrzucenia ciuchów i pozostania w strojach kąpielowych, jednak chyba nie mamy na to ochoty.

Domek, polana i drzewa wydają się takie same jak pierwszego dnia, lecz wdarł się tu niepokój, który odbiera temu miejscu cały urok. Jak zwykle czujna Monika sprawdza pułapki, choć wychodziłyśmy w takim pośpiechu, że zdążyła w sobie tylko znanym miejscu zostawić kawałek nitki. Jak dla mnie to idiotyczna procedura, bo jak się przekonaliśmy, ktoś i tak wszedł do środka, omijając nasze zabezpieczenia. Tym razem niestety jest inaczej.

- Mamo, nie ma nitki, ktoś się tu kręcił.
- Monia, przestań, pewnie zapomniałaś ją zostawić! – Usiłuję zachować spokój, ale czuję, jak świder strachu wkręca mi się w jelita, a serce kolejny raz wariuje i zaczyna żyć swoim życiem.
- Mamo, ja tam nie wchodzę.
- Oszalałaś?
- Nie, mówię poważnie. Nie ma mowy, żebym tam weszła. Wracaj do samochodu i jedźmy stąd.
- A nasze rzeczy?
- Olej to, przyjedziemy innym razem.
- Nie, Monika, nie możemy dać się zwariować. – Zdecydowanie dębuję

kluczem w zamku, powoli otwieram drzwi i ruszam przed siebie prosto w chłód korytarza.

– No dobra, idę z tobą.

Po raz pierwszy jesteśmy tak solidarne. Nic tak nie cementuje relacji jak zewnętrzne zagrożenie, czyhający wróg. Jest tu zbyt chłodno, w dodatku mam wrażenie, że dziwnie wieje. – Mamo, mówię ci, coś jest nie tak.

– Poczekaj, sprawdzę.

– Idę z tobą.

Robimy kilka kroków i już po chwili wiemy, którędy wdarł się nadmiar świeżego powietrza. Okno balkonowe jest otwarte na oścież, a pomarańczowa zasłona tańczy na framudze, to wysuwając się na zewnątrz, to w wielkim balonie tkaniny wracając. Rozglądamy się po pomieszczeniu i choć na pierwszy rzut oka wydaje się niesplądrowane, ktoś z pewnością musiał tu czegoś szukać.

– Niczego nie dotykaj, dzwonię na policję.

– Ale zobacz, moje rzeczy... ktoś je powyrzucał.

Faktycznie, jej walizka jest wywrócona do góry nogami, a zawartość kłębi się na podłodze. Wygląda to wszystko tym żałośniej, że czyste rzeczy zwały się z brudnymi, a z pękniętej butelki balsamu wylewa się biały, gęsty jak śmietana płyn. Na myśl o tym, że za chwilę ktoś będzie grzebał w tej stercie ciuchów, robi mi się niedobrze.

Dla odmiany moje rzeczy najwyraźniej nie zainteresowały natręta, poukładane w schludne stosiki spoczywają na jedynej wąskiej półce szafki. Oddycham z ulgą. Chociaż tyle. Niestety to przelotna ulga, bo po wejściu do łazienki nie mam wątpliwości, że powinnyśmy wiać.

Na lustrze czerwoną szminką, oczywiście nie moją, bo nigdy w życiu nie miałam tak wściekłej pomadki, ktoś napisał wielkimi literami: UWAŻAJ.

– Monika – nabieram powietrza, by uspokoić rozedrgane struny głosowe – poczekamy na policję w samochodzie.

– Ale dlaczego?

– Nieważne, chodź.

– Nie traktuj mnie jak dziecko, przecież widzę, że coś jest nie tak. – Na siłę wpycha się do łazienki i zamiera w progu. – O ja cię!

Podrywamy się do biegu jak sprinterki na olimpiadzie i prawie upadamy, przepychając się nieporadnie w drzwiach. Jak na złość nie mogę trafić kluczykiem w zamek i dopiero po chwili szamotaniny przypominam sobie, że nie zamknęłam auta. Sadowimy się na siedzeniach, wciskamy czarne grzybki zamków w drzwiach i głośno, głęboko oddychamy.

– Mam dosyć, wyjeżdżamy. – Nieświadomie wypowiadam na głos to, co myślę od kilku godzin i co chętnie dawno bym zrobiła, gdyby nie ciekawość i chęć poznania prawdy o Laurze.

- Ale najpierw muszę zobaczyć się z Aśką.
- Słucham?
- Zanim wyjedziemy, muszę zobaczyć się z Aśką.
- Dobrze, nie ma sprawy, ale dlaczego to takie ważne?
- Sama nie wiem, jakoś mi jej żal. To przykre, że coś takiego ją spotkało.
- Koszmarne.
- Mamo, zawróć, tak żebyśmy mogły wiać, jakby co.
- Nie wiem, jakie jakby i jakie co miałyby się zdarzyć, ale OK.

Powiedzieć łatwo, ale wykonać znacznie trudniej. Znowu kluczyk nie chce współpracować ze stacyjką, a gdy wreszcie odpalam, silnik zaciąga się, charczy i gaśnie. Wciskam tak mocno gaz, że silnik wyje jak śmiertelnie ranne zwierzę. Z trudem skręcam kierownicę i złościąc głębokie czarne koleiny, wrywam trawę kołami, by wreszcie stanąć na początku ścieżki. Oczywiście blokujemy wjazd na polanę, tak że po kilku minutach oczekiwania zbliżający się radiowóz ma poważny problem, żeby nas wyminąć. Mam to w nosie, nie jestem w stanie wykonać ruchu. Dyszę i mam mgłę przed oczami. To wszystko jest irracjonalne, odnoszę wrażenie, że ktoś mnie przeniósł w inny świat. Nie mam wątpliwości, że Monika również się komuś naraziła. Prawdopodobnie tym samym gnojkom, którzy napadli Joannę.

- Monika, co wyście zrobiły?

Patrzy na mnie przestraszona, pierwszy raz widzę ją w takim stanie. Wygląda jak balon, z którego uszło całe powietrze. Nerwowo podrzuca kolanem, wprawiając samochód w rezonans.

- Uspokój się.
- Myślisz, że nie próbuję?
- Wiesz, co mogło się wydarzyć i dlaczego?
- Mamo, nie mam pojęcia! Rozumiesz? Nie mam pojęcia. Mówiłam ci, że ten Daniel jest popieprzony, ale nie podejrzewałam go o coś takiego!

- A jego kumple?

– Przecież ich nie znam! Widziałam tylko Grubego, który bardziej był zainteresowany felgami niż mną...

- No to nie rozumiem. Może kręcił jakieś interesy i mu przeszkodziłyście?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.
- Maria mówiła, że nie odbiera telefonu.
- No właśnie. Dziwne, co?
- W domu też podobno go nie ma.
- Wiem i naprawdę nie mam pojęcia, gdzie się podział.
- Słuchaj, a może jego też porwali?
- Nie, no coś ty.

Myślałam, że jej źrenice nie mogą już być większe, a jednak.

- Sądzisz, że powinniśmy o tym wspomnieć policji?

– Raczej.

Radiowóz zatrzymał się tuż obok i teraz jeden z funkcjonariuszy podchodzi do moich drzwi.

– Starszy posterunkowy Jarosław Jarkowicz, to pani nas wzywała?

– Tak.

– Dokumenty proszę i zapraszam do radiowozu.

O nie, tylko nie to. Nie ma takiej siły, która wyssałaby mnie z samochodu.

– A nie możemy tak porozmawiać?

– Raczej nie, zapraszam.

– Monika, chodź.

– Pani może zostać.

– Nie ma mowy, nie zostanę sama w tym pudle. Mamo, poczekaj.

Monia wsuwa stopy w klapki i wysiada tak niezgrabnie, jakby miała z dziewięćdziesiąt lat. Przytrząskuje drzwiami skraj zwiewnej sukienki w hinduskim stylu i zaczyna się szarpać, jakby jakaś niewidzialna dłoń z czeluści piekiel uczepiła się jej wątego ciała. Gdyby nie ta chora sytuacja, wyglądałoby to zabawnie.

Radiowóz w środku jest większy, niż przypuszczaliśmy, i w dodatku wyposażony w składany stolik, na którym drugi policjant rozkłada notes. Siadamy na dwóch pojedynczych siedzeniach, których tapicerka przywodzi na myśl kolorowy karawan, a nie wóz policyjny. Może jest to przemyślany zabieg służący temu, by aresztant nie czuł się nadmiernie zdołowany sytuacją, w jakiej się znalazł, niemniej wygląda to groteskowo.

– Dlaczego panie nas wezwały?

– Ktoś włamał się do domku, który wynajmujemy.

– Może zostawiły panie otwarte drzwi?

– Nie, z pewnością nie. Ktoś wszedł przez okno tarasowe.

– Wybił szybę?

– Nie, to znaczy chyba nie. – Boże, jaki człowiek jest durny, nie wie nawet, czy tak, czy nie. W fazie paniki interesowało mnie tylko jak najszybsze wybiegnięcie z domu i pociągnięcie za sobą córki, a nie analizowanie przebiegu i przyczyn włamania.

– Sprawdzimy. Kiedy panie odkryły włamanie?

– Przed chwilą, zaraz po was zadzwoniłam.

– Kiedy opuściłyście dom?

Patrzę na Monikę, bo zupełnie nie potrafię przywołać wydarzeń z wczorajszego dnia, jednak ona, wpatrzona we własne kolana, nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Jeśli tak wygląda osoba w szoku, to nie chcę sobie nawet wyobrażać, jak zachowuje się ktoś, kto wpadł w panikę...

– Wczoraj wieczorem.

– O której?

– No, nie wiem, może około dwudziestej drugiej. Monika, pamiętasz?

Nawet jeśli tak, to nie ma zamiaru udzielić odpowiedzi. Wzrusza tylko ramionami i zapada się głębiej w siebie, tym razem zmieniając pozycję i gapiąc się w zieleń za oknem. Wiatr delikatnie porusza gałązkami, a słońce coraz jaskrawiej odbija się od soczystych liści. Las wygląda jak obsypany brokatem i cekinami bajkowy bór.

– Gdzie panie spędziły noc w takim razie?

– We wsi, u sołtysa. To znaczy Maria, jego żona, nas zaprosiła.

– Dlaczego?

– Wczoraj nas odwiedziła, żeby poinformować o odnalezieniu córki, i widziała, w jakim jesteśmy stanie, więc zaproponowała nocleg u nich.

– Co pani ma na myśli, mówiąc o stanie?

– Byliśmy roztrzęsione, wystraszone.

– Czym?

– Wszystkim. Tym, co się tu dzieje.

– Czyli?

– Porwaniem Joanny, tym trupem w lesie...

– I co panie chciały zrobić?

– Pozostanie w tej głuszy wydawało się najgorszym wyjściem, tym bardziej że wczoraj odkryłyśmy, że ktoś pobrudził nasz ręcznik, że ktoś chodził po domu podczas naszej nieobecności...

– Rozumiem, że nie chciały panie tu nocować.

– Właśnie. Las jest taki ciemny, a sąsiedzi tak daleko, że gdyby coś się tu wydarzyło, nikt by nam nie pomógł, byłyśmy same.

Nagle Monika szarpie mnie za ramię i krzyczy jak opętana:

– Ktoś tam jest!

– Gdzie?

– Tam! Teraz się schował za tamtymi brzoźami!

Wszyscy jak na komendę odwracamy głowy i usiłujemy przeniknąć białą korę drzew, żeby zobaczyć, co się jawi za nimi. Wietrzyk nadal delikatnie bawi się długimi witkami obsypanymi drobnymi listkami, jednak poza tym nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

– Moniś, coś ci się przywidziało.

– Mamo, nie! Widziałam!

– Co?

– Coś czarnego poruszyło się między drzewami.

Policjanci niechętnie spoglądają na zagajnik, świadomi, że jako mężczyźni i przede wszystkim funkcjonariusze powinni wyruszyć na zwiad.

– Sprawdzimy.

– Nie ma mowy! Same tu nie zostaniemy.

Jarosław spogląda na kolegę i daje mu znak, że ma iść. Nie jestem pewna, który z nich jest bardziej zadowolony. Ten, który został zamknięty w blaszanej puszcze z dwiema wariatkami, czy ten, który ma w lesie polować na mordercę, porywacza, złodzieja czy kogo tam.

– Szymon, skocz i sprawdź, co pani tam widziała.

Niestety brzmi to ironicznie i sprawia, że Monika eksploduje histerią, jakiej u niej dotychczas nie widziałam.

– Niech pan ze mnie nie robi wariatki! Wiem, co widziałam! Myślicie, że jak się boję, to nie potrafię odróżnić wyobrażeń od rzeczywistości, to żenujące! Mamo, mówiłam ci już dawno, żebyśmy stąd wyjechały.

– Nie miałem nic złego na myśli.

– Akurat. Patrzycie na nas jak na nienormalne, a nie potraficie złapać złodzieja w lesie!

– Monika, uspokój się!

– Nie będę spokojna. Chcę wracać do taty! Mam dosyć takich wakacji!

Chwytam ją mocno za ramię i przytulam, jednocześnie robiąc znaczącą minę do policjantów, która ma oznaczać, że najwyraźniej sobie nie radzimy i córka potrzebuje opieki. Pewnie nie jesteśmy jego pierwszym trudnym przypadkiem, bo uspokajająco macha ręką.

– Nic się nie stało. Rozumiem. Czy w domu coś zginęło?

– Chyba nie. Ktoś wyrzucił rzeczy z walizki córki, ale nie chciałyśmy się dokładniej przyglądać, by nie zatrzeć śladów.

– Bardzo rozsądnie.

– I co najgorsze, na lustrze ktoś napisał szminką... chyba szminką UWAŻAJ.

– Podejrzewają panie kogoś?

Ja oczywiście nie, bo trudno mi sobie wyobrazić, żeby w ciągu kilku dni ktoś mnie tak zniechęcił, natomiast Monika pluje nienawiścią i złością.

– Tak, to pewnie ten cały Daniel i jego kumple. Mówiłam Joannie, że to jakieś pustaki, ale nie chciała mnie słuchać. Gapiła się tylko na te ich samochody.

– O jakim Danielu pani mówi?

– O chłopaku Aśki. Niby taki fajny, a robił z nią, co chciał.

– Może pani to ująć inaczej?

– No, nie szanował jej.

– Czyli?

– Czyli robił, na co miał ochotę, a ona nie mogła mu się sprzeciwić.

Masakra.

– A do pani też miał uwagi?

– Do mnie? Dlaczego?

- No, kolegowala się pani z porwaną.
- I co z tego?
- Moze pani widziala albo slyszala cos, czego nie powinna.
- Nie, skad. Nie sadze.
- A moze zwyczajnie się w pani zakochal?
- Daniel? To smieszne. Ale w sumie to moze poszlo o ten samochod.
- Jaki samochod?
- Stal w garażu taki, co to się nim chwalili. Aśka, jak go zobaczyla, to myslalam, ze się posika z wrazenia.
- Moze pani opowiedziec od poczatku?

Niestety nie trzeba jej bylo dwa razy powtarzac. Monika nie tylko opowiedziala, co widziala, ale tez uzupelnila swoja wypowiedz podejrzeniami, wlasnymi nieuzasadnionymi wnioskami i sugestiami, jakie kroki powinna przedsiewziac policja. Sluchalam w przerazeniu, nie wierzac, ze wystarczylo kilka dni, zeby moje dziecko poszerzylo swoje horyzonty o takie podszyte kryminalem aspekty.

Kurwa. Kurwa i chuj. Czy te barany nie rozumieją, że to nie on?

– Jażem nie kupował kleju.

– Jest pan pewien?

– Jak tego, że nie!

– Sprzedawca zeznał, że kupował pan duże ilości drutu.

– Właśnie drutu!

– I kleju.

– Kurwa, jakiego kleju?! Płot chciałem naprawić, to po czorta mi klej?

Przecie sztachet bym nie kleił.

– No nie wiem.

Potocki pomyślał, że przesłuchujący go glina nie wygląda na zbyt bystrego i takiego, co to mógłby wiedzieć cokolwiek, a już z pewnością nie to, co siedzi w głowie podejrzanego.

– Na co mi klej?

– Może żeby zakleić drzwi kościoła.

– Co pan? Przecie ja do kościoła nie łążę.

– Ale mógł pana irytować.

– Kościół? Ta stara buda na drugim końcu wsi? A czemu?

– Może denerwowało pana, że inni tam chodzą.

– A co mi do tego? Byle mi z buciorami do chałupy nie włazili. Ja tam swojego pilnuję, nie cudzego.

– A jak pan wytłumaczy zwoje drutu w studni?

Cholera. Myślał, że po takiej ulewie poziom wody w studni podniesie się na tyle, że nie będzie widać wrzuconych tam śmieci.

– A co mam gadać? Ja nic nie wiem.

– A że z takiego drutu robi się wnyki, też pan nie wie?

– Co pan władza gada? Cie pieruna.

– Niech mi tu Potocki świętego nie zgrywa. Zdejmiemy odciski i się przekonamy.

Potocki był bystry i doskonale znał kodeks karny, kruczki prawne i sztuczki policji, ale w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć, czy woda zmywa odciski palców, czy nie. Zastanawiał się, czy cały drut był pod wodą. Skoro go wypatrzyli, to może coś tam jednak wystawało i miało na sobie ślady daktyloskopowe? Kurwa mać.

– To co, panie Potocki, jak będzie?

– A co ma być? Ja nic nie wiem.

– Sam pan przyznał, że zastawiał wnyki w lesie.

– No coś żem robił, ale lata temu, nie teraz.

– Panie Potocki, panie Potocki...

Zdzisław struchlał. Atmosfera wokół niego w niekontrolowany sposób zaczęła się zagęszczać, a psy węszyły coraz bliżej. A przecież nic nie zrobił tej gówniarze. No, może zabicie tych kotów było niepotrzebne. Po co chciał ją w tak durny sposób nastraszyć? Ale wiedział, jak bardzo lubiła tego swojego sierściucha, a czy to jego wina, że głupie zwierzę wlało na jego posesję? Z małej słodkiej zemsty zrobił się wielki problem.

– A co pan władza myśli, że sam tę dziwkę w lesie złapałem, przywiązałem do drzewa i jeszcze do was dzwonił? Pociępać by mnie musiało, pociępać.

– A może zrobił to pan dla zmyłki, dla alibi.

– A po co?

– Żeby się zemścić?

– Niby za co?

– Przyznaje pan, że nie przepada za panią Joanną.

– No, nie.

– Dlaczego?

– Bo głupia rura jest i już.

– A co panu do tego?

– Nic. Ale nie lubię, jak mi kto na szypę wchodzi.

– Czyli miał pan motyw.

– Panie, ja nie muszę mieć motywu, żeby zabić. Ale czy pan władza nie rozumie, że do pierdła nie chcę wracać?

– Czyżby?

– A tak! Nie chcę. Byłem i wiem, o co w tym wszystkim idzie. Kraść nie kradnę, to tym bardziej jakiejś głupiej baby bym po lesie nie ganiał!

Potocki zmrużył oczy i głośno charknął, pompując flegmę do gardła, czując, jak wielki glut zbliża się do jamy ustnej.

– NIE!

Policjant spojrział na niego groźnie i tak zdecydowanie odsunął krzesło, na którym siedział, że Zdzisławem zachwiało i połknął to, co miało wylądować na zielonym linoleum.

Kubek parzył jej palce, a gorąca para uniemożliwiała delectowanie się pierwszym łykiem herbaty. Od czasu, gdy aresztowano Potockiego, w blaszaku był tłok jak w kościele podczas pasterki. Pod pretekstem zakupów wchodził każdy, kto z pierwszej ręki chciał zaczerpnąć informacji. Przy czym nikt nie wiedział, czyja jest owa pierwsza ręka, ale sklep stwarzał najlepsze warunki do wymiany opinii.

– Dobrze, że Potockiego przyskrzynili. – Drożdżewska przebierała w skrzynce z dojrzałymi pomidorami malinowymi, ale nie w słowach.

Doprowadzała Laurę do szału, uciskając kolejne sztuki, przez co za chwilę rozmiękną i zgniją.

– Niech mi tu pani tych pomidorów tak nie maca, bo będzie musiała je kupić.

– A niby czemu?

– Bo po pani wizycie połowa jest do wyrzucenia.

– I chcecie mi powiedzieć, że to moja wina, że nieświeży towar sprzedajecie!

Z każdą sylabą Drożdżewska podnosi głos, tak że już po chwili inne rozmowy cichną i trzy sąsiadki, które rozprawiwały przy regale z pieczywem, milkną i przysłuchują się z zaciekawieniem wymianie zdań. Nie od dziś wiadomo, że Drożdżewska ma niewyparzoną gębę, Laura jednak też potrafi pyskować. Niby taka cicha i niepozorna, ale o swoje zawalczyć umie.

– Co mi tu będziecie insynuować! Świeży towar mam, a jak się nie podoba, to do garażowego wynocha.

Sąsiadki spojrzały po sobie, bo choć wiedziały, że Laura nie daje sobie w kaszę dmuchać, nie spodziewały się tak ostrej reakcji.

– No i co się rzuca? To już swojego zdania nie można wyrazić?

– Nie. Przynajmniej nie takiego. Jakby pani pierwszy raz w życiu pomidora widziała.

Kaśka wpadła z wiklinowym koszykiem, jakby uciekała przed ulewą. Rozczochrana, zarumieniona i jak zwykle nad wyraz głośna.

– A wy, kobitki, co tu takie przyczajone? – Omiotła wzrokiem szaleńca półki i rzuciła się na ladę z serami. – Kochanieńka, a gruyère masz?

Może i miała, gdyby tylko wiedziała, co to jest. Niestety nie dość, że nie wiedziała, to jeszcze nie mogła skojarzyć, w jakim dziale powinna poszukiwać owego gruyère. Co prawda rozbiegany wzrok Kaśki sugerował, że to rodzaj sera albo leżących obok śledzi, ale nie potrafiła wydedukować, o co chodzi.

– No widzi mi się, że nie ma. To może coś podobnego będzie?

– Ale nie wiem, co to jest.

– No ser taki, bo Tomaszowi cebulową robię.

– Biały?

– Coś ty, z księżycy spadłaś? Żółty. Może mi tej goudy daj. Nie, nie tej, tamtej tartej, w woreczku. A słyszałyście, że te dwie z domku nad jeziorem do sołtysów się wprowadziły?

– Co też Kaśka mówi! Nie może być.

– A może, może! Marię spotkałam! A, i jeszcze czerstwą bagietkę...

– Czerstwej nie mam.

– No to jak mam grzanki zrobić?

– Może w piekarniku? Na przykład.

– A w sumie dobrze radzisz.

– A co to Kaśka mówiła o wczasowiczkach?

Trzy sąsiadki przysuwały się coraz bliżej lady i rozdziawiały gęby jak tygodniowe wróble w oczekiwaniu na robaka.

– Ano tak! Dzieje się, kochane, oj, dzieje! Ty, no, nie łam mi tej bagietki!

– Myślałam, że grzanki będziesz robić, to ci obojętne.

– No niby tak, ale lepiej wygląda, jak bagietka z koszyka wystaje, to takie światowe, no nie?

– No ale coś więcej sąsiadka wie o tych wczasowiczkach?

Drożdżewska porzuciła pomidory, skupiając się z pełnym oddaniem na nowych plotkach.

– A wiem. Włamanie było!

– Gdzie, Jezu, Maryjo?!

– Ano właśnie!

– U sołtysa?

– Ale co u sołtysa?

– To włamanie?

– A gdzie tam, w domku w lesie.

– Laura, dziecko, podaj mi paczkę lucky strike'ów i zapalki. Co to się porobiło!

Laura odstawiła kubek z niedopitą herbatą i sięgnęła po paczkę papierosów. Choć nie włączała się do rozmowy, była żywo zainteresowana jej przebiegiem, a ponieważ jak zwykle wszystko skupiało się wokół lady, to mimo że powinna uzupełnić zapas bułek w koszu z pieczywem, postanowiła nie ruszać się z miejsca. Obsługując sąsiadkę, bezwiednie skupiła na sobie jej uwagę.

– A ty, kochanieńka, nie boisz się na tym odludziu sama siedzieć?

– Niech Janina da spokój, tylko się dziewczuszka wystraszy.

Z perspektywy osiemdziesięciu dziewięciu lat Janiny każdy poniżej sześćdziesiątki był dzieckiem. Mimo to Laura, nadal w lekko depresyjnym nastroju, poczuła się dotknięta uwagą sąsiadki i tylko burknęła, że nie.

– Ja tam na pewno na takim pustkowiu w chałupie bym sama nie siedziała.

– Jakby pani w bloku mieszkała.

– W bloku to, chwala Panu, nie, ale sąsiadkę widzę przez płot i pełno dziecioków w domu, to jakoś różniej.

– A to tak.

– A ty, Laura, też o dziecku powinnaś myśleć. Zegar tyka, oj, tyka.

Laura była wzburzona i pomyślała, jakby to było pięknie, gdyby z tego zegara wyskoczyła kukułka z bejsbolem i zdiełła głupie sąsiadki przez łeb. Idiotki, które nie tylko nie mają pojęcia, o czym ona marzy i do czego dąży, ale również nie liczą się z tym, co czuje i myśli.

– Ale ciekawe, co u tych wczasowiczek.

– Wiele pewnie nie wiadomo.

– Ale coś zginęło?

– Czort wie.

– A ja tam słyszałam – Kaśka wynurzyła się zza regału z daniami instant, trzymając w ręku dwie torebki zupy cebulowej, którymi wymachiwała teraz jak wachlarzem – że na lustrze ktoś napisał „uważaj” czy coś w tym stylu. Mówię wam, ta młoda musiała coś przeskrobać.

– Co też powiesz... I co, i co?

– Ano to, że z naszą Aśką się zadawała, to pewnie panny gdzieś poimprezowały i komuś się naraziły.

– Ja tam myśle, że musiało o narkotyki iść.

– A skąd Janina to niby wie?

– A bo raz widziałam, jak w bibułkę, taką białą, zielsko dziewczyny upychały, skręcały i paliły. Już ja tam swoje wiem.

– Co też Drożdżewska mówi. Patrzcie, człowiek nieświatowy to i nie wie, że takie coś jest. Ja myślała, że to takie już gotowe sprzedają...

– A widzi sąsiadka, nie.

Laura spoglądała na grupę kobiet, do których dołączyła jeszcze jakaś nieznana para młodych ludzi, którzy najprawdopodobniej przyjechali tu na wypoczynek i z zainteresowaniem przysłuchiwali się deliberacjom. Może nie wiedziała wielu rzeczy i nie znała życia tak jak jej rówieśniczki, obarczone mężami, dziećmi i kłopotami, ale zdawała sobie sprawę, że plotka może zbierać zabójcze żniwo, i postanowiła włączyć się do rozmowy, wyciągając z przeszklonej szufladki opakowanie tytoniu i bibułki.

– Takie coś?

Jak kociaki na widok podskakującej wędki z piórkami wszyscy skupili na niej wzrok, a najbardziej zaangażowana i najlepiej poinformowana mieszkanka Wsiowa radośnie zawołała:

– O to, to! Dokładnie nie widziałam, aleć tak to właśnie wyglądało.

Laura potrząsnęła srebrzystym opakowaniem i z satysfakcją rzuciła:

– To najzwyczajniejszy tytoń i bibułki do robienia własnych papierosów.

– Nie może być!

Janina aż odskoczyła, zupełnie jakby Laura podsunęła jej pod nos zadek skunksa.

– A może. To coraz popularniejsze.

– A ja tam swoje wiem.

– Moim zdaniem – włączyła się Kaśka – laski w tajemnicy skręty paliły.

W ferworze prowadzonego przez siebie dochodzenia, opartego na burzy niewiele wiedzących o kryminalnym świecie mózgów, nie zauważyły, że od dłuższego czasu przysłuchiwał im się Paprocki, rejestrując każde rzucone w eter słowo i podejrzenie.

– Masz babo placek, a ten co tu robi?

Janina znowu aż podskoczyła na widok policjanta, a towarzystwo pospiesznie powróciło do oglądania zawartości własnych koszyków.

Jej widok nie pozostawiał złudzeń. Miała problem, i to potężny. Rak depresji zadomowił się w jej organizmie i szykował do unicestwienia swojej ofiary. Sprawił, że Joanna skurczyła się, zmizerniała i z pełnej radości życia młodej kobiety, jak pod wpływem złych czarów i rzuconego uroku, stała się apatyczna i milcząca. Nic jej nie interesowało – diagnoza lekarzy, odwiedzający ani to, co dotychczas nie umykało jej uwagi, czyli w co byli ubrani, co powiedzieli, jakie przynosili plotki. Nie tylko nie miała ochoty ich słuchać, ale nawet nie chciała ich widzieć. Tych pełnych litości spojrzeń, nic nieznaczających gestów, pustych słów, za którymi dopatrywała się satysfakcji, że wreszcie i ją dopadło jakieś nieszczęście. Część z nich może nie życzyła jej aż takiej traumy, ale ona i tak widziała tylko Schadenfreude.

I po raz pierwszy w życiu w ogóle jej to nie obchodziło. Miała zwis na to, co powiedzą ludzie, że plotkują, może się cieszą, a może część z nich jest zdolna do współczucia. I miała gdzieś, że oglądają ją w zakupionej w szpitalnym kiosku piżamie w infantylne serduszka.

Nie mogła tylko zrozumieć jednego. Po co przychodzili? Czy aż tak bardzo chcieli nasycić się widokiem jej pokonanego ciała?

W końcu poprosiła lekarzy, żeby nikogo do niej nie wpuszczali. Była wyczerpana tą gadaniną, w której i tak nie miała sił uczestniczyć. I stale te same pytania, te same puste stwierdzenia:

- Jak to się stało?
- Boże, ale ci współczujemy.
- Że też musiało to spotkać akurat ciebie.

Zupełnie jakby nieszczęście kogoś innego umniejszało jego wymiar. Dziś wychodziła do domu i jedyna rzecz, z jakiej się cieszyła, to że nareszcie przestanie oddychać powietrzem nadmiernie przesyconym piniowym aromatem wydobywającym się z odświeżacza w łazience.

Siedziała na łóżku w dżinsach i białym T-shircie z wielkim różowym sercem. Odniosła wrażenie, że to bardzo niestosowny i wyzywający strój, który może tylko przysporzyć jej kłopotów, i miała pretensję do matki, że nie znalazła czegoś bardziej odpowiedniego. Na bladą twarz nie nałożyła ani pudru, ani tym bardziej szminki. Leżąc w łóżku, wyskubała resztki sztucznych rzęs, usuwając przy okazji część tych naturalnych, co sprawiło, że jej oczy wydawały się znacznie mniejsze i mniej atrakcyjne.

Chciała się schować za szarością i nijakością, którą gwarantuje brak warstwy kosmetyków. Marzyła, by stać się niewidoczna. By zniknąć. Przepelniała ją wstyd i strach, a wspomnienie lasu, nawet to najdrobniejsze, wracało jak bumerang, gdy

tylko jej myśli nie były zajęte czymś innym. O niczym innym zaś nie potrafiła myśleć. Siedziała tak i czekała, aż wreszcie po długich dwudziestu minutach do sali wpadła jej matka.

– Cześć, kochanie, gotowa?

Nie była dobrą aktorką, więc udawanie optymizmu nie wychodziło jej najlepiej, ale Aśka po raz pierwszy od lat postanowiła docenić jej wysiłki.

– Tak, chyba tak.

– To chodź szybciotko, ojciec czeka na parkingu. Wiesz, jaki jest, nie mógł się zdecydować, gdzie zaparkować, i postanowił poczekać.

Joanna ciężko wstała z zapadniętego materaca i posuwała się groteskowo powoli i ostrożnie, jakby miała połamane wszystkie kości, które ktoś nieudolnie posklejał biurowym klejem i tylko od jej uważności miałyby zależeć, czy się nie rozsypią.

Przybyło jej lat, ubyło pewności siebie, straciła blask, ale zyskała współczujące spojrzenia nawet nieznanym osobom, które zapewne postrzegały ją jako ofiarę poważnego wypadku. Powłóczyła nogami jak staruszka i nie mogła unieść niewielkiej szpitalnej torby, więc Maria przewiesiła ją sobie przez ramię. Asia tuliła do siebie swoją brązową torebkę i człapała w przestrzeń, za którą tęskni każdy leżący w szpitalu chory człowiek. Szła do domu, ale zupełnie nie miała pojęcia, co to oznacza.

– No chodź, kochanie, pospiesz się.

– Idę. Przecież idę.

Maria była przerażona tym, co się stało z jej pewną siebie córką. Oddałaby wszystko, żeby cofnąć czas. Postanowiła, że jeszcze chętniej będzie jej gotowała, sprzątała i rozpieszczała jak tylko się da. Przeszły przez cały korytarz, mijając kilka sal, brudownik, dyżurkę pielęgniarek, i wreszcie stanęły przed mlecznymi drzwiami oddzielającymi oddział od pozostałej części szpitala.

Maria szarpnęła za klamkę i chciała przepuścić córkę, ale ta zatrzymała się jak muł przed górką. Niespokojnie się rozglądała, zupełnie jakby za automatem z napojami czaił się snajper.

– Chodź, nikogo tu nie ma.

– Jesteś pewna?

– Tak, chodź.

Joanna ruszyła przed siebie, obierając za cel drzwi wyjściowe na końcu rozległego, pełnego ludzi holu. Skanowała ich stopy w poszukiwaniu znajomych nosków szarych trampek i białych butów. Gdy dostrzegła na nogach stojącej pod ścianą dziewczyny czarne trampki, zmyliła krok i wpadła na matkę.

– Jezu, co ty robisz?

– *Sorry*, potknęłam się.

– Nic ci nie jest?

– Nie, nie, spokojnie.

Maria spoglądała na nią podejrzliwie, ale nic nie powiedziała, tylko puściła ją przed sobą. Z daleka dostrzegła Maćka, który oparty o samochód z założonymi na piersiach rękami najwyraźniej nie mógł się ich doczekać. Teraz ruszył w ich kierunku, deptając lichą trawę między chodnikami, nie zważając na tabliczkę zachęcającą do szanowania zieleni.

– Nareszcie! Już się bałem, że się rozmyśliłyście.

– Trochę to trwało, musiałyśmy poczekać na wypis.

– To co, kochane, wracamy do domu. Może po drodze zatrzymamy się w McDonaldzie na kawę.

Radośnie mrugnął do córki, która tylko się skuliła i po raz pierwszy zdecydowanym, pewnym siebie, dawnym głosem oświadczyła:

– Nie, jedziemy prosto do domu.

– Nie masz ochoty na twoją ulubioną kawę z karmelem?

– Nie! Chcę jechać do domu.

Niestety po drodze Joanna nie dała się namówić ani na lody, ani na zakupy w jej ulubionej drogerii, na którą było ją stać od czasu do czasu, ani na zajrzenie do domku babci. Nie chciała niczego i niczym nie była zainteresowana. Parła do domu jak pszczoła do ula i wkrótce mieli się przekonać, że w tym stanie będzie trwać przez kolejne tygodnie. Nawet wyjście do ogrodu stanowiło spore wyzwanie i zdecydowała się na nie dopiero po tygodniu, i to w towarzystwie obojga rodziców. Znowu była ich małą, niepewną siebie dziewczynką...

Aśka wróciła ze szpitala w towarzystwie zamartwiających się rodziców, którzy usiłowali stworzyć pozory normalności, zachowując się tak jak dotychczas. Ale nic nie było takie samo. Głos matki, mimo pozornej bez troski, drżał. Oczywiście powiedzieli im w szpitalu, że mają zachowywać się normalnie, tylko że nikt nie wytłumaczył, na czym ta normalność ma polegać...

Nie mogli przecież zapomnieć o strachu, który jeszcze tak niedawno odbierał im rozum, a teraz siedział w ich głowach, uwiwszy sobie wygodne, wyściełane ich troską gniazdo. Wiedzieli, że jest jak psychiczny glejak, który może rozprzestrzenić się na cały organizm, zarażając przy okazji rodzinę i najbliższych.

Ojciec przynajmniej nie udawał. Zamontował dodatkowy zamek w drzwiach i stał się bardziej uważny. Reks zyskał przywilej opuszczania kojca także za dnia i teraz biegał zadowolony po podwórku, obszczekując każdego przechodnia i petenta.

Jego szczekanie sprawiało, że Aśka denerwowała się jeszcze bardziej, ale bała się o tym powiedzieć rodzicom, bo wiedziała, że będą za wszelką cenę szukać rozwiązania, obwiniając się o to, że nie mogą nic zrobić, i rozpadną się jeszcze bardziej.

Z trudem podniosła się z łóżka. Mimo namów matki nie przebrała się, rezygnując z kolorowej bluzki, i opuściła szpital w dresowej piżamie, wychodząc z założenia, że nikt jej nie zobaczy, skoro ojciec zaraz po przekroczeniu bramy gospodarstwa zaparkuje w garażu. Zresztą nawet gdyby ktoś ją zobaczył, jakie to miałyoby znaczenie.

Teraz stała przed wielką szafą garderobianą, która skrywała niezliczone mnóstwo krótkich i jeszcze krótszych sukienek oraz butów na wysokim obcasie. Przesunęła lustrzane drzwi i jej oczom ukazały się pełne kolorowych ubrań półki. Nawet nie miała ochoty ich dotknąć. Powiodła po nich wzrokiem i skupiła się na jasnobieżowym dresie, który nigdy nienoszony kusił czerwoną metką...

Zbliżyła łokieć do nosa i powąchała materiał. To fascynujące, jak szybko zapach leków i szpitalnych środków czystości potrafi wnikać w tkaninę. Zrobiło jej się niedobrze i przekręciwszy klucz w drzwiach pokoju, pospiesznie zrzuciła z siebie ubranie. Stała naga przed lustrem i przyglądała się swojemu chudemu ciału, które straciło w ostatnim czasie kolejne kilogramy, a w jej oczach całą atrakcyjność. Zgrzyt zamka zaalarmował Marię, która najwyraźniej nadśluchiwała w kuchni. Teraz wbiegała po schodach, by po chwili stanąć przed drzwiami. Joanna widziała, że matka zbliża twarz do matowej szyby, rozgniatając na niej nos, i usiłuje zajrzeć do środka.

– Wszystko dobrze?

Aśka nie miała ochoty odpowiadać, ale uświadomiła sobie, że matka jest jedną z dwóch istot, którym może zaufać. Matce i ojcu, nikomu więcej.

– Tak, wszystko dobrze.

– Kochanie, dlaczego się zamknęłaś?

– Przebieram się.

– Może ci pomóc?

– Nie, dziękuję.

– Ale masz wszystko?

– Tak, mamo, mam wszystko.

– Bo wiesz, jakbyś chciała, to mogę ci pomóc. W pralni jest jeszcze kilka twoich ubrań, mogę je przynieść, jakby co.

– Nie, nie trzeba.

– A wpuścisz mnie?

– Mamo, za chwilę... Dobrze? Nie gniewaj się, ale chcę trochę pobyć sama.

Maria stała niepewnie pod drzwiami, nie wiedząc, co powinna uczynić, i oczywiście zrobiła to, co zapisane **boldem** i **wersalikami** znajdowało się na samej górze czerwonej listy rzeczy zakazanych.

– Ale nic sobie nie zrobisz? – Gdy tylko wybrzmiał znak zapytania, uświadomiła sobie swój błąd i w myślach zaczęła okładać się po twarzy.

– Nie, mamo. Nic sobie nie zrobię.

Zresztą czym miałyby sobie **COŚ** zrobić? Przewidujący rodzice usunęli z jej pokoju wszystkie potencjalnie ostre narzędzia i przedmioty, od nożyczek począwszy, przez ołówki, na szklanych naczyniach skończywszy. Chybaby musiała powiesić się na rajstopach, a i tak nie miałyby o co ich zaczepić.

Spoglądała z obrzydzeniem na brzuch, nogi, piersi i z każdą chwilą narastały w niej wstyd i świadomość, że miną lata, zanim wyjdzie w stroju kąpielowym na plażę, nie wspominając już o pozwoleniu, by ktoś ją rozebrał.

Oderwała czerwoną metkę i włożyła na gołe ciało dresowe spodnie, które podciągnięte na wysokość talii żałośnie opadły na wystające kości biodrowe, nieładnie marszcząc się powyżej kostek. Wyglądała dziwnie.

– Asia, to ja.

Monika stała pod drzwiami i nie wiedziała, jak się zachować. Jak w rozbłysku przepalającej się żarówki zniknęła dawna Aśka, z której się nabijała i dzięki której czerpała radość i siłę, planując towarzyskie upokorzenie. Teraz nie dość, że nie miała satysfakcji, to było jej głupio i nie potrafiła się w tym odnaleźć. Obawiała się, że jej zabawa z Danielem, którego mózg wypełniał paszтет niedokończonych myśli opakowanych w wybujałe ego i niemożliwe do realizacji ambicje, sprawiła, że Aśka dotkliwiej odczuła jego debilne, prymitywne pomysły, na których budował toksyczne relacje. Czowała się podle, zawieszona między poczuciem winy, bezradnością i niemożnością naprawienia sytuacji, która mogła

stać się również jej udziałem albo do której pośrednio się przyczyniła. Nie przynosiła słów pocieszenia, bo nie potrafiła ich odnaleźć w swym nastoletnim zbuntowanym umyśle. Obawiała się tego spotkania, ale wiedziała, że jest nieuniknione i dzieje się tu i teraz.

– Asia, to ja. Wpuścisz mnie?

I znowu ta cisza.

Joanna nie przestawała wpatrywać się w swoje odbicie w lustrze. Słyszała Monikę, ale nie mogła oderwać wzroku od dziewczyny, której nie знаła. Która pragnęła schować się za szarą maską nijakości i przeciętności. Dziewczyny, która z przepastnej szafy pełnej kolorowych modnych ubrań nie potrafiła wybrać jednej sztuki odzieży mogącej zamaskować jej istnienie. Chętnie skryłaby się w fałdach tkaniny, przez którą nikt nie zdołałby dostrzec jej kobiecości, jej duszy ani uczuć. Chciała się zapaść pod ziemię.

Bała się sąsiadów i ich współczujących spojrzeń, bała się troski rodziców, której smycz towarzyszyć jej będzie każdego dnia, a najbardziej obawiała się siebie i tego, by nie zwyciężyła w niej siła nakazująca jej skończyć z tym wszystkim.

Co z tego, że dostała torbę leków, co z tego, że najbliżsi czuwali nad jej spokojem, skoro nie potrafiła doszukać się go w sobie. Miała dosyć i nie znajdowała siły na dalsze życie.

Podskakiwała przestraszona najmniejszą domową anomalią, głośniejszym uderzeniem wiatru w okno i jękiem gałęzi jabłoni od lat ocierającej się o narożnik domu. Bała się szczekania psa i nieobecności domowników, bała się siebie.

– Asia, wpuść mnie, proszę.

Włożyła bluzę, która delikatnie ucałowała jej szorstką skórę, i nawet pomyślała, że doznała przyjemnego uczucia, które zaczęło prowadzić ją w stronę miłego relaksu, i... nagle wystraszyła się tej myśli. We własnej ocenie nie zasługiwała na nic dobrego, nic jej się nie należało, dlatego wbrew sobie gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i teraz stała oko w oko z przestraszoną tym Moniką. Patrzyły na siebie jak kat na ofiarę, a ofiara na kata. Szarpane emocjami nie potrafiły rozpocząć rozmowy. Wreszcie Aśka odsunęła się, przepuszczając koleżankę.

– Wejdz.

Wyrzwała na korytarz, jakby sprawdzała, czy przy drzwiach łazienki nie czai się morderca, i dokładnie zamknawszy drzwi, oparła się o futrynę. Monika, która w ich domu spędziła drugą noc, czuła się równie skrępowana jak podczas pierwszej wizyty. Stała pośrodku pokoju ze zwieszoną głową i nerwowo skubała skórę palca wskazującego lewej ręki. Boleśnie zdarła naskórek i u nasady paznokcia pojawiła się kropla krwi. Odruchowo włożyła palec do ust i głośno syknęła.

– Auć.

– Nie musisz obgryzać paznokci ze stresu. Siadaj. – Joanna usiłowała się

uśmiechnąć, wskazując stojący przy łóżku fotel. Sama podkuliła nogi i zajęła miejsce pośrodku miękkiego materaca.

– Kurczę, nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić.

– Nie... Chciałam cię przeprosić.

– Przestań, niby za co?

– To głupie, ale sprawiało mi przyjemność, że Daniel większą uwagę zwracał na mnie niż na ciebie.

– No i? – Joanna spoglądała spod wyskubanych rzęs na koleżankę, nie mając zamiaru ułatwiać jej rozmowy. Podskórnice czuła się przez nią zraniona, choć przecież Monika nie mogła mieć związku z porwaniem.

– Jesteś taka atrakcyjna, że...

– Byłam.

– Nie rozumiem.

– Byłam atrakcyjna.

– Zwariowałaś? Nadal jesteś.

– Może, ale już nie chcę być.

– Zobaczysz, minie ci.

– Nic mi nie minie. Już nigdy nie włożę krótkiej spódniczki i się nie umaluję.

– Joasia, tak nie można myśleć.

Aśka zachnęła się. Ściągnęła nogami narzutę, spod której ukazał się rąbek białej, wykrochmalonej poszewki kołdry, i dobitnie po raz pierwszy powiedziała to, o czym myślała od wielu godzin:

– Można. Nareszcie mogę powiedzieć, co naprawdę myślę. Skończyłam z chowaniem się za ciuchami, a właściwie istnieniem dzięki nim. Mam zamiar być sobą i być z sobą szczęśliwa. Nie potrzebuję żadnego faceta. I wiesz co? Jak stałam goła w tym cholernym lesie, obiecałam sobie, że już nigdy nie powiem o nikim nic złego, że poza samą możliwością życia nie potrzebuję nic więcej, i mam zamiar z tego korzystać.

Oszołomiona Monika słuchała koleżanki, zupełnie nie wiedząc, co powinna w tej sytuacji powiedzieć. Zrozumiała, że straciła kumpelkę, a w jej miejscu pojawiła się młoda, lecz doświadczona przez życie kobieta, która być może, jeśli Monika będzie miała szczęście, nie odrzuci ich znajomości, a kiedyś może stanie się jej przyjaciółką. Teraz jednak nie potrafiła z nią rozmawiać. Czuła się przy niej jak głupia gówniara, która nie ma nic do powiedzenia, dlatego zdobyła się tylko na przytaknięcie:

– Tak, oczywiście.

– I wiesz co? Powiem ci coś więcej. Modliłam się, modliłam się jak głupia, ale Bóg jakoś mnie nie wysłuchał. Zostawił mnie na noc w tym cholernym lesie. Pełnym mrówek, zwierzaków, których oczy wielokrotnie widziałam

w ciemnościach... Bałam się jak cholera. Było mi zimno i nic. Nie odezwał się. Zostawił mnie tam!

Aśka miała wilgotne oczy i Monika obawiała się, że zaraz wytrysną z nich łzy, wobec których będzie już zupełnie bezradna.

– Nie mów tak, przecież cię znaleźli.

Aśka wyprostowała się i podniosła głos:

– Chcesz mi powiedzieć, że Bóg zesłał mi Potockiego? To chyba miał najbardziej gówniany pomysł!

– Ale musisz przyznać, że cię uratował.

– Tak, bo wcześniej ten sam Bóg nasłał dwóch debili, którzy prawie mnie zgwałcili.

Monika znowu nie wiedziała, co ma na to wszystko odpowiedzieć. Jej Bóg przez ostatnie miesiące miał twarz Buddy, który zesłał jej co najwyżej bawełnianą odzież i deszcz kolorowych koralików, dlatego za wszelką cenę usiłowała zmienić temat.

– Domyślasz się, kto ci to zrobił?

– Nie.

W sercu Joanny oczywiście kiełkował domysł, że Daniel, a w zasadzie jego kumple, mogli maczać w tym palce, ale rozum nie pozwalał, by ta myśl zapuściła korzenie i zaowocowała głośnym komentarzem, dlatego ze zdumieniem słuchała tego, co mówiła Monika.

– A nie pomyślałaś, że to mógł być Daniel?

– To nie on.

– No, nie, ale może jego kumple.

– A jaki by mieli powód? Przecież zawsze musi być motyw.

– Bo ja wiem? Ostatnio mieliście kwas.

– I myślisz, że to by wystarczyło? Przecież musiałyby być psychiczny!

– Jak na moje, to ma zadatki na psychopatę...

Joanna niestety nie mogła odmówić słuszności tokowi myślenia Moniki, ale nie mogła też uwierzyć, że facet, z którym spała, mógłby chcieć ją skrzywdzić...

– A może chodzi o te samochody?

– Nie wiem, Monika. Wierz mi, że przywiązana do drzewa o niczym innym nie myślałam i niestety nadal nie wiem. Ale dopóki ich nie złapią, nie wyjdę z domu.

– No, nie przesadzaj.

– Nie, nawet gdyby trwało to kilka miesięcy, nie zmienię zdania.

– Tak nie można.

– Bo co? Masz inne rozwiązanie?

Nie miała. Wpatrzona we włochatą różową narzutę współczuła Joannie, uzmysławiając sobie przy tym, że miała ogromne szczęście, że to nie ją spotkało...

była przecież tak blisko tych wydarzeń.

Zaczęła się bać i coraz lepiej rozumiała przestraszoną Joannę. Jeszcze mocniej zatęskniła za domem i końcem wakacji.

Potocki siedział na pryczy przywalonej pościelą, czyli kocem ją udającym, i marzył o szlugach. Jakichkolwiek. Byle zapalić. Był wyczerpany. Wszystko wskazywało na to, że inni zdecydowanie lepiej wiedzieli, o czym on myśli, co zrobił i jakie ma plany.

Mimo że wielokrotnie zaprzeczał oskarżeniom, nikt nie dawał mu wiary, bazując na jego kryminalnej przeszłości. Jego sytuacja była wprost wymarzona dla policyjnych statystyk. Nie dość, że mieli sprawcę, to udało się go ująć błyskawicznie, a w dodatku jego osobą mogli opędzić morderstwo w lesie i porwanie małolaty. Idealny zbieg okoliczności.

Okazał się durniem. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Klasycznym głupcem, który zamiast iść swoją drogą, raz po raz wtrąca się w życie innych. Co prawda pewnie tylko dzięki niemu wyczerpana dziewczyna przeżyła, ale co go to obchodziło.

– Zbieramy się.

Policjant stał w drzwiach i obojętnym wzrokiem omiatał celę. Dopiero zaczynał dyżur, ale już miał dosyć tego dnia. Od rana wydzwaniał do nich wściekły komendant, do tego akurat dziś wpadła szajka złodziei samochodów, a mały synek darł się przez całą noc, najprawdopodobniej walcząc z pierwszymi mleczakami.

Potocki w myślach rzucił soczystą kurwą i rozkoszował się pogłosem tych pięciu liter, które zgrabnie odbijały się od jego czaszki.

– Znowu będziecie mnie maglować? Przecież już wszystko powiedział.

– To się jeszcze okaże.

Człapał za funkcjonariuszem świeżo wyremontowanym korytarzem komendy, zaglądając do każdego otwartego pokoju, jakby szukał znajomej postaci, mesjasza, który nie tylko ze zrozumieniem go pocieszy, ale również daruje mu wolność. Był świadomy, że takim jak on się nie wybaczają i tacy jak on muszą wykazywać się większą przenikliwością i być bardziej przekonujący niż ludzie, którzy nie mieli tak bliskiego kontaktu z wymiarem sprawiedliwości.

Policjant przystanął przy przedostatnich drzwiach po lewej stronie i nim nacisnął klamkę, wyprostował się i strzepnął niewidoczny pyłek z mankietu. Zapukał trzy razy i pewnie otworzył drzwi.

– Przyprowaździłem podejrzanego.

– Niech wejdzie.

Delikatnie pchnął Potockiego i wrócił do karnej, wyczekującej pozycji przy drzwiach.

– I co, panie Potocki? Coś nowego pan sobie przypomniał?

– Nie.

– A może jednak chciałby pan coś dodać do zeznań?

– Nie.

– No, panie Potocki, widzi pan, jakie to życie jest przewrotne. A my mamy nowe fakty.

Zdzisław stał przed nim jak posąg, nie rozumiejąc, do czego śledczy zmierza. Jakie, kurwa, nowe fakty? W co jeszcze chcą go zrobić?

– A czym pan ostatnio handlował?

– Handlował?

– No, co pan komuś sprzedawał?

Potocki oczami wyobraźni zobaczył góry mięsa, poroży i skór, które przez lata kłusowniczej działalności rozrosły się do sporych rozmiarów, i spanikowany zaczął się zastanawiać, czy mogli wpaść na ślad pośrednika albo nawet złapać samego kupca. Postanowił iść w zaparte i na wszelki wypadek do niczego się nie przyznawać. Niestety jego twarz zdradzała emocje i teraz gruby, rozwalony za biurkiem policjant przyssał się do niego jak kot do waleriany.

– I co? Jednak mamy coś do ukrycia?

– Nie.

– Co pan dzisiaj taki nierozmowny?

– Wszystko jużem powiedział.

– A Lucjana pan zna?

– Nie.

– Nawet pan nie zapytał jakiego?

– Nie znam żadnego Lucjana.

– A z Luckiem Dołęgą nie odsiadywał pan wyroku?

– Nie.

– Ciekawe.

– Mnie nie ciekawi, co tam sobie wydumaliście.

– Więc twierdzi pan, że nie zna Lucjana Dołęgi.

– Nie znam.

Kurwa, miał ochotę splunąć, charknąć, dać upust emocjom. Bez émika i flaszki czerwonego wina jego organizm nie funkcjonował. Z braku innych możliwości włożył do ust mały palec, którym przed chwilą grzebał w uchu, i teraz mierząc się z nutą goryczki, która osiadła na paznokciu, usiłował wydłubać z dolnych zębów pozostałości po śniadaniu. Musiało to zrobić kolosalne wrażenie na policjancie, bo odwrócił się bokiem, udając, że coś sprawdza w papierach.

– Czyli o handlu samochodami nic pan nie wie.

No, teraz to wkurzył się nie na żarty.

– Jaki handel samochodami? Kurwa, co wy odpierdalacie?! Nie dam się w nic wmanewrować, a poza tym...

– Tylko bez takich mi tu. Niechże się pan opanuje i odpowiada na pytania.

– A niby co robię?

– Tego właśnie nie jestem pewien, ale zmierza pan prostą ścieżką do kary za obrażanie funkcjonariusza na służbie.

– A niech was... – Potockiemu cisnął się na usta stek wszelkich epitetów, przymiotników i rzeczowników, będących wyrazami pokrewnymi chuja, kurwy i psich maci, tworzących melodyjny pean na cześć głupoty policji. Jednak dla własnego dobra nie wyraził go na głos, pozwalając, by owa melodia zagrała jedynie w jego mózgu.

– Na temat kradzionych mercedesów coś panu wiadomo?

– Panie, jakich mercedesów? Ja nawet telewizora w chałupie nie mam, to co niby mam wiedzieć?

– Nie słyszał pan, co ludzie... koledzy, mówią? – Policjant strzelał ślepakami z nadzieją, że może przypadkiem wywoła rezonującą odpowiedź, która przybliży go do rozwiązania zagadki bandy tnącej na kawałki najlepsze bryki z województwa w kilku dziuplach.

– Nie.

Policjant, bardziej dla fasonu i rozrywki kosztem wystraszonego podejrzanego, podręczył go jeszcze chwilę, ciesząc oko stojącym przed nim spanikowanym starszym facetem, nad którym miał władzę. Jak on lubił to uczucie! Było najlepszym życiowym dopalaczem. Wreszcie poczuł ssanie w żołądku i skupiając uwagę na kanapkach z grubymi plastrami szynki, postanowił zakończyć zabawę.

– No, panie Potocki, i co teraz z panem będzie?

Zdzisław wzruszył ramionami i czekał na wyrok. Wiedział, że nie może liczyć na nic dobrego, więc było mu wszystko jedno.

– To jest pan wolny, panie Potocki.

– Że co?

– To, co pan słyszał. Oczywiście nie wolno panu opuszczać kraju. – Tu policjant roześmiał się rubasznie, bo taka perspektywa była równie prawdopodobna jak lot odrzutowcem w średniowieczu i z ustami pełnymi śliny kontynuował: – Ma pan do nas zadzwonić albo przyjść, gdyby przypomniał pan sobie coś nowego, co dotyczy sprawy.

Potocki stał i mrugał, nie do końca wierząc w to, co usłyszał. – Jak to?

– Normalnie. Takie życie. Nic pan nie poradzi.

Miał ochotę wyściskać tego durnego gliniarza. Nie takiego obrotu sprawy się spodziewał, ale bardzo mu to odpowiadało. Czuł się prawie wolny. Jeszcze tylko musi opuścić te odświeżone z funduszy unijnych mury, żeby się upewnić, że to nie jakiś głupi kawał. Był bliski euforii, jednak opanował emocje i na tyle, na ile pozwoliły mu nerwy, spokojnie zapytał:

– Dlaczego?

- Co dlaczego?
- Dlaczego mnie wypuszczacie?
- Nie pana interes.
- Panie władzo, mam prawo wiedzieć.

– Prawdopodobnie ujęliśmy sprawców porwania, ale ze względu na dobro śledztwa nie mogę zdradzić szczegółów. – Cholera, powiedział zdecydowanie za dużo, ale za wszelką cenę chciał się pozbyć tego śmierdziela, żeby jak najszybciej wbić zęby w kanapkę. Dlatego rozsiadł się jeszcze wygodniej, z rozmarzeniem zarzucając nogi na blat biurka, i spoglądał na świadka, już nie podejrzanego, który najwyraźniej nadal pod wpływem szoku powoli zbierał się do wyjścia.

W zasadzie niczego nie osiągnął, nie posunął się ani o krok do przodu w śledztwie, ale był zadowolony z siebie.

Nie dość, że panuje nieznosny upał, to w dodatku przed drzwiami blaszaka załogowały się dwie palety zgrzewek z napojami, owinięte folią. Laura, choć po przyjęciu towaru powinna automatycznie zabrać się do rozkładania go na półkach, a przynajmniej wciągnąć do środka, siedziała na wysokim krześle za ladą i obojętnie spoglądała na rzędy smakowych wód mineralnych. Kto w ogóle kupuje to świństwo? I jeszcze te wszystkie fanty i mirindy, za którymi tak przepadają miejscowe starsze panie. Najprawdopodobniej w ich aromacie, kolorze i smaku odnajdują wspomnienie młodości, a raczej wspomnienie marzeń z młodości, bo przecież w tamtych ciężkich czasach poza krajową oranżadą o landrynkowym smaku niczego nie było.

Zagubiony motyl, to wznosząc się, to opadając, gorączkowo machając skrzydełkami, kolistymi ruchami zmierzał wprost na nią, by wreszcie przysiąść na kasie. Sama nie wiedziała, co sprawiło, że poczuła do niego niechęć, i nie zastanawiając się, zamiast delikatnie ująć go w dłonie i wynieść na dwór, trzepnęła go z całej siły zeszytem. Bezgłośnie, z oderwanym białym skrzydełkiem, opadł na ladę. Ze złością walnęła go ponownie, tak że teraz miała przed sobą kolorową plamę, którą starła użytą chusteczką higieniczną.

Wyniosła śmieć do kosza na zapleczu i gdy ponownie pojawiła się za ladą, ze zdziwieniem dostrzegła dwóch nastolatków kręcących się koło zgrzewek na paletach. Szczególnie zainteresowała ich ta bliżej ściany, na której spoczywały również puszkami z piwem. Folia szczelnie oklejała towar i mimo że usiłowali ją przedrzeć, nie poddawała się ich palcom.

- Co się tu dzieje? – Wściekła ruszyła w ich stronę.
- Nic, nic, chcieliśmy tylko kupić wodę.
- Akurat!
- No, serio.
- To dlaczego nie weszliście do sklepu?
- Chcieliśmy, ale myśleliśmy, że trzeba sobie zabrać stąd.
- Wynocha.
- Ale proszę pani, my naprawdę nie chcieliśmy nic złego!
- Powiedziałam wynocha! Zamknijcie.
- Jak to?
- Normalnie. Dostawa towaru. Nie widać?
- Niby tak, ale w dzisiejszych czasach z tego powodu nie zamyka się sklepu.
- A jednak.

Z zadowoleniem patrzyła, jak młodzi, ubrani w przestylizowane obcisłe dresowe spodnie i białe T-shirty, oddalają się w kierunku szosy. Dziwne, nieznane

dotąd uczucie wyższości zawładnęło jej ciałem i wtrysnęło w serce strumień siły, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. Miała prawo krzyczeć, być niezadowolona, miała prawo nie mieć ochoty ani nastroju. Miała prawo żyć, jak zechce. W dupie miała to, że ktoś może donieść o jej zachowaniu szefowi, a świadomość, że nie znajdzie na jej miejsce równie lojalnego pracownika, sprawiła, że trzasnęła drzwiami sklepu i zamknęła je od środka na od lat nieużywaną zasuwę.

Zamiast zająć się pracą, poczłapała do szafy, w której zimą przechowywała grubą puchową kurtkę, a teraz wypełniała ją sterta kłapek o różnych fasonach i kolorach. Wygrzebała spomiędzy nich wytartą reklamówkę, z której ze czcią, niczym Żyd Torę, wysunęła katalog biura podróży. Setny raz otworzyła go na tej samej stronie z bajkowym basenem w kształcie gigantycznej muszli przy białym pięciopiętrowym budynku ozdobionym niezliczonymi tarasami ukrytymi w cieniu półluków i luków dachów. Błękit nieba rywalizował z lazurem widocznego za hotelem morza, kontrastując z zielenią palm i trawy otulającej basen z kolorowymi zjeżdżalnicami. Białe parasole kusily cieniem, a usytuowany w centrum barek zapraszał na drinki z pióropuszcami owoców.

Całą sobą chciała tam być. Najchętniej w roli turystki, ale nie odrzuciłaby również oferty pracy. Było to – w zestawieniu z szarością blaszaka i jej domu – ekscytująco odmienne, kuszące i wiedziała, że dzięki ciułaniu każdej pięciozłotówki, skrupulatnie odkładanej do słoja ukrytego wśród skarpet, staje się coraz bliższe.

Niesiona marzeniami podjęła decyzję o zamknięciu sklepu na dobre, nie zadając sobie trudu, by powiadomić kogokolwiek o swoim zamiarze. Zgarnęła katalog, torebkę i zostawiając za sobą dopiero co dostarczony towar, odjechała w kierunku domu.

Kilka minut po tym, jak opadł kurz wzniesiony przez jej fiata, na parkingu pojawił się Adam i jego rower. Przekonany, że zastanie Laurę, nie zabrał z domu kluczy i teraz zdziwiony stał przed zamkniętymi drzwiami. Wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer koleżanki, ta jednak nie odebrała ani za pierwszym, ani za drugim, ani za piątym razem. Zdezorientowany, rozważając, czy jechać do niej do domu, czy jednak pilnować towaru, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że musiało wydarzyć się coś złego, zdecydował się więc na wyjście pośrednie i zadzwonił na komendę.

===YgM6CzMHYVZhAjEENAM3AWRRYAY/XWkMOQppCDldalI=

Starszy aspirant Edward Bąk był w swoim żywiole. Rzucił dokumentami, analizował dowody i co chwila wrzeszczał na podwładnych, zwłaszcza na Tomasza Paprockiego, który wkurzał go na całego. Nie dość, że powolny, to naiwny i w dodatku dobrotliwy. Każdego tłumaczył i w każdym dopatrywał się pozytywnych cech, o których sam delikwent nie miał pojęcia. Głęboko wierzący i zaangażowany w życie parafii, gdzie służył co niedzielę do mszy, drażnił przełożonego wiecznym powątpiewaniem w istnienie zła, tłumacząc je przypadkiem, zbiegiem okoliczności lub pomyłką. W ocenie Edka powinien przewodzić grupie pięciolatków, a nie towarzyszyć mu w radiowozie.

Zwłaszcza teraz, gdy niespodziewanie, po raz pierwszy od trzydziestu lat, w ich rewirze mają najbardziej klasyczne morderstwo i góra żąda od niego jakichś działań, podczas gdy on ma o nich zaledwie mgliste wyobrażenie. I jeszcze ta durna sołtysówna przywiązana do drzewa w lesie! Chryja na całego. No, nie żeby pracował po godzinach, ale i tak jest już dostatecznie wymęczony tym, że musi urzędować w tych wymaganych kodeksem pracy. A było tak spokojnie... Największym wrzodem na dupie był kłusujący Potocki, ale przymykając oko, można było latami go nie dostrzegać, i od czasu do czasu, w sezonie, letnicy urządzający burdy.

– Macie te dokumenty?

Paprocki skurczył się w sobie, westchnął do Pana i wydukał:

– Położyłem szefowi na biurku.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Gdzie? Niech mi Paprocki pokaże.

Tomasz rozejrzał się po zabałaganionym biurku i nieśmiało pokazał najwyższy stos makulatury.

– Tu.

– To niech Paprocki mi je poda! Jakby tu były, tobym nie wołał!

W geście całkowitego lekceważenia zarzucił nogi na blat biurka, zmuszając wystraszonego chłopaka do grzebania między jego butami a teczkami z dokumentami. Nim Tomasz zdążył wyjaśnić po raz kolejny, że były i nie wie, co się z nimi stało, zadzwonił telefon na biurku.

– Czego? – Bąk warknął w słuchawkę rozjuszony. Znowu czegoś od niego chcą, zupełnie jakby nie mogli sami zabrać się do roboty. On im jeszcze pokaże, jak się pracuje. Koniec z tym. Wdroży nowe procedury i jeszcze zatęsknią za dawnymi czasami. Odpowiedziała mu cisza, więc wzburzony wrzasnął ponownie:

– Co jest? Jest tam kto?

Niestety był, i to sam komendant, który wzywał go natychmiast do siebie. Edek z hukiem spuścił nogi, przy okazji strącając stos dokumentów, i poczłapał do drzwi.

– Pozbierać mi to, migiem.

Wąską klatką schodową wspinał się na piętro, zbliżając się stopień po stopniu do grożącego erupcją wulkanu. Spodziewał się opieprzu i zdziwił się, gdy zamiast zapalczywych, drapiących słów usłyszał ulgę w tonie komendanta.

– No, to chyba ich mamy.

– Kogo, panie komendancie?

– Porywaczy. Ci z wojewódzkiej rozbili w nocy gang samochodowy.

– To chyba dobrze.

– Co wy mi tu, Bąk? Bardzo dobrze! Odczepią się wreszcie od nas!

Komendant wszystkiego miał w nadmiarze oprócz włosów: nerwowych tików, fałd, w których ginęła szyja, i kilogramów, które zalogowały się głównie na brzuchu, sprawiając, że wyglądał jak wielkie raffaello. W ogóle nie wpisywał się w wyobrażenie o komandosie czy policjancie, nawet nie sprawiał wrażenia osoby, która potrafiłaby sama się obronić, zwłaszcza stosując najskuteczniejszą formę obrony – ucieczkę. Tymczasem twarda ręka, jaką zarządzał, i krótki lont przekleństw prowadzących bezpośrednio do eksplozji nerwów kończącej się obcinaniem premii budziły respekt i powodowały, że podwładni na jego widok się kurczyli.

– To dobrze.

– Bardzo dobrze. Bardzo dobrze.

– Ale nadal nie wiemy, kto zabił Teresę Żytko.

– Spokojnie, wszystko powoli się wyjaśni.

– Myśli komendant, że to ci sami ludzie?

– Miejmy nadzieję. Wczoraj w nocy wpadła cała banda. Jeden z tych koleś to niejaki Danielek, oblubieniec tej Joanny.

– No, żeż!

– A widzicie, w rzeczy samej. Wpadli jak debile, podczas rutynowej kontroli, nie zdążyli przebić blach. Durnie. I bardzo dobrze! Dzięki takim kretynom mamy wyniki.

Tłustą ręką klepnął w leżącą na biurku teczkę z dokumentami, po czym zadowolony z siebie wyjął z górnej szuflady biurka zgniecioną krówkę i ze smakiem włożył do ust. Karmelowa mordoklejka skutecznie go zakneblowała, na chwilę pozbawiając głosu. Wstrząsnął nim niemily dreszcz, gdy cukier podrażnił nadwrażliwe zęby, tuż przy linii dziąseł. Bąk wpatrywał się w przełożonego wielkimi oczami. Sam nie wiedział, co bardziej go zadziwia: łatwość, z jaką szef pochłania porcję słodyczy, nie przejmując się tym, że kolejne gramy cukru muszą odłożyć się gdzieś w jego organizmie, czy tym, że śledztwo tak szybko, prawie bez

ich udziału, dobiegło końca. Wreszcie komendant mlasnął, oblizał się i kontynuował:

– Znaleźli w jednym z wozów zakupy tej małej i osrali się ze strachu. Durnie. Wyśpiewali wszystko.

– Że co?

– Danielek chciał pannie pokazać, że ma jaja, że rządzi on i tylko on. Pieprzony maczo ze spalonego teatru. Ale nie przewidział, że kumple wszystko wyśpiewają. Teraz siedzą wszyscy i wiecie co, Bąk?

Oczywiście Bąk coś tam wiedział, ale uznał, że lepiej się nie zdradzać ze swoimi przemyśleniami.

– Nie, proszę mnie oświecić.

– I znowu wraca spokój.

– Ale jeszcze Teresa w le...

– Co mi z tą Teresą wyjeżdżacie cały czas? Macie chyba coś w jej sprawie, nie? Powiedziałem, że zaczęli śpiewać, to jeszcze chwila i to też wyśpiewają. Zrozumiane?

– Tak.

Kurwa, nic nie rozumiał. Co Teresa miałaby mieć wspólnego z samochodowym gangiem? Ale oczywiście nie miał zamiaru protestować i z pokorą uznawszy, że może odmaszerować, wyszedł z pokoju na wąski korytarz. Oby komendant miał rację...

Monika została u Joanny, którą wczoraj rodzice przywieźli ze szpitala. W zasadzie w domu nic się nie zmieniło, bo Aśka zniknęła w swoim pokoju i nie życzyła sobie, by ktokolwiek ją odwiedzał. Nawet kontakt z matką, która co rusz dopytywała, czy zaparzyć jej herbaty, ograniczyła do minimum.

Zresztą wczoraj był sądny dzień, który teoretycznie powinien wszystkich przeprowadzić na jasną stronę mocy, a jednak nie miał w sobie aż tyle pozytywnej energii. Przede wszystkim Joanna wróciła z całym bagażem traumy i wspomnień, które, obawiam się, na długo będą trzymały ją w swoich szponach, nie pozwalając optymistycznie spojrzeć przed siebie.

Będzie to tym trudniejsze, że ujęto prawdopodobnych sprawców porwania i okazało się, że są bliskimi znajomymi Daniela i najpewniej działali w porozumieniu z nim. Zatrzymany chłopak zeznał, że chciał tylko zrobić swojej dziewczynie głupi kawał, pokazać jej, kto rządzi w ich związku, i zmusić do większej uległości. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy ani ze zdrowotnych (dla niej), ani prawnych (dla siebie) konsekwencji, w co akurat, spoglądając w jego puste, pozbawione błysku inteligencji oczy, jestem w stanie uwierzyć.

Jutro wyjeżdżamy.

Mam żal do siebie, że nie potrafiłam zbliżyć się do Laury na tyle, by się przekonać, czy rzeczywiście jest moją córką. Ale trudno, widocznie tak miało być... Zresztą, gdy patrzę na tę dorosłą, zupełnie mi obcą kobietę, nie wiem, co by miało albo mogło nas połączyć. Przeżywam po raz wtóry żałobę po utracie Zosi, ale coraz bardziej zdaję sobie sprawę z absurdalności pomysłu, by ją odnaleźć i zburzyć jej życie. Po co? Dla świadomości, że się udało? Bez sensu.

Czuję się wolna, a w zasadzie wyzwolona. Wiem, że nie mogę walczyć z przeszłością ani jej zmienić. Te wszystkie okropne chwile, które stały się naszym udziałem, sprawiły, że bardzo zbliżyliśmy się do siebie z Moniką, i wiem, że teraz na tym – i tylko na tym – muszę się skupić.

Jadę przez zalany słońcem las do naszego domku. Może nie do końca policjanci mnie przekonali, że włamanie było wybrykiem nastolatków, ale po tym, jak złapali Daniela i jego paczkę, przestałam się bać. Głównie o Monię. Poza bałaganem i idiotycznym napisem na lustrze nic się nie wydarzyło, nic nie zginęło, więc może to faktycznie wyczyn napitych, napalonych nastolatków.

Chłonę każdy szczegół rozciągającego się przede mną widoku. Pasę oczy zielenią, uszy śpiewem ptaków i usiłuję doładować baterie optymizmu, które mają mnie pogodnie przeprowadzić przez kolejne miesiące pracy w szkole. Podziękowałam Marii za propozycję dotrzymania mi towarzystwa. Czułam, że muszę pobyć sama. Tak niewiele miałam spokojnych chwil tylko dla siebie, że

postanawiam wykorzystać tę ostatnią nadarzającą się okazję.

Parkuję tuż przy wejściu do domku i zostawiam włączone, nastawione prawie na cały regulator radio. Jest bosko. Nabieram w płuca wielki haust powietrza i jestem gotowa na pakowanie.

No, może nie do końca porządne pakowanie. Wrzucam byle jak resztę naszych ciuchów do dwóch podarowanych przez sołtysa toreb z IKEA, pamiętam nawet o desce do krojenia i nożach, z czego jestem bardzo dumna, zaglądam też pod łóżka w poszukiwaniu zagubionych drobiazgów. Znajduję jedynie różową skarpetkę Moniki i aby ją wydobyć, muszę odsunąć łóżko. Przy okazji przewracam stojącą w kącie szklankę z resztką wody i wściekła idę po zmiotkę i ścierkę do łazienki. Napis na lustrze został co prawda starty, ale zostały po nim nieładne czerwone smugi przypominające mi o strachu. Mimowolnie pozwalam mu przywitać się z moim żołądkiem i czuję, jak wwierca się w pępek i przenika w głębię. Mądra kobieta, która od czasu do czasu zamieszkuje moje wnętrze, daje mi z liścia w twarz i każe się uspokoić. Robię to jednak z niejakim trudem i dopiero po pewnym czasie.

Upewniwszy się, że wszystko zgarnęłam, upycham torby na tylnym siedzeniu samochodu, zastanawiając się, jak zmieszczę walizki, które są w sołtysówce. Nie wiem, dlaczego ubrania podczas wakacji puchną i nabierają objętości, ale zawsze tak jest i mimo że powinnam to przewidzieć, jak zwykle jestem zaskoczona.

Wreszcie zamykam domek i gdy odwracam się od drzwi, czuję, że ktoś za mną stoi. Przez splot słoneczny i rdzeń kręgosłupa dociera do mojego mózgu impuls, który po nanosekundzie eksploduje paniką.

– Łaa! Jezu! Laura, to ty! Ale mnie wystraszyłaś. – Oczy rejestrują obraz, mózg powoli składa dane, ale oszalałe serce nadal pracuje pełną parą. Robię głęboki wdech i staram się uspokoić. – Co tu robisz?

Laura ma zaciętą minę, wygląda na zestresowaną. Najwyraźniej w niej też jeszcze drzemie trauma ostatnich dni, tym większa, że w tak krótkim czasie straciła oboje rodziców.

– Nic. W zasadzie wyszłam pospacerować i jakoś tu dotarłam. Bez sensu. A pani już wyjeżdża?

– Powoli się pakujemy.

– Koniec urlopu?

– Tak, czas wracać. Niestety.

– Wszystko się kiedyś kończy.

Mam wrażenie, że zabrzmiało to bardziej melancholijnie, niż dziewczyna by chciała, ale skupiona na powrocie i długiej drodze, którą mam przed sobą, nie zastanawiam się nad tym.

– Ale najfajniejsze są ostatnie chwile, gdy można naładować baterie.

Właściwie chciałam się jeszcze przejść. Może się pani przyłączy? – Znowu wracam do formy pani, nie chcąc jej urazić. Zdaję sobie sprawę, że to może nasze jedyne tête-à-tête, i mam zamiar się nim nacieszyć. Laura nieco się ociąga, kryguje, że nie chce mi przeszkadzać, ale w końcu człapie obok wąską leśną ścieżką.

– A pani planuje jakieś wakacje?

– Nie. Wakacje nie, ale może stąd wyjadę...

– Na stałe?

– A czemu nie?

Spogląda na mnie agresywnie, zupełnie jakbym powiedziała coś nie tak.

– Tak tylko pytam. Pięknie tu. Ja bym się stąd nie ruszała.

– A pani jest zadowolona ze swojego życia?

Trochę zaskakuje mnie tym filozoficznym pytaniem. Nie sądziłam, że mój ostatni spacer po okolicy będzie miał wymiar egzystencjalny, ale w zasadzie tak rzadko zastanawiamy się nad sobą i swoim życiem, że dlaczego się nie zadumać?

– Chyba tak.

– A córka? Dogadujecie się?

Żarówka moich uczuć rozbłyскуje jasnym światłem, bo właśnie uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy stałyśmy się z Moniką przyjaciółkami, że jestem z niej bardzo dumna, że kocham ją ponad wszystko. Kopię leżącą na ścieżce szyszkę i spoglądam, jak wpada w pobliskie zarośla.

– Kiedyś może gorzej, ale teraz bardzo dobrze.

Laura przystaje gwałtownie, przytrzymując mnie za łokieć.

– A za tą pierwszą nie tęsknisz, co?

Początkowo nie rozumiem, o co pyta, ale po chwili dociera do mnie kłująca świadomość, że ona wie. Czuję, że mimo upału zimny pot gwałtowną falą zalewa mi plecy. Co powinnam zrobić? Mam ją przytulić? Przeprzić? Przyznać się? Nim się orientuję, z moich ust wydobywa się ciche:

– To nie tak.

– Kurwa, a jak?

Sparaliżowana i oniemiała nie dostrzegam gestu, więc nie rozumiem, skąd w jej ręce nagle wzięło się opakowanie czegoś, co teraz rozpyła na moją twarz. Czuję pieczenie, ból, oczy mi łzawią i przestają widzieć. Bezradnie osuwam się na kolana, trę oczy i krzyczę:

– Przestań! Co ty robisz?!

Odpowiada mi dzwoniąca w uszach cisza, a gwałtowne ruchy jej nóg sugerują, że za chwilę stanie się coś jeszcze. Rzeczywiście, czuję na szyi coś zimnego. Pierwsza spanikowana myśl podpowiada, że to ostrze noża, jednak druga podsuwa inny wniosek. Za długie na nóż i zbyt elastyczne. Poza tym oplata mi całą szyję, tak że nie mogę nabrać powietrza. Walczę i usiłuję wsunąć palce pod to coś, by oddalić od siebie zagrożenie, którym emanuje. Mimo wysiłków nie udaje mi się

i uświadamiam sobie, że moja jedyna szansa to złapać ją za nogi. Usiłuję się wygiąć i sięgnąć do gołej łydki, ale wyslizguje mi się z dłoni. Na twarzy czuję kolejną dawkę zimnej mgły i znowu skupiam się na piekących oczach. Jęczę i charczę, nie mogę wykrztusić słowa. Tymczasem zza pleców dobiega mnie syk palących słów:

– Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Wiem wszystko! Znalazłam cię w papierach Teresy, kłamliwej suki, która odebrała mi wszystko. Nie pozwoliła żyć własnym życiem, pozbawiła wolności, ograbiła mnie z miłości. Dlatego z rozkoszą patrzyłam, jak rozpada się jej świat, poczucie bezpieczeństwa. Jak umiera. Taka gruba i bezradna. I ten jej cholerny kościół, i obłudny ksiądz, który tak chętnie wkładał mi rękę pod spódniczkę. I wiesz, skarżyłam się, ale ona wierzyła jemu. Idiotka. W modlitwie miałam znaleźć spokój. Co za bzdura! Dlatego zakleiłam im tę głupią budę... Ale oni jak zwykle nic nie zrozumieli. Proboszcz myśli, że ma władzę nad każdym. Nad moją matką miał z pewnością, ale nie nade mną. Ja nie zapominam. Nie jestem taka jak ona. Zamiast mnie chronić, zgłosił molestowanie, miała pretensje do mnie. Rozumiesz? Do mnie, że może to ja źle się zachowywałam! A niby co zrobiłam? Nic. Rozumiesz? Nic! Moją winą było to, że powiedziałam tylko Teresie, trzeba było krzyczeć na całą wieś, ale byłam młoda i głupia, posłuchałam jej. Że to niby wstyd dla rodziny! Hańba! Ja pierdołę, jaka hańba i dla kogo?! Teraz rozumiesz, dlaczego cię nienawidzę? Bo oddałaś mnie takiej kobiecie. Nie chciałaś mnie, a ona po poronieniu wzięłaby każdego bachora, jakiego jej dawali. Trafiło na mnie. I ojciec, pożałuj Boże. Zajęty tylko swoim polem. Poza tym nie widział nic. Życie przeleżał na tapczanie i przesiedział na ławce przed domem. Dlaczego? Bo tak było najłatwiej. Takiego życia dla mnie chciałaś? Takich rodziców?

Pętla na mojej szyi zacisnęła się mocniej i najwyraźniej musiałam na chwilę stracić przytomność, bo umknęła mi część monologu.

– ...wolna, mogę robić, co chcę! Mieszkać, gdzie chcę! Gzić się, z kim chcę! Mogę wszystko! Ale wiesz co?

Pętla jeszcze głębiej przeorała szyję, prawie miażdżąc krtań.

– Mogę wszystko, ale ty musisz poczuć, jak to jest nie móc nic. Zostawiłaś mnie, bo tak było ci wygodnie. Pozbyłaś się problemu, bo inaczej ludzie by gadali. Co, MAMO? Mylę się? Nie. Wiem, że nie. Jesteś warta tyle co Teresa. Dwa główna, które myślały tylko o sobie! Jedna chciała zrobić ze mnie służącą, druga się mnie pozbyć. I co? Jesteś zadowolona? Mogłaś mnie od razu zabić! Byłaś głupia, że tego nie zrobiłaś. I po co tu przyjechałaś? Chciałaś mnie poznać? Po co? Co chciałaś mi zaoferować? Zabrać do siebie? A może się zaprzyjaźnić? Śmieszna jesteś, wiesz? I jeszcze ta twoja córeczka... wymuskana, nadaśana królewna. Dla niej masz czas, co? Wspólne wakacje, zakupy, wyjazdy! To ja byłam w waszym domu, to ja przeglądałam te wasze żalotne szmaty. To ja wytarłam twarz

w ręcznik, żebyście się bały. Żebyście poczuli, jak to jest być osaczonym, bezbronny. Naiwna sołtysowa daje klucze komu popadnie, bo samej nie chce jej się sprzątać. W czym ja jestem gorsza? Co ci zrobiłam? Urodziłam się za wcześnie? O kilka lat? Nie takie życie sobie zaplanowałam, co? Bachor ci przeszkadzał, nie? A tatusia pewnie nigdy nie poznam, bo sama nie wiesz, kim był. Pewnie puszczałaś się na prawo i lewo. A co z dziadkami? Nie wpadłaś na to, że miałam prawo ich poznać? Że miałam prawo żyć w dużym mieście i mieć przyszłość? Ale oni pewnie też się mnie wstydzili i BUNIA załatwiła adopcję, pomogła ci się mnie pozbyć. Bo co ludzie by powiedzieli! Jesteście żałośni, wszyscy jesteście żałośni. A ja chciałam tylko żyć normalnie, a nie tak.

Mdleję. Czuję, jak powoli mój duch opuszcza ciało i unosi się ponad ścieżką, zaroślami i dwiema postaciami kobiet. Docierają do mnie strzępy słów, ale nie czuję już bólu. Tylko szarpiący strach, że coś złego stanie się Monice. Skupiam się tylko na tym, zastanawiam się, jak dać jej znak. Ale nie mogę nic zrobić. Tęskniłam za Zosią, a spotkałam potwora, którego wydało moje łono. Sprytnego potwora, który nie tylko przejrzał moje ruchy, ale i wyciągnął z nich konsekwencje. Który mnie pokonał.

Z daleka docierają dźwięki muzyki i unosząc się nad drzewami, widzę jeszcze moją małą czerwoną micrę. A potem już nic.

Zabiła dwie matki. Stała na pustej polanie i myślała tylko o tym. Zabiła dwie matki, ale w rzeczywistości nie miała ani jednej. Mogła wszystko i nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję rodzinie, przyjaciołom i czytelnikom za nieustające wsparcie i motywowanie do pisania.

